



*Miasto świętych i złodziei to pełna
zwrotów akcji i zaskakujących
tajemnic powieść, której nie
będziesz w stanie odłożyć, póki nie
przeczytasz ostatniej strony.*

„New York Times”

MIASTO ŚWIĘTYCH I ZŁODZIEI

IM WIĘCEJ WIDZISZ,
TYM MNIEJ WIESZ

NATALIE C.
ANDERSON

NATALIE C.
ANDERSON

**MIASTO
ŚWIĘTYCH
I ZŁODZIEI**

Tłumaczenie z języka angielskiego

Marta Weronika Najman



initium
wydawnictwo

KRAKÓW 2017

Od autorki

Kilka słów o tym, jak autorka pozwoliła sobie obejść się z prawdą:

Większość tej historii została oparta na prawdziwych wydarzeniach i losach prawdziwych ludzi żyjących we wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga. Łamanie praw człowieka, zwłaszcza wobec kobiet, jest tam na porządku dziennym. Chociaż opowieść o Anju jest fikcyjna, czerpie z historii prześladowań, które usłyszałam osobiście, pomagając uchodźcom w Kenii i pracując z dokumentami takich ugrupowań, jak Human Rights Watch i Rada Bezpieczeństwa ONZ. Firmy w sektorze wydobywczym tworzą potrzebne miejsca pracy, ale niewątpliwie wykorzystują przy tym chaos i korupcję, które toczą ten region. Każdego dnia kolejni uchodźcy uciekają do krajów ościennych, chcąc żyć w pokoju i poczuciu bezpieczeństwa. Konflikt zbrojny trwa nieprzerwanie, jest złożony i ignorowany przez większość krajów na świecie.

Jednocześnie wschodnie Kongo to przepiękne miejsce. Jego mieszkańcy to ludzie zwykli i niezwykli, wyjątkowo godni, którzy, podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy świata, po prostu próbują egzystować po swojemu. Z narażeniem życia odważne kobiety i mężczyźni pracują każdego dnia, by pomóc zakończyć konflikty. Troszczą się też o ocalałe ofiary przemocy. Niedostatecznie zaopatrzone kliniki, jak szpital misyjny ukazany w powieści, działają na przekór rozlicznym trudnościom. Jeśli moja historia poruszyła Cię na tyle, byś chciał się dowiedzieć więcej, możesz poczytać o następujących ośrodkach: Solidarité Féminine pour la Paix et le Développement Intégral (sofepadi.org), mieści się w prowincji Kiwu Północne w Demokratycznej Republice Konga; Sister Angélique Namaika's Centre for Reintegration and Development w Prowincji Wschodniej; Panzi Hospital w Bukavu; a także HEAL Africa w Gomie. To prawdziwe elementy tej opowieści.

A nieprawdziwe są: postaci, miasto Sangui i Kasisi – to wytwory mojej wyobraźni. Oczywiście skłamałabym, gdybym powiedziała, że, podobnie jak wielu innych autorów, nie jestem sroką. Nieustannie kradnę rzeczy z prawdziwego życia i korzystam z nich, by przystroić moje gniazdo. Osoby, które znają Kenię, mogą wyobrazić sobie Sangui jako połączenie pięknego wybrzeża Mombasy ze zgiełkiem Nairobi. A choć Kasisi nie jest prawdziwym miasteczkiem, to terytorium Walikale i miasto Walikale w Kiwu Północnym istnieją naprawdę.

Modlitwa do Świętej Katarzyny powstała na kanwie dwóch innych modlitw: 1) John James Burke, Bonaventure Hammer, *Mary, Help of Christians, and the Fourteen Saints Invoked as Holy Helpers* (Londyn: Forgotten Books, 2013), s. 234–235 (pierwsze wydanie w 1909 roku); oraz 2) Réalta [an] chruinne Caitir Fhíona: St. Catherine of Alexandria [McKenna, L.: *Aithdioghluim Dána* (Irish Texts Society, numery 37, 40, 1939/40), wiersz 99].

Wszelkie błędy, niedopatrzienia i nieścisłości są moją, i tylko moją winą; serdecznie za nie przepraszam i dziękuję za wyrozumiałość.

Słowniczek

Z suahili, wliczając sheng¹:

askari: strażnik; wojownik; imię psa Cathi

buibui: skromne, czarne odzienie, noszone przede wszystkim przez muzułmańskie kobiety na wybrzeżu Afryki Wschodniej

bwana: pan

dengu: rodzaj zupy z fasoli (zwykle z fasoli mung)

habari ya jioni: „Dobry wieczór”

habibi: (arabski) czułe słówko

hatari: niebezpieczeństwo

hodi: słowo używane, by zaanonsować swoją obecność, zwykle w czyimś domu

jua kali: dosłownie „gorące słońce”, dotyczy nieformalnego rynku w Kenii. Jako przymiotnik jest odpowiednikiem „zaimprovizowanego” czy „prowizorycznego”

kanga: popularne kolorowe tkaniny, owijane wokół ciała w Afryce Wschodniej; wzory z reguły zawierają powiedzenia lub przysłowia

kanzu: długi, biały strój (tunika), noszony głównie przez muzułmańskich mężczyzn

karibu: „Witaj”

kauzi: złodziej

kijana: młody (chłopiec); nastolatek

kitenge/vitenge: kolorowa tkanina popularna w Afryce Wschodniej i wschodnim

Kongu

Kwani?: „Co? ”/„Co takiego?”

mandazi: smażone ciasto, przysmak uliczny

matoke: zielony banan (platan)

mavi: obelżywe słowo na odchody, którego nie powinienes używać przy swojej babci

mdosi: pan; szef

mokele-mbembe: (lingala) potwór z legend, rzekomo zamieszkujący koryto rzeki

Kongo

mwizi: złodziej

mzee: pan (zwykle określa starszego mężczyznę)

mzingo: granica

mzungu: (suahili) osoba biała

ngai: Bóg

nyanya: (suahili) babcia

panga: maczeta

piki-piki: mały motocykl

pili-pili: ostry sos chili

polepole: „Powoli, powoli”

polisi: policja

shoga: (sheng) bardzo niegrzeczne określenie osoby homoseksualnej. Nie używaj tego słowa, nigdy, przenigdy

shonde: (sheng) inne obelżywe słowo na odchody, którego nie powinienes używać przy swojej babci

sonko: (sheng) bogaty

sukuma/sukuma wiki: warzywo przypominające kapustę pastewną

thegi: (sheng) złodziej

ugali: gotowana kasza kukurydziana, popularne danie w Kenii

WaBenzi: *Wa* = z (częste określenie plemienia). *Benzi* to slangowe określenie Mercedesa-Benza. *WaBenzi* oznacza więc „plemię Mercedesa-Benza”

wache waseme: ze starej piosenki w suahili, „A niech gadają”

weh: od *wewe*, czyli „ty”

Z francuskiego:

bienvenue: „Witaj”

comptoir: handlarz złotem; pośrednik f(może też oznaczać punkt handlu złotem)

voleur: złodziej

Podziękowania

Mówią, że potrzeba całej wioski, aby wychować dziecko. W przypadku tej książki potrzeba było wioski, kilku miast średniej wielkości, kilku kontynentów, a także nieskończenie wielu członków rodziny, przyjaciół, przyjaciół rodziny, nieznajomych i innych osób, by powołać do życia tę książkę. Spróbuję dokonać niemożliwego, czyli wyrazić, jak wdzięczna jestem za wszelką pomoc, którą otrzymałam na tej drodze.

Muszę zacząć od kobiet, mężczyzn i dzieci z Demokratycznej Republiki Konga, którzy opowiedzieli mi swoje historie podczas wywiadów poprzedzających osiedlenie, a także pozostałych, którzy po prostu opowiedzieli mi swoje historie, by świat o nich nie zapomniał. Dzielenie się takimi opowieściami to akt odwagi, więc dziękuję za podzielenie się nią ze mną. Mówienie, że jestem wdzięczna, byłoby niedopowiedzeniem; jestem pod ogromnym wrażeniem. Jestem dłużniczką przede wszystkim Women's Group w RefugePoint w Nairobi, szczególnie C. i R. Często o Was myślę. Gdy twierdzę, że ta książka jest dla dziewczyn (i kobiet), które są nie tylko uchodźczyniami, myślę o Was i Waszych dzieciach.

Mam niesamowite szczęście, że urocza i twarda Faye Bender jest moją agentką. Moją przewodniczką po tajemniczym świecie wydawania książek, która zawsze wie, co zrobić, jak to zrobić, kiedy i dlaczego, a do tego znajduje czas, by komentować moją pisaninę, trzymać mnie za rękę i podzielać moje ekscytacje. Dziękuję, że uwierzyłaś w tę historię. Dziękuję, że motywowałaś mnie, bym była lepsza.

Stacey Barney, wydawca w Putnam – jesteś magiczna. Jestem bardzo wdzięczna, że mogliśmy razem pracować nad tą książką, a każdego dnia ta wdzięczność tylko rośnie. Bycie wśród Twoich podopiecznych to spełnienie marzeń. Uwielbiam to, że stawiasz przede mną wyzwania, zadajesz te najtrudniejsze pytania, zachęcasz, komplementujesz, dopingujesz, a gdy wydaje mi się, że już wszystko gotowe, zadajesz jeszcze jedno pytanie, oświetlasz jeszcze jedną drogę, dzięki której opowieść może błyszczeć. Miliony podziękowań dla Kate Meltzer, wspaniałej redaktorki, bardzo empatycznej i miłej osoby, która potrafiła żonglować wieloma zadaniami.

Cały zespół w wydawnictwie Penguin Random House oraz G. P. Putnam's Sons Books for Young Readers zasługuje na owacje na stojąco za całą ciężką pracę, jaką wykonał, by ta książka trafiła na rynek. Jesteście szaloną, imponującą bandą profesjonalistów. Jestem bardzo dumna z faktu, że wzięliście mnie pod swoje skrzydła.

Ta książka nigdy nie powstałaby, gdyby nie niesamowite wsparcie stowarzyszenia Associates of the Boston Public Library's Writer-in-Residence Fellowship. Jesteście rycerzami z People's Palace. Dziękuję za zaufanie, za czas i wspaniałą przestrzeń, w której mogłam pisać, ale przede wszystkim za bezcenny dar, czyli fakt, że mogłam nazwać się pisarką. Dziękuję bibliotekarzom z bibliotek Tenn i Central za nieznużone starania, by te miejsca tętniły życiem i były nakierowane na społeczność. A także za to, że jesteście super.

Wiele osób czytało tę książkę w trakcie jej powstawania i dawało mi cenne uwagi: *Asante sana*, Carine Umotoniwase, Rita Njue, Maggie Muthama i C. – Wasze spojrzenie było niezwykle potrzebne. JB, Twój sheng był wspaniały. Dziękuję znajomym z BSpec,

którzy czytali, radowali się, krytykowali, rzucali propozycje, tweetowali, znów czytali: Lyndsay, Lura, Andrea, Claire, Gillian, Beth, Jess, Kyle, Rae, Eric, Jay, Seth, Emily, Caitlin, Lauren, Nyssa, Victoria, Angela, Kat, Robert – głęboki wdech, jest Was wielu – jesteście najlepszą paczką kumpi, o jakiej można marzyć. Dziękuję Ci, Karen B., za podzielenie się doświadczeniem (i pilnowanie mojej gramatyki!). Dziękuję klubowi książkowemu z Louisville za poczucie humoru i traktowanie mnie jak prawdziwej autorki jeszcze przed wydaniem tej książki.

Rodzina nauczyła mnie miłości do książek i czytała niezliczone wersje tej powieści. Dziękuję (wszystkim) za to, że sprawialiście wrażenie, że macie ochotę przeczytać ją jeszcze raz. Mamo, tato, Rebecca, Dylanie, Margot (i cała reszta – wiecie, kim jesteście!), Wasza miłość i wsparcie są dla mnie wszystkim.

I wreszcie, dziękuję tobie, M., mężczyzno, który zawsze będziesz miał moje serce, za gorączkową, wspaniałą, logiczną i wkurzającą lekturę (zazwyczaj masz rację w kwestii moich błędów, a niech Cię!); mężczyzno, który wytrzymałeś cały ten nonsens i pomogłeś mi wypuścić tę książkę w świat. Nic nie czyni mnie szczęśliwszą niż fakt, że jesteś moim ukochanym i najlepszym przyjacielem.

Modlitwa do Świętej Katarzyny

*Gwiazdo świata, Katarzyno,
łamaczko Koła,
niosąca pomoc dzieciom wybranym,
ratująca je
w godzinie śmierci.*

*Katarzyno, szanowana córo,
filarze cnót,
o twarzy niczym jabłko i labędziej piersi,
nietknięta dziewico.*

*Roztocz swą ochronę nad moim szaleństwem,
Synu Maryi.*

*Błagaj o łaskę dla złodzieja, Katarzyno.
Zatroszcz się o mój rozwój, by pokonanie
wrogów mej duszy
przyniosło mi zwycięstwo w ostatnim boju,
a po śmierci
poprowadziły mnie zastępy anielskie.*

Amen

Jeden

Jeśli zamierzasz zostać złodziejem, zacznij od przyswojenia zasady, że nie istniejesz.

Mówię poważnie, musisz to dobrze opanować. Stać się mistrzem. Robal mnie tego nauczył. Jeśli będziesz istnieć, możesz wzbudzić zainteresowanie osoby, która zacznie się zastanawiać, kim jesteś. Będzie chciała wiedzieć, kto pozwala ci grasować w okolicy. Gdzie będziesz dziś spać. Czy będziesz dziś spać.

Jeśli będziesz istnieć, nie dasz rady przemykać wśród ciał, ciepłych ramion i barków pachnących pracą i mydłem. Nie poświęcisz czasu na wybór swojego celu: grubej kobiety w różu i złocie. Nie wpadniesz na nią i nie dasz nogi z jej portfelem, tkwiącym już w twoich spodniach. Jeśli będziesz istnieć, nie prześlizgniesz się między prętami w oknie. Twoje kroki mogą zaskrzypieć na drewnianej podłodze. Twój pot może wydzielać zbyt intensywny zapach.

Tobie może się to przytrafić.

Mnie nie.

Ponieważ ja jestem najlepszym złodziejem w mieście.

Ja nie istnieję.

Siedzę na drzewie mango wystarczająco długo, by zgnieść siedem komarów. Czuję, jak ciepła krew spływa mi między palcami. Bóg jeden wie, ile już mam ugryzień. Mrówki dobierają się do dolnej części moich pleców. A jednak Siostra Gładys, błogosławcie ją, nie zasypia.

Przez szybę widzę ją – skąpaną w poświacie telewizora w pokoju wspólnym. Jej twarz jarzy się niebieskim blaskiem, a brzuch trzęsie ze śmiechu. Stopy oparła na taborecie, palce wyginają się pod różnymi kątami niczym rogi antylopy. Zastanawiam się, co ogląda, odpoczywając, gdy wszyscy uczniowie już śpią. Powtórki *Bajera z Bel-Air?* *Churchill Raw?* Co śmiesz zakonnice?

Sprawdzam godzinę na telefonie i przez chwilę rozważam możliwość, by wrócić tu jutro i wynieść ten antyczny telewizor raz na zawsze. Czy ona nie powinna się w tym czasie modlić?

Ósmy komar. Burczy mi w brzuchu. Naciskam na niego i dźwięk ustaje.

W końcu głowa siostry opada. Czekam, aż rytm jej oddechu się ustabilizuje, a potem powoli opuszczam się po drugiej stronie muru otaczającego szkołę.

Pies stróżujący materializuje się z ciemności i rusza w moją stronę.

Podnoszę ręce. Brudas skacze na mnie i ślini mi twarz.

– Cii... – uciszam jego skomlenie. Merdający ogon chłoszcze mnie po nogach, gdy idę w stronę umywalni na tyłach sali sypialnej.

– Co tak długo? – pyta Kiki, otwierając skrzypiące okno.

Wzdrygam się na ten dźwięk i rozglądam, chociaż wiem, że na uprzątniętym podwórzu jest tylko Brudas. Opiera się o moje udo i dyszy zadowolony, gdy głaszczę miękkie futro między jego uszami. Brudas i ja jesteśmy starymi kumplami.

– Siostra Gładys buja się w Willu Smicie – mówię.

Moja siostra prycha i podaje mi bielutką bułeczkę przez kraty w oknie, mające

powstrzymywać złodziei, takich jak ja. Smakuje słodko, jak prosto ze sklepu. Daję kęs Brudasowi, który połyka całość za jednym zamachem, oblizuje się i skomle.

– Wszystko w porządku? – pytam między gryzami. – Pingwiny nie biją cię zbyt mocno?

Kręci głową.

– Jak u ciebie?

– Na moim dachu nie ma pingwinów. Nie latają.

– Wiesz, co miałam na myśli, Tina.

– W porządku – mówię. – Hej, przyniosłam ci coś. – Szperam w torbie i wyciągam paczkę ołówków numer 2, zawiniętych w celofan. Przciskam ją przez kraty.

– Tina...

– Poczekaj, mam coś jeszcze. – Zanim zdąży zaprotestować, wyławiam zeszyt. Na okładce widnieje rysunek z uśmiechniętymi dziećmi oraz słowa „Czas do szkoły!”, zapisane ciemnymi, drukowanymi literami. Popycham rzeczy w jej stronę. Skupia wzrok na tatuażach pokrywających moje ramiona.

– Dostanę przybory szkolne od zakonnicy – zapewnia. – Nie musisz ich dla mnie kraść.

– Dostaniesz ochłapy, których nikt nie chciał. Nie musisz przyjmować od nich jałmużny. Zaslugujesz na coś lepszego.

– Ale ty dajesz mi jałmużnę.

– To co innego. Jesteśmy rodziną.

Nie odpowiada.

Zostawiam prezenty na parapecie i robię krok w tył.

– Nie ma za co.

– Tina – wyrwa się jej – nie możesz mieszkać na ulicy do końca życia.

Zapinam torbę.

– Nie mieszkam na ulicy. Mieszkam na dachu.

Kiki robi tę minę, kiedy drga jej brew – wygląda wtedy jak mama. Za każdym razem, gdy tu przychodzę, dostrzegam w niej coraz większe podobieństwo do matki, co czasem boli, ale to i tak lepiej, że przypomina mamę niż jego. Jego ślady widać w jej jaśniejszej skórze i oczach, w delikatnych lokach. Wciąż można dostrzec, że jesteśmy siostrami; wolałabym jednak, żeby nie było widać od razu, że siostrami przyrodnymi. Oczywiście nigdy bym jej tak nie nazwała. Nienawidzę tego słowa. Przyrodnia siostra. Jakby była nią tylko w połowie.

Ale nie da się ukryć, że tata Kiki, w przeciwieństwie do mojego, jest biały. Wymyknięto się jej kiedyś, że inne dziewczyny wołają na nią „Połówka”, pół czarna, pół biała. Zażądałam, żeby zdradziła mi ich imiona, ale odparła tylko: „One nie mają nic złego na myśli. Przewisko mi nie przeszkadza, a poza tym nie możesz zacząć bić dzieci”. Ale czasami widzę, jak patrzy na moją ciemną skórę i porównuje ze swoją, i dobrze wiem, że zastanawia się, jakby to było być taką jak inni, zamiast „Połówką”, sierotą.

Kiki ściska rozdzielające nas pręty, jakby mogła je wyrwać. Nie skończyła mówić.

– Możesz zostać tu ze mną. Wiesz o tym. Siostra Eunice pozwoliłaby ci. Nie jesteś za stara. Wpuściła inną szesnastolatkę. Mają tu mnóstwo książek, pianino i...

– Cii! – Przykładam palec do ust. – Nie tak głośno.

Ogląda się przez ramię, lustrując ciemną umywalnię.

Z oddali słyszę kaszel innej dziewczyny.

– Mówię poważnie, Tina – szepce, odwracając się. – Mogłabyś dostać stypendium naukowe, jak ja.

– Daj spokój, Kiki, przecież wiesz, że przysługuje tylko jedno na rodzinę.

– Ale...

– Dość – ucinam ostro. Zbyt ostro. Kiki kuli się lekko. – Hej – sięgam ręką przez kraty, by przygłodzić pasma jej włosów, które wymsknęły się z warkoczy. – Dzięki za kolację. Muszę lecieć. Mam spotkanie z Boyboyem.

– Nie idź jeszcze... – Przyciska twarz do metalowych prętów.

– Bądź grzeczna, dobrze? Odrabiaj pracę domową. Nie daj się złapać pingwinom poza łóżkiem.

– Przyjdiesz w następny piątek?

– Jak zawsze.

Delikatnie odpycham od siebie Brudasa i sprawdzam, czy torba ciasno przylega do pleców. Wchodzenie po murze, by się stąd wydostać, jest zawsze trudniejsze od wspinania się na drzewo, by tu wejść, a nie chcę zahaczyć o drut kolczasty ani odłamki szkła zatopione w betonie.

Kiki wciąż mnie obserwuje. Zmuszam się do uśmiechu. Przez moment jej twarz jest nieruchoma, później łagodnieje. W końcu ona też się uśmiecha.

Przez pół sekundy – istnieję.

A potem znikam w mroku.

Dwa

ZASADA NUMER 2: NIE UFAJ NIKOMU. A JEŚLI JUŻ MUSISZ, UFAJ W TAKIM STOPNIU, W JAKIM UFAŁABYŚ BEZPAŃSKIEMU PSU, MAJĄC PRZY SOBIE ŚWIEŻE MIĘSO.

Weźmy dla przykładu Goondan. To, że jestem jedną z nich, nie oznacza, że im ufam. Robal jest w porządku. Gdyby nie on, prawdopodobnie byłabym martwa. Ale tacy jak jego brat, Keczap? Nie ma szans. Nauczyłam się tego już dawno.

Goondanie są w całym Sangui i przyciągają dzieci ulicy niczym bezpieczni pies pchły. Moje życie być może byłoby prostsze, gdybym mieszkała z nimi w magazynie, ale wtedy ktoś pewnie wpakowałby się do mnie w środku nocy i zanim bym się obejrzała, podzieliłabym los Sheiki, zebrzącej na ulicy o drobne z dziećmi na rękę. Większość dziewczyn nie wytrzymuje długo u Goondan.

Ja nie jestem jak większość dziewczyn.

Pędzę przez ciemne alejki; drogę ze szkoły Kiki do magazynu Goondan znam tak dobrze, że mogłabym ją pokonać z zamkniętymi oczami. Nie zamykam ich jednak. Samotna dziewczyna na ulicy po zmroku jest łatwym łupem. Staram się nie wyróżniać. Twarz skrywam zwykle pod kapturem, noszę bezkształtne ubrania. Włosy ścinam na krótko. Wątła sylwetka i płaski biust pomagają.

Omijam błoto i beton, i śmieci gnijące w szarych sadzawkach. Różowa poświata nieba nad miastem w wystarczającym stopniu oświetla drogę przede mną. Gdy docieram do alei Biashara, widzę, że domokrażcy poszli już do domów. Zostali tylko nocni szperacze: pijacy i niestrudzone prostytutki, skąpane w neonowych światłach barów. Dziewczyny nocy patrzą na mnie podejrzliwie z drugiej strony ulicy. Ignoruję je i przyspieszam kroku, aż docieram do mostu oddzielającego Stare Miasto Sangui, gdzie znajduje się szkoła Kiki, od dzielnicy przemysłowej, terytorium Goondan. Światła magazynów i fabryk odbijają się w tafli rzeki niczym magiczny blask odgradzający nowe od starego.

Pewnego razu, przechodząc przez ten most, ujrzałam ciało unoszące się na wodzie. Był środek nocy, nikt mnie nie zauważył. Zakładam, że ciało dryfowało, póki nie zainteresował się nim krokodyl; a może spłynęło aż do namorzynów, a potem do oceanu, jeśli cokolwiek z niego zostało. Ale tej nocy nie widać ciał, jedynie kilka drewnianych dau² zrzuciło kotwicę, a rybacy śpią pod pokładem.

Biegiem pokonuję most. Okolica jest cicha; po tej stronie rzeki nie ma barów. Słyszę jedynie dźwięk dalekich alarmów i warczenie psów, walczących o resztki. Nawet nie podnoszą łbów, gdy przemykam obok. Nie muszę zerkać na telefon, by wiedzieć, że jestem spóźniona. Przeklinam Siostrę Gladys i jej programy telewizyjne. Nie powinnam była spotykać się z Kiki. Nie było dość czasu. Ale gdybym się nie pojawiła, jak w każdą piątkową noc, martwiłaby się.

Poza tym, nie chciałabym robić tego, co zamierzam zrobić, nie zobaczywszy się z nią przedtem.

Kiedy wreszcie docieram do przerdzewiałych drzwi magazynu, ciężko dyszę

i znów jestem głodna. Stukam trzy razy. Przerwa. Dwa razy. Przerwa. Raz.

Uchyła się judasz, odsłaniając groźne oko.

– To Drobinka. – Strażnik otwiera przede mną drzwi.

Boyboy czeka w środku.

– Spóźniłaś się – mówi z nadąsaną miną, krzyżując wychudzone ramiona. Lustruję wzrokiem jego prześwitującą różową koszulkę i pomalowane tuszem rzęsy.

– A ty miałaś się ubrać na czarno – mówię. I tak nie miał już łatwego życia z Goondanami. – Idziemy.

Podąża za mną korytarzem do biura Robala. Nie widzę Goondan, ale słyszę ich przez ściany. Leżą na podłodze w magazynie, palą zioło, oglądają piłkę nożną i czekają na przydział zadań. Może niektórzy z nich ćwiczą, boksując stare opony i podnosząc betonowe bloki, ale nie liczyłabym na to.

Inny strażnik schodzi nam z drogi, by przepuścić nas do biura Robala. Gdy otwieram drzwi, Robal i Keczup pochylają się nad biurkiem, przeglądając plany i mapy. Jest gorąco, więc podwinęli rękawy. Tatuaze na ich ramionach drgają, gdy wskazują na coś w papierach, kłócąc się. Raz jeszcze omawiają plan. I dobrze. Robal jest mózgiem tej rodziny. Z kolei jego brat, Keczup, jest ociężały jak wór kamieni. Dokonywaliśmy już włamań w tym składzie, ale stawka nigdy nie była tak wysoka. Nie podoba mi się, że Keczup bierze udział w tym skoku. Opowiada głupie żarty wyśmiewające homoseksualizm Boyboya, co tylko go dekoncentruje. A poza tym nie lubię gościa. Nie podoba mi się, że muszę na niego liczyć. Ale nie mogłabym uskarżać się na to Robalowi. Gdzie idzie Robal, tam idzie jego młodszy brat.

Nikt by nie zgadł, że tych dwóch Goondan jest ze sobą spokrewnionych. Robal jest starszy, ma może dwadzieścia pięć lat. Jest umięśniony i brodaty, o poważnej twarzy i oczach, które mogą przeszyć na wskroś twoją brudną, zakłamaną duszę. Ludzie mówią, że wygląda jak Jay Z. Keczup z kolei jest cherlawy i choć ma osiemnaście lat, wygląda na znacznie młodszego. Ma pociągłą twarz i śmieje się niczym hiena. Ludzie mówią, że wygląda jak wygłodniała łasica.

U ich stóp spoczywają dwa worki pełne sprzętu: laptopów, bluz z kapturem, drutów, taśm, chipsów i napojów energetycznych. Same najpotrzebniejsze rzeczy.

Podchodzę bliżej, by spojrzeć im przez ramię.

– Podjedziemy tutaj. – Robal wskazuje miejsce na planie i przeszywa mnie swoim typowym, niepokojącym spojrzeniem. Potakuję, a on znów kieruje uwagę na papiery. – A co potem, Keczup?

– Stary, omawialiśmy to setki razy. Wysadzamy Drobinkę, badamy okolicę i próbujemy zaparkować tutaj. – Wskazuje punkt na mapie.

– A co będziemy robić, czekając?

Keczup chichocze i wykonuje obsceniczny gest. Spogląda na mnie, by sprawdzić, czy się rumienię. Nie rumienię się.

Robal uderza go w tył głowy.

– *Weh*, dorosnij – mówi, nie odrywając wzroku od planów.

Keczup, nadąsany, pociera potylicę, ale nie protestuje. Nawet on wie, że z Robalem lepiej nie zadzierać.

– Dobra, Boyboy zostanie ze mną w furgonetce i będzie robił swoje na komputerze – kontynuuje Robal.

Boyboy ciasno oplata ramionami klatkę piersiową, utrzymując dystans. Nic nie mówi. Nie jest Goonem.

– Ty staniesz na czatach – Robal instruuje brata.

– A ty co będziesz robić, mądralo? – odgryza się Keczup.

– Odpowiadać za ciebie. Raportować do pana Omoko. Zostaje Drobinka. Wiesz, dokąd masz iść?

Wszyscy trzej patrzą teraz na mnie.

Unoszę podbródek.

– Ta.

Robal wskazuje na plany skinieniem głowy. Wiem, że to pytanie, więc podchodzę bliżej. Sięgam między ramionami Keczupa a Robala i umieszczam palec na ulicy biegnącej wzdłuż posiadłości. Prowadzę go przez płot pod napięciem, przez gruby na pół metra mur, przez skanery laserowe, wzdłuż wyłożonego dywanami, cichego holu, a potem między drobno zapisanymi słowami: „strażnicy”, „kamera”, „psy”. Zatrzymuję się w samym sercu budynku i mówię: – Tutaj.

Trzy

ZASADA NUMER 3: ZŁODZIEJE NIE MAJĄ PRZYJACIÓŁ.

Każdy złodziej ma matkę, może też młodszą siostrę, jeśli ma szczęście, ale na to nic się nie poradzi. Może się znać z takimi ludźmi, jak mama Boyboya, którą pozdrawiam każdego dnia w drodze do domu. Ale to tylko dbanie o dobrosąsiedzkie stosunki. Ona sprzedaje herbatę na rogu ulicy, daje mi znać, jeśli gliny są w pobliżu, a także upewnia się, że Goondowie nie dręczą za bardzo jej syna. Możesz mieć znajomych. Ale przyjaciół, o których się troszczysz i którzy troszczą się o ciebie...

Tylko wpędzisz ich w kłopoty.

Zanim zapytasz – Boyboy nie jest moim przyjacielem.

To mój partner w interesach. Ogromna różnica. On też pochodzi z Kongo, więc nie muszę wyjaśniać mu pewnych rzeczy, o których wolę nie rozmawiać, jak choćby to, gdzie jest moja rodzina, dlaczego niemal nie sypiam albo czemu się wzdrygam na widok mężczyzn w mundurach.

Czasami przychodzi na mój dach, gdzie wspólnie palimy i obserwujemy, jak słońce znika w smogu otulającym miasto. I to tyle. Boyboy ma swoich chłopaków do imprezowania, a ja mam Kiki. Pewnie sądzisz, że to smutne, ale ja wcale nie jestem smutna.

Poza tym nie mam zbyt dużo czasu na nawiązywanie przyjaźni. Mam swoje zajęcia.

Korzystamy z furgonetki kwiaciarni, by dotrzeć na miejsce. Keczup prowadzi, a Robal wciąż na niego krzyczy, by zwolnił i patrzył na drogę. Jest druga w nocy, więc szansa, że gliny zatrzymają nas za przejeżdżanie na czerwonym, jest równie duża, jak prawdopodobieństwo, że będą chcieli wyłudzić od nas kasę, ale lepiej nie ryzykować, że ktoś zapamięta furgonetkę pełną ubranych na czarno dzieciaków, które z pewnością nie wyglądają na kwiaciarzy. Im bliżej celu jesteśmy, tym większą gotowość do pracy czuję. Nieustanne głędzenie Keczupa sprawia, że robię się nerwowa. Rechocze tym swoim śmiechem hieny i opowiada oblesne rzeczy o mijanych przez nas dziewczynach nocy, stojących na rogach ulic.

Ja i Boyboy siedzimy z tyłu w ciszy. Przygotowujemy się. Wkładam do ucha słuchawkę i sprawdzam, czy łączy się z moim telefonem przez Bluetooth.

– Sprawdźmy obraz z kamery – mówi Boyboy.

Kieruję w jego stronę mikrokamerę wbudowaną w moją słuchawkę. Na ekranie laptopa pojawia się jego twarz.

– Dobrze.

Spogląda na siebie, przyglądając włosy, po czym pyta:

– Sprawdźmy mikrofon? Powiedz coś.

Szeptę:

– Boyboy nie ma wyczucia stylu.

Mała słuchawka przekazuje moje słowa do telefonu, a potem do komputera Boyboya, skąd słyszę własny głos powtarzany jak echo.

Pokazuje mi środkowy palec, nie przerywając ustawiania swojego sprzętu.

– Dobrze mnie słyszysz?
– Ta – potwierdzam. – Wszystko gra.
– Musisz trzymać telefon blisko słuchawki. Kiedy podczas ostatniego skoku miałaś go w kieszeni, połączenie było kiepskie. Gdzie go schowasz?
Wsuwam telefon w sportowy stanik i macham rękami.
– Tadam!
– Uroczo.
– Bezpiecznie.
– Schowaj to do kieszeni. – Podaje mi niewielką przejściówkę USB. – To klucz do skrzyni ze skarbami. Nie chcę, by zginął w twoim biuście.
– Ha. – Moja klatka piersiowa jest niewiele większa niż u mojej jedenastoletniej siostry. Ale robię, jak każe.

Boyboy jest szalenie dobry w obsłudze sprzętu. Zawsze tak było, odkąd go znam. Powiedział mi, że gdy był mały, więksi chłopcy bili go i nazywali wróżką, więc spędzał wiele czasu w pokoju, rozbierając telefony i komputery, a potem składając je z powrotem. Jego ostatnią sztuczką jest hakowanie bankomatów, które zaczynając wypluwać szeleszczące banknoty.

Nie chce dołączyć do Goondan, ale pracuje ze mną. Raczy mnie swoimi genialnymi sztuczkami informatycznymi, gdy ich potrzebuję, a ja w zamian kradnę dla niego wyszukane gadżety – komputery, telefony, czasem markową torebkę – to, czego akurat potrzebuje. Twierdzi, że jest najlepszym hakerem we wschodniej Afryce, i z tego, co widziałam, nie kłamie.

Lepiej, żeby tak było. Za chwilę pomoże nam się włamać do najlepiej ufortyfikowanego domu w Ringu.

W Ringu mieszkają wszyscy, którzy mogą sobie na to pozwolić. Porośnięty bujną roślinnością, pagórkowaty, zielony Ring góruje nad Sangui, zadzierając nosa i patrząc z wyższością na resztę z nas. Domy z równiutko przystrzyżonymi trawnikami skrywają się za płotami, szpalerami drzew, drutami kolczastymi, psami i strażnikami – byłymi wojskowymi z AK-47. Flota mercedesów wpływa co rano do miasta, wioząc Ważnych Gości do pracy. Mówimy na nich WaBenzi: plemię z Mercedesa-Benza. Występują we wszystkich kształtach, rozmiarach i kolorach, pochodzą z całego świata, ale mówią wspólnym językiem: forszą. Kiedy co wieczór wracają do swoich posiadłości w Ringu, narzekają na korki, piją szkocką z importu i wcześniej zasypiają w miękkiej, bawełnianej pościeli. Ich żony doglądają małych armii służących i dostają lekkiej migreny, kiedy afrykańskie słońce przypieka za mocno. Ich dzieci grają w tenisa. Ich psy mają własnych behawiorystów.

O tej porze nocy w Ringu panuje cisza, pomijając dźwięki wydawane przez żaby i insekty. Padało, mgła jest gęsta. Znajome ulice wysadzone drzewami, są puste. Furgonetka kwiaciarni nie rzuca się jednak w oczy. Może wracamy z bankietu. Albo wystawnego wesela.

Spoglądam przez okno. Gdy mijamy prześwit między domami i drzewami, dostrzegam ciemny Ocean Indyjski. Sangui: miasto-państwo na wzgórzu, port świata, świetne miejsce do prowadzenia interesów. W mieście załatwiasz brudną robotę, w Ringu

odpoczywasz.

Wiem o tym aż za dobrze. Widziałam to wszystko z bliska. Może teraz mieszkam na ulicy, ale dawno temu moim domem była forteca w Ringu.

ZASADA NUMER 4: UWAŻNIE WYBIERZ SWÓJ CEL.

Złodziej

Kauzi

Thegi

Voleur

Mwizi

Złodziej

Magiczne słowo. Pełne mocy.

Już samo wypowiedzenie go na ulicy może kogoś zabić. Widziałam to. Policja jest bezsilna, więc ludzie na własną rękę wymierzają sprawiedliwość. I uwierz mi, nikt nie żałuje złodzieja, kiedy kurz opada, a jego krew wsiąka w ziemię. Lepiej niech nikt nie wytknie cię palcem.

Więc słuchaj. Uważnie wybierz swój cel. Wybierz odpowiedni cel. W większości przypadków oznacza to łatwy cel. Jeśli jesteś kieszonkowcem, stawiaj na pijanych i osoby kłócące się przez telefon. Jeżeli rabujesz dom, upewnij się, że to jeden z tych, gdzie klucz chowa się na ościeżnicy. Celujesz w konta bankowe? Spróbuj z bogatą starszą damą. Pewnie jej hasło brzmi tak samo, jak imię jej psa.

Jest z czego wybierać. Nie ma sensu sobie utrudniać.

Ale od każdej reguły jest wyjątek.

Dom Rolanda Greyhilla nie jest oczywistym celem. Jego brama jest zamknięta i dobrze strzeżona. Mężczyzna zarabia na życie, handlując z watażkami i armiami, obracając znaczną ilością gotówki. Wie, że ma wrogów. Od lat zachowuje czujność. Nie ufa nikomu. Pod żadnym pozorem nie jest łatwym celem.

Ale nie pomył się: trudny czy nie, dziś to cel odpowiedni.

Zbliżamy się. Przelykam zbierającą się w gardle gulę i opuszczam nieco szybę. Powietrze jest wilgotne i pachnie jaśminem.

Boyboy siedzi cicho obok mnie. Wiem, że chciałby zapytać, jak się czuję. Wszyscy pozostali analizowali plan przez cały dzień, ale ja rozmyślałam o nim od lat. Nie jestem pewna, czy umiałabym wytłumaczyć, jak się teraz czuję. Jakbym połknęła gniazdo os? Czy to jakaś emocja?

Ale Boyboy zna mnie na tyle dobrze, że nie zadaje głupich pytań.

Kiedy od celu dzielą nas dwa domy, Keczup wyłącza światła i zatrzymuje się.

– Jesteśmy na miejscu, panie Omoko – mówi Robal do telefonu.

Rezydencja zajmuje dwukrotnie większą przestrzeń niż którykolwiek inny dom przy tej ulicy. Ponad wysoki mur wystają jedynie czerwone dachówki. Nie widzimy pół tuzina koleśki uzbrojonych w AK-47 ani dwóch owczarków niemieckich grasujących po terenie. Ale wiemy, że tam są.

Wszyscy spoglądają na dom w milczeniu. Nawet Keczup.

Robal pociera o siebie dłonie.

– Gotowa, Drobinko?

Dotykam słuchawki. Jest bezpieczna. Wyginam do tyłu ręce i naprężam plecy. Ledwo się powstrzymuję, by nie krzyczeć, że tu jestem. Że to robię. Że to *mój* dom.

– Jestem gotowa – mówię i wysiadam z furgonetki.

Cztery

ZASADA NUMER 5: MUSISZ MIEĆ PLAN.

Cholernie dobry plan. Powinien być prosty. Rozpisz go szczegółowo. Naucz się na pamięć. Musisz znać go na wyrywki, by nie wyleciał ci z głowy, kiedy staniesz przed domem, który masz zamiar obrabować, z uważnie przyglądającymi ci się Goondanami.

Mój plan składał się z trzech części: brud, pieniądze, krew.

To dobry plan.

Dzisiaj zaczniemy od brudu.

Długo i dogłębnie rozmyślałam o moim planie, patrzyłam na niego pod każdym możliwym kątem. Byłam bardzo ostrożna. Próbowałam pomyśleć o wszystkim.

Ale musisz pamiętać o jednej ważnej kwestii: kiedy zaczniesz wdrażać plan w życie, nagle coś może nie wypalić. Sprzęt się popsuje. Pokojówki się obudzą. Psy zaczną szczeleć. Wyróżnikiem dobrego złodzieja jest zachowanie zimnej krwi i *jua kali*, gdy trzeba.

Właśnie tak. Trzeba być gotowym na improwizację.

Boyboy zaczyna odprawiać swoją magię. Kiedy ja skradam się w kierunku posiadłości, z Keczupem depczącym mi po piętach, on włamuje się do systemu zabezpieczeń. Wyłącza elektryczne ogrodzenie i zatrzymuje pracę kamer monitorujących teren. Następnie przełącza obraz z kamer na własny komputer, aby mieć widok na cały ogród Greyhillów. Dezaktywuje alarmy w oknach na pierwszym piętrze. Oszacował, że może wyłączyć wszystko na trzy minuty, zanim ochrona naprawi system. Do tego momentu będę już w środku, a on zapętlili obraz z kamer, dzięki czemu każdy, kto spojrzy na monitory, ujrzy jedynie pusty dom. Awarie zasilania są dość powszechne w sezonie deszczowym. Ochrona najpewniej zrzuci ten zastój na matkę naturę. Musimy tylko się pośpieszyć.

Keczup i ja wyciągamy z krzaków drewnianą drabinę; dziś po południu schował ją tam dla nas opłacony ogrodnik, pracujący przy tej samej ulicy. Wspinam się po murze, skryta w cieniu jakarandy mimozolistnej rosnącej wzdłuż ulicy. Bułka z masłem. Na szczycie nasłuchuję szmeru elektryczności przepływającej przez ostry jak brzytwa drut kolczasty. Jest cicho, ale na wszelki wypadek dotykam go najpierw małym palcem.

– Nie ufasz mi? – Boyboy droczy się ze mną przez słuchawkę.

Nie odpowiadam. Koncentruję się na tym, żeby przejść przez mur.

Gdy byłam dzieckiem, trenowałam gimnastykę przez kilka lat, póki mama nie stwierdziła, że nie będziemy dłużej przyjmować jałmużny. Nie wiem, czy to wystarczyło czy może to dzięki mojej drobnej budowie, ale takie rzeczy jak przechodzenie ponad drutem kolczastym na szczycie wysokiego na cztery i pół metra muru, to dla mnie łatwizna. Niektórzy dobrze sobie radzą z komputerami. Niektórzy dobrze śpiewają. Ja jestem dobrym złodziejem.

Zwieszam się po drugiej stronie muru na rękach, a potem puszczam i ląduję w krzakach z delikatnym tąpnięciem. Skulona za opadającymi liśćmi palmy, czekam, aż usłyszę dźwięk zapłonu silnika furgonetki i szum opon na drodze. Robal, Keczup

i Boyboy zatrzymają się na tyle daleko, by nie przyciągać uwagi.

Boyboy szepce mi do ucha:

– Psy są po drugiej stronie, ale w twoim kierunku idzie kilku kolesi.

Słyszę kroki przecinające mokrą trawę. Wkrótce pojawia się dwóch strażników wykonujących obchód. Zanurzam się w ciemność. Uspokajam oddech. Po chwili jestem gotowa, by wsunąć się głębiej w listowie, gdyby się zbliżyli, ale oni idą dalej, nieświadomi mojej obecności. Gdy tylko znikają za rogiem, taksuję wzrokiem podwórze i rzucam się w kierunku domu. Na pokonanie kolejnego etapu mam dwie minuty.

Okno nad generatorem jest uchylone, tak jak się spodziewałam, ale ograniczają je żelazne pręty. Będzie ciasno, na styk. Jak dobrze, że na kolację zjadłam tylko bułeczkę.

Wspinam się na generator i przykładam głowę do krat, mierząc rozstaw. Od ucha do ucha, moja głowa ledwo przechodzi. Ale tyle wystarczy. Jeśli precyzyjnie głowę, reszta też się zmieści.

Nie tracę czasu; prawdopodobnie zostało mi jakieś dziewięćdziesiąt sekund. Otwieram szeroko okno, przekładam do środka nogę, a potem biodra. Wciągam powietrze i prześlizguję się między zimnymi metalowymi prętami. Przez chwilę mam objawy klaustrofobii, jak zawsze, a potem przeciskam głowę i już jestem w środku.

Miękko ląduję na podłodze. Poświęcam chwilę, by się rozejrzeć. Znajduję się na rogu w korytarzu. Przed sobą widzę pokój dzienny, a kątem oka wyłapuję turkusową poświatę z basenu znajdującego się na zewnątrz. Powrót po takim czasie przypomina sen. Uspokajam oddech i zaczynam się skradać. Nikogo nie powinno tu być. Państwo Greyhill są w Dubaju. Ich dzieci mieszkają w szkole z internatem w zimnym, neutralnym kraju. Służący śpią w swoich chatkach na tyłach podwórza.

Jestem tu sama. Nie licząc duchów.

W słuchawce rozbrzmiewa głos Boyboya:

– Pospiesz się, T., zostało ci czterdzieści pięć sekund. Strażnik prawie przyłapał cię z tyłkiem wystającym z okna.

Mam ochotę powiedzieć mu, żeby się zamknął, ale powstrzymuję się i ruszam dalej. Dochodzę do końca korytarza i zerkam za róg. Pokój dzienny jest pusty i cichy. Panel kontrolny systemu bezpieczeństwa, który jest moim celem, znajduje się na ścianie naprzeciwko. Gdy do niego docieram, ekran pokazuje, że do kolejnego skanowania domu laserami pozostały trzydzieści dwie sekundy. Jeśli lasery mnie namierzą, natychmiast włączy się cichy alarm. Sygnał odbiorą strażnicy, którzy powiadomią drogą, ale wysoce skuteczną firmę ochroniarską, zatrudniającą byłych agentów wywiadu z RPA. Przybędą w ciągu kilku minut. Nie oddają pojmanych w ręce policji, która wypuściłaby ich za odpowiednią cenę. Zabierają ich w helikopterze nad ocean. Co robią potem? Powiedzmy, że do brzegu płynie się dość długo.

Trzydzieści sekund.

Spoglądam na ekran, licząc na to, że obraz z mojej kamery jest transmitowany poprawnie.

– I jak? Widzisz to?

– Ta. Przechylił trochę głowę. Dobrze. – Następuje chwila ciszy. Zakładam, że Boyboy robi coś produktywnego; ledwo się powstrzymuję od popędzania go. Musi

dezaktywować lasery, ale nie może włamać się do systemu; to obieg zamknięty. Zamiast tego musi powiedzieć mi, jak go wyłączyć.

W ciągu dwudziestu pięciu sekund.

– To TX-400. Nowy model – mówi Boyboy po upływie, jak mi się zdaje, wieczności. Zaczyna wyrzucać z siebie polecenia: – Wciśnij „alarm” na ekranie. Teraz „kod”. Cztery, osiem, cztery. „Potwierdź”. „Program”...

Boyboy prowadzi mnie przez kolejne sekwencje, ciągi liczb i przycisków do wciśnięcia. Jego szept brzmi jak modlitwy, przy których przysypiałam, gdy mama zaciągała mnie do kościoła. Na swój sposób jest to kojące. A jednak palce mi się trzęsą, jakby pragnęły przyspieszyć ten proces. Cztery sekundy. Wklepuję ostatnią sekwencję liczb. Licznik się zatrzymuje. Pozostała jedna sekunda.

Wypuszczam powietrze.

– Gotowe – mówi.

Ruszyłam. Tędy. Główne schody. W górę, a potem prosto korytarzem i w lewo. Nie muszę nawet starać się być cicho – pluszowy dywan tłumi dźwięk moich kroków. Skradam się korytarzami, nasłuchując. Przez sekundę mam wrażenie, że słyszę jakiś dźwięk, i zamieram. To stukot klawiatury Boyboya. Wyjmuję słuchawkę z ucha i znów nasłuchuję. Po kilku sekundach ciszy wkładam słuchawkę z powrotem i ruszam dalej.

Ściany holu są upstrzone fotografiami Greyhillów. Natychmiast rzuca się w oczy, że on jest biały, ona jest Kenijką, a dzieci to ich idealna mieszanka. Chłopiec w moim wieku i dziewczynka w wieku Kiki. Drugą rzeczą, którą widać od razu, jest bogactwo, którym wręcz ociekają. Pani Greyhill jest potomkinią potentatów nieruchomości, a do tego dochodzi majątek pana Greyhilla z sektora wydobywczego. Pozują na łodziach, w wyprasowanych, koralowych koszulach. Uśmiechają się z land cruiserów na luksusowych safari w Serengeti. Złote zegarki, perły, diamenty na nadgarstkach i w uszach. Idealny obraz tego, czym jest nadmorskie miasto – mieszanki kolorów i narodowości – oraz tego, czym chciałoby być – bogactwa.

Ale ja już to wszystko widziałam. Nie mam teraz dla nich czasu.

Poluję.

Skręcam za róg i otacza mnie całkowita ciemność. Powietrze jest chłodne i suche, przetworzone. Zbliżam się. Na ścianach nie ma już zdjęć, a jedynie ciemne drewniane panele. Im dalej idę, tym więcej trzasków słyszę w słuchawce. Mam nadzieję, że furgonetka nie odjechała zbyt daleko. Jeszcze jeden zakręt, prowadzący mnie w głąb martwego serca rezydencji.

I jestem na miejscu.

Wpatruję się w ciężkie, hebanowe drzwi. Moja pierś wznosi się i opada. Znowu próbuję uspokoić oddech. Dłonie swędzą mnie od potu. Jestem tak blisko. Czekałam na ten moment niemal całe życie. Czuję się tak, jakby tysiące mrówek pełzały po mojej skórze.

Ręce mi się trzęsą, gdy przekręcam gałkę, choć wiem, że drzwi będą zamknięte. Nieważne. Wyjmuję z włosów dwie wsuwki i wyginam je w odpowiedni kształt. Gdy pracuję, moje dłonie przestają drżeć. Przygryzam plastikową końcówkę jednej ze wsuwek, żeby nadawała się na wytrych, a drugą zginam w haczyk. Wsuwam zagiętą

końcówkę w dziurkę tak daleko, aż poczuję opór. Kiedy znajduje się w odpowiednim miejscu, dokładam wytrych. Ponownie wyjmuję słuchawkę i wsadzam ją między zęby, żeby nic mnie nie rozproszyło podczas nasłuchiwania delikatnego dźwięku zapadek. Tak, jak się spodziewałam, na rozbrojenie zamka potrzebowałam mniej niż minuty.

Umieszczam słuchawkę z powrotem w uchu i lustruję korytarz. Przez sekundę wydaje mi się, że dostrzegam drżenie w ciemności. Mrużę oczy.

– Ruszaj się, Drobinko. – Dźwięk głosu Robala w słuchawce zaskakuje mnie. Musi patrzeć Boyboyowi przez ramię w ekran komputera.

Mrugam, ale ciemność pozostaje nieruchoma. Nikogo tam nie ma, tłumaczę sobie. Wejść tam. Tylko grasz na zwłokę.

Gdy jestem w środku, zamykam za sobą drzwi. W korytarzu było ciemno, tu ktoś rozlał atrament. Na zewnątrz równie dobrze mogłoby być południe. To oszustwo, ale muszę zapalić światło. Upewniam się raz jeszcze, czy drzwi są zamknięte, po czym naciskam włącznik światła. Zaczynam mrugać, gdy oślepia mnie nagła jasność.

Pokój jest mniejszy, niż zapamiętałam. Przed kominkiem stoją skórzana kanapa i dwa krzesła. Kanapa jest nowa, zielona zamiast beżowej. Zgaduję, że ze starej nie udało się usunąć śladów krwi. Ponad gzymsem kominka wiszą głowa bawołu i trzy maski plemienne. Mam wrażenie, że obserwują każdy mój ruch. Po drugiej stronie pokoju biurko o rozmiarach małego nosorożca zasłania wieloskrzydłową biblioteczkę. Między regałami na tle czerwonego jedwabiu wisi miecz o złotej rękojeści. Wygląda tak, jakby zwykły przypasać go szejk; gdyby pan G. siedział przy biurku, miałby go idealnie nad głową. Gdy się skradam, uświadamiam sobie, że takie ustawienie nie jest przypadkowe. Zadzierasze ze mną na własne ryzyko – zdaje się mówić miecz do osoby, która siedzi na krześle naprzeciwko.

– W biurku. – Słyszę słowa Keczupa, ale nie trafiają do mnie.

– Wiem – odpowiadam.

– W szufladzie.

– Zamknij się – rozkazuje mu Robal.

Bracia Goondanie i Boyboy siedzą cicho, ale czuję ich energię. Wsuwam się za biurko i zatapiam w fotelu. Pachnie skórą i tytoniem. Jak pieniądze. Przez moment czuję potęgę, którą pan G. musi czuć każdego dnia. Gapię się na kanapę i przez chwilę prawie ją widzę, siedzącą tam i obserwującą mnie.

– Drobinko, przestań się wygłupiać – warczy Robal.

Nie odpowiadam.

– Co ona robi? – pyta Keczup.

Biorę głęboki wdech. Skup się, Drobinko. Brud, pieniądze, krew.

Wysuwam górną szufladę biurka i wyjmuję cienkiego laptopa. Sięgam głębiej i zaciskam dłoń na metalowym pudełku o rozmiarach talii kart, po czym wyciągam je.

– To jest to. – Boyboy wstrzymuje oddech. – To musi być jego twardy dysk.

– Odjazdowo! – krzyczy Keczup prosto w moje ucho, więc Robal ponownie każe mu się zamknąć.

– Co teraz? – pytam Boyboya.

– Twardy dysk zapewne jest bezprzewodowy. Połóż go obok komputera, a potem

podłącz do laptopa przejściówkę USB, którą ci dałem. – Następnie szybko dodaje: – Ale jeszcze niczego nie włączaj.

Dociskam słuchawkę, by mieć pewność, że usłyszę wszystkie polecenia. Robię, co kazał, i słyszę słaby dźwięk stukania w klawisze. O wiele prościej byłoby po prostu ukraść zewnętrzny dysk twardy pana G., wejść i wyjść. Taki plan pierwotnie zaproponowałam Bwana Omoko. Ale szef Goondan nie chciał zostawiać śladów. Chciał, żebym weszła i wyszła. Uważa, że lepiej, by pan G. nie wiedział, że został okradziony, aż nie przejdziemy do drugiej części planu – pieniędzy. A wtedy już będzie za późno.

– To działa? – pytam po dłuższej chwili. USB powinno przekazywać dane z komputera i twardego dysku do mojego telefonu, a stamtąd do Boyboya.

– Połączenie jest bardzo kiepskie – zrzędzi Boyboy. – Mówiłem ci, że te grube ściany będą problemem. Połóż telefon bliżej przejściówki.

Niechętnie wyciągam komórkę spod stanika i umieszczam na biurku obok komputera.

– Lepiej?

– Tak sądzę. Wsadziłem stopę w drzwi, ale muszę złamać niewiarygodną ilość *mzingo*-szyfrów, zanim ruszymy dalej.

Czekamy w pełnym napięcia milczeniu, każda sekunda trwa wieczność, aż wreszcie:

– W porządku... – mówi Boyboy ze znacznie mniejszą pewnością, niżbym sobie życzyła.

– Wszedłeś do środka? – szepczę.

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać. Włącz go.

Jeśli wszystko zadziało zgodnie z planem, powinniśmy mieć dostęp do komputera i twardego dysku. Jeżeli się nie udało, Boyboy będzie musiał powiedzieć mi, jak je zhakować. Zajmie to wieki, a każda pomyłka może aktywować funkcję automatycznego kasowania. W najgorszym scenariuszu Boyboya twardy dysk ulegnie sformatowaniu, a sygnał alarmowy zostanie wysłany do agentów, którzy po mnie przyjadą.

Serce bije mi jak szalone, gdy otwieram laptopa. Wciskam przycisk zasilania. Przez straszliwą sekundę nic się nie dzieje i wydaje mi się, że nie zadziało, że jestem zbyt daleko, by transmisja się powiodła, że cichy alarm już się włączył, że strażnicy już na mnie czyhają. Ale wtedy dostrzegam migotanie kursora i słyszę upragniony dźwięk startowania systemu.

Moje uszy wypełniają entuzjastyczne szepty. Twardy dysk mruga i uruchamia się.

Boyboy wydaje z siebie głębokie westchnienie ulgi.

– Jesteśmy w środku.

Na komputerze Greyhilla nic nie ma. Boyboy próbował go już hakować na odległość, ale był praktycznie pusty. To on był pewien, że pan Greyhill trzyma wszystkie dane dotyczące transakcji biznesowych oddzielnie, poza siecią, najprawdopodobniej na zewnętrznym twardym dysku, takim jak ten. Uśmiecham się do tego niewielkiego pudełka. Nie wydaje się możliwe, by skrywało tak wiele obciążających tajemnic.

Rozpieram się w fotelu. Teraz mogę tylko czekać. Słyszę, jak Boyboy stuka

w klawisze. Widzę, jak ekran komputera przełącza się między oknami, sam z siebie.

– Ile to potrwa? – pyta Robal.

– Kilka minut – odpowiada Boyboy.

Pozwalam sobie na przyływ samozadowolenia. Udało mi się. Dzięki mnie jesteśmy w środku. Wkrótce wszystkie dane pana G. popłyną do Boyboya. Boyboy zakłada, że deszyfrowanie ich zajmie mu jakiś tydzień, ale to tyle, co nic. Czekałam na to już pięć lat – mogę poczekać kolejny tydzień.

Otwieram szuflady w biurku pana G. – nawyk myszkowania. Pierwsza jest prawie pusta, nie licząc długopisów, spinaczy biurowych i gumowej piłki, z rodzaju tych, które się ściska dla odstresowania. Otwieram kolejną szufladę i zamieram.

Pistolet spoczywa na mahoniu niczym zwinięty wąż. Jest smukły i lśniący, z wygrawerowanymi z boku lufy słowami: „PIETRO BERETTA nr II, wyprodukowano we Włoszech”. Czy to ten sam? Już prawie go podnoszę, ale w następnej chwili zamykam szufladę tak szybko, że słyszę, jak broń uderza o drewno. Robię głęboki wdech, żeby mój głos nie zadrżał.

– Długo jeszcze?

– Wytrzymaj – odpowiada Boyboy. – Sygnał wciąż ssie.

Ekran stale wypełnia się kodem, którego nie rozumiem; białe znaki wydrapane na czarnym ekranie. Nie mam pojęcia, co robi Boyboy, ale wciąż pojawiają się nowe okna pełne plików.

Mam zamiar wstać, targana nagłą potrzebą poruszania się, kiedy nagle jeden z plików przykuwa moją uwagę. Muszę mrugnąć, by się upewnić, że dobrze widzę. Nosi nazwę ANJU YVETTE. Serce zaczyna mi walić. Waham się. Wiem, że nie powinnam dotykać komputera, kiedy Boyboy robi swoje, ale moja ręka porusza się, zanim zdążę ją powstrzymać.

Klikam na nazwę i otwiera się zdjęcie.

– Hej! Co robisz? – Stukot klawiatury Boyboya przechodzi w ciszę. – O mój Boże, czy to...?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Nie jestem w stanie się ruszyć. Natychmiast rozpoznaję jej twarz, mimo że zdjęcie musi mieć jakieś dwadzieścia lat. Obraz przed oczami rozmywa mi się.

Lubię zakładać, że w normalnych okolicznościach zauważyłabym zmianę w ciśnieniu powietrza. Poczulałabym przeciąg albo słabą woń brudu i błota. Usłyszałabym, jak za mną otwierają się drzwi, w miejscu, gdzie wcześniej ich nie było. Ale tym razem potrzeba metalicznego szczęknięcia, precyzyjnej zapadki, bym wreszcie oderwała wzrok od jarzącego się ekranu.

Nie odwracam się. Znam ten dźwięk.

Dostaję gęsiej skórki w miejscu, w którym wylot zimnej lufy pistoletu naciska na moją szyję.

Pięć

Przetykam ślinę, uważając, by nie robić żadnych gwałtownych ruchów.

– Ręce do góry.

Wszystko przyspiesza, gdy analizuję sytuację. To głos chłopca, nie brzmi znajomo. Nie Keczupa ani Robala. Nikt by mnie nie zdradził. Ochrona? Głos brzmi niepewnie, jakby jego właściciel do tej pory jedynie na filmach widział, jak ktoś każe komuś podnieść ręce do góry. I młodo. To nie ochrona. Gdyby to był któryś z nich, już byłabym w drodze do helikoptera. Spoglądam na szufladę z bronią Greyhilla, ale nie byłabym w stanie otworzyć jej i wycelować w niego na czas. Podnoszę więc ręce.

– Odwracam się – mówię, próbując zachować spokojny, pewny ton głosu.

Odsuwa pistolet od mojej głowy, a ja powoli obracam się na krześle. Oddycha ciężko. Jego jasnozielone oczy są szeroko otwarte. Celuje jednak z wojskową precyzją. Chociaż nigdy nie zastrzelił żywego, oddychającego człowieka, jest wyszkolony. Wie, jak trzymać broń, jak celować, jak rozluźnić ciało, by przyjąć odrzut.

Stoi przed biblioteczką, która otworzyła się na zawiasach. Te drzwi nigdy nie były zaznaczone na planie domu, który trafił do rady miasta. Droga ucieczki. Powinnam była wiedzieć. Każdy wąż ma jakąś drogę ucieczki.

Z powrotem koncentruję się na chłopcu.

Oczywiście. Któż inny mógłby to być.

– Cześć, Michael – mówię. – Kopę lat.

ZASADA NUMER 6, RZECZ JASNA, BRZMI: NIE DAJ SIĘ ZŁAPAĆ.

Kiedy miałam jakieś dziewięć lat, moja matka przyłapała mnie na strzelnicy Greyhillów, gdzie od ochroniarza uczyłam się, jak strzelić idealnie w środek piersi papierowego człowieka. Używałam takiego pistoletu, jak ten spoczywający w szufladzie pana Greyhilla. Za każdym razem, gdy pociągałam za spust, istniało ryzyko, że wyląduję na tyłku. Ale kochałam to. Czułam, jakby wewnątrz mnie żył mały potwór, a każda eksplozja sprawiała, że wydawał z siebie ryk radości.

Mama poczekała, aż oddam pistolet ochroniarzowi, a potem chwyciła mnie za ramię. Jej dłoń drżała. Zaciągnęła mnie do chat służby, instruując strażnika przez zaciśnięte zęby, by nigdy więcej nie pozwolił mi dotknąć broni, w przeciwnym razie osobiście dopilnuje jego zwolnienia. Albo gorzej. Moja matka była drobną kobietą, ale jej temperament był powszechnie znany, a pamięć długotrwała. Nie spojrzała na stojącego obok mnie chłopca, który, oczywiście, zainicjował lekcje strzelania. Może i była twarda, ale wciąż była tylko jego służącą.

Czekałam rok, aż chłopiec stanie się na tyle dobry, by pozwolono mu strzelać bez nadzoru ochroniarza, a potem zmusiłam go, żeby mnie uczył.

I był w tym dobry.

To właśnie ten chłopiec celował teraz prosto w moją pierś.

Moje powitanie wywiera pożądaną efekt.

– Ti-tina? – jąka się.

Potakuję powoli, zmuszając kąciki ust do wygięcia się w słabym uśmiechu. Upływ

czasu spowodował, że Michael osiągnął wzrost ojca i nabrał potężnej muskulatury, czego nie było widać na zdjęciach wiszących w holu. Staram się nie rozpraszać, szukając rysów mojej siostry w jego twarzy, w jego jasnych oczach czy kroju warg.

Jego brwi ściągają się ze zdziwienia. Broń drży, gdy nieświadomie odsuwa ją ode mnie, więc korzystam z okazji i natychmiast rzucam się do przodu. Jedną ręką sięgam po pistolet, a drugą zadaję mu cios w tchawicę. Kaszle, ale nie zwalnia uścisku na broni, decyduję się więc odepchnąć jego ramiona na boki, a stopą podcinam mu nogi w kostkach, by stracił równowagę. Próbuje mnie chwycić, ale odsuwam się poza jego zasięg i łąduję plecami na biurku, przy okazji chwytając swój telefon.

Potrzebuje zaledwie sekundy, by otrząsnąć się po moim ciosie. Jest szybszy, niż zakładałam; słyszę, jak podchodzi do biurka. Rzucam się przez pokój, ale przebiegam może połowę drogi, gdy otaczają mnie jego ramiona i oboje łądujemy twarzami na dywanie. Telefon wypada mi z dłoni.

Próbuję się wyswobodzić, kopiąc i rozdając kuksańce, sięgam zębami w stronę jego ręki. Udaje mi się wbić stopę w jego goleń, z satysfakcją słyszę skowyt. Ale wtedy on odciąga moje ręce i dociska kolano do pleców. Próbuję z tym walczyć, ale ucisk wysyła falę bólu aż do barku.

– Auć! Robisz mi krzywdę!

Waha się, ale nie zwalnia nacisku.

– To naprawdę ty? Co tu robisz? – chrypi, a potem zaczyna kasłać.

– Puść mnie!

– Tina! Przestań się stawiać! – Wciąż kaszle, ale nie wypuszcza mnie.

– Co tu robisz? – krzyczę.

– Co? – Wydaje się autentycznie zaskoczony. No tak. To przecież jego dom.

Przestaję z nim walczyć, ale nie odpowiadam. Połowa mojej twarzy jest przyciśnięta do perskiego dywanu, dostrzegam jedynie eleganckie wzory, wijące się aż poza linię wzroku. Czuję słuchawkę wbijającą się w moją klatkę piersiową, udało mi się ją wcisnąć za stanik podczas ucieczki. Oddycham ciężko, ręka pali mnie żywym ogniem, ale myślę tylko o jednym – ile danych zdołał pobrać Boyboy? Czy ich transfer się powiódł? Czy wystarczyło czasu?

– Nie powinno cię tu być – mówię przez zaciśnięte zęby, bardziej do siebie niż do Michaela. Powinien leżeć grzecznie w łóżku w swojej szwajcarskiej szkole z internatem. Sprawdziłam przecież, czy akurat nie wypadają jakieś wolne dni.

– O czym ty mówisz? – Zacieśnia uścisk na moich ramionach. – Co *ja* tu robię?

Ocieram krwawiący nos o dywan.

– Pozwól mi wstać.

Nie rusza się.

– Pozwól mi wstać. Wyjaśnię.

Czuję, że się waha, ale w końcu odsuwa się i puszcza moje ręce. Wstaję powoli i obracam się w jego stronę; znów celuje mi w pierś. Wyglądam koszulkę, wykorzystując kilka sekund na zastanowienie się, czy raz jeszcze spróbować go powalić. Jestem na tyle blisko, by móc chwycić wylot lufy, zaburzyć jego równowagę, a potem ponownie uderzyć go w szyję, gdzie już go zraniłam. Być może. Ale jest szybki, a teraz spodziewa się ataku.

Zamiast tego więc unoszę brew, patrząc na broń, i koncentruję całą energię na sprawianiu wrażenia, że wszystko mam pod kontrolą, choć wcale tak nie jest.

– Możesz to odłożyć?

Nie opuszcza pistoletu.

– Nie zabiję cię – odpowiada po chwili. – Ale postrzelę cię w nogę.

Jego twarz mówi mi, że nie kłamie. Wpakuje we mnie kulkę. A więc nie tylko ja zmieniłam się przez te pięć lat, odkąd ostatni raz się widzieliśmy. Sądziłam, że poszedł do szwajcarskiej szkoły z internatem dla delikatnych chłopców, ale może rodzice wysłali go do akademii wojskowej. To tłumaczyłoby muskulaturę. Przygotowałoby go też na wszelkie nieczyste zagrywki, jakie mogłabym zastosować. Mój repertuar ciosów składał się głównie z wytrącania przeciwnika z równowagi i celowania w jeden z czułych punktów: nos, szyję, jądra, kolana. To nie są ładne metody, ale skuteczne, a jak mawiał Robal, kiedy nas uczył, „walka fair jest przereklamowana”.

Kiedy tak stoimy, uświadamiam sobie, że Michael taksuje mnie wzrokiem z góry na dół w taki sam sposób, w jaki ja przyglądam się jemu. Patrzy na moją twarz, na tatuaże. Marszczę brwi i na widok jego rumieńca czuję ponowny przypływ pewności siebie.

– Usiądę – mówię.

Nie czekając na odpowiedź, opadam na jeden ze skórzanych foteli. Obserwuję go, ale nie sędzę, by zauważył, jak kopnięciem wsuwam telefon pod fotel, na którym siedzę. Zastanawiam się, czy Goondanie słyszą mnie przez słuchawkę. Czy Boyboy wciąż jest w stanie przesyłać dane? Ile czasu minie, nim będą musieli przeparkować furgonetkę? Objazdy ochrony po okolicy odbywają się co godzinę. Pewnie nie zostało nam wiele czasu. Będą musieli mnie tu zostawić, wykonać objazd i wrócić.

– Jak tu weszłaś? – Michael staje za biurkiem ojca, wciąż trzymając pistolet wycelowany w moją pierś. Spogląda to na komputer, to na mnie. Jego oczy się rozszerzają.

Wstrzymuję oddech. Mam nadzieję, że ekran nie zdradza, co robiłam.

– Oszalałaś? – pyta. – Przeszukujesz laptopa taty? Wiesz, co robi z ludźmi, którzy grzebią w jego rzeczach?

W chwili, gdy zadaje to naiwne pytanie, dostrzegam w nim przyjaciela, którego kiedyś znałam. To wciąż ten sam mały chłopiec, przerażony i zachwycony swoim ojcem, przechodzący na palcach obok drzwi do jego gabinetu, obserwujący, jak wychodzi do pracy, ze wzrokiem psa tęskniącego za swoim panem. Ten wzrok sprawia, że znów mam ochotę go uderzyć, i nagle nie mogę już powstrzymać rozdierającej i przytłaczającej fali wspomnień.

Mamy siedem lat, śmiejemy się gromko, skacząc na bombę do jaskrawoniebieskiego basenu. Mamy dziewięć lat, podczas awarii prądu wystawiamy na ścianie w kuchni teatrzyk cieni. Mamy dziesięć lat, budujemy fort na drzewie mango w ogrodzie, odkrywając przy okazji gniazdo młodych bilbili; ich matka nas odgania, machając skrzydłami i dziobiąc po głowach.

Wspomnienie za wspomnieniem, jakby wcześniej spętane w klatce z tyłu mojego umysłu, w której nagle otwarto drzwi. Byłam wybraną, najlepszą przyjaciółką Michaela. Znałam wszystkie jego sekrety i obawy. Nie dotyczyły mnie żadne ograniczenia, gdy

przebywałam w jego towarzystwie, gdy zaś go nie było – jak najszybciej zawijałam się do kwatery mojej matki.

A potem wspomnienia zatrzymują się ze zgrzytem.

Mam jedenaście lat, Michaela nigdzie nie widać. Jesteśmy tylko ja i moja matka, jej otwarte oczy, wpatrzone w jakiś punkt za moimi plecami, krew spływająca delikatną strużką od kącika ust do podbródka. Jej warkocze, przysłaniają dziurę w piersi. Do chwili, gdy ją zobaczyłam, jej życie zdążyło już się rozplątać wśród drogich mebli dokładnie w tym pokoju.

Cała złość i ból wracają falami, gorące i czerwone. Przez moment mnie oślepiają.

Musi wiedzieć, dlaczego tu jestem, dlaczego nie dbam o to, jak zły byłby jego tata czy kto ucierpi w tym procesie. Musi. Zaciskam drżące dłonie w pięści i wpatruję się w nie.

Michael czeka.

– Więc? Co robiłaś na jego laptopie?

– Nic.

Wyciąga z komputera przejściówkę USB i potrząsa nią przed moją twarzą.

– Co to jest? Kopiowałaś pliki?

Kiedy milczę, obchodzi biurko i staje tuż za mną, unieruchamia mnie i maca po całym ciele, przeszukując, jednocześnie przyciskając pistolet do mojej skroni. Jest szorstki, czuję się krucha pod dotykiem jego dłoni, ale nie chcę, by widział, że się boję, by poczuł satysfakcję. Zaciskam więc zęby i wpatruję się w przestrzeń, póki nie znajdzie mojego noża, a potem słuchawki. Obydwa przedmioty chowa do kieszeni.

– Podobało ci się? Obmacywanie mnie?

Przez kilka długich sekund nikt z nas się nie rusza, po prostu stoimy – nastroszeni, gotowi do ataku, czekając, aż któreś zacznie.

– To co teraz? – pytam wreszcie. – Doniesiesz na mnie?

Pytanie aż nim wstrząsa.

– *Shonde* – przeklina.

– Co?

Odrywa ode mnie wzrok, by spojrzeć na drzwi do gabinetu.

– Ochrona zaraz tu będzie. Włączyłem alarm.

Nic nie mogę poradzić na to, że miękną mi kolana, a gardło wysycha. Muszę przełknąć ślinę, nim coś powiem.

– Zabiją mnie, wiesz o tym.

– Wiem. – Pędzi do drzwi gabinetu. Zaglądając przez dziurkę od klucza, wciąż celuje do mnie z broni. Wykorzystuję moment jego nieuwagi, by przykucnąć i zabrać spod fotela mój telefon. Wsuwam go do rękawa.

– Chodźmy – mówi.

Gdy obraca się do mnie, jego wzrok jest nieprzenikniony. Chwyta mnie za ramię i popycha w stronę wciąż otwartego przejścia za biblioteczką. Opieram się, ale potem coś słyszę. Tupanie. Coraz głośniejsze. Jeszcze nie przy drzwiach, ale kroki szybko zbliżają się do nas. Jest ich wielu.

Michael pistoletem wskazuje tunel.

– Albo ja, albo oni. Kogo wolisz?

Taksuję wzrokiem ciemny otwór w ścianie i przez sekundę czuję, że zaglądam do wnętrza swojego grobu. Kroki zatrzymują się przed drzwiami gabinetu. Szarpanie klamki. To nie potrwa długo.

– Nie wiem – mówię, ale nurkuję do tunelu. Gdy słyszę pierwsze zderzenie buta z drzwiami, Michael zamyka za nami biblioteczkę.

Sześć

– Nie wierzę, że to robię – mówi Michael.

Nie odpowiadam. Ja też nie wierzę, że podążam za nim w nieznaną ciemność. Próbuję wyrwać się do przodu, ale łapie mnie za ramię.

– Poczekaj. Tu są schody.

Słyszę kliknięcie włącznika i świetlówka nad naszymi głowami zaczyna migotać jak w jakimś horrorze. Rozświecła nam drogę, prowadzącą stromo w dół. Betonowe ściany tunelu są szorstkie, na suficie plamy rdzawej wody przypominają zaschniętą krew. Obserwuję, jak Michael wciska przyciski na małym ekranie na ścianie. Gdy się włącza, widzimy obraz z kamery, pokazujący strażników wyważających drzwi do gabinetu pana G. Wlewają się do środka, wypełniając pokój, każdy z bronią w pogotowiu.

Mój oddech przyspiesza. Nie na widok strażników, a kamery w gabinecie.

Zamieram, wpatrzona w ekran.

Kamera.

Nagrała wszystko. Ale nie przekazuje obrazu do stróżówki jak pozostały sprzęt monitorujący. Podobnie jak tunel, nie została ujęta na żadnych planach ani w dokumentacji zabezpieczeń, które zhakował Boyboy. Od jak dawna tam jest? Czy pięć lat temu już była? Kamera. Jestem sparaliżowana na samą myśl o tym, co mogła nagrać.

Michael wciska kolejny przycisk na ekranie i słyszymy dźwięk. Widzę, jak strażnik sprawdza obszar za biurkiem, podchodząc do kamery tak blisko, że jego twarz wypełnia ekran. Słyszę jego oddech. Otworzy drzwi? Odsuwa twarz, ślepy na naszą obecność. Mężczyźni rozglądają się dookoła, wyglądają na zdezorientowanych, a potem jeden z nich mówi do nadajnika coś o fałszywym alarmie i gestem nakazuje załodze wyjść.

– Nie sprawdzają tutaj? – pytam.

– Nie.

Michael przewija nagrany materiał, aż dociera do fragmentu, kiedy mnie znalazł. Wciska kilka przycisków. Na ekranie pojawiają się słowa: „Czy jesteś pewien, że chcesz to usunąć?”. Waha się przez moment z palcem nad przyciskiem, zanim ostatecznie wciśnie „Tak”. Potem szybko wyłącza ekran.

– Dlaczego tu nie będą szukać?

– Nie wiedzą o tym przejściu. – Wskazuje głową schody. – Idź.

Z narastającym uczuciem, że ściany zaciskają się na mnie, zaczynam schodzić. Nie skrępował mi rąk; ma tylko broń. Nie jestem pewna, czy powinnam próbować mu ją odebrać czy zaryzykować i czekać, co wydarzy się później. Dokąd mnie zabiera? Do lochu? Do jakiejś chorej sali tortur Wielkiego Gościa? Nie wykluczałabym, że jego ojciec miał takie pomieszczenie.

Gdy mój umysł zbacza w mroczne rejony, Michael nagle pyta tak surowym tonem, że zupełnie mnie zaskakuje:

– Gdzie się podziewałaś?

– Ja... – Nie ma szans, żebym zdradziła mu, iż od pięciu lat żyję na dachu. –

W okolicy.

Milczy. Wciąż idziemy.

Wreszcie znów się odzywa:

– W Sangui?

Wzruszam ramionami.

– A niby gdzie?

– Minęło pięć lat, Tina. Nic. Ani słowa. A teraz, zupełnie znikąd, pojawiaasz się tutaj.

Nie odpowiadam. Jego głos jest pełen goryczy, ale co miałabym mu powiedzieć? „Przepraszam, że nie wpadałam z wizytą po tym, jak moja mama została zamordowana”? Poza tym koleś wciąż ma pistolet wycelowany w moje plecy. Nie czuję potrzeby, by się silić na uprzejmość.

– Dokąd mnie zabierasz? – pytam zamiast tego, ale on też nie odpowiada.

Docieramy do końca schodów, przed nami rozciąga się tunel. Doliczam się czworga drzwi, zanim zatrzymujemy się przed jednym z nich. Od zewnątrz są zamknięte na rygiel, mają judasza oraz otwór do podawania przedmiotów. Standardowe wyposażenie komnaty tortur. Michael otwiera je i lufą broni popycha mnie, bym weszła do środka.

Wewnątrz pomieszczenia mam wrażenie, że przydusza mnie sufit, ale zmuszam się do rozglądania i zapamiętywania wszystkiego, co zdołam. Pokój nie ma okien i prawdopodobnie jest dźwiękoszczelny, ale jak na komnatę tortur mogłoby być gorzej. Jest tu łóżko polowe, są stół, krzesło, toaleta i zlew. Nie ma narzędzi do wrywania paznokci. Przynajmniej ich nie dostrzegam.

Michael podnosi z podłogi łańcuch zakończony kajdanami. Zakuwa mnie w nie.

– To naprawdę konieczne? – Staram się brzmieć zdecydowanie. Nie chcę myśleć o tym, kto jeszcze mógł nosić te okowy. Łańcuch przytwierdzony jest do śruby w ścianie. Na środku pokoju znajduje się niewielki odpływ, na wypadek gdyby trzeba było wymyć całe pomieszczenie szlauchem.

– Pójdę na górę porozmawiać ze strażnikami. Wrócę tutaj.

Rzucam mu nieufne spojrzenie. A co potem? Chcę o to zapytać. Ale Michael wychodzi. Gdy drzwi zamykają się za nim, słyszę dźwięk zasuwanego rygla – głośny, ostateczny.

Przez kilka chwil słyszę tylko dźwięk mojego oddechu. Ruszam w kierunku drzwi, ale łańcuch szarpie mnie do tyłu; brakuje kilku metrów. Wpatruję się w judasza, czuję ucisk w klatce piersiowej; próbuję opanować panikę i zatrzymać to uczucie w żołądku.

Podskakuję, gdy w rękawie wibruje mi telefon.

– Nie powinienes dzwonić – mówię, gdy udaje mi się przyłożyć go do ucha. – Dopiero co zostawił mnie samą.

– Widzę go... Kamery na górze... – mówi Boyboy. – Gdzie... steś?

Czuję niewiarygodną ulgę, słysząc jego głos, choćby słaby i przerywany. Kamera. „W gabinecie pana G. jest ukryta kamera!”, chcę mu wykrzyzczyć, ale najpierw trzeba się zająć innymi problemami.

– Jestem w pokoju pod posiadłością.

Słyszę szmery.

– ...nie na... planach domu, Drobinko – marudzi Keczup, jakby to była moja wina.

– No co ty nie powiesz – ironizuję. – Komnaty tortur zwykle nie są na nich zaznaczane.

– ...co?

– Nic. Co robi Michael? Czy coś wskazuje na to, że mówi o mnie strażnikom?

– Daj mi... tym.

Podczas gdy Boyboy sprawdza, Robal pyta:

– Z tobą... porządku, Drobinko?

Chociaż nie słyszę, co dokładnie powiedział, wiem, że to nie pytanie; to rozkaz.

– Ta.

– Niech to, Drobinko... dać się złapać? Nie powinnaś nigdy... i... *shoga* przyjacieli...

– Zamknij się, Keczup – mówi Robal – ...nie... wina.

Keczup wciąż się dąsa.

– Ja... dzieciaki miały... Szwajcaria lub jakiś...

Sprawdzam okowy.

– Mieli być w Szwajcarii. Nie mam pojęcia, co on tu robi.

– Strażnicy... wrócili... posterunek. Nie sądzę... powiedział o... – mówi Boyboy.

Robal dodaje:

– Wygląda... Michael idzie... gabinetu.

– Wróci wkrótce. – Umieszczam telefon między policzkiem a barkiem i sięgam po spinkę we włosach.

– Nie waż się... nic do... Drobinko – mówi Keczup.

Wyginam palce, by przemieścić spinkę do dziurki od klucza w kajdanach.

– Sądzisz, że jestem głupia? Wiesz, że tego nie zrobię. Ściągnąłeś coś z dysku twardego, Boyboy?

– Co? Nie jestem pewien... żeby je przeprosować.

Przez moment wydaje mi się, że połączenie zostało przerwane.

– Halo? Halo?

Spinka wypada mi z rąk na podłogę.

Wtedy słyszę, jak Robal mówi:

– Drobinko, posłuchaj, musimy... bądź silna. My... Omoko liczy na...

– Czekaście. – Mam problem, by w pełni złapać oddech. Czy ściany się zbliżyły?

Nie panikuj, Drobinko. Oddychaj. – Boyboy? – Mój głos się załamuje.

Słyszę zakłócenia. Opadam na kolana i podnoszę spinkę. Podłoga jest wilgotna, a jej chłód przenika mnie do kości. Ręce zbyt mi się trzęsą, bym mogła otworzyć zamek przy kajdanach. Ściskam dłonie między kolanami, próbując uspokoić ich drżenie.

Na sekundę połączenie się stabilizuje.

– My... kiedy stamtąd wyjdiesz – mówi Robal.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale słyszę tylko zakłócenia, a ich już nie ma.

ZASADA NUMER 7: MOŻE TERAZ JEST ŹLE, ALE MUSISZ PAMIĘTAĆ, ŻE BYŁAŚ W GORSZYCH SYTUACJACH I PRZEŻYŁAŚ.

Już wcześniej byłaś sama w ciemnościach. To nic takiego. To nie jest tamta dziura

pełna śliskich, ostrych kamieni, które ranią twoje gołe stopy. Nic się nie kołysze i nie kapie na twoje ramiona.

To nie jest tamta noc.

Michael nie spieszy się z powrotem. Kiedy wraca, jego głos brzmi jak pozbawione ciała echo, pochodzące z niewidzialnego głośnika w ścianach:

– Zdjęłaś kajdany.

Spoglądam przez judasza, ale najwyraźniej nie został stworzony z myślą o zerkaniu na zewnątrz. Jedyne do środka.

– Nie pasowały do mojego stroju.

– Stań po przeciwnej stronie pokoju.

Nie poruszam się.

– Idź, Tina.

Wypuszczam wstrzymywany oddech i cofam się powoli. Wtedy drzwi się otwierają.

– Stój tam – mówi Michael. – Plecami do ściany.

Rzucam mu spojrzenie spode łba, ale robię, co każe. Przyniósł laptopa – nie tego należącego do pana Greyhilla – i pistolet. Kładzie na stole plastikową butelkę wody i gestem zachęca mnie, żebym się poczęstowała. Czy da się ją w jakiś sposób wykorzystać jako broń? Nie. Chwytam butelkę i duszkiem wypijam zawartość. Michael mnie obserwuje. Ja obserwuję jego.

– Czemu tu jesteś? – pyta.

– Podkablowałaś mnie strażnikom?

– Co tu robisz, Tina?

Wydał mnie? Nie sądzę, ale nie mogę mieć pewności. Może ochrona już czeka w tunelu? Twarz Michaela jest jak maska, nic nie można z niej wyczytać. W końcu wzruszam ramionami.

– Szukałam gotówki, biżuterii, innych takich. Znałam dom. To był łatwy cel.

– Po prostu nas okradałaś. – Głos Michaela ocieka niedowierzaniem. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że to miejsce jest fortecą, prawda? Jak w ogóle tu weszłaś? – Kiedy milczę, mówi: – Jezu, Tina, nasi strażnicy się nie cackają. Jeśli tu jesteś, to nie dlatego że się spodziewasz znaleźć trochę drobnych w szufladach taty. Jakby złapali cię grzebiącą w jego komputerze, co by sobie pomyśleli?

– Tylko się rozglądałam – powtarzam, ale wiem, jak to brzmi.

Sięga do kieszeni.

– Tylko się rozglądałaś? Na jego komputerze? I twardego dysku? Czy skopiowałaś pliki na to coś? – Podnosi przejściówkę USB.

Ketchup ma rację, myślę z zapadającym się żołądkiem. Jestem taka głupia. Jak mogłam dać się złapać?

Brak odpowiedzi z mojej strony mówi Michaelowi wszystko, co musi wiedzieć. Wpatruje się we mnie chwilę dłużej, a potem uderza pięścią w stół i zaczyna z siebie wyrzucać:

– Dlaczego, Tina? *Dlaczego?* Znikasz po pogrzebie, potem nie dzwonisz, nie piszesz, nic. Sądziłem, że nie żyjesz! A teraz pojawiaasz się znikąd i... – Pociera dłonią

przycięte włosy, mocno, jakby chciał wydrapać sobie z głowy całą tę sytuację. – Masz te wszystkie tatuaże i... jesteś teraz Goonda? O to chodzi? To tatuaże Goondan? – Kiedy wciąż nie odpowiadam, podnosi ręce.

– Więc jesteś teraz w gangu, dlatego nas okradasz? Dlaczego miałabyś to robić? My... ty... – Nie jest w stanie dokończyć, ubrać w słowa tego, co najwyraźniej uważa za zdradę.

A ja nie jestem w stanie dłużej tego znieść.

– Chcesz wiedzieć dlaczego? – pytam, rzucając się do przodu.

Chwyta za pistolet i także się podnosi. A wtedy staję na wprost jego twarzy, nie przejmując się, że wylot lufy znajduje się teraz o kilka centymetrów od mojego serca. Nie dbam o to. Już przestałam się przejmować. Mocno dźgam go palcem w pierś przy każdym słowie:

– Chcesz? Wiedzieć? Dlaczego?

Jakaś część mojego umysłu nakazuje mi przestać. Wiem, że powinnam. Muszę posłuchać Robala i zachować spokój, ale na to już za późno, wszystko się ze mnie wylewa. Zbyt wiele lat siedziałam cicho, poświęcając czas na myślenie, zastanawianie się, pielęgnowanie zranionego zwierzęcia żyjącego w mojej piersi, karmienie go, szkolenie, dogłądanie, aż nie obrosło w mięśnie, a jego pazury i zęby stały się wytrzymałe niczym diamenty i ostre jak brzytwa.

Mama sądziła, że byliśmy tu bezpieczne, z dala od mężczyzn w nocy. Tyle że ojciec tego chłopca pokazał nam, jak bardzo *nie* byliśmy tu bezpieczne. Pokazał nam, że w nocy mężczyźni czają się wszędzie. Nie mogę tu stać i słuchać, jak ten rozpieszczony syn Wielkiego Gościa pyta mnie dlaczego. Skoro nie wie, to się dowie.

Z przekąsem wyrzucam z siebie każde ostre słowo:

– Ponieważ twój ojciec zabił moją matkę.

Siedem

Po pogrzebie mamy zabrałam Kiki i odeszliśmy od Greyhillów. Wciąż byliśmy w naszych niedzielnych ubraniach. Zaprowadziłam ją do kościoła mamy i poprosiłam zakonnice, by się nią zaopiekowały. Próbowaly namówić do pozostania i mnie, ale uciekłam. Udałam się do doków i spędziłam dwa tygodnie w zniszczonym kontenerze, próbując zdecydować, czy umrzeć, czy nie. W środku nocy budziły mnie szczury, które wspinały się na moje nogi, ale nie dbałam o to. Tak bardzo zubożyłam, że nie czułam się nawet człowiekiem. Moja matka została zabita. Słyszałam, co Greyhill powiedział do niej w ogrodzie. Nie mogłam zostać dłużej w jego domu. Nie mogłam zostawić tam Kiki. Ale nie mogłam też zaopiekować się moją siostrą. Nie jestem dumna z faktu, że ją porzuciłam. Ale zrobiłam to.

Kiedy znalazł mnie Robal, właśnie ukradłam mango od ulicznego sprzedawcy. Byłam zbyt słaba, by uciec, a handlarz złapał mnie za nadgarstek. Miał zamiar strasznie mnie zbić. Jego pięść uniosła się w powietrze, a wtedy wkroczył Robal i uregulował rachunek kwotą, za którą mógłby kupić pięćdziesiąt owoców mango. Potem odwrócił się i odszedł, rzucając przez ramię do mężczyzny:

– Moja młodsza siostra to wrzód na tyłku. Przepraszam pana. Chodź, drobinko.

Poszłam za nim, tylko dlatego że wciąż ścisnął w dłoni moje mango. Nazwał mnie wyrazem, który zabrzmiał trochę jak moje imię. A w moim ciele nie pozostał choćby zaczątek żadnego uczucia, które odwiodłoby mnie od tego pomysłu.

Tej nocy spałam w magazynie Goondan. Leżałam wśród chrapiącej bandy dzieciaków ulicy, nie mając nadziei, że kolejnego dnia spotka mnie coś lepszego.

I wszystko mogło zostać bez zmian. Mogłam wciąż być bezużytecznym workiem kości.

Tyle że następnego ranka obudziła mnie ręka grzebiąca w mojej kieszeni.

Odskokczyłam niczym porażona prądem, usiłując wbić paznokcie w intruza. Ale chłopiec o twarzy łasicy wyslizgnął się z mojego zasięgu, odskakując w tył.

– Oddaj to – powiedziałam. Mój głos, dawno nieużywany, był ochryply.

– Nie – prychnął. – Co to jest? – Zezował na kartonik z modlitwą, który wyciągnął z mojej kieszeni, obracając go w lewo i prawo.

– Oddawaj! – ponagliłam go coraz donośniej. Próbowalam chwycić kartę, ale nie udało mi się. – To moje!

Ledwie byłam świadoma ciał zbierających się wokół nas. Węszyli w powietrzu, łaknąc krwi.

Złodziej był ode mnie większy i starszy. Trzymał kartę nad głową; strzępy jego koszuli powiewały, gdy skakał, unikając mnie. Wiedział, że karta nie jest nic warta, ale wiedział też, że desperacko jej pragnę.

To ta waluta go interesowała.

– Chcesz ją? To chodź tu i weź ją sobie – powiedział. Pomachał mi przed twarzą papierowym wizerunkiem Świętej Katarzyny. Patrzyłam, jak jego palce zaginają brzegi karty.

Po raz pierwszy od tygodni żyłam. Byłam gorączką i furią. Rzuciłam się na niego,

korzystając z paznokci, zębów, palców, z każdego grama czystego bólu, który miałam do dyspozycji.

Słyszałam śmiech chłopców: „Hej, spójrzcie na tę dziką kotkę!”, a potem Robal odepchnął mnie, mówiąc:

– Oddaj to, Keczip.

I zobaczyłam chłopaka łypiącego na mnie spod strużek krwi płynącej z ranek, które wydrapałam na jego twarzy.

Nie przestawał patrzeć mi w oczy, nawet gdy zgniatał kartę i rzucał ją u moich stóp.

Później, gdy ją prostowałam, po tym jak wreszcie uroniłam i otarłam łzy, spojrzałam na Świętą Katarzynę. Prawdziwie się jej przyjrzałam. Spojrzałam na koło, na którym oparła dłoń. Na miecz pod jej stopami. Na gałązkę palmową, którą trzymała.

Karta z modlitwą znajdowała się w kieszeni mamy w chwili jej śmierci.

Tylko tyle mi po niej zostało.

Mama opowiadała mi tę historię setki razy – miała na jej punkcie obsesję. Święta Katarzyna z Aleksandrii była mądra i piękna, ale nie chciała, by korzystał z tych cech pewien król, więc ten skazał ją na łamanie kołem. To takie narzędzie tortur. Rozciągają cię na wielkim kole, a ludzie uderzają w ciebie kijami, póki nie jesteś całkiem połamana. Tyle że Katarzyna była świętą, a koło się złamało, gdy tylko go dotknęła. Król chwycił więc miecz i odciął jej głowę. Opowieści o świętych zawsze są pełne przemocy. Gałązka palmowa, którą dzierży, ma być symbolem triumfu.

Mama zwykła się modlić: „Pomóż nam złamać koło, Katarzyno”, gdy klękałyśmy nocą przy łóżku. Nigdy tego nie rozumiałam – przecież Katarzynę i tak w końcu zabili, więc jaki to miało sens? Po co gałązka palmowa? Ale mama uciszała mnie i mówiła, że Święta Katarzyna co prawda umarła, ale nigdy nie została złamana. „Rozumiesz?”, pytała mama i uderzała palcem w gałązkę palmową.

I wtedy zrozumiałam.

Zrozumiałam, że choć część mnie była z pewnością martwa i stracona, to cała ja nie zamierza umrzeć. Pozwoliłam sobie być złamaną, ale może jeszcze da się mnie naprawić. Mogłabym stać się kimś silniejszym. Gdybym była silna, mogłabym dotrzymać obietnicy złożonej mamie. Mogłabym upewnić się, że moja młodsza siostra pozostanie bezpieczna. Może mogłaby dalej mieszkać z zakonnice? Tam mogłaby wieść życie, jakiego mama dla nas pragnęła. Poszłyby do szkoły. Poznałyby Boga. Ale nie ja. Ja pozostałabym w cieniu i doglądała ją z dystansu. Nigdy nie pozwoliłabym, by cokolwiek jej się stało.

Tamtej nocy spałam, ściskając w dłoni odłamek szkła, i nikt mnie nie tknął. Rankiem, gdy Robal krzyknął, żebyśmy się, do diabła, obudzili, byłam gotowa.

Chciał sprawdzić, jakiego rodzaju Goondanami moglibyśmy być, więc ustawiłam się w szeregu wraz ze wszystkimi nowymi rekrutami, jakbyśmy szykowali się do wyruszenia na bitwę. Najbardziej żałosna mała armia na ziemi. Chłopca zwanego Keczipem nie było nigdzie w zasięgu wzroku, więc skoncentrowałam się na lustrowaniu innych dzieciaków, szacowaniu, które wyglądają słabo, które mogłabym pokonać w walce. Byłam jedyną dziewczyną, ale to nie miało znaczenia. Będę silniejsza niż którekolwiek z nich.

Pozwalam, by ból i zmęczenie opadły, by opuściły moje ciało. Dzień wcześniej byłam delikatnym naczyniem ulepionym z gliny. Zostałam rozbita na proch, ale przyszła burza i wzniciła okruchy. Teraz byłam kawałkiem błota.

I byłam gotowa, by umieścić mnie na kole i ulepić w zupełnie nowe naczynie.

ZASADA NUMER 8: ZNAJ WARTOŚĆ TEGO, CO ZABIERASZ

Pytanie: Co jest warte więcej niż diamenty i złoto? Co jest najpewniejszą walutą? Co, jeśli zostanie skradzione, staje się najbardziej niebezpieczne, a zarazem najcenniejsze?

Odpowiedź: Tajemnica.

Po godzinie ciszy w komnacie tortur czuję się nieco spokojniejsza. Zakładam, że gdyby Michael zamierzał oddać mnie w ręce strażników, już by to zrobił. Co oznacza, że prawdopodobnie nie wie, co ze mną począć. Co oznacza, że może – tylko może – mam szansę się z tego wykaraskać.

Czuje się oszukany i ponownie mnie zakuł, tym razem sprawdziwszy wcześniej moje włosy. Moje spinki są teraz w jego kieszeni. Próbowałam ukryć telefon między toaletą a ścianą, ale sprawdził dokładnie cały pokój. Zawsze szybko się uczył. Próbuję się pocieszać faktem, że telefon i tak nie pomógłby mi się stąd wydostać. Nikt nie przybędzie mi na ratunek.

Michael powiedział tylko jedno: „Mój tata nie zabił twojej mamy”.

Nie jestem zainteresowana tym, co ma do powiedzenia na ten temat. Wciąż leżę na łóżku polowym i gapię się w sufit, na którym widnieje zaciek przypominający słonia ze skrzydłami. Michael siedzi przed swoim komputerem, próbując dojść do tego, czy cokolwiek jest zapisane na przejściówce USB. Nie sądzę, by udało mu się do czegokolwiek dojść.

– Dlaczego tu tak w ogóle jesteś? – pytam. – Nie powinieneś być w Szwajcarii czy gdzieś?

Michael poprawia się na krześle.

– Szkoła odesłała mnie do domu.

– Dlaczego?

Nie odpowiada.

Po chwili mówię:

– Byli kochankami, wiesz? Moja mama i twój tata. – Teraz jestem po prostu podła. To dobre uczucie. – Tak właśnie. Twój tata wykorzystał ją, zbrzuchacił, a kiedy miał jej dość, to ją zabił.

– Mylisz się. Nie zabiłby jej. Nie jest taki.

– Przepraszam, ale czy poznałeś swojego ojca? Nie jest wzorem świętości.

– Nie wiesz, o czym mówisz – stwierdza Michael. – Wszyscy zakładają, że jest okropną osobą, ponieważ zajmuje się wydobywaniem, ale to nieprawda. Poza tym... powiedział mi, że nie zabił twojej matki.

– Powiedział ci!

– Tak – uparcie powtarza Michael, wciąż na mnie nie patrząc. – Spytałem go o to. Obserwuję, jak pisze.

– Biedactwo. – Potrząsam głową. – Wciąż go ubóstwiasz, czyż nie?

– Zamknij się.

– Wciąż wierzysz we wszystkie kłamstwa, którymi cię karmi – w to, że jest dobrym żywicielem i opiekunem, że ciężko pracuje tylko po to, by wykarmić rodzinę. Nie zastanawiasz się, jaka jest tego cena? Nie wiesz, kim jest naprawdę? Ile cudzych istnień zrujnował, żebyś ty mógł żyć jak książę? Nie dba o maluczkich, takich jak moja mama. I nie ma oporów, by okłamywać cię w tej kwestii.

– Kazałem ci się zamknąć! – krzyczy Michael prosto w moją twarz. Ciężko oddycha i chwyta mnie za ramiona, jakby chciał mną potrząsnąć. – Ani słowa więcej na jego temat!

Niemalże wybucham śmiechem. Jest wykapanym synem swojego ojca. Chłonę jego gniew, rozkoszuję się nim i czekam, aż mnie uderzy. Ale puszcza mnie, jakbym nie była warta wysiłku, i z powrotem opadam na łóżko.

Obraca się i zaczyna chodzić po pokoju, dochodząc do siebie. Po drugiej stronie pomieszczenia, odwrócony do mnie plecami, robi głęboki wdech.

– Co robiłaś w jego biurze?

Zastanawiam się.

– Polowałam.

Rzuca mi spojrzenie przez ramię.

– Na co?

– Na wszystko. Polowałam na wszystko.

– Jakie „wszystko”? Przestań grać. Powiedz, o co ci chodzi.

– Chodzi mi o wszystko. Wyciągi bankowe, dowody na współpracę z terrorystami, sprzedawanie im broni, kupowanie ich okupionego krwią złota. Z kim pracuje i gdzie. Każdy brudny mały sekret. I wiesz co? Mam je. Mam je wszystkie.

Brudy. Potem pieniądze. Potem krew.

Może to kwestia światła, ale blada twarz Michaela wydaje się przybierać zabawny szarawy kolor. Spogląda na mnie, a potem na przejściówkę USB podpiętą do jego laptopa. Wyszarpuje ją, upuszcza na podłogę i zgniata obcasem jak karalucha.

Uśmiecham się na widok odłamków i opieram o ścianę, ze skutymi rękami splecionymi za głową.

– Nie wysilaj się. To było jedynie narzędzie. Wykorzystałam je, by wysłać pliki twojego taty do mojego partnera. Zniszcz je. Uderz mnie. To tylko kwestia czasu, zanim paskudne, nielegalne sprawy, którymi twój ojciec kiedykolwiek się zajmował, trafią do masowego odbiorcy.

– To właśnie chcesz zrobić? Zniszczyć jego dobre imię?

– Nom – mówię.

To i o wiele więcej.

– Cóż, spóźniłaś się – stwierdza z goryczą. – Wszystkie te kłamstwa były już rozdmuchiwane przez prasę, a on wciąż się trzyma. Nikt nie ma dowodów. A to dlatego że to kłamstwa. Kopalnie Extracta zdały wszystkie testy zdrowia i bezpieczeństwa, za każdym razem. Górnicy są dobrze opłacani. Nikt nie jest niewolnikiem.

– Jestem pod wrażeniem, Mikey. Wiesz więcej o firmie tatusia, niż

przypuszczałam. Szkoda, że wszystkie twoje informacje są nieprawdziwe. Skąd je masz? Och, niech zgadnę, od szefa operacji Firmy Wydobywczej Extracta we wschodniej Afryce, pana Rolanda Greyhilla vel tatusia? – Potrzęsam głową w geście ironicznego współczucia. – Założę się, że jego twardy dysk opowiada inną historię. Ale to prawda, że Extracta jest już pod lupą. I będzie potrzebowała kozła ofiarnego, gdy wszystko wyjdzie na jaw. Ciekawe, kto nim będzie?

– Skąd wiesz, co jest na jego twardym dysku? Przejrzałaś pliki?

– To... Po prostu wiem.

– Nie – mówi, wolno kręcąc głową. – Nie miałaś czasu. Dopiero co tu weszłaś. Nic nie widziałaś. On nie ma niewolników. Nie współpracuje z terrorystami.

Zaciskam zęby z niecierpliwością. Czy Michael żyje w Szwajcarii pod kamieniem?

– Nie wiesz, jak to działa w Kongo? Pozwól, że cię dokszałcę. Oddziały milicji i armii kongijskiej walczą ze sobą, a do tego potrzebują pieniędzy i broni. Wykorzystują niewolniczą pracę, by wydobywać złoto, a twój tata skupuje je od nich niewielkim kosztem. Następnie pierze je, przepuszczając przez kopalnie Extracty, zachowując pozory, że nie jest ono owocem konfliktu.

Michael marszczy brwi.

– Nie. Oszalałaś. Skąd bierzesz te bzdury?

– Mam swoje źródła.

– To same kłamstwa. Dzięki mojemu ojcu w Kongo jest przemysł, są miejsca pracy. – Brzmi, jakby kogoś cytował, jakby nauczył się tych tekstów na pamięć i wygłaszał je nie pierwszy raz.

– Daj spokój, Michael. – Jest mi go prawie żal. – Wyprali ci mózg. Do takiego bogactwa nie dochodzi się, grając zgodnie z regułami. – Wymachuję zakutymi w kajdany rękami. – Uwięziłeś mnie w komnacie tortur, na Boga!

– To nie jest komnata tortur! To schron.

Potrzęsam okowami.

– A to? Mają sprawić, że poczuję się bezpieczniej?

Widzę, że nie wie, co odpowiedzieć.

Uczucie dyskomfortu zaczęło się wkradać do mojego żołądka i nie podoba mi się to. To nie mój problem, jeśli piękny chłopiec chce żyć w zakłamaniu. Nie myśl o Michaelu, myśl o mamie, powtarzam sobie. Myśl o wszystkich złych rzeczach, które zrobił Greyhill. Musi za nie zapłacić. Mam plan i będę się go trzymać. Nie mogą wytrącić mnie z równowagi uczucia zepsutych, bogatych chłopców.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz – mówię. – Wkrótce wszystko wypłynie. Zobaczysz.

Michael wygląda, jakby toczył wewnętrzną bitwę. Wreszcie pyta, chyba przede wszystkim siebie:

– Możesz to zatrzymać? O ile w ogóle coś tam jest. Możesz powstrzymać ten tak zwany dowód, zanim ujrzy światło dzienne?

Nie odpowiadam od razu. O co on pyta? Czy próbuje mi grozić?

– Słuchaj, cokolwiek zrobisz, będziesz mnie torturować, zabijesz, niczego to nie zmieni. Te informacje nie są już w moich rękach. Zostaną ujawnione.

Szczerze mówiąc, nie jest to całkowicie prawdziwe, ale Michael nie musi znać szczegółów. Przekazanie brudów Donatienowi jest moim zadaniem. Jestem pewna, że Omoko znalazłby jakiś inny sposób na zbrukanie dobrego imienia Greyhilla, ale chcę, żeby to Donatien napisał i opublikował wszystkie te złe rzeczy. Jest w stanie umieścić je w ważnych gazetach. Ma swój interes w obnażeniu Greyhilla i robi to, jak należy.

A wtedy Boyboy zhakuje konto bankowe pana Greyhilla.

Ja zaś zajmę się krwią.

Dokładnie tak.

Michael unosi podbródek.

– A jeśli udowodnię, że mój tata nie zabił twojej mamy? Wtedy będziesz w stanie to powstrzymać?

Marszczę brwi. Zwykle dość dobrze wiem, kiedy ktoś wciska mi kit, ale Michaela trudniej rozgryźć niż wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiada.

– Wiesz coś?

Wciąż się nie porusza, jedynie mnie obserwuje.

Zrywam się na nogi i rzucam na niego. Powstrzymują mnie jedynie kajdany i łańcuch.

– Nie pogrywaj ze mną, Michael! Wiesz coś o śmierci mojej matki? – Nie mogę go dosięgnąć. – Masz nagranie z tamtej nocy? Z kamery w gabinecie? Masz je? Masz?

Jego nozdrza się rozszerzają.

– Nie.

Powtarzam sobie, że muszę się uspokoić, dać się pochłonąć odrętwieniu, którego wypracowanie kosztowało mnie tak wiele pracy. Nie istnieję. Nie będę istnieć. Nie dla niego.

– A więc nic nie wiesz – mówię wreszcie, odsuwając się.

– Zniszczysz mojego ojca, zniszczysz nas wszystkich, ponieważ sądzisz, że zabił twoją matkę. Nawet nie masz pewności!

– Ależ wiem to na pewno! Ty też to wiesz, w przeciwnym razie nie pytałbyś go, czy to zrobił!

– Powiedział mi, że jej nie zabił, i ja mu wierzę! – krzyczy Michael.

Dlaczego to dla ciebie ważne, czy Michael w to wierzy, czy nie?, pytam samą siebie. On się nie liczy. Odpuść.

Ale nie mogę.

– Widziałam ich – mówię.

Michael zamiera.

– Widziałas go... jak ją zabija?

– Nie – odpowiadam. – Nie musiałam. W noc poprzedzającą morderstwo widziałam ich razem w ogrodzie. Kłócili się. Moja matka знаła jego sekrety i zagroziła, że je ujawni. I wiesz, co jej na to powiedział?

Wciąż się nie porusza.

– Powiedział: „Zrób to, Anju, a cię zabiję”. – Robię pauzę, pozwalając, by moje

słowa dotarły do niego. – Następnego dnia wysłała wiadomość do dziennikarza z prośbą o spotkanie. Osiem godzin później była już martwa.

Osiem

ZASADA NUMER 9: ZŁODZIEJE I UCHODŹCY NIE ZADAJĄ SIĘ Z POLICJĄ.

Gdybym nie widziała ich w ogrodzie tamtej nocy, może całe moje życie byłoby inne. Może mogłabym zostawić jej śmierć za sobą, iść do szkoły razem z Kiki, przekonać samą siebie, że to było nieudane włamanie, tak jak mówił pan G. Mogłabym spróbować zapomnieć.

Ale widziałam ich.

Ich gniewne głosy wyciągnęły mnie z łóżka. Natknęłam się na nich pod drzewem plumerii. Jego kwiaty pulsowały w ciemności niczym gwiazdy. Greyhill trzymał dłonie na gardle mamy. Jego groźby były delikatne i intymne.

Gdy ich ujrzałam, poczułam w ustach stary, dobrze znany smak terroru. A gdy wydałam z siebie ryk, Greyhill puścił ją i odszedł.

Podeszłam do mamy. Przytuliła mnie. Mówiła, żebym się uspokoiła, że nie ma się czego bać. On wcale nie miał na myśli tego, co powiedział. Wszystko będzie dobrze.

Mogłam iść na policję. Mogłam powiedzieć im, co widziałam i słyszałam, pozwolić, by zbadali sprawę, poczekać, aż sprawiedliwość zatriumfuje.

Pewnie.

Jasne.

A Kiki i ja żyłybyśmy długo i szczęśliwie w zamku z tęczy i gumy do żucia.

Nie, oto jak wygląda życie w Sangui (to dość proste – weź to sobie do serca):

Policję gównem to wszystko obchodzi.

Zwłaszcza gdy jesteś złodziejem, a już z pewnością wtedy, kiedy jesteś uchodźcą z Konga. Dla nich jesteśmy jedynie chodzącymi bankomatami, dobrymi źródłami wszelkiego rodzaju „opłat” – za to, że idziemy ulicą; za to, że mamy pieprzyk na podbródku; za to, że nosimy czerwone buty. To, co widziała we mgle albo czego nie widziała mała uchodźczyni, nie będzie ich interesować.

Masz problem, radź sobie sama.

Gliny zjawiły się na miejscu zbrodni następnego dnia, żeby zrobić zdjęcia i pogapić się na słynną posiadłość Greyhillów, a także spisać kilka notatek łamaną angielszczyzną. „Rana poszczałowa w bżuch” to najwyraźniej oficjalna przyczyna zgonu. Tak jest napisane w formularzach. Mam je. Boyboy zhakował dla mnie całe akta z policyjnego serwera.

Notatki wyjaśniają, że w domu nie było nikogo oprócz pana Greyhilla i kilku służących – każdy z nich miał alibi. Pani Greyhill i jej dwoje dzieci znajdowali się w domku na plaży, o kilka godzin drogi od posiadłości. Pan G. usłyszał hałas dobiegający z jego biura. Wszedł do środka i znalazł służącą martwą. Musiała natknąć się na włamywacza. Złodziej/morderca zdążył uciec. Takie rzeczy się zdarzają. Sprawa zamknięta.

Mogę sobie wyobrazić, jak *polisi* to później opowiadali: widzisz, mówili, pan Greyhill jest jak król Midas. Sprowadza minerały z ciemnych miejsc w dalekich krajach,

o których wolimy nie myśleć. Greyhill zarabia i Sangu i zarabia, a jeśli ty i ja będziemy sprytni, *polisi* też zarobi. Bądź co bądź, ręce pana Greyhilla może i nie są czyste, ale z brudem i krwią wymieszany jest złoty pył.

Każda śmierć jest tragedią. Ale kim w ogóle była ta służąca? Jakąś uchodźczynią z Konga, bez papierów, jednym z odpadów, które zamiast tkwić w swoich kopalniach, kończą na ulicach naszego miasta. Obniżają morale. Kradną nasze miejsca pracy. A tak w ogóle, między nami mówiąc, co ona robiła w tym gabinecie? Nie chcemy siać plotek, ale to akurat prawda: w dziewięciu przypadkach na dziesięć za kradzieżami stoi służba. Bardzo trudno znaleźć dobre, uczciwe służące.

Kręcą głowami w geście współczucia. Mocno ściskają dłonie. Zamykają sprawy.

Dziewięć

Budzę się w komnacie tortur i zakładam, że nastał poranek. Nie mogę tego wiedzieć na pewno, pozbawiona okien i telefonu. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle zasnęłam. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest wpatrywanie się w płamę o kształcie skrzydlatego słonia po tym, jak Michael wyszedł, oraz zastanawianie się, czy tu umrę, a jeśli tak, ile piątków będzie musiało upłynąć, zanim Kiki uświadomi sobie, że więcej nie przyjdę.

Myję twarz, korzystam z toalety, a potem siadam z powrotem na łóżku. Nadgarstki mi drętwieją, więc rozcieram je pod okowami.

– Miło byłoby mieć pod ręką książkę – gderam. Zaczynam niecierpliwie tupać.

Michael nie skomentował tego, co widziałam. Po prostu zabrał swój komputer i wyszedł. Nie odpowiedział, gdy za nim krzyczałam, wyzywałam go i przeklinałam. Zatrzasnął drzwi i zostawił mnie tu, żebym mogła siedzieć i myśleć o tym, co się wydarzy.

Początkowo planowałam po prostu zabić pana Greyhilla. Gdybym chciała postępować zgodnie z zasadą oko za oko, powinnam zabić kogoś, kogo kocha. To by było sprawiedliwe. Ale nie jestem złoczynią; nie jestem nim.

Kilka miesięcy po przyłączeniu się do Goondan, gdy nabrałam sił, zaczęłam w wolnym czasie obserwować pana G. Chowałam się w alejkach nieopodal jego biura, obserwowałam, jak wchodzi i wychodzi, tam i z powrotem, dzień po dniu, jakby wszystko było po staremu. Jakby świat wcale nie stracił sensu. Rozważałam zdobycie pistoletu od Robala i zrobienie tego tu, na ulicy. Mogłabym podejść do niego, a potem pozwolić, by już po wszystkim dorwali mnie jego ochroniarze. Zrobiłabym to, gdyby nie jedna rzecz. Jedna drobna, najważniejsza rzecz. Kiki.

Gdybym w ten sposób zginęła, uświadomiłam to sobie, nie mogłabym dotrzymać obietnicy, którą złożyłam mamie. Nie mogłabym zadbać o jej los. Wszystko to rozgrywało się w mojej głowie. Może dalej dostawałaby stypendium, ale kto to może wiedzieć? A gdyby je jej zabrali, co wtedy? Kto by się o nią zatroszczył? Cała jej rodzina byłaby martwa. Nigdy nie przetrwałaby na ulicy. Nigdy. Sama myśl o tym, że mogłaby spróbować, wywołała u mnie dreszcze.

Wróciłam do Goondan półprzutomna.

Wiedziałam, że pan Greyhill musi zapłacić, ale nie wiedziałam jak. Opowiedziałam Robalowi moją historię – czego chciałam i dlaczego nie mogłam tego zrobić. Nie powinnam była się do tego przyznawać, ale wtedy nie byłam dość przezorna. Nie przerobiłam jeszcze lekcji o wycenianiu tajemnic. Ale może jest tak, jak mawiała mama: nic nie dzieje się bez przyczyny, nawet złe rzeczy i pomyłki.

Robal powtórzył wszystko naszemu szefowi, panu Omoko.

Ezra Omoko jest cichym mężczyzną w średnim wieku, urodzonym i wychowanym w Sangui. Niewysoki, siwiejący na skroniach, bez tatuaży. Ubiera się jak nauczyciel, w spodnie w kant i golfy. Ale niech cię to nie zmyli. Wśród Goondan jest królem. Dbą o tych, którzy dobrze mu służą. Chojnie rozdziela łupy. Ale widziałam też, jak pałaszował na śniadanie wątrobę Goonda, który go zdradził. A w sakiewce w kieszeni trzyma

kolekcję kłów swoich byłych wrogów – niczym amulet.

Znalazł mnie w prowizorycznej siłowni Goondan kilka dni po tym, jak wypaplałam wszystko Robalowi. Reszta trenujących adeptów dawno już poszła spać, ale ja wciąż ćwiczyłam lewy sierpowy na postrzępionych oponach.

– A więc chcesz zabić Rolanda Greyhilla? – zapytał pan Omoko, skryty w cieniu.

Obróciłam się. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z samym szefem szefów. Nie było sensu pytać, kto mu o tym powiedział. To było oczywiste. Wzięłam więc głęboki oddech i odparłam:

– Tak.

– A czemuż to chciałabyś zrobić coś tak głupiego? – chciał wiedzieć Omoko.

Kurczyłam się w jego obecności. Zaledwie dwa dni wcześniej usłyszałam historię o tym, że jako chłopiec zwykł odgryzać głowy żywym węzom. Był odporny na ich jad. Puentą opowieści było to, że jeśli on cię ugryzie, umrzesz.

Zbierałam całą odwagę, by odpowiedzieć, ale zanim zdołałam się odezwać, podjął:

– Po co to robić, *kijana*, skoro możesz go najpierw zrujnować, a dopiero potem zabić?

Omoko wychynął z cienia, po ojcowsku otoczył mnie ramieniem i zaprowadził do swojego biura. Odbyliśmy krótką pogawędkę. Wręczył mi książkę – *Hrabiego Monte Christo* i powiedział, żebym go odszukała, gdy ją przeczytam.

Potrzebowałam miesiąca i musiałam wspomagać się kradzionym słownikiem, ale przeczytałam powieść. Kiedy wróciłam, pan Omoko zapytał, czego się nauczyłam.

– Wielu mądrych słów – odparłam. Po czym dodałam: – Nie jestem pewna. Hrabia dokonał zemsty, ale nie wiem, czy go to uszczęśliwiło.

Omoko zadumał się, patrząc na mnie.

– Nie ma znaczenia, czy był wesoły czy smutny. Ludzie nie szukają zemsty, by znaleźć szczęście. Szukają jej, ponieważ muszą. Rozumiesz?

Zastanowiłam się nad tym. Zrozumiałam.

– Chciałem, żebyś nauczyła się dzięki temu – kontynuował – że jeśli zdecydujesz się na zemstę, to musisz myśleć o niej jako o swoim powołaniu. Tak jak ksiądz czuje powołanie do posługi. To nie jest jednorazowa akcja. To coś, co robisz każdego dnia, jak nauka tańca. Zanim będziesz w stanie zatańczyć, musisz poświęcić temu czas. Musisz poznać zasady rządzące tańcem, jego rytm, musisz być pewna, że nie postawisz kroku za szybko. Jeśli chcesz stać się mistrzem, musisz włożyć w to pot i krew. Tego nauczył się hrabia – jego powołaniem była zemsta, ale by ją osiągnąć, musiał być zdyscyplinowany. Ty też musisz jej pragnąć całą sobą, bardziej niż czegokolwiek innego.

Musisz być cierpliwa. Musisz pozbyć się tego, co mogłoby odwracać twoją uwagę: przyjaciół, hobby, innych ambicji. Musisz być w stanie poczekać na właściwy moment. Będziesz musiała się głodzić i być gotowa na połamanie własnych kości, by ukształtować je na nowo. Będzie to wymagało poświęcenia, którego do tej pory nie byłaś w stanie sobie wyobrazić. Będziesz musiała ćwiczyć każdego dnia, aż nie będzie już różnicy między tobą a tym. Aż staniesz się tym. Podołasz?

– Tak... tak sędzę.

Spojrzał na mnie chłodno i powiedział: – To nie zadziała, jeśli będziesz tylko tak

sądzić. Musisz być pewna. Możesz zabić go teraz. To byłaby łatwiejsza droga. Ale wiedz, że jeśli to zrobisz, ludzie będą go oplakiwać. Jasne, zapamiętają go jako Wielkiego Gościa, a może i biznesmena, powiedzmy, o dyskusyjnej moralności. Ale tutaj Wielki Gość znaczy tyle, co władca. Umrze, wciąż budząc szacunek, strach i podziw. Zabił twoją matkę, dziecko. Czy tego właśnie chcesz?

– Nie.

Oczywiście, że nie tego chciałam.

Pan Omoko kazał mi czekać i być cierpliwą. W tym czasie miałam stać się silna, zbudować własny zbiór zasad, zgodnie z którymi będę żyć, aby osiągnąć mistrzostwo w zemście. Byłam mała, ale zarazem byłam na dobrej drodze, by zostać złodziejem o zręcznych dłoniach i cichych stopach, a z taką osobą mógł pracować. Jeśli jednak miałam być złodziejem, musiałam być w tym dobra.

Najlepsza.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytałam.

Uśmiechnął się.

– Ja też byłem kiedyś młody i skrzywdzony. Dostrzegam w tobie siebie. Jesteś sprytna. Ufam twojemu osądowi. Jeśli twierdzisz, że on zasłużył na twoją zemstę, wierzę ci. Oczekuję, oczywiście, swojej działki, kiedy już zagarniesz jego fortunę. O ile pragniesz mojej pomocy.

Tak było.

– Dobrze.

Powiedział mi, że pewnego dnia znajdzie się okazja dla takiego złodzieja jak ja.

Ten dzień miał nastąpić właśnie dzisiaj.

Mijają godziny, a może dni. Nie wiem. Przechodzę przez serie krążeń po pokoju, potem wykrzykiwania gróźb i obsceniczności w kierunku ścian i rogów pomieszczenia, a następnie ciszy, po czym powtarzam cykl od początku.

Plan jest prosty. Sama go stworzyłam. Omoko pomógł mi go udoskonalić.

Najpierw kradnę brudne sekrety pana Greyhilla i przekazuję je Donatienowi, dziennikarzowi, którego znała moja matka. Donatien wie wszystko, co można wiedzieć na temat krwawego złota. Potrafi napisać dobry artykuł oraz ma znajomości umożliwiające publikację w znaczących gazetach. A ta historia, w przeciwieństwie do wielu innych, będzie poparta dowodami.

Ale zdyskredytowanie imienia pana G. to nie koniec. Goondan interesuje kolejny krok: pieniądze. Greyhill przechowuje gdzieś swoje łupy, Omoko jest tego pewien. Prawdopodobnie na zamorskich kontach bankowych. Boyboy sądzi, że mapę do skarbu znajdzie na twardym dysku. Namierzmy konta, Boyboy je zhakuje, wszyscy dostaną swoją część i wrócą do domu zadowoleni.

Oprócz mnie. Ja jeszcze nie skończyłam.

Kiedy Goondanie będą się cieszyć zdobyczami, ja będę obserwować pana Greyhilla. Chcę zobaczyć, jak świat wokół niego powoli zamienia się w perzynę. Chcę obserwować, jak zwalnia go jego firma. Chcę widzieć, jak dłużnicy zgłaszają się po swoje należności. Chcę, by banki zabrały mu dom, samochody, wszystkie zabawki Wielkiego Gościa. Może odejdzie od niego żona. Dzieci wreszcie uświadomią sobie, kim naprawdę

jest.

Ale to też nie wystarczy. Odebrał wszystko Kiki i mnie i chcę, by wiedział, kto odbiera wszystko jemu. Gdy więc nadejdzie odpowiednia pora, wyjdę z cienia. Chcę zobaczyć zrozumienie w jego oczach. Musi wiedzieć, że to ja, Drobinka, zniszczyłam Wielkiego Gościa.

I wtedy go zabiję.

Słyszę, jak otwierają się drzwi do komnaty tortur. Dobrą chwilę krzyczałam na Michaela, by przyszedł i mnie wypuścił, ale nagle zaczynam się martwić, że to nie on jest za drzwiami.

Widok jego twarzy przynosi mi dziwną ulgę. Niesie laptopa niczym tacę – na nim jedzenie i wodę. Wygląda, jakby spał jeszcze mniej niż ja, i nie ma już przy sobie broni. Odważnie, Michael, myślę. Albo głupio. Kładzie wszystko na stole i siada na jednym z krzeseł, czekając, aż ja zajmę drugie.

– Nie martwisz się, że cię pobiję i ucieknę?

Nie uśmiecha się, gdy mu dogryzam.

– Myślę, że najpierw zechcesz mnie wysłuchać.

– Wciąż próbujesz się targować? – Siadam naprzeciwko niego. Umieram z głodu, ale zmuszam się, by ignorować jedzenie, mimo że czuję, jak do ust napływa mi ślina, a w żołądku burczy. Minęło wiele czasu, odkąd zjadłam bułeczkę, którą dała mi Kiki. Potrawka z kurczaka i kremowy kopiec *ugali* parują na talerzu. Ja jednak nie odrywam wzroku od Michaela.

– Powiedziałaś ci, że jest już za późno.

Splata ręce na stole. Z jakiegoś powodu wyglądają dziwnie, aż nagle uświadamiam sobie, że to z uwagi na ich gładkość. Na jego kłykciach nie ma blizn czy zadraśnień, w przeciwieństwie do wszystkich dłoni, które znam. Moje oczy, jakby niepołączone z mózgiem, szukają krzywizny na jego ramieniu, jedyne znamienia, o którym wiem, że tam jest, ale skrywa je rękaw. Nie pozwolę sobie teraz na myślenie o tej bliznie.

– Mój tata nie zabił twojej mamy – mówi.

Czekam, aż będę w stanie odpowiedzieć mu spokojnym tonem:

– Sądziłam, że już to sobie wyjaśniliśmy.

– Opierasz się na spekulacjach. To, że jej groził, nie oznacza, że ją zabił. Poza tym nie sądzę, że okłamałby mnie. Nie w takiej kwestii.

Mam ochotę go uderzyć. Mam ochotę uderzyć go tak mocno, że jego śliczne oczęta wypadną z oczodołów.

– Sama musisz przyznać, że nie możesz mieć pewności – kontynuuje. – Bez przyznania się do winy albo ujrzenia, co dokładnie się wydarzyło, nigdy nie będziesz wiedziała na pewno.

Odsuwam krzesło od stołu, szurając nim głośno po betonie. Chcę być najdalej od Michaela, jak tylko się da. Jakim cudem kiedyś byliśmy przyjaciółmi? Bawiliśmy się, sprzeczailiśmy i płakaliśmy, kiedy druga osoba wpadła w tarapaty?

Czeka. Uważnie mnie obserwuje. Próbuję powstrzymać drobne mięśnie twarzy, by żaden grymas nie zdradził moich intencji. Oczywiście wiem, że powierzchownie sprawa jest wątpliwa. Oczywiście. Ile bezsennych nocy spędziłam, gapiąc się w gwiazdy, pragnąc

jakiegokolwiek dowodu? Nie tylko koszmary nie pozwalały mi zasnąć. Wątpliwości swędzą niczym strupy. Ale niezależnie od tego, jak bardzo wątpiłam, jak długo się zastanawiałam, zawsze wracałam do tego samego wniosku: wiem, że był w stanie to zrobić. Chciał to zrobić. Sam to powiedział. Jak mówią w serialach kryminalnych – miał narzędzia, motyw i sposobność. Wiedział, że nikt go nie powstrzyma, nikt go nie ukarze.

Boyboy przedstawił mi kiedyś pewną teorię naukową. Czyjaś brzytwa. Według niej najprostsza odpowiedź jest prawie zawsze tą prawidłową. Czy jakoś tak. Pan G. jest złym człowiekiem. Powiedział, że zabije mamę, a potem ona została zamordowana. Kto inny miałby to zrobić? Nie potrzebuję więcej dowodów. Jestem pewna, że to on za tym stoi.

Jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Ale to właśnie z tym jednym procentem mnie rozmawia teraz Michael. I on o tym wie.

Nienawidzę tego jednego procenta.

– Oto moja propozycja, możesz się zgodzić albo nie.

– Nie.

– Może jednak najpierw mnie wysłuchasz? *Ngai*, zawsze byłaś taka uparta.

Krzyżuję ręce na piersi.

Michael mówi powoli i ostrożnie:

– Chcesz się dowiedzieć, kto zabił twoją matkę.

– Wiem, kto zabił moją...

– Poczekaj – przerywa. – Wysłuchaj mnie. Chcę odzyskać to, co zabrałaś z dysku taty. Proponuję następujący układ: pomogę ci się dowiedzieć, kto zabił twoją mamę, tak żeby nie pozostały żadne wątpliwości. Zdobędziemy dowód. Poznamy powody. Mam dostęp do miejsc i ludzi, do których sama się nie dostaniesz. Mam pieniądze. Ludzie będą chcieli zrobić coś dla mnie, porozmawiać ze mną. Dowiemy się, kto za tym stoi, jeśli obiecasz, że oddasz mi to, co zabrałaś z komputera.

– Po pierwsze, kto powiedział, że jestem w stanie powstrzymać wyciek danych, które ukradłam? Mówiłam ci: nie są już w moich rękach.

– A możesz to powstrzymać?

Przez dłuższy czas nie odpowiadam. Nie rozumiem, w co pogrywa. Dlaczego nie próbuje zapłacić mi za milczenie? Dlaczego przejmuje się tym, czy jego ojciec zabił tę osobę czy nie? Czy naprawdę wierzy, że jego tata by go nie okłamał? Że postępuje zgodnie z jakimkolwiek kodeksem honorowym?

– A co jeśli się okaże, że twój tata jednak to zrobił?

– Nie zrobił.

– Daj spokój, Michael, to brzytwa Oaxaca.

– Co? Masz na myśli brzytwę Ockhama?

– Wszystko jedno. Słuchaj, nie mówię, że się zgadzam – bo się nie zgadzam – ale na potrzeby tej rozmowy przyjmijmy, że jednak tata ją zabił.

– Wtedy opublikujesz informacje. Zrobisz z danymi, cokolwiek zechcesz.

Marszczę brwi. Fakt, że nie mogę go przejrzeć, doprowadza mnie do szału.

– Wcale tak nie myślisz – mówię. – Jeśli zgodzę się na twój plan, wyrolujesz mnie. Pozbędziesz się mnie. Czemu miałabym ci ufać?

Nagle w jego oczach pojawia się błysk. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy bije z nich nienawiść czy coś innego, ale zawsze to jakaś emocja.

– Zrobiłaś się wyrachowana. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

Śmieję się.

– Przyjaciółmi? Zamknąłeś mnie w celi. Twój tata zabił moją mamę. Pochodzisz z gangsterskiej rodziny z wyższych sfer. Skąd wniosek, że jestem wyrachowana, a nie po prostu mądra?

Pociera szczękę.

– Jeśli jesteś mądra, to będziesz chciała się ze mną zgodzić. Będziesz chciała poznać prawdę, podobnie jak ja. Ta część ciebie się nie zmieniła.

Wstaje i otwiera drzwi, szykując się do wyjścia. Kiedy znów spogląda na mnie, jego oczy już nie błyszczą, a twarz znów przypomina maskę.

– Mogę zaoferować ci jeszcze jedno. Kamera, którą widziałas w tunelu. Ta, która powinna była nagrać morderstwo twojej matki. Nagranie zniknęło, ale wiem, kto je ma. To pewnie chwilę zajmie, lecz mogę je zdobyć.

Oto jest. Kość. Łapię oddech.

– Kto? Kto je ma?

– Powiem ci, jeśli zgodzisz się ze mną współpracować. Przemyśl to. Wrócę za godzinę.

Dziesięć

Beton tłumi dźwięk moich kroków, gdy chodzę po pokoju.

Nagranie, nagranie. Wszystko w czerni i bieli. Czy on mówi poważnie? Naprawdę jest w stanie je zdobyć? Ile to potrwa? Kłamie? Nagranie. Dowód. Kto je ma? Dlaczego? Gdzie ono jest?

Nagranie, nagranie.

Dziesięć kroków do drzwi, osiem kroków do łóżka, pięć kroków do stołu. Od początku.

Mówię sama do siebie:

Jeśli mówi prawdę, jeśli jest w stanie je zdobyć, będę wiedziała na pewno. Zobaczę, jak ją zabija.

Trzymaj się planu, Drobinko. Jesteś tak blisko.

Jestem? Wydaje mi się, że utknęłam w potrzasku.

Zrobił to. Zabił ją. Musi za to zapłacić.

Jej morderca musi za to zapłacić.

A jeśli to nie on?

To był on. Wiesz, co widziałaś.

Ale jeśli...

Zamknij się, procencie!

Ale choć walczę sama ze sobą, wiem, że Michael ma rację. Oczywiście, że chcę wiedzieć wszystko. A jeśli mu odmówię i stracę jedyną szansę, by zobaczyć to, o czym myślałam przez te wszystkie lata?

Co zrobiłby hrabia?

Czy mogłabym współpracować z Michałem bez wiedzy Goondan? Boyboy twierdzi, że odszyfrowanie danych Greyhilla zajmie tydzień. Robal wie, że musimy trochę poczekać. A gdyby udało mi się grać na dwa fronty? Tylko przez krótką chwilę. Nikt nie musi wiedzieć.

Myśl zatrzymuje mnie w pół kroku. A jeśli nawet nie udało nam się przesłać wszystkich danych z twardego dysku Greyhilla?

To nie ma znaczenia. Włamałaś się raz, możesz to zrobić ponownie.

Taa, włamałam się i zostałam złapana.

Tam i z powrotem, mija dobre pół godziny, gdy tak liczę kroki, a wciąż nie podjęłam decyzji.

Masz plan. To dobry plan: brudy, pieniądze, krew. Poświęciłaś dużo czasu, żeby go opracować.

Nie zadziała, jeśli nie zdobędę brudów.

Nie, udało się przesłać dane. Masz brudy. Boyboy je odszyfruje. Za kilka dni Omoko zacznie się dopominać o pieniądze. Tak czy inaczej, będziesz musiała je dla niego zdobyć. Nie obchodzi go morderstwo mamy. Jeśli nie zabił jej pan G., Omoko nie uśmiechnie się i nie powie: Nic nie szkodzi, Drobinko. Nieważne. To tylko miliony szylingów. Zapomnijmy o tym.

Taa, wiem.

Michael kłamie. Nie ma nagrania.

Ale... A jeśli jednak jest?

Jestem pewna, że pan Greyhill to zrobił. Jestem pewna.

Jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Mama poradziłaby mi, żebym się pomodliła. Może do świętego Ignacego, który pomaga nam podejmować decyzje. Ale nie znam modlitwy do niego. Znam tylko jedną modlitwę – do Świętej Katarzyny. Od pięciu lat nie zmawiałam żadnej innej.

Michael może wrócić w każdej chwili. Stoję naprzeciw gołej ścianie. Wpatruję się w nią już tak długo, że mam mroczki przed oczami.

Co mam zrobić?

Co postanowić?

Próbuję odepchnąć wszystkie inne myśli i skoncentrować się na tym, co naprawdę istotne: na ukaraniu mordercy mamy. Prawdziwego mordercy.

A jej prawdziwym mordercą jest Roland Greyhill.

Chyba że nie jest.

Czy mogę odmówić Michaelowi, wiedząc, że prawda może gdzieś tam być, a ja mam szansę do niej dotrzeć? Czy to nagranie pokazałoby mi mordercę? Czy pokazałoby, jak pan Greyhill pociąga za spust? Czy miałabym ostateczną pewność? Taką na sto procent?

Sądziłam, że bycie cierpliwą idzie mi coraz lepiej. Czekałam pięć lat, snułam plany, ćwiczyłam się w zemście, jak nauczał mnie pan Omoko. Każdy element był na swoim miejscu – jak u hrabiego. Czy mogę wymagać od siebie jeszcze więcej cierpliwości?

Rozglądam się po celi. A czy mam jakikolwiek wybór?

Co robi mi Michael, jeśli odmówię? Nie dbam o swoją śmierć, ale co z Kiki? Co z karą dla mordercy mamy? Nic z tego się nie wydarzy, jeśli tu utknę.

Istnieje reguła dotycząca tej chwili, ale nie chcę o niej teraz pamiętać. Nie podoba mi się ta zasada. Staje mi kością w gardle. Ale nieustannie dudni mi w głowie. Gorzej dla ciebie, Drobinco. Może nie podobają ci się reguły, ale wciąż musisz grać zgodnie z nimi.

ZASADA NUMER 10: JEŚLI STAWKI SĄ WYSOKIE, GRAJ NA ZWŁOKĘ.

Rozgrywaj długą, cierpliwą grę.

Nauczyłam się tego, obserwując Robalą.

Robal różni się od innych Goondan. Dlatego jest prawą ręką pana Omoko. Regularnie go obserwowałam, ponieważ na długo po tym, jak domyśliłam się, co motywowało wszystkich pozostałych, wciąż nie mogłam pojąć, co napędza do działania jego. Musisz wiedzieć, czego chce Goonda, żeby się tym nie stać. Pierwszego dnia odgadłam, czego pragnie Keczup. Podniecało go krzywdzenie mniejszych i słabszych od niego. Proste. Nigdy więcej nie dałam mu szansy, by mógł mnie zranić. Ale rozgryzienie jego brata było trudniejsze.

Robal to najbardziej zdystansowany kot, jakiego kiedykolwiek dostrzeżesz. Nigdy nie spoglądał na mnie tak jak inni Goondanie. Zdobywał dziewczyny, kiedy chciał, ale nigdy na żadną z nich nie patrzył. Nie na poważnie. Nie tak, jakby je chciał. Nie napala się też na kasę, samochody czy grube złote łańcuchy. Sprawia wrażenie, jakby widział na

wylot przez to wszystko i dokładnie rozumiał, ile tak naprawdę jest warte.

Nie chce pieniędzy. Nie chce dóbr materialnych. Ale nie chodzi o to, że nie ma pragnień. Pragnie czegoś. Pragnie tego w tym samym stopniu, w jakim ja pragnę zemsty. Jest tego głodny – śmiertelnie wygłodniały. Jakiego „tego”? Czym jest „to”? Pewnego dnia, gdy odwiedził nas pan Omoko, wreszcie się dowiedziałam.

Omoko zatrzymał się, by porozmawiać ze swoim najlepszym porucznikiem, a na zakończenie konwersacji wyciągnął rękę i poklepał Robala po głowie niczym ulubionego psa. Nikt prócz mnie tego nie widział; nikt nie powinien był tego widzieć. Pan Omoko nie poniżyłby swojego pierwszego oficera na oczach pozostałych. Po prostu chciał coś udowodnić. Równie dobrze mógł powiedzieć: „Widzisz? To jest właśnie władza. Jesteś tak blisko niej, ale niech ci nawet nie przejdzie przez myśl, że ją masz. Masz jedynie to, co ci dałem. I z uśmiechem na ustach mogę ci to odebrać”.

Robal nie wzdrygnął się ani nie strząsnął ręki swego pana. Dlatego Robal jest inny niż wszyscy. Ujrzałam to, co umknęło panu Omoko, coś znajomego. Szef Goondan wypatrywał niesubordynacji i jej nie znalazł, ale powinien był spojrzeć głębiej. Ja dostrzegłam to z daleka, w szybkim zaciśnięciu i rozluźnieniu dłoni Robala, w sposobie, w jaki odprowadzał wzrokiem odchodzącego pana Omoko, także na długo po tym, jak już go nie było.

Tego dnia stało się dla mnie jasne, czego pragnie Robal. Chce czegoś, co należy do Omoko i co tylko on może zrobić. Najchętniej zabierze mu to gwałtownie. Pan Omoko nosi swoją koronę niedbale, jakby mu na niej nie zależało, ale Robal będzie ją hołubił i tulił z równą troską, z jaką matka tuli główkę niemowlęcia. Czekaając na odpowiedni moment, będzie się zachowywał niczym dobry pies, lojalny i oddany.

Szkoli oddziały Omoko na dręczycieli i oprychów. Prowadzi ich na krwawe rajdy przez ulice innych gangów, rozszerzając imperium Goondan. Wysyła dziewczyny na ulice i upewnia się, że wraz z nastaniem świtu trafia do niego ich zarobek. Podaje mi nazwiska oraz adresy domów i firm, które mam splądrować. Wymierza kary, gdy ktoś z nas okaże nieposłuszeństwo. Jeśli Goonda zacznie powątpiewać w to, kto tu rządzi, Robal go naprostuje: zwykle wystarcza rozmowa, przypomnienie o czyichś kostkach przykutych do betonowych bloków. Bloków, które zrzuca się z pomostu.

Rekiny kochają Robala.

Robi wszystko, co każe mu Omoko. Brudzi sobie ręce, żeby szef szefów nie musiał tego robić. Zjada ochłapy z pańskiego stołu i nigdy nie narzeka. Brata trzyma blisko siebie. Wie, że rodzina będzie go wspierać, kiedy nadejdzie pora.

Robal cierpliwie czeka na odpowiedni moment, by ugryźć.

Myślę o hrabim, o Robalu i mamie. Myślę o tym, jakiego rodzaju zemsty potrzebuję i na co jestem w stanie się zdobyć, by do niej doprowadzić.

Gdy wraca Michael, jestem gotowa.

Jedenaście

– Jeśli mamy to zrobić, chcę opuścić salę tortur – mówię. – To po pierwsze.

Michael unosi brew.

– Jesteś jedyną znaną mi dziewczyną, która nawet pojmana nadal się szarogęsi. A to nie jest komnata tortur.

Teraz ja unoszę brew.

– Nie jest to też apartament w pięciogwiazdkowym hotelu.

Michael otwiera usta, ale nie daje mu dojść do słowa:

– Po drugie: ile czasu zajmie ci zdobycie nagrania?

Unika mojego wzroku.

– Nie jestem pewien. Kilka tygodni?

– Masz pięć dni.

– Pięć?! Dlaczego?

– Pytałeś, czy jestem w stanie powstrzymać dane przed publikacją. Mogę to zrobić, ale tylko przez krótki czas. Ludzie na nie czekają. Nie chcesz, by czekali zbyt długo. Pięć dni to i tak wspaniałomyślność.

– Osiem – burczy Michael.

– Mogę poprosić o tydzień. Ale niczego nie obiecuję.

Bierze głęboki oddech.

– Dobrze, w porządku. Ale pracujemy stąd. Nie możesz opuścić tego miejsca.

– Komnaty tortur?

– Nie. Domu.

Cofam się.

– Mówisz poważnie? Mam pracować z twoim tatą nad głową? To absolutnie wykluczone.

– Chyba upadłaś na głowę, jeśli sądzisz, że tak po prostu pozwolę ci stąd wyjść – mówi Michael. – Zostajesz. Będziesz moim gościem.

– Twoim „gościem”. Jasne. A jak zamierzasz wytłumaczyć moją obecność swoim rodzicom?

– Mam pewien pomysł. Popracuję nad nim jeszcze. Wracają dopiero jutro.

Koncepcja pozostania tutaj, w domu pana G. – bez zabijania go – wydaje mi się niemożliwa. Ale rozumiem punkt widzenia Michaela. Ja też nie zaufałabym sobie na tyle, by mnie wypuścić i liczyć, że dotrzymam słowa. Przez sekundę rozważam, czy nie zaproponować, że jednak zostanę w komnacie tortur.

Rzecz w tym, że jeśli nie zdobyłam wszystkich danych, muszę wrócić do biura pana G. Czy jest lepszy sposób, by tam wejść, niż będąc mile widzianym gościem? Wzdrygam się. W porządku, znając panią Greyhill, „mile widziany” to za dużo powiedziane.

– W porządku – mówię. – Rozważę zostanie twoim gościem. Ale muszę mieć kontakt ze swoim współnikiem.

– Dlaczego?

– Bo tak. To z nim muszę pomówić o niepublikowaniu brudów na temat twojego taty.

- Należy do Goondan?
- Masz coś do nich?
- No cóż, właśnie złapałem jednego z ich członków, jak rabował mój dom.

Przewracam oczami.

- Nie jest Goonda. To chodzący mózg.
- Dobrze, możesz do niego dzwonić.

Kręcę głową.

- Muszę zobaczyć się z nim osobiście. W mieście.

Michael chmurzy się, ale ostatecznie jego podbródek drga w geście przyzwolenia.

- Ale pójdę z tobą.

– Zobaczymy. Michael? – robię pauzę, by zwrócić jego uwagę. – Lepiej żebyś nie kłamał w kwestii tego nagrania.

- Nie kłamię. Nie mógłbym kłamać w takiej sprawie. Znasz mnie przecież.

Ignoruję ostatnie zdanie.

– I jesteś świadom faktu, że prawdopodobnie zobaczysz na nim, jak twój ojciec morduje moją matkę? Ryzykujesz równie wiele, co ja. Na pewno jesteś gotowy na tego rodzaju prawdę?

Wygląda, jakby miał mdłości, ale potakuje.

– Ponieważ kiedy już będę mieć pewność, że twój tata to zrobił, nie zawaham się. Zapłaci za to.

Michael nagle spogląda na mnie tak, jakby ujrzał mnie po raz pierwszy.

Dobrze. Taka jestem.

Wyciąga dłoń. Błada blizna w kształcie półksiężyca po wewnętrznej stronie jego ręki odznacza się na skórze. Przez krótką chwilę stoję jak wryta, niezdolna unieść ręki. Widzę siebie w wieku pięciu lat, stojącą przed nim, tak samo jak stoję teraz. Oboje mamy świeże rany. Kim się stałam? Michael nie ma pojęcia, jak daleko się posunę, by ukarać jego ojca.

Ale już nie ma odwrotu. Ściskam jego dłoń i potrząsam nią.

Kiedy wreszcie prowadzi mnie do wolnego świata, znów jest noc. Czuję się, jakbym spędziła wieczność w podziemiach, ale Michael mówi mi, że jest dopiero sobota. No, technicznie już niedziela rano. Moja piątkowa wizyta u Kiki wydaje się odległym snem. Nie przechodzimy ponownie przez gabinet – zamiast tego Michael prowadzi mnie dalej tunelem i otwiera drzwi, które wiodą na zewnątrz. Muszę się powstrzymać, by go nie odepchnąć, kiedy czuję pierwszy powiew świeżego powietrza.

Drzwi ukryte są za grubym pękiem gałęzi. Spoglądam w górę i dostrzegam pnącza bugenwilli i jaśminu, wspinające się po ścianie, w której wycięto drzwi.

- Jesteśmy poniżej tarasu – mówię.

Nagle uświadamiam sobie, gdzie dokładnie się znajdujemy.

- Przeszliśmy przez drzwi *mokele-mbembe*.

Michael wygląda na zaniepokojonego.

– Tak. Wreszcie odkryłem, co jest za nimi. Okazało się, że nie jest to smok. Kilka lat temu tata dał mi klucz, na wypadek gdyby doszło do włamania i musielibyśmy uciekać przez tunel.

Popycha mnie, bym przeszła pod pnączami, i unosi dłonie, aby strażnik patrolujący teren zobaczył go i nie strzelał. Mamy udawać, że jestem przypadkową panienką, z którą baraszkował w krzakach. Michael sądzi, że strażnicy będą po prostu udawać, że niczego nie widzieli, i pozwolą mu zabrać mnie do domu. Gdy mi to wyjaśniał, wydawało mi się, że plan brzmi głupio, ale potem uświadomiłam sobie, że Michael jest jednym z najbogatszych chłopaków w Sangui, w dodatku wygląda całkiem nieźle, w sposób charakterystyczny dla uczniów szkół z internatem. Może takie sytuacje miały już miejsce w przeszłości. Może zdarzają się na tyle często, że to całkiem normalne.

Próbuję nie myśleć o tarzaniu się po ziemi z Michaelem i przeczesuję pamięć w poszukiwaniu wspomnień o tym, co Philippe, stary ogrodnik, mawiał o *mokele-mbembe*. Jako dzieci Michael i ja znaliśmy każdy centymetr ogrodu Greyhillów. Nie było szansy, byśmy przegapili tajemnicze, zamknięte drzwi na wpół schowane pod pnączami. Ale gdy zapytaliśmy Philippe'a, co jest w środku, wyjaśnił nam, że gdy wiele lat temu przybył tu z Kongo, przywiózł w kieszeni *mokele-mbembe*.

„Co to *mokele-mbembe*?”, zapytaliśmy.

„Wspaniałe i przerażające monstrum, żyjące w bagnach i rzekach, czyhające na dzieci na płycznach. Złapałem malucha i został moim zwierzakiem”, odparł.

Ale mała jaszczurka wyrosła na wielkiego smoka, zbyt dużego, by trzymać go w chacie. Philippe umieścił go więc w pokoju za drzwiami, gdzie kąpie się w basenie, a jego zadaniem jest pożeranie intruzów. Gdy zapytaliśmy, czy moglibyśmy go zobaczyć, Philippe odparł: „Jesteście pewni? Uważa ciekawskie dzieciaki za najsmaczniejszy kąsek”.

Gdy Michael bierze mnie za rękę i uśmiechając się z zażenowaniem, prowadzi w snop światła latarki strażnika, zapach nocnego ogrodu przywołuje więcej wspomnień. Wspomnień, które były tak pogrzebane i zaginione, że ledwo mogę uwierzyć, jak świeże i jasne się wydają. Nagle przypominam sobie inne noce w naszej chacie na końcu podwórza, gdy budziłam się przez koszmary, moja mała siostra płakała, a łóżko matki było puste. Kołysałam się, biorąc Kiki na ręce i kołysząc, aż znów nie zasnęła, gdy powtarzałam jej, że jest głupiutkim maluchem, robiącym niepotrzebne zamieszanie.

Rankiem mama zawsze się pojawiała i uciszała mnie, gdy dopytywałam, gdzie była. „Nigdzie. Masz zwidy”, mówiła.

Moje nocne koszmary w końcu ustały, Kiki spała aż do świtu, a ja zapomniałam o nieobecności mamy. Aż do teraz, kiedy znów ujrzałam drzwi *mokele-mbembe*. To tam chodziła? Te drzwi otwierała każdej nocy, by spotkać się z panem G.?

Myśl o tym, że stała w miejscu, w którym ja stoję teraz, sprawia, że robi mi się niedobrze.

Strażnicy pozwalają nam przejść, tak jak się spodziewaliśmy. Michael obejmuje mnie i mruga do nich. Uśmiechają się, a ja muszę walczyć ze sobą, by nie powalić go na glebę. Potrafię to zrobić. Robal mnie nauczył.

Michael prowadzi mnie do pokoju gościnnego, jednego z wielu. Staje w drzwiach i obserwuje, jak badam otoczenie: ciężkie meble z tekowego drewna, z misternymi rzeźbieniami w klasycznym stylu suahili, szerokie okna przystrojone jedwabiem, mającym przysłaniać kraty, zapewniające bezpieczeństwo, ogromne łóżko, upstrzone

poduszkami i otulone zwiewną moskitierą. Pokój wygląda jak pałac maharadży. Za same durnostojki na komodzie można by opłacić rok szkoły Kiki.

Tak bardzo chciałabym wrócić do mojego domu na dachu, że czuję to w zębach.

– Jak zamierzasz wytłumaczyć rodzicom moją obecność, kiedy wrócą? – pytam.

– Pozwól, że ja będę się o to martwić.

– Nie nakablujesz na mnie swojemu tacie, prawda?

– Czy wypuszczałbym cię z piwnicy, gdybym zamierzał cię wydać?

– Złapałeś złodzieja. Na pewno byłby dumny ze swojego synka.

Michael nie reaguje na moje docinki.

– Gdybym to zrobił, oddałabyś to, co ukradłaś?

– Nie.

– Więc po co miałbym to robić? – Brzmi tak, jakby wyjaśniał dziecku coś bardzo prostego. – Jeśli zamierzamy wyjaśnić tę sprawę razem, musisz zacząć mi ufać.

Nie podoba mi się jego ton, ale ma rację. Wyciągam dłoń w jego stronę.

– Skoro sobie ufamy, oddaj mi telefon.

– Co? Nic z tego.

– Hipokryta. – Uśmiecham się z wyższością. – Niby jak inaczej mam podjąć kroki, by powstrzymać ujawnienie danych twojego taty?

Michael przygląda mi się badawczo. Wreszcie ciężko wzdycha i sięga do kieszeni.

– Dobrze. – Wciska mi telefon w dłoń. – Nic nie kombinujesz, tak? Mamy umowę.

– Nigdy nie kombinuję – odpowiadam.

– Jasne, już to widzę.

Zaczynam zamykać drzwi do mojego pokoju.

– Muszę zadzwonić. Na osobności. To nie podlega negocjacom. Znajdę cię za kilka minut. Nie martw się, nie dzwonię po posiłki.

Michael sprawia wrażenie, jakby chciał się spierać, ale ostatecznie mówi:

– Mój pokój znajduje się na końcu korytarza, trzecie drzwi na prawo.

– Wiem, gdzie jest twój pokój.

Jakaś emocja pojawia się na jego twarzy, ale zanim zdążę ją zidentyfikować, Michael odwraca się i odchodzi. Zatraskuję za nim drzwi i zamykam na zamek. Później stoję przy nich przez kilka sekund, nasłuchując, czy nie zawrócił, żeby podsłuchiwać. Ja bym tak zrobiła. Niczego nie słyszę, ale i tak idę do łazienki, zamykam drzwi i na wszelki wypadek odkręcam wodę w błyszczącej białej umywalce.

Boyboy odbiera po pierwszym sygnale.

– O mój Boże, Tina, to ty? Czy...?

Słyszę szmer, a potem:

– Drobinko? Gdzie do diabła jesteś?

Mavi. Nie ten głos chciałam usłyszeć.

– Część, Keczup – mówię cicho.

Więcej szmerów, a potem:

– Joł, Drobinko, co tam? – mówi Robal. Przełącza mnie na głośnik. Jego słowa są proste, ale w głosie pobrzmiwa ten ton. Nienawidzę tego tonu. Słyszę w nim krew. – Nawijaj, Drobinko. Przymknęli cię czy co?

Rozglądam się po łazience. Wszędzie biały marmur i złota armatura. Puchate ręczniki wyglądają jak morska piana.

– Powiedzmy. Chcę rozmawiać tylko z tobą, Robal – mówię.

Słyszę utyskiwania Keczupa, ale po chwili głos Robala wyraźnie rozbrzmiewa w moim uchu:

– W porządku. Gdzie jesteś?

Cieszę się, że nie stoimy twarzą w twarz. Silniejsi ode mnie załamywali się i moczyli spodnie pod jego spojrzeniem.

– Wciąż jestem w środku.

Milczy, więc dodaję szybko:

– Ale wszystko gra. Michael, syn pana G., mnie nie wyda. Ani glinom, ani jego ludziom.

Nadal cisza.

– Nie mówiłam mu nic o tobie ani o nikim innym. Wiesz, że nie zrobiłabym tego. – Nie jest to całkowite kłamstwo... – Uwięził mnie, ale go przechytryłam. Ufa mi. W pewnym sensie.

– To dzieciak Greyhilla? Twój mały chłopak z dawnych lat?

– Uhm... Tak, mój przyjaciel. To znaczy teraz już nie; nie jest...

– Posłuchaj – przerywa mi Robal – Boyboy nie jest pewien, czy mamy wszystkie dane z twardego dysku.

Mój żołądek się kurczy.

– Mogę tam wrócić. Michael chce, żebym została tu trochę z uwagi na dawne czasy.

Następuje dłuższa przerwa. A potem:

– Wciąż masz przy sobie potrzebny sprzęt?

– Zniszczył przejściówkę USB, ale mogę zdobyć drugą od Boyboya – mówię.

– Boyboy zostanie z nami, dopóki nie stwierdzi, ile danych mamy.

Shonde. Boyboy kazał mi obiecać, że nie pozwolę, by za bardzo w to wsiąknął. Pewnie teraz panikuje, siedząc samotnie w magazynie pełnym Goondan. Ale wiem, że w oczach gangu to ja ponoszę winę za spieprzenie skoku. W takiej sytuacji nie mogę liczyć na przysługi. Tak długo, jak jest tam Robal – tłumaczę sobie – Keczup będzie się pilnował.

– Kiedy Boyboy skończy, wypuść go do domu, żeby mógł mi przynieść nową przejściówkę – mówię. Pilnuję swojego tonu, aby prośba nie zabrzmiała jak rozkaz.

– Będiesz miała problem z powrotem do gabinetu, jeśli zajdzie taka potrzeba? – pyta Robal. – Ten cały Michael nie będzie ci siedział na ogonie?

– Mogę to zrobić. Tym razem nie zawalę.

Następuje pauza, podczas której słyszę tylko oddech Robala. Trybiki w jego głowie pracują, rozpatrują wszystkie możliwości, modyfikując plan w taki sposób, by go satysfakcjonował.

– W porządku – mówi wreszcie. – Lepiej, żeby tak było.

Dwanaście

Kończę rozmowę z Robalem, czekam pięć minut, a potem wysyłam do Boyboya SMS-a: „777”. To nasz kod na „Zadzwoń teraz”. Czekam, tupiąc nerwowo. Michael wkrótce zacznie się zastanawiać, gdzie jestem.

W odpowiedzi otrzymuję wiadomość: „Papier zwycięża kamień”.

– Daj spokój, Boyboy, muszę z tobą porozmawiać – szepczę. „Papier zwycięża kamień” to nasz kod na „Nie jest bezpiecznie/Nie mogę”. Ale zważywszy na to, że utknął w magazynie z grupą oprychów, rozumiem to.

Boyboy: „Nożyce”.

Dobrze. Spotkamy się osobiście (nożyce = nogi). Musi to oznaczać, że Robal pozwoli mu wyjść. Chcę z nim porozmawiać sam na sam.

Boyboy: „Kup cztery banany w sklepie na rogu”.

Ten kod miał być prosty; gdyby ktoś zobaczył tę wiadomość, mógłby pomyśleć, że oznacza spotkanie o godzinie czwartej w konkretnym sklepie. Tak naprawdę muszę zajrzeć do wczorajszego rozkładu promów, by się dowiedzieć, o której dokładnie mamy się spotkać. Miejsce już znam. To dopiero jutro, więc miejmy nadzieję, że do tego czasu będzie miał dla mnie dobre wieści. Może po prostu gra na zwłokę, mówiąc Robalowi, że nie jest pewien, czy wszystkie dane się przesłały.

Już mam zamiar ruszyć do pokoju Michaela, kiedy dostaję ostatniego SMS-a: „Dobrze, że nic ci nie jest”.

Gdy znajduję Michaela, siedzi na podłodze w swoim pokoju, oparty plecami o łóżko, przed otwartym laptopem. Zamykam za sobą drzwi i chłonę wzrokiem otoczenie: ogromny telewizor, sprzęt do grania, plakaty zespołów, o których nigdy nie słyszałam, zdjęcia Michaela w składach drużyn rugby.

Siadam tak blisko niego, jak to konieczne, bym mogła zobaczyć, co robi na komputerze.

– Więc gdzie jest nagranie?

Zamyka laptopa.

– Za dużo byś chciała, wiesz o tym?

– Daj spokój, Michael. Powiedz mi chociaż, kto je ma.

Przygląda mi się przez moment. Takich rzesz zazdrościłaby mu każda dziewczyna. Czuję na karku dziwne łaskotanie. Serio, Tina? Musisz doznawać pierwszych oznak syndromu sztokholmskiego, skoro zauważasz oczy ładnego chłopca.

Splatam ręce na piersi.

– No więc kto?

Michael bierze głęboki wdech.

– David Mwika.

Moje usta otwierają się bezwiednie.

– Co? Sądziłam, że on nie żyje! Wiesz, gdzie jest?

Mwika był szefem ochrony pana Greyhilla aż do nocy, gdy zamordowano moją matkę. Później zniknął. Złożył zeznania na policji i tyle go widziano. Zapadł się pod ziemię. Wierz mi, próbowałam go namierzyć. Boyboy spędził godziny, szukając

w internecie jakiegokolwiek śladu. Facet zniknął.

– Poczekaj. – Marszczę brwi. – Mwika nie zabił mojej matki. Wiesz o tym, prawda?

– Ta, wiem. Mam nagranie z kamery – przez całą noc grał w karty w swojej stróżówce. Spójrz. – Michael ponownie otwiera komputer i zaczyna szukać.

– Widziałam je. – Powstrzymuję go gestem.

– Widziałaś? Jak?

– Są w aktach sprawy w kartotece policyjnej.

– Jakim cudem masz jej akta...

– Dlaczego sądzisz, że Mwika ma nagranie? – przerywam mu.

Michael spuszcza wzrok.

– Ponieważ tak powiedział mój tata, kiedy zapytałem go o morderstwo twojej mamy. Powiedział, że tego nie zrobił, a nagranie, na którym widać sprawcę, zniknęło.

Mój entuzjazm rozbija się, staje w płomieniach i umiera.

Otwieram i zamykam usta dwukrotnie, zanim udaje mi się odpowiedzieć:

– Jesteś jeszcze większym idiotą, niż sądziłam! – Zrywam się na nogi. – Oczywiście, że morderca powiedziałby, że dowód, który może go uniewinnić, przepadł, a zabrał go akurat człowiek, który tamtej nocy zniknął w tajemniczych okolicznościach! Jakie to wygodne! – Moja frustracja narasta. – Jaka byłam głupia, że cię posłuchałam. Mwika nie żyje! Rekin go zżarł i wysrał. A nagranie zniknęło. Twój tata je skasował.

Ruszam w stronę drzwi.

– Nie wierzę, że się na to zgodziłam. Spadam stąd.

– Hej! Poczekaj! – Michael również wstaje. – Mamy umowę!

Chwyta mnie za ramię.

– Zrywam umowę! Opierasz się na śmierdzących danych. – Próbuję strząsnąć jego dłoń. – Mówiłeś, że jesteś w stanie zdobyć nagranie, ale już wiem, że kłamałeś!

– Przestań! Nie kłamałem. Pozwalasz, by twój osąd przesłaniała ślepa nienawiść do mojego taty!

– Puść mnie! – Próbuję wykręcić rękę i uwolnić ją z uchwytu, ale Michael jest zbyt silny.

– Nie, póki mnie nie wysłuchasz!

– Mam dość słuchania – rzucam. – Puść mnie albo zacznę krzyczeć!

– Tina! Możesz się uspokoić?

Przestaję się stawiać, ale pozostaję w gotowości.

– Po co Mwika miałby chcieć dostać to nagranie? Co najwyżej, żeby... Nie wiem, szantażować twojego tatę?

– Może jest tam jeszcze coś, czego nie chciał nikomu pokazać. Może Mwika był w to zamieszany.

– Powiedziałaś, że strażnicy nie wiedzą o tunelu. Oznacza to, że nie wiedzieliby też o kamerze.

– Nie wiedzą teraz, ale tata zwolnił wszystkich po śmierci twojej mamy. Zanim to się stało, Mwika wiedział o tunelu, i może powiedział o nim mordercy. Może to on był mordercą. Może drugie nagranie, na którym gra w karty, zostało sfalszowane.

Rozluźniam rękę. To prawda. Nawet jeśli Mwika jej nie zabił, mógł być w to zamieszany. Jeśli cokolwiek z tego, co mówi Michael, jest prawdziwe, to właśnie to.

Michael powoli mnie puszcza.

– Warto go wytropić, prawda? – pyta. – Mam pieniądze, a przeczucie mówi mi, że on ich potrzebuje.

– Dlaczego?

– Z uwagi na to, gdzie jest.

– A gdzie jest?

Michael splata rękę na piersi.

– Masz mnie za tak głupiego? Przecież jeśli teraz ci powiem, zaraz cię tu nie będzie.

Mrużę oczy, patrząc na niego.

– Myślę, że jesteś dość głupi. Naprawdę wiesz, gdzie jest? A może to też powiedział ci tatuś?

– Wiem, gdzie jest – zapewnia Michael. – Nie martw się. Po prostu... trudno do niego dotrzeć. Ale skontaktuję się z nim. – Podchodzi do łóżka i siada na nim. – Daj spokój – dodaje – zawarliśmy umowę. Dotrzymaj jej.

Mózg mi podpowiada, że jeśli go posłucham, będę idiotką. Może kłamać w żywe oczy. A jeśli nawet nie kłamie, to prawie na pewno sam został okłamany przez ojca. Prawie na pewno. Głupi jeden procent. Nie pozwoli moim stopom podążyć w stronę drzwi. A jeśli Mwika naprawdę ma nagranie? Co mam do stracenia, zostając tu do czasu, aż Michael się z nim skontaktuje?

Głowę, jeśli Omoko nie dostanie swoich pieniędzy na czas.

Dumę.

Wypuszczam z płuc powietrze z głośnym westchnieniem i mówię:

– Dobrze.

Niedorzeczne. Jesteś niedorzeczna, Drobinko. Gdyby to był ktokolwiek inny, już by cię tu nie było. Ale choć przyznaję to z bólem, Michael jest jedyną osobą na świecie, wyłączwszy mnie, którą kiedykolwiek interesowało, co naprawdę stało się z mamą tamtej nocy. Na długo przed tym, zanim zawarliśmy tę umowę, pytał swojego ojca o to morderstwo. A to wymagało odwagi. Może jest ślepy, wierząc mu, ale przynajmniej obchodzi go to na tyle, by się nad tym zastanawiał.

Powoli siadam na dywanie.

– W porządku – Michael mówi ostrożnie, jakby nie chciał mnie odstraszyć zbyt dużym entuzjazmem. – Nie wariuj, ale chcę ci coś zasugerować. Podczas gdy będę pracować nad sprawą Mwiki, możemy rozpocząć własne śledztwo. Skoro mamy tylko tydzień, powinniśmy podejść do tego poważnie i rozpatrzyć temat logicznie. Może nagranie ujawni mordercę, a może nie. Wciąż jesteśmy w stanie uprzedzić fakty i rozważyć, kogo zaliczymy do grona podejrzanych. Wtedy, jeśli nagranie nie pokaże nam tego, na co liczymy, będziemy mieć inne punkty zaczepienia.

Wykrzywiam twarz w grymasie.

– Chcesz się bawić w detektywa?

– Nie chcesz wiedzieć, *dlaczego* twoja mama została zamordowana, a nie tylko kto to zrobił? – odbija piłeczkę.

Gryzę się w język, zanim wypalę, że dobrze wiem, kto to zrobił i dlaczego. Jest już zbyt późno, żebyśmy zaczęli tę dyskusję od początku.

Michael podnosi z łóżka skoroszyt i zaczyna go kartkować. Mimowolnie przysuwam się bliżej, próbując zobaczyć, co robi.

– Co to jest? – pytam.

Wyciąga jeden z dokumentów i przytula do piersi, tak żeby nie mogła nic zobaczyć.

– Po tym, jak wczorajszej nocy porozmawiałem z ochroniarzem, a zanim do ciebie wróciłem, poszedłem się upewnić, że z gabinetem taty wszystko w porządku. Jego komputer się zawiesił i znalazłem na ekranie to. Wydrukowałem kopię, zanim go wyłączyłem. – Wreszcie podaje mi kartkę. – Ja, yhm, pomyślałem, że chciałabyś to mieć.

Zasycha mi w ustach.

Zdjęcie, które znalazłam tuż przed tym, zanim Michael mnie nakrył. Wpatruję się w nie wygłodniałym wzrokiem.

– To twoja mama, prawda? – Spuszcza wzrok. Wie, że tak.

Widzisz? Czy możesz mnie winić za to, że się zdekoncentrowałam? Moja matka i inna dziewczyna promiennie się do mnie uśmiechają. Są młode, w szkolnych mundurkach, obejmują się wzajemnie w pasie. Za nimi kwitną kwiaty. Wśród moich wspomnień nie ma takiego uśmiechu matki. Druga dziewczyna wygląda zawadiacko, jakby flirtowała z fotografem. Czuję drapanie w gardle. Pomijając stare zdjęcie na identyfikatorze uchodźcy, nie mam żadnych fotografii mamy.

– Próbowałem sprawdzić, co jeszcze jest na twardym dysku, ale wszystko było chronione hasłem. – Michael czeka chwilę. – Kim jest dziewczyna obok niej?

Wreszcie podnoszę wzrok.

– Cała zawartość dysku jest zaszyfrowana – rzucam z werwą. – Mój partner w interesach nad tym pracuje.

Ostrożnie składam wydruk na pół, a potem jeszcze raz i chowam do stanika.

– Hej, to potrzebne w sprawie! – sprzeciwia się Michael.

– Nie zamierzam go wyrzucić. I nie nazywaj tego sprawą.

– Nie wiesz, kim jest druga dziewczyna?

– Nie.

– Ale...

– Powiedziała, że nie wiem.

Czuję, jak papier pali moją skórę na piersi. Brzmię, jakbym kłamała, ale naprawdę nie wiem. Przyjaciółka? Krewna?

– Co jeszcze masz w tym skoroszycie? – pytam.

Michael waha się, ale ostatecznie ponownie sięga po papiery.

– Za mało. Próbowałem znaleźć kogoś, kogo dałoby się przekupić, by zdobyć akta policyjne twojej mamy, ale z tego, co zrozumiałem, już je masz.

– Nie ma w nich nic przydatnego.

– Wciąż chciałbym je zobaczyć. – Przegląda segregator i zatrzymuje się przy grubym pliku spiętych arkuszy. – Masz swoje akta imigracyjne?

Potrzebuję kilku sekund, by zorientować się, co ma na myśli.

– Dokumenty z procesu przyjmowania uchodźców? – pytam. – Masz je? Jakim cudem zdobyłeś je tak szybko?

Unika mojego wzroku.

– Już je miałem.

Marszczę brwi.

– Dlaczego?

– Rok temu szukałem ciebie i Kiki. Próbowałem odnaleźć twoją rodzinę, do której mogłyście się udać...

– Jak zdobyłeś te akta?

– Bycie rozpieszczonym, bogatym dzieciakiem ma swoje zalety. Możesz kupić wiele rzeczy. – Zerka na mnie kątem oka. – Ale nie byłem w stanie znaleźć nic poza tym. Nikogo tutaj, nikogo w twojej wiosce w Kongo, nic.

– Wiesz, z której wioski pochodzę?

– To jest w dokumentach.

– Co jeszcze w nich jest? – Sięgam po arkusze, ale unosi je nad głowę.

– Daty urodzin, zdjęcia, tego typu rzeczy. I wszystkie notatki z przesłuchania twojej matki, zanim pozwolono wam tu legalnie zostać. Musiała opowiedzieć, czemu opuściła Kongo, by zyskać status uchodźcy.

– Wszystko tam jest? Powód ucieczki?

Próbuję ukryć zdziwienie. Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie wpadłam na to, że nasze akta z biura ONZ do spraw uchodźców mogłyby zawierać przydatne informacje. Ich urzędnicy zawsze wydawali się tacy bezużyteczni. Od śmierci mamy musiałam tam chadzać, by kilkakrotnie odnowić dokumenty moje i Kiki, ale oni pytają tylko o to, gdzie mieszkamy i czy chodzimy do szkoły. Gdy tam idziemy, czeszę włosy i zakładam ubranie zakrywające tatuaże; mówię im, że Kiki chodzi do prywatnej szkoły z internatem i pobiera stypendium. Ja mieszkam u miłej rodziny i chodzę do państwowej szkoły, ponieważ nie jestem tak mądra, jak moja młodsza siostra, ale poza tym jestem równie wspaniała. Ja się uśmiecham, oni się uśmiechają, a gdy pytają, odpowiadam, że nie, „nie angażuję się w stosunki seksualne o podłożu ekonomicznym” ani „nie uciekam się do niewskazanych strategii przetrwania”, ani nie robię nic, co mogłoby podpadać pod prostytutkę lub handel narkotykami o bardziej subtelnej nazwie.

Jako że mój przypadek nigdy nie wymagał z ich strony faktycznej pracy, lubią mnie. Dostajemy pieczątki w papierach i idziemy w swoją stronę. Gdyby nie to, że Kiki potrzebuje dokumentów do szkoły, nie zawracałabym sobie tym głowy. Tatuaże Goonda to zwykle wystarczający dowód tożsamości dla każdego, kto cokolwiek znaczy.

Ale nie miałam pojęcia, że mama powiedziała im, co jej się przydarzyło. Nikt w ONZ nigdy mnie nie zapytał, czemu opuściłyśmy Kongo.

– Masz całe akta? – Wspinam się na palce, próbując wyszarpać papiery z rąk Michaela, jego ramiona są jednak dłuższe. Sięgam wyżej, zbliżając się do jego klatki piersiowej na mniejszą odległość, niżbym chciała. Jest ciepły, pachnie ostro, chłopięco. W ten dobry, a nie zły sposób.

Weź się w garść, Tina.

– Te szkoły, do których rzekomo chodzicie, to kłamstwo, prawda? – pyta. Nasze

twarze są bardzo blisko siebie.

Odpuszczam sobie dokumenty i odsuwam się.

– No i? Skąd wiesz?

Iskra gniewu nareszcie pojawia się w jego zielonych oczach.

– Słuchaj, to ty odeszłaś, nie mówiąc nikomu ani słowa. Od pięciu lat zastanawiam się, co się z wami stało. – Patrzymy na siebie. W jeden chwili Michael przestaje wyglądać uroczco. – Gdzie jest Kiki?

– Nic jej nie jest – zapewniam oziębło.

– Ale gdzie jest?

– To nieistotne.

– Przestań. To tak samo moja siostra, jak i twoja.

– Wcale nie! – Oczywiście, że tak! Ten sam tata, pamiętasz? To, że ją zabrałaś i uciekłaś, niczego nie zmienia.

Mam ochotę się z nim kłócić, choć wiem, że technicznie rzecz biorąc, ma rację. Ale Kiki nigdy nie będzie jego siostrą w takim stopniu, jak moją. Wypuszczam powietrze z płuc.

– Jest w szkole przyklasztornej. Tutaj, w Sangui. Jest bezpieczna – robię pauzę. – To najmądrzejsze dziecko w klasie. Ma stypendium.

– Dlaczego ty tam nie chodzisz?

Ponieważ jestem zbyt zajęta planowaniem zemsty na twoim ojcu, myślę, ale mówię tylko:

– Ponieważ przyznają jedno stypendium na rodzinę.

– Zapłacilibyśmy za ciebie.

Wstaję gwałtownie. Zaczynam się czuć jak zaszczute zwierzę.

– Słuchaj, możemy wrócić do tematu, który nas tu sprowadził? Ty i Kiki może i macie tego samego ojca, ale to, gdzie ona chodzi do szkoły, nie ma nic wspólnego z morderstwem mamy.

– Jak chcesz – stwierdza chłodno. Wyciąga gruby pakiet papierów ze skoroszytu i podaje mi.

Chwytam go chciwie i opadam z powrotem na podłogę. Szybko kartkuję strony, próbując przyswoić wszystko na raz. Zamieram, gdy docieram do zdjęć. Jest tu jedna fotografia mamy i jedna moja, gdy miałam sześć lat; obie mamy potargane włosy i dołeczki w policzkach. Zwalniam. Zbliżenie na oparzenia i cięcia na rękach mamy, a potem strona zatytułowana „Historia prześladowań”.

Michael siada obok mnie. Czyta mi przez ramię, gdy skanuję wzrokiem pierwsze linijki:

„Główny wnioskodawca (GW) to samotna kobieta z plemienia Nyanga, pochodząca z Kiwu Północnego w Demokratycznej Republice Konga (DRK). GW spełnia definicję uchodźcy, ponieważ wykazała, że jej ucieczka z kraju pochodzenia była spowodowana uzasadnionym strachem przed prześladowaniami na tle narodowościowym oraz z uwagi na przynależność do określonej grupy społecznej (ofiara przemocy na tle etnicznym i kongijska kobieta w grupie ryzyka) oraz nie jest w stanie lub – z uwagi na strach – nie chce wracać do DRK. (Konwencja dotycząca statusu uchodźców z 1951 roku,

artykuł 1 (A) (2) oraz protokół z 1967 roku). Jej strach uzasadniony jest aktualnymi warunkami obiektywnymi panującymi w kraju pochodzenia, potwierdzonymi przez najnowsze informacje tu zawarte, opisujące polityczną sytuację i kwestię praw człowieka w DKR”.

Pomijam większość prawniczego bełkotu i czytam dalej:

„Wdowa. Mąż został zabity podczas ataku na jej wioskę...”.

Wdowa? To się nie zgadza.

Spoglądam na Michaela.

– To trochę osobiste sprawy. Mogę cię przeprosić?

Zawstydzam go.

– I tak już to czytałem – mówi, ale wraca na łóżko. Zabiera ze sobą laptopa.

Ponownie spoglądam na dokument. Moja matka nigdy nie była mężatką. Jediną rzeczą, którą kiedykolwiek powiedziała o moim staruszku, było to, że powinnam się cieszyć, iż nigdy go nie poznałam. W każdym razie nie sądzę, by wzięła ślub. Na pewno nigdy nie wspomniała przy mnie o swoim mężu, nie nazywała też siebie wdową.

Kontynuuję lekturę. Inne szczegóły też się nie zgadzają.

– Pochodzimy z Kasisi, nie z Walikale – mruczę pod nosem.

To błędy czy może matka okłamała ONZ? Dlaczego miałyby to robić? Zdezorientowana, gorączkowo zagłębiam się w tekst.

„Wioska została wielokrotnie zaatakowana, kiedy kobieta była młoda – zarówno przez antyrządowe grupy milicji różnych etniczności, w tym Mayi-Mayi i M23, jak i przez rządowych żołnierzy. Rebelianci i żołnierze rządowi dokonywali równie dotkliwych napadów na wioskę, by zdobyć jedzenie i żywy inwentarz dla swoich armii. Często przy tym ranili lub zabijali mieszkańców. Wieśniaków także porywano i siłą wcielano do oddziałów milicji lub wykorzystywano jako niewolników...”.

Jak na razie brzmi standardowo. Tę historię znają wszyscy stąd. Nieopłacani żołnierze rządowi są źli, a grupy milicjantów są tylko trochę gorsze.

„Rzeczonego dnia wioska wnioskodawcy stała się celem dotkliwego ataku, podczas którego kobieta była zmuszona uciekać ze swoją małą córeczką. Mąż został zabity podczas ataku. Razem z córką jeszcze tego samego dnia uciekła do Bukavu...”.

Zatrzymuję się, ponownie czytam ostatni akapit, sprawdzając, czy nic nie przegapiłam.

– To się nie zgadza – mamroczę. – Pominęli wszystko o... A może im nie powiedziała?

– Czego? – pyta Michael.

Wzdrygam się na dźwięk jego głosu. Prawie zapomniałam, że tu jest, tak bardzo koncentruję się na dopasowaniu treści dokumentów do moich nielicznych wspomnień. Zerkam na niego, a potem wracam do czytania.

– Oszaleję przez ciebie, Tina. Co tam burczysz? Gadaj!

Powiedzieć mu czy nie?

– Przekręcili nazwę naszej wioski – stwierdzam wreszcie.

– Tylko tyle?

Spuszczam wzrok.

– Ta.

Po co mam mu tłumaczyć, że to, co pamiętam, znacznie się różni od tego, co jest w dokumentach? Nie mogę mu ufać. Poza tym to raczej nie ma nic wspólnego z morderstwem mamy.

Michael jednak tego nie kupuje.

– Tina, jeśli widzisz coś, co mogłoby nam pomóc rozwikłać...

– Wyrzucili cię ze szkoły, prawda? – Moje pytanie zaskakuje go, tak jak tego oczekiwałam. – To dlatego jesteś w Sangui, a nie w Szwajcarii, prawda? To nie są ferie. Sprawdziłam. Musiałam się upewnić, że cię tu nie będzie.

– Ja... Ja nie zostałem wyrzucony. Jedynie zawieszony.

– Za co?

Michael robi pauzę, zaciska szczęki.

– Za bójkę – mówi, po czym dodaje:

– Zmieniasz temat.

– Bicie ludzi? Jaki ojciec, taki syn, co? – rzucam, skanując wzrokiem resztę strony.

Nie ma wiele więcej w naszej historii prześladowań. Szczegóły dotyczące przybycia do Sangui, ale żadnej wzmianki o tym, jak mama znalazła pracę u pana G. Z notatek wynika jedynie, że utrzymywałyśmy się z kościelnych darów, a czasem mama dorabiała, opiekując się dziećmi innych osób i piorąc ubrania. Wywiad musiał być przeprowadzany, zanim dostała tę posadę. Albo o tym też nie wspomniała.

– Ten chłopak nazwał mnie mieszańcem.

Spoglądam na niego. Maski spadła. To oczywiste, co czuje Michael: jest wkurzony. Z jakiegoś powodu rumienię się i odwracam wzrok, jakbym to ja go przezwała.

– Rozumiem – mówię.

Michael wzdycha i zamyka laptopa.

– Zakończmy na dziś, dobrze? Dochodzi trzecia, a moi rodzice powinni wrócić wcześniej rano. Będą tu na śniadanie, przed wizytą w kościele.

Czuję dreszcze przebiegające po szyi. Już prawie zapomniałam, że za kilka krótkich godzin będę musiała stanąć twarzą w twarz z panem Greyhillem. Zanim zdążę zasugerować, że może ukryję się w szafie i będę trzymać kciuki, żeby służące tam nie sprzątały, Michael mówi:

– Wszystko przemyślałem. Powiem rodzicom, że wpadłem na ciebie na lotnisku, kiedy wracałem.

– Na lotnisku? – dziwię się. – Dlaczego? Nigdy nie byłam na lotnisku.

– Wracałaś ze swojej szkoły z internatem.

Teraz już muszę się roześmiać.

– Szkoły z internatem? Michael, skończyłam naukę po podstawówce. Umiem czytać, tylko dlatego że kradnę książki bogatym ludziom.

– Wolałabyś im tłumaczyć, co robiłaś przez tyle czasu w Sangui?

– Powiem, że mieszkalam... no nie wiem... z kuzynami czy coś?

– Będzie nam łatwiej, jeśli przedstawimy cię jako czystą i szanowaną. A nic tak nie imponuje mamie, jak europejska szkoła z internatem. – Michael lustruje mnie z góry na

dół. – Musisz zakryć te tatuaże. I najpierw powiemy tacie. Będzie chciał, żebyś tu została, i nakłoni mamę, żeby się zgodziła.

Unoszę brew.

– Dlaczego miałby chcieć, żebym została?

Michael wydaje z siebie rozdrażnione westchnięcie.

– Ponieważ on też się martwił, kiedy zniknęłaś. Troszczy się o ciebie i Kiki.

– No przecież – ironizuję, ale Michael mnie ignoruje.

– Jak mówiłem, najpierw przeciągniemy na naszą stronę tatę. W innym przypadku mama znajdzie jakiś sposób, by się ciebie pozbyć. Wiesz, jaka jest. Zachowuje się jak biała bardziej od ojca.

Pamiętam. Jak mogłabym zapomnieć te wszystkie spojrzenia, którymi obrzucała moją matkę, ale przede wszystkim mnie, kiedy zostałam przyłapana na zabawie z Michaeliem? Pani Greyhill to na dobrą sprawę członkini rodziny królewskiej Sangui. Jej ród działa głównie w branży nieruchomości, ale macza też palce w polityce, mediach, spedycji. Nie traktuje dobrze uchodźców z marginesu, takich jak ja.

Nie wspominając o tym, że jej mąż miał dziecko z moją matką.

O, tak, będzie zabawnie.

– Powinnaś powiedzieć, że chodzisz do szkoły w Paryżu – rozmyśla Michael. – Oni nigdy nie jeżdżą do Paryża. Możesz wymyślać, co chcesz. Powiesz, że masz stypendium, jak Kiki. Mówisz po francusku, prawda?

– Nie. Miałam pięć lat, kiedy opuściłyśmy Kongo.

– No cóż... Wszystko jedno, moi rodzice też nie znają francuskiego.

Zaczynam się martwić.

– Ale ja nie wiem nic o szkole z internatem. Ani o Paryżu. Nie mam też żadnych ubrań.

Michael gestem zbywa moje protesty.

– Trzymaj się podstaw. Paryżanie są nieuprzejmi. Chodzisz do klasy o profilu prawniczym. Zajęcia są ciekawe, ale historia świata za bardzo europocentryczna.

Gapię się na niego.

– Euro... po... co?

– Jenny ma mnóstwo ubrań. Szafa w twoim pokoju jest pełna jej rzeczy. Weź, co chcesz. Ma tego tyle, że nikt nie zauważy.

Biorę się pod boki.

– A może po prostu pójdę do domu, a ty możesz wyjść i spotkać się ze mną potajemnie gdziekolwiek indziej.

Pomysł, bym udawała uczennicę szkoły z internatem, jest wystarczająco kiepski, ale przebywanie obok pana G. przez kilka dni, a może nawet tydzień? Nie byłabym w stanie mieszkać z nim pod jednym dachem tak długo i go nie zamordować.

Michael jednak potrząsa głową.

– Mama już zapowiedziała, że mam szlaban przez to zawieszenie. Może dam radę się wymknąć na kilka godzin, ale resztę czasu muszę tkwić tutaj.

– Nie wiem...

Pomyśl o pierwszym kroku w swoim planie, Drobinko. Nie wiesz, czy udało ci się

zdobyć wszystkie brudy z dysku twardego. Powiedziałaś Robalowi, że tu zostaniesz, na wypadek gdyby konieczne było ponowne włamanie do gabinetu pana G. To twoja szansa, by to zrobić tuż pod ich nosem.

– No zgódź się – nalega Michael. – To tylko kilka dni. Dopóki nie rozgryziemy całej tej sprawy z twoją mamą. Później możesz znów wyglądać i cuchnąć jak Goonda, obiecuję.

– Hej! – Patrzę na niego wilkiem.

Obdarza mnie krzywmy uśmiechem.

– No co? Trochę cuchniesz.

Gryzę się w język, by nie zareagować. Dobrze wychowana uczennica szkoły z internatem nie uderzyłaby nikogo, nawet gdyby na to zasługiwał. Muszę tu zostać tylko do czasu zdobycia danych. Później przemyślę wszystko od początku. A jeśli mam być szczerą, może jest we mnie malutka część podekscytowana na myśl o oszukiwaniu Greyhillów.

– Przemyślę to. – Wstaję i ruszam w stronę drzwi. – Jeśli zastaniesz mnie tu rano, będziesz wiedział, co zdecydowałam.

– Umowa to umowa, Tina. – Ton Michaela jest pozornie lekki, ale słyszę też ostrzejsze nuty. – Nie możesz odejść. Jeśli chcesz znaleźć Mwikę i to nagranie, musisz tu zostać i trzymać się mojej wersji.

Omijam go wzrokiem, błędząc po ścianach pokoju. Zastanawiam się, w jaki sposób mam sobie z tym wszystkim poradzić: z jego ładnym domem, z jego zabawkami, z jego wyszukaną zagraniczną szkołą, z jego możliwością zawierania umów i składania obietnic... nawet z jego ojcem. Nie wiem, czy to nerwy wzbudzają mój żołądek, czy co innego. Poczucie winy? Nie. Odpycham od siebie tę myśl.

– W porządku – mówię. – Niech ci będzie. Klasa prawnicza i euro-coś.

Trzynaście

Po tym, jak mama i ja zamieszkałyśmy u Greyhillów, jedna ze służących opowiedziała nam o figowcu dusicielu. Jedno z tych drzew rzucało cień na chaty służby, a Michael i ja bawiliśmy się w nim, wspinając się między pokrzywionymi gałęziami, podczas gdy mama i inne kobiety łuskały fasolę.

– Kiedy jest młoda i smukła – mówiła służąca – figa dusiciel zakrada się do dumnego, silnego drzewa z nosem w chmurach i śpiewa do niego, pieści je, karmi słodkimi figami, a potem otula ramionami. Z czasem uścisk figi staje się ciaśniejszy i ciaśniejszy, a ona pełźnie w górę po pniu drugiego drzewa i wyciąga się w stronę światła. W końcu dumne drzewo, zamknięte w środku, uświadamia sobie, że się dusi, ale jest już za późno. Dlatego czasem widuje się wydrążone dusiciele. Znajdujące się wewnątrz drzewo uschło. Figa dusiciel jest sprytna, ale zła.

– Nie – wtrąciła moja matka, ściągając fartuch, zawiązany na rosnącym brzuchu. Odłamki łupin z fasoli, którą łuskała, rozsypały się. Do jej stóp podbiegły kurczaki, pochylając się i dziobiąc, jakby była bogiem.

– Nie jest zła – powiedziała. – To tylko drzewo. Radzi sobie. Przeżywa.

Budzę się przerażona. Przez sekundę nie mogę sobie przypomnieć, gdzie jestem. Próbuję wyplatać się z kłębowiska pościeli i koców. Jest późno. Spałam zbyt długo w tym zbyt wygodnym łóżku. Promienie słońca wpadają przez okno pod kątem, który sugeruje, że jest późny poranek.

Pokój wypełnia intensywny zapach kawy i tostów smażonych na maśle. Słyszę głosy. Greyhillowie wrócili – uświadamiam to sobie, a moje wnętrzości skręcają się jak dżdżownice. Przeklinam się za to, że zasnęłam. To nie była część mojego planu. Miałam wstać wcześniej i być gotowa na spotkanie z nimi, a nie zwlekać się z łóżka, ze śladami pościeli odcisniętymi na twarzy, gdy już dawno wszyscy są na nogach.

Michael powiedział, że jego rodzice najprawdopodobniej zjedzą śniadanie i wyruszą prosto do kościoła. Może będę w stanie ich unikać, póki nie wyjdą? Ale nie, to wzbudziłoby podejrzenia, a poza tym, jeśli faktycznie mam tu zostać, będę musiała skonfrontować się z nimi w jakimś momencie.

Wkładam dzinsy i T-shirt, przyglądam włosy. Gdy idę w stronę drzwi, mijam lustro i staję jak wryta. O, rety...

– Nikogo nie oszukasz, Tina – mówię do swojego odbicia.

Mam podkrążone oczy. Moje krótkie włosy są czyste, ale spłaszczone z jednej strony. Bezkształtne, czarne uliczne ubrania sprawiają, że wyglądam jak włamywaczka, którą jestem, i nijak nie przypominam dziewczyny ze szkoły z internatem.

Michael powiedział, że w szafie są ubrania – nadmiar pozostawiony przez jego siostrę, Jenny. Wzdycham i idę do szafy, po drodze zrzucając z siebie koszulkę i dzinsy. Otwieram drzwi.

Słowo „nadmiar” nie ujmuje tego dość dobrze. To raczej eksplozja.

Szafa jest zapchana sukienkami, koszulami i dzinsami od projektantów. Cekiny i kwiaty. Neony i cętki. Wyszywany kryształkami jedwab i dziewicza, śnieżnobiała bawełna. Pełna gama tradycyjnych sukien w orientalne wzory *kanga* na ważniejsze

wyjścia. Buty, całe tuziny butów, zaścielają podłogę. Piętnastocentymetrowe szpilki i sandały ze złotymi paseczkami. Niektóre wyglądają, jakby nigdy nie były noszone.

Nurkuję w tym wszystkim, świadoma tego, że mogę nigdy się nie wynurzyć. Jenny jest o dwa lata ode mnie młodsza, pamiętam ją jako małe dziecko z umorusaną twarzą, które snuło się za mną i Michaeliem, żądając, byśmy uwzględnili je w naszych zabawach. Ta szafa jednak nie wskazuje na to, że korzysta z niej *dziecko*. Zakładam, że w wieku czternastu lat Jenny może już się poszczycić figurą, jakiej ja nigdy nie będę mieć. Te sukienki wymagają idealnych kształtów. Przebijam się przez wieszaki, aż w końcu znajduję zieloną bluzkę, zdolną zakryć moje tatuaże, oraz džinsy, które nie mają na sobie brokatu. Ubrania są bardziej obcisłe od tych, jakie zwykle noszę, pocieram więc miękką tkaninę, nie czując się komfortowo z tak wyeksponowanym ciałem. Ale to chyba najskromniejsze z rzeczy, jakie ma w swej kolekcji Jenny, pewnie dlatego znalazłam je na tyłach szafy.

Przynajmniej jestem już czysta. Zeszłej nocy urządziłam sobie kąpiel i muszę przyznać, że jest to luksus, do którego mogłabym przywyknąć. Na swoim dachu zbieram deszczówkę do chłodnych kąpieli w wiadrze. Nie jest źle, ale gorąca woda płynąca prosto z kranu to mały cud, a zważywszy na to, w co zaraz się wpakuję, potrzebuję małych cudów.

Użyłam chyba każdej butelki pachnideł, które znalazłam w łazience. Niektórych dwukrotnie. Gdy brałam kąpiel, uświadomiłam sobie, dlaczego bogaci ludzie inaczej pachną: pachną bogactwem. Nie jak kwiaty – jak cały ogród botaniczny. Nakładanie szamponu i odżywki na włosy było niezwykłym doświadczeniem. Brud pod paznokciami okazał się nie być zwykłym brudem, ale plamami, które musiałam szorować, aż moje palce stały się świeże jak tuż po narodzinach. Jedynie myśl o pani Greyhill marszczącej nos po wyczuciu zapachu ulicy sprawiła, że się nie poddałam. Gdy wyszłam z wanny, zobaczyłam, że zostawiłam na białej porcelanie pierścień brudu.

Już ubrana, kopniakiem posyłam stare łachy pod łóżko, gdzie, jak mam nadzieję, służąca nie będzie zaglądać. Potem obracam się do lustra i spoglądam na efekt. Nie jest źle, przyznaję. Unoszę ramiona, żeby się nie garbić, i przeczesuję włosy, aż wyglądają w porządku. Warkocze byłyby lepsze, ale muszę jakoś sobie poradzić z moim krótkim afro. Upewniam się, że nigdzie nie wystaje mi fragment tatuażu. Uśmiecham się dziarsko.

Umiem się zachować. Plotkuję z przyjaciółkami o chłopakach. Zapytaj mnie, na którym uniwersytecie chciałabym studiować.

Przez sekundę pogrążam się w rozpacz. Dostrzegam w swoich oczach dzikie zwierzę, desperacko szukające drogi ucieczki, szczerzące zęby i wysuwające pazury.

Wyciągam z kieszeni zdjęcie mamy z młodości i wpatruję się w nie. Potem znów zerkam w lustro. Przysuwam się bliżej, szukając jej w swoim odbiciu.

– Dasz radę – szepczę. – Musisz tylko kłamać i się uśmiechać. Uśmiechać się i kłamać.

Po tej budującej przemowie umieszczam zdjęcie z powrotem w kieszeni, otwieram drzwi i przechodzę przez próg.

Kręcę się za rogiem jadalni, słuchając przytłumionej konwersacji i wyrafinowanego brzękania srebra o chińską porcelanę. Głosy sprawiają, że serce bije mi

szybciej.

Pani Greyhill mówi:

– Byłoby lepiej, rzecz jasna, gdyby Michael spytał nas o pozwolenie, *zanim* ją tu sprowadził, ale...

Słyszę za sobą kroki i odwracam się.

– Zaspalaś – mówi Michael.

– Która godzina? – Podwijam mankiety bluzki.

– Dochodzi dziesiąta. Chodźmy. – Zmusza się do uśmiechu. – Nie mogą się doczekać, aż cię zobaczą.

Bierze mnie za łokieć i bez dalszej zwłoki prowadzi do jadalni. Odchrząkuje, by zaanonsować moje przybycie. I nagle stoję przed Greyhillami niczym chłop prezentowany królowi i królowej. Przez sekundę nikt się nie porusza.

Pan G. zatrzymuje kubek kawy tuż przed swoimi ustami. Ma na sobie garnitur i krawat. Wpatruje się we mnie, jakbym miała dwie głowy. Pani G., z idealnie wyprostowanymi włosami i perłami w uszach, wygląda dokładnie tak samo, jak ją zapamiętałam, czyli pięknie i surowo. Może jest nieco bardziej sztywna i wygładzona. Jej twarz to obraz uprzejmej złośliwości. Mahoniowy stół rozciąga się pod łokciami obojga niczym czarna sadzawka. Jest tak błyszczący, że kryształ i porcelana odbijają się w nim na podobieństwo małych, białych łódeczek.

Nagle czuję się tak, jakby moje stopy powiększyły się o dwa rozmiary. Moją szyję drażnią krople potu, a ja martwię się, że serce bije mi niczym żaba uwięziona pod koszulą.

A potem pan G. wstaje i rusza w moim kierunku. Jestem przykuta do podłogi. Obejście stołu zajmuje mu całe wieki. Pani Greyhill obserwuje go. Jest bardzo blady, wysoki i kwadratowy. Jego ramiona, szczeka, uszy – wszystko jest równo ciosane, pod prostymi kątami. Oczy ma głęboko osadzone, ostro zielone, jak Michael – prawie jak u kosmity. Świdruje mnie nimi na wskroś.

Wyciąga rękę, by dokonać formalnego uścisku. Ujmuję ją w swoją lepką dłoń, próbując pamiętać o oddychaniu. Jestem tak blisko niego, tak blisko, że mógłby za wszystko zapłacić. Jest tutaj – przede mną. Moja dłoń dotyka jego dłoni. Czuję jego drogą wodę kolońską. Mogłabym w tej chwili podnieść ze stołu nóż i zatopić w jego piersi. Michael stoi koło mnie, wyraźnie spięty.

– Witaj, Christino. – Pan Greyhill wreszcie się odzywa. – Cieszymy się, że tu jesteś.

– Bardzo dziękuję za gościnę. – Słyszę własne słowa.

Michael trąca mnie krzesłem, aż podskakuję. Odchrząkuje, a ja domyślam się, co próbuje zrobić. Pozwalam, by mi je podsunął. Tak to się robi? Czuję się dziwnie. Omiatam wzrokiem talerze stojące przede mną. Wszystkie są niezwykle cienkie, ze złotymi brzegami. O Boże, czemu tu jest tyle sztucców?

Pani G., nie spuszczać ze mnie wzroku, bierze łyżeczek czarnej herbaty.

– Clotilde – mówi znad filiżanki – obsłużysz, proszę, naszego gościa?

Przy moim łokciu natychmiast pojawia się służąca. Udaje, że wcale nie rzuca mi ukradkowych spojrzeń, nakładając jedzenie na mój talerz. Musiały już dotrzeć do niej wieści, że powróciła córka zamordowanej pokojówki. Clotilde podaje jajka, tosty i owoce. Gdy nalewa mi herbatę, widzę, jak Michael z wielkim namaszczeniem bierze serwetę

i rozkłada na swoich kolanach. Robię to samo.

– Jestem... – zaczyna pan Greyhill, a potem spogląda na małżonkę i poprawia się: – Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że cię widzimy. Minęło wiele czasu.

– Dziękuję, panie Greyhill – mówię i zmuszam się, by dodać: – Dobrze was wszystkich widzieć. Dziękuję, że pozwoliliście mi się tu zatrzymać.

Michael spogląda nerwowo na swoją matkę, jakby czekał, aż stanie w płomieniach. Pod stołem wbijam paznokcie w kolano i powtarzam sobie, że mam się uśmiechać. Robię to i czuję się niedorzecznie, a potem, gdy już nie wiem, co zrobić, chwytam za swoją filiżankę. Pierwsze gorące krople lądują na mojej bluzce. Rumienię się z zażenowania.

– Michael mówi, że zostaniesz z nami przez kilka dni? – pyta pani Greyhill, obserwując moje zmagania z serwetą spod delikatnych łuków brwi.

– Jeśli państwo się zgodzą – odpowiadam.

– Cóż, Michael powinien zapytać o pozwolenie, zanim zaprosi gości...

– Oczywiście, że się zgadzamy – szybko mówi pan Greyhill. Jego twarz nie zdradza emocji. Nie wiem, czy mój pobyt cieszy go czy wręcz przeciwnie.

– Tak, jesteś tu mile widziana. *Karibu* – mamrocze pani Greyhill z zaciętym uśmiechem. – Ale gdzie byś się zatrzymała w innym wypadku?

– U ciotki – wyrywa mi się, a w tej samej chwili Michael mówi:

– U kuzynki.

Spoglądamy na siebie.

– To moja kuzynka – jąkam się – ale nazywam ją ciotką.

– Przekonałem ją, by zamiast tego została u nas – dopowiada Michael.

Jak ona to robi? Zastanawiam się, obserwując panią Greyhill. Usta się uśmiechają, a oczy ciskają sztyletami. Trudno oderwać od niej wzrok.

– Masz teraz ferie w szkole, skarbie? – pyta.

– Ymm, tak, proszę pani.

– Zabawne. Zastanawiam się, czemu Michael i Jenny ich nie mają.

Odpowiadam – mam nadzieję, że niewinnym – wzruszeniem ramion.

– To chyba francuskie święta.

– Ach, rozumiem. Francuzi lubią ciągle mieć wolne, prawda? Nie są zbyt zagorzałymi pracownikami.

Boże, niech ona przestanie się na mnie gapić.

– Tak, proszę pani. To znaczy nie.

Spoglądam na moje jedzenie z ogromną uwagą, jakbym nigdy wcześniej nie widziała jajka. Ponownie pocieram spocone dłonie o uda i myślę o mojej młodszej siostrze. Spodobałoby się jej tutaj. Wiedziałyby, jak się zachować. Zakonnice są surowe i założę się, że uczą ją odpowiednich manier przy stole. Może nawet miałyby to w genach, jakąś wrodzoną wiedzę o tym, jak jeść śniadanie ze swoim ojcem, którego sztućca użyć, jak rozmawiać z Greyhillami na ich poziomie.

Powinnam coś zjeść. Unoszę widelec, ale uświadamiam sobie, że każdy jest trochę inny. Czy to celowe? Rzucam kolejne ukradkowe spojrzenie na Michaela i podnoszę taki sam, jaki wzięł on.

Pani Greyhill z wdziękiem przesuwając swoje jedzenie po talerzu.

– Piękna koszula. Wydaje mi się, że Jenny ma taką samą.

Widelec wypada mi z ręki i ląduje na talerzu, zanim zdążę go złapać. Czuję pot zbierający się pod pachami pięknej koszuli.

– Ja...

Wtedy wkracza Michael:

– Linia lotnicza zgubiła walizkę Tiny. Powiedziałem jej, żeby pożyczyła rzeczy Jenny.

Oczy pani Greyhill zatrzymują się na plamie z herbaty, która wykwitła na moim dekolcie.

– Och.

– Bierz, cokolwiek potrzebujesz. – Pan Greyhill rzuca żonie ostre spojrzenie. – Proszę, Christino, czuj się tu jak w domu.

– Dziękuję panu. Nie jestem pewna, kiedy dostarczą mój bagaż...

– Czy w ogóle odnajdą twoje rzeczy – przerywa mi Michael, po czym zwraca się do rodziców: – Znalazłem ją w poczekalni. Wyglądała jak zagubione szcenię.

Iskra gniewu częściowo wypiera moją nerwowość. Chwytam się jej i obdarzam Michaela uśmiechem.

– Ja nie byłem zagubiona, jedynie mój bagaż.

Pani Greyhill wreszcie przesuwając wzrok ze mnie na cienki, złoty zegarek na swoim nadgarstku.

– Christino, pójdziesz z nami na mszę?

Ponownie Michael odpowiada za mnie:

– Nie sądzę, żeby Christina miała ochotę na wizytę w kościele. Zostaniemy tutaj.

Pani Greyhill trzepocze długimi rękami.

– Chciałabym, byście poszli z nami. Christina może pożyczyć jakieś ubrania od Jenny.

– Nie trzeba, Sandrine – mówi pan Greyhill. – Niech zostaną.

Widzę, że pani Greyhill chciałaby zaprotestować, ale nie przy mnie.

– Michael – pan Greyhill odzywa się ponownie. Patrzy teraz w gazetę.

Michael sztywnieje na swoim krześle.

– Tak, sir?

– Wykorzystasz dzisiejszy dzień, by dokończyć zadane w szkole prace domowe.

– Ja... Mam dużo...

Pan Greyhill potrząsa gazetą i rzuca synowi spojrzenie znad pierwszej strony.

Michael głośno przetyka ślinę.

– Tak jest, sir.

W ciszy, która następuje, pani Greyhill udaje się na powrót przykleić uśmiech do twarzy.

– Christino – zagaduje – Michael powiedział nam, że masz stypendium w zagranicznej szkole. Poszczyło ci się.

– Sama ledwo mogę w to uwierzyć – zgadzam się, zerkając na Michaela.

– A twoja siostra, Catherine? Wszystko u niej w porządku? – pyta pan G. i odkłada gazetę, żeby ostrożnie pomieszać swoją kawę.

Imię Catherine zbija mnie z tropu. Nawet nie przemyślałam, co mówić o Kiki. Jestem na siebie wściekła. Wreszcie potakuję.

– Chodzi do szkoły tutaj, w Sangui. Też ma stypendium.

– Obydwie jesteście wspierane przez anonimowych darczyńców – mówi pani Greyhill. – Macie tyle szczęścia. Większość sierot wiecie ciężkie życie.

Powstrzymuję chęć wspięcia się na ten piękny, mahoniowy stół i uduszenia jej.

– Tak, proszę pani.

– Zastanawialiśmy się, co się z tobą stało – wyznaje pan Greyhill.

– Powinnam była napisać – odpowiadam, próbując się pozbierać. – Ale po tym, jak moja matka... Po prostu chciałam zapomnieć.

Zbieram wszystkie siły, jakie mi pozostały, by zaprezentować im mój najlepszy uśmiech – uśmiech odważnej małej dziewczynki.

Przez sekundę spokój pana Greyhilla zostaje zachwiany, a jego twarz dziwnie wiotczeje.

– Oczywiście.

Pani G. pozostaje nieruchoma, ale widzę, jak napinają się ścięgna jej szyi.

– Clotilde – mówi na tyle głośno, by mnie przestraszyć.

Clotilde wynurza się zza drzwi, trochę za szybko. Uświadamiam sobie, że podsłuchiwała. Muszę na nią uważać.

Spieszy w naszą stronę z herbatą, ale pani Greyhill unosi wymanikiowaną dłoń, by ją zatrzymać.

– Powiedz szoferowi, że jesteśmy gotowi. Będę w foyer.

Nie mówiąc ani słowa więcej oraz nie patrząc na męża czy syna, wstaje i wychodzi z pokoju. Jej obcasy stukają rytmicznie.

Dźwięk zdenerwowanego staccato przeszywa mnie delikatnym podnieceniem. Pan Greyhill ociera usta, jego ramiona uginają się nieznacznie. On też wstaje.

W nagłej chwili inspiracji podnoszę się z krzesła, gdy wychodzą, bo widziałam, że ludzie robią tak na filmach. Michael spogląda na mnie – chyba się martwi, że mogę zrobić coś nieodpowiedniego.

Ale ja tylko się uśmiecham. W końcu jestem dobrze wychowaną młodą damą.

– Miłego pobytu w kościele, panie Greyhill – mówię.

– Dziękuję, Christino – odpowiada pan G., idąc w ślady żony.

– Proszę pomodlić się za moją matkę – szepczę w pustą przestrzeń, którą za sobą zostawia.

Czternaście

ZASADA NUMER 11: JEŚLI CHCESZ RUSZYĆ DO PRZODU, CZASAMI NAJPIERW MUSISZ WYKONAĆ ZWROT W TYŁ.

Mama powtarzała, że potrzebuję dobrych wzorców. Myślę, że miała na myśli świętych. Ale jeśli jesteś złodziejem, ktoś inny staje się twoim herosem. Catwoman. Robin Hood. Ale nie tylko oni. Są jeszcze inni, których powinnaś znać. Phoolan Devi, mściwa królowa bandytów z Indii. Zheng Shi, kapitan trzech setek statków na Morzu Południowochińskim, piratka twardzielka. Nie są to typowi idole. Większość z nich to mordercy. Nie dostaną nagrody za sportową walkę. Ale jeśli sądzisz, że nie postępowali zgodnie z jakimiś regułami albo nie rozróżniali dobra od zła, to jesteś w dużym błędzie.

Co mają ze sobą wspólnego? Cóż, to dobrzy złodzieje – w przeciwnym razie przecież nie byłiby sławni. Ale inna wspólna cecha uczyniła ich złodziejami i wyjęła spod prawa: wszyscy mają w sobie zamknięte własne małe demony. Furię, która żąda krwi. Łuskowate, wyposażone w pazury potwory, które urodziły się w chwili, gdy ze światem było tak źle, że wszystko stało się możliwe, także powstanie tych monstrów.

Ponieważ to właśnie się wydarzyło. W jakimś momencie każdego z nich ktoś skrzywdził. Bardzo skrzywdził. Tak bardzo, że zamienił w potwory. Kazano im wyjść za mąż w wieku dwunastu lat. Sprzedano jako prostytutki, by spłacić długi ojca. Stręczono, traktowano jak rzeczy. Poturbowano, niemal doszczętnie zniszczono.

Niemal.

Sprawdź. Przekonasz się.

Każdej akcji towarzyszy reakcja równa co do wartości i kierunku, lecz przeciwnie zwrócona – tak mówi Boyboy. Działania moich bohaterów nie są skrajne. Oni po prostu robią to, co konieczne, by przywrócić równowagę we wszechświecie.

Cofnij się, by iść do przodu.

Dziewczyna zwykle nie przechodzi przez całe szkolenie Goondan. Wysyłają ją na ulicę w krótkiej spódnicy lub, jeśli ma szczęście, biega na posyłki. Ale pan Omoko powiedział Robalowi, żeby dla mnie zrobił wyjątek, więc trenowałam razem z chłopcami, by zostać jednym z jego żołnierzy.

Postanowiłam postawić przed sobą proste cele, zanim przejdę do tego, jak dokładnie zamierzam wcielić w życie moją zemstę. Na początek chciałam szybciej biegać, lepiej się wspinać, skuteczniej walczyć, być sprytniejsza, wtapiać się w cień, być bardziej nikim niż którykolwiek z chłopców Goonda.

Wyprowadziłam się z magazynu i znalazłam lepsze mieszkanie na dziko: mój dach. Goondanie jeszcze go nie znaleźli i zamierzam utrzymać ten stan. Chciałam się upewnić, że nigdy więcej nie obudzę się z cudzą łapą w kieszeni. Ale wracałam każdego ranka, pierwsza gotowa na trening Robala: walkę, taktykę, posługiwanie się bronią. Bardziej przypominamy armię niż gang.

Początkowo zostałam starta na proch jak każdy chłopak. Ale w końcu nauczyłam się walczyć skutecznie, być szybka i nasłuchiwać cichych kroków skradających się za mną. Nauczyłam się, jak ranić innych, a także jak nie dać po sobie poznać, że sama

zostałam zraniona. Trening nie był łatwy, ale szybko się zorientowałam, że wolę ból od pustki. Mały potwór wewnątrz mnie karmił się przemocą i rósł w siłę. Wyobrażałam go sobie jako zielonego tygrysa z olbrzymimi zębami. Był cichy, grasował po klatce moich żeber i oblizywał wargi.

Częścią treningu był bandytyzm. Wysyłano nas, byśmy obserwowali, jak robią to starsi chłopcy. Szli do sklepikarzy i prosili o „czaj”. Jeśli nie pojawiał się zwitek banknotów, palce były łamane, towar niszczony, a córki lustrowane sugestywnym spojrzeniem. Próbowalam kilka razy, ale Robal nie był pod wrażeniem moich wyczynów. Najczęściej ludzie po prostu mnie wyśmiewali – małą dziewczynkę żądającą herbaty.

Zastanawiałam się, jak najlepiej wykorzystać swoją drobną budowę. Zaczęłam opracowywać własną wersję zderzenia i szybkiego ruchu nadgarstka, czyli podstawowej techniki kieszonkowców. Chciałam być znacznie lepsza, niż Keczup kiedykolwiek mógłby pomarzyć. Każdego dnia poświęcałam godziny na ustawianie ciała w szalonych pozach, dzięki czemu byłabym w stanie przeciskać się między prętami w oknach. Postanowiłam zaprezentować Robalowi, do czego jestem zdolna. Może znalazłby lepszy sposób na wykorzystanie moich umiejętności?

Pierwszym miejscem, do którego się włamałam, był dom lichwiarza. Moim zadaniem nie była to kradzież, ale zostawienie mu wiadomości namalowanej czarną farbą na ścianie salonu: „Cześć, rodzinie. Powiedz Babie, że ma zapłacić. Pozdrowienia, Goondanie”. Podziałało. Zapłacił. Już następnego dnia. Osobiście dostarczył pieniądze do magazynu. Znalazłam swoją niszę. Było dość Goondan, którzy potrafili łamać ręce i tłuc szyby w oknach. Ja miałam być skalpelem. Niech inni będą maczugami.

Stawałam się coraz lepsza w złodziejskim fachu, zaczęłam kraść pieniądze, biżuterię, elektronikę. A wkrótce, gdy zakradałam się do ciemnego sklepu albo kupieckiego domu czy też z choreograficzną precyzją poruszałam się wśród tłumu, by wpaść na wybrany cel, zorientowałam się, że jestem sobą bardziej niż kiedykolwiek. Byłam nową osobą. Złodziejką. Wytrzymałą, silną. Nie do złamania.

Kiedy przyszła pora na tatuowanie, nie było wątpliwości. Na sam początek poprosiłam o koło na jednym ramieniu, miecz na drugim, takie jak insygnia na karcie mamy z modlitwą do Świętej Katarzyny. Później zrobiłam kolejne, ale tylko te dwa miały znaczenie.

Wciąż musiałam ćwiczyć z resztą chłopaków. Biegaliśmy, wspinaliśmy się, biliśmy się między sobą. Czasami przychodził pan Omoko, by nas obserwować. W takich chwilach wszyscy chłopcy popisywali się. Omoko miał elitarną grupę ochroniarzy i wszyscy chcieli się do niej dostać, gdy dorosną. Krążył milion opowieści o pieniądzach, samochodach i dziewczynach, którymi cieszyli się zausznicy Omoko, ale on brał tylko najlepszych.

Robal kazał nam bić się między sobą przed Omoko. Nienawidziłam tego. Potrafiłam się bronić przed chłopakami, ale wciąż czułam się jak mała na sznurku, której każe się tańczyć. Inni Goondanie sądzili, że zwariowałam, jeśli nie zamierzam podlizywać się Omoko, ale ja nie dbałam o to. Wiedział, że nie chcę być jego ochroniarzem. Odbyliśmy ze sobą pogawędkę. Moje przeznaczenie kierowało mnie na inne tory.

Pan Omoko rzadko ze mną rozmawiał po tym pierwszym roku. Ale nie

przeszkadzało mi to. Jego milczenie wyrażało aprobatę, a tylko tego potrzebowałam. To była próba w kostiumach. Kiedy wykazałam, co potrafię, Omoko zaczął mi zlecać konkretne zadania. Robal mi je przekazywał. Najpierw proste: włamanie nocą do niestrzeżonego sklepu, śledzenie i kradzież kieszonkowa. Potem trudniejsze: dostanie się do domów strzeżonych – i przez ludzi, i przez zabezpieczenia elektroniczne. Włamania do sejfów. Kradzież nie tylko rzeczy, lecz też informacji. Kiedy zakoszono jego specja od IT podczas próby zhakowania konta mailowego polityka, powiedziałam: daj mi spróbować, znam chłopaka, który jest technologicznym geniuszem i wisi mi przysługę.

Nigdy nie zostałam złapana. Ani razu.

Aż do teraz.

Piętnaście

Rodzice Michaela są w kościele, a my przeglądamy wszystko, co mamy, licząc na świeże spojrzenie, dzięki któremu odnajdziemy nowe szczegóły dotyczące zamordowania mojej mamy. Dzień jest jasny i słoneczny, ale zamykamy się w pokoju Michaela i zasłaniamy rolety. To przesada, jednak lepiej tak, niż jakby miały nam przeszkadzać służące, a ogrodnicy widzieliby nas przez okna. Pewnie myślą, że siedzimy tu i się całujemy, zwłaszcza po scence, którą Michael odegrał przed ochroną poprzedniej nocy, ale wszystko mi jedno. Ludzie uważający, że bzykam się z paniczem domu, to najmniejszy z moich problemów.

Sprawdziłam rozkład promu i wiem już, że powinnam się spotkać z Boyboymem o piętnastej. Nie martwię się o to, że nie będę w stanie stąd wyjść; raczej o to, że moje samotne zniknięcie na kilka godzin nie zostanie dobrze przyjęte.

– Musimy zainscenizować miejsce zbrodni – mówi Michael po chwili. – Jakbyśmy wystawiali sztukę. – Kiedy nie odpowiadam, dodaje: – Zabójca musiał wejść przez tunel. Żadna z pozostałych kamer zamontowanych w domu nie zarejestrowała tamtej nocy nikogo poza moim tatą i twoją mamą. Więc w jaki sposób on lub ona weszli do środka?

– Dobrze pytanie. Prawdopodobnie frontowymi drzwiami, bo mowa o twoim tacie.

– Tina...

– No dobra. Nie wiem, jak tajemniczy morderca dostał się do domu. Ale jakimś magicznym sposobem udało mu się to, a potem zabił moją mamę. – Przechylam głowę. – Albo zabiła. Może zazdrosna kochanka? Ile dokładnie ma ich twój ojciec?

Michael się sroży.

– To nie jest śmieszne.

– Wierz mi, wiem o tym. No dobra, to zazdrosna kochanka vel morderczyni dokonuje tego. Bum. Co potem?

– On – lub ona – wraca do tunelu.

– A potem? Morderca przeskakuje mur?

– Tobie się udało – zauważa Michael.

Muszę przyznać mu rację.

– Ale ja miałam drabinę. I kogoś, kto wyłączył ogrodzenie pod napięciem.

– Czyli da się to zrobić. – Michael ma irytująco bezczelny wyraz twarzy.

– Dobra, niech będzie. Ale wystrzał z broni jest głośny. Słyszac go, strażnicy powinni od razu przybiec, prawda? Jakim cudem go nie złapali?

– Cóż, to właśnie...

– A może go złapali. A potem twój tata go zabił. Albo ją. Porąbał zabójcę na kawałki i rzucił rekinom na pożarcie. To możliwe. – Michael rzuca mi spojrzenie spode łba. – Nie żeby jakoś pomagało to mojej matce, ale to lepsza opcja dla ciebie i twojego taty, czyż nie?

– On nie ćwiartuje ludzi.

– Nie – mówię. – Tylko płaci innym, żeby to zrobili. Rekiny muszą mieć co jeść.

– Może powinniśmy się zastanowić nad motywami, a nie nad sposobami pozbycia się ciała?

– Próbuję tylko pomóc.

Michael wzdycha.

– Dobrze, zastanówmy się, kto mógłby być podejrzanym. Twoja mama miała wrogów?

Mój uśmiezek znika.

– Twojego ojca.

Michael bierze głęboki wdech, ale opanowuje głos.

– A w Kongu?

– Jak powiedziałam: twojego ojca.

– O czym ty mówisz?

Łypię na niego groźnie.

– Poznali się tam. Znała go wcześniej.

Michael mruży oczy.

– Poczekaj, chcesz powiedzieć, że byli wrogami w Kongu?

– Wiedziała dużo o Extraccie. Dużo złych rzeczy. O tym właśnie mówiła, zamierzała iść z tym do prasy, kiedy on zagroził, że ją zabije.

– Gdyby byli wrogami, po co by tu przyjeżdżała, taki kawał drogi z Konga, i prosiła go o pracę? I po co on odpowiadałby w stylu: „Jasne, spoko, wpadaj”?

– Ja... – Potrząsam głową. – Przyjechała tu, ponieważ... Słuchaj, nie wiem, dlaczego skończyłyśmy tutaj. Może ją zmusił, żeby dla niego pracowała.

– To nie ma sensu. Nie sprowadziłaby cię ze sobą, gdyby tu nie było bezpiecznie, prawda? I nie zmusiłby jej do... no wiesz... Kiki... – Michael spogląda na swoje dłonie.

– Nie zmuszał jej do seksu? Możesz powiedzieć to na głos.

Michael wierci się.

– Chodzi mi o to, że też ich razem widywałem... Jak się całują i tak dalej. On wcale nie miał tabunu innych kobiet. Oni... lubili się.

Ściskam dłonie pod pachami, prawie wychodzę ze skóry, tak bardzo nienawidzę omawiania tego tematu.

– Był ktoś jeszcze? – pyta Michael. Nie wygląda na mniej zakłopotanego. – Znaczący wróg – dodaje szybko.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Nie sędzę.

– Co robiła, zanim przybyła do Sangui? Miała kłopoty czy...

– Była pielęgniarką. Pomagała ludziom.

– Pielęgniarki też mogą mieć wrogów. Żadnych pomysłów?

– Nie. Nie wiem. – Wstaję i ruszam na obchód pokoju. Skąd miałabym wiedzieć, czy miała wrogów? Tylko Donatien, dziennikarz, był w stanie opowiedzieć mi o jej wcześniejszym życiu. Ale on zna tylko fragmenty. Ważne, ale niewystarczające. A mama nigdy nie rozmawiała ze mną o Kongu. Kiedy o tym teraz myślę, wydaje mi się, że z jej perspektywy po prostu nie było o czym mówić.

Michael zapisuje: „Przeszłość Anju Yvette w Kongu?” na liście pytań.

– Znasz kogoś, kogo mogłabyś o nią zapytać?

Odpowiadam dopiero po chwili:

– Ta, może.

– Kogo?

Waham się. Czy Donatien może rozpoznać Michaela? Raczej nie. Michael zwykle jest w Szwajcarii, a pani G. zażarcie walczy o to, by gazety trzymały się z dala od jej dzieci. Ja sama ledwo go rozpoznałam.

– Wyślę do niego SMS-a. Może się z nami spotka.

Kiedy piszę, Michael pyta:

– A co z dziewczyną ze zdjęcia z twoją mamą?

Potrząsam głową.

– Mówiłam ci, nie wiem, kim ona jest.

Na fotografii moja matka wyglądała na szczęśliwą. Musiały się przyjaźnić. Ale jak miałabym zacząć jej szukać? Czy Donatien może ją znać?

– Powinniśmy przejrzeć policyjne akta? – pyta Michael.

Robię grymas.

– W porządku. Ale czytałam je setki razy i przysięgam, że za każdym razem były coraz mniej użyteczne.

Korzystam z jego komputera, by dostać się do swoich plików i ściągnąć je z serwera. Podaję mu laptopa i pozwalam przejrzeć akta.

– To tyle? – pyta po kilku sekundach.

– Robią wrażenie, czyż nie? Czy teraz pokładasz więcej wiary w system sprawiedliwości Sangui?

– Nawet „raport” napisali z błędem. W środku jest „b”.

– Poczekaj, aż dotrzesz do strony z analizą. Jest całkiem pusta.

Podchodzę do okna, by zerknąć przez rolety. Nie mogę patrzeć w te akta. Za bardzo się złoścę. Notatki z rozmów funkcjonariusza z panem G. i Davidem Mwiką ledwo wypełniają jedną stronę. Formularze są jeszcze gorsze. Większość z nich jest w połowie pusta. Brakuje podpisów przełożonych. W aktach są trzy zdjęcia: ciało mojej matki; zbliżenie na ranę postrzałową; a także, z jakiegoś dziwnego powodu, głowa bawołu wisząca nad kominkiem w gabinecie pana G.

– Może bawół to zrobił – mówię ponurym tonem.

– Te dwa nazwiska, które tu zakreśliłaś... Kim oni są?

Podchodzę do Michaela, by zobaczyć, co ma na myśli.

– Jedyne dwie osoby prócz pana G. i służby, które były tego dnia w twoim domu, według Mwiki i twojego taty. Wyszukałam informacje o obydwu. Joseph Gicanda to generał armii Rwandy. Ali Abdirahman to bogaty koleś z Somalii, właściciel firmy transportowej. Extracta współpracuje z nimi, by transportować minerały z Sangui do Chin i Dubaju.

– Jakieś powiązania z twoją mamą? – pyta Michael.

– Nie znalazłam żadnych.

– Może podsłuchiła coś na temat któregoś z nich. A ta osoba się dowiedziała. Powinniśmy głębiej dążyć. – Dopisuje nazwiska do listy, a potem pociera długopisem podbródek. – Kto ze służących pracował tego dnia?

– Sądzisz, że inna służąca albo ogrodnik mogli to zrobić?

Michael rozważa moje słowa.

– Raczej nie. Tata na pewno nie kryłby nikogo takiego. Oddałby go w ręce policji.

– Może zabił sprawcę i pozbył się ciała.

Michael opuszcza długopis na kartkę.

– *Ngai*, ty naprawdę sądzisz, że mój tata jest potworem, prawda?

Nie odpowiadam na to pytanie.

– I tak nie wiem, kto wtedy pracował – mówię za to. – Nie miałam wiele do czynienia z pozostałymi służącymi, których bym zapamiętała.

– Nigdy nie widziałas, żeby z kimś rozmawiała? Z ogrodnikiem? Którymś z ochroniarzy?

Potrząsam głową.

– Może z jedną czy dwiema służącymi, ale nie z mężczyznami.

– Byłaś mała, może po prostu nie zauważyłaś.

Patrzę na niego gniewnie.

– *Ngai*, ty naprawdę sądzisz, że moja mama była puszczalska, prawda?

– Nie miałem na myśli...

– Nieważne.

Znów idę do okna i zerkam przez rolety. Ogród jest na swoim miejscu. Michael dalej przegląda akta, ale ja mam już dość. Znam je na pamięć.

Na następnej stronie znajdzie kompletną listę osób, które były tego dnia u Greyhillów: pan Greyhill, Mwika, kucharz, który miał wtedy ze sto lat. Dwie inne służące, ogrodnik, kierowca, czterech ochroniarzy. Wszyscy inni dostali wolny wieczór. Lista nie uwzględnia mnie i Kiki, choć też tam byliśmy. Nieślubne dzieci służących chyba się nie liczą. Funkcjonariusz zaznaczył na liście, że pani Greyhill i dzieci wyjechali dzień wcześniej i nocują w letnim domku na wybrzeżu. Kucharz to potwierdził.

Następne są notatki policjanta. Najbardziej enigmatycznie, jak to możliwe, przekazuje wersję wydarzeń według pana G.: pan G. usłyszał wystrzał, ale przejšcie przez dom, by sprawdzić, co się stało, zajęło mu kilka minut. Funkcjonariusz pyta pana G., dlaczego najpierw nie powiadomił ochrony, na co pan G. odpowiada, że nie wie. Nawet ten kretyn z policji musiał pomyśleć, że to dziwne, ponieważ obok odpowiedzi pana G. widnieje mały znak zapytania.

Gdy pan G. znajduje moją matkę, jest już martwa. Nie ma wzmianki o tunelu. Nie ma wzmianki o tym, co się stało z mordercą. Narzędziem zbrodni jest pistolet, który znajdował się w biurku Greyhilla. Sądzi, że zrobił to włamywacz, ale niczego nie skradziono, a na żadnym nagraniu nie ma intruza. Czy funkcjonariusz to kwestionuje? Oczywiście, że nie.

Mwika mówi właściwie to samo, ale dodaje szczegóły. Czekam, aż Michael do nich dojdzie.

Jak przewidywałam, wkrótce w jego głowie zapala się czerwona lampka.

– Według wypowiedzi Mwiki na kilka minut przed morderstwem wysiadł prąd – mówi.

Potakuję.

– Przerwało to nagranie monitoringu. Ale obraz wrócił idealnie na czas, by pokazać,

jak Mwika siedzi w stróżówce, dokładnie w chwili, gdy twój tata twierdzi, że usłyszał wystrzał z pistoletu.

– Bardzo wygodne dla Mwiki, nie sądzisz?

– To ty nie pozwalasz mi się z nim skontaktować. Chętnie zadałabym mu kilkaset pytań.

Michael rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Pracuję nad tym.

– To pracuj intensywniej.

Mój telefon wibruje, gdy przychodzi wiadomość. Donatien odpisał.

„Spotkajmy się za godzinę w Samakai Joint”.

Idealnie. Pójdziemy się z nim zobaczyć, a potem mogę zrobić przerwę i spotkać się z Boyboymem.

– Daj spokój – mówię, kołysząc się i patrząc na swoje buty. – Nigdy do niczego nie dojdziemy, jeśli będziemy tylko siedzieć tu w ciemnościach.

– Powiedziałem ci, że mam szlaban – mówi Michael, nie poruszając się. – Moi rodzice mogą wrócić w każdej chwili.

Zerka na zegarek. Odruchowo zastanawiam się, ile dostałabym za niego w dzielnicy przemysłowej.

– Chcesz mojej pomocy czy nie? – pytam. – Gość, który znał moją mamę, może się z nami spotkać, ale musimy ruszać.

Michael spogląda na rozrzucone na podłodze papiery i na swojego laptopa. Nic więcej nie leży w zasięgu wzroku. Wie, że póki nie zdobędziemy więcej informacji, nie wyjdziemy ze ślepej uliczki.

– Będę miał ogromne kłopoty – mamrocze, ale podąża za mną w stronę drzwi.

Szesnaście

– Dokąd idziemy? – pyta Michael, gdy opuszczamy posiadłość. – Z kim się spotkamy?

– Musimy złapać taksówkę do miasta – mówię, przecinając podjazd i kierując się w stronę bramy.

– Mam kierowcę.

– Ufasz mu? Czy powie twojemu tacie, dokąd poszedłeś?

Michael marszczy brwi. Nie musi odpowiadać. Ale rozgląda się, jakby podejmował jakąś decyzję.

– Dobrze – mówi. – Poczekaj tutaj.

Kiedy odchodzi, sprawdzam godzinę na telefonie. Nie jestem pewna, jak mam się pozbyć Michaela, gdy będę szła na spotkanie z Boyboyem. Nie ma szans, żebym zabrała go ze sobą. Może mogę wysłać go z jakimś zadaniem? Powiedzieć, że spotkamy się później? Nie sądzę jednak, żeby zgodził się na coś takiego...

Moje rozmyślenia przerywa warkot. Podnoszę wzrok i opada mi szczęka.

– Chyba sobie żartujesz?

Michael siedzi okrakiem na motocyklu, twarz ma schowaną pod kaskiem. Jednośląd jest ognistoczerwony, europejskiej marki, ogromny. W niczym nie przypomina tych małych, chińskich *piki-piki*, które pozwalają na transport ludzi i towarów przez miasto.

– Twoi rodzice pozwalają ci tym jeździć?

Michael zdejmuję kask.

– Nie powiem im, jeśli i ty nie powiesz. To taty. Kupił go, kiedy przechodził kryzys wieku średniego. Nigdy go nie używa. Zabiłby mnie, gdyby wiedział, że go wzięłem. Nawet nie wie, że umiem jeździć.

– A umiesz?

– Oczywiście.

– Strażnicy cię nie wydadzą?

– Przekupię ich.

– Oczywiście. Może mógłbyś po prostu przekupić swojego kierowcę?

Uśmiecha się ironicznie.

– Boisz się?

– Nie. Daj mi to – mówię i biorę kask, który mi podaje.

To jak siedzenie z garnkiem na głowie. Nikt z jeżdżących na *piki-piki* ich nie zakłada. Michael daje znak, bym podeszła bliżej, i zapina coś pod moim podbródkiem, dzięki czemu czuję się nieco bardziej jak w kasku niż jak w garnku, ale wciąż tylko trochę. Następnie zapina swój kask. Słyszę jego głos tak wyraźnie, jakby mówił mi prosto do ucha.

– To zupełnie jak *piki-piki*. Tylko... szybsze.

– Nie martwię się. – Siadam za nim. Zupełnie jak *piki-piki*, powtarzam sobie.

Michael popycha nas odrobinę do przodu.

– Musisz mocno się trzymać.

Przysuwam się, aż dotykam jego pleców. Jedną ręką mogę złapać się uchwyty z boku, ale drugą muszę otoczyć pas Michaela. Palą mnie wszystkie miejsca, gdzie moje ciało styka się z jego. Pokazuje mi, gdzie postawić stopy, a potem obraca się i spogląda na mnie. Nasze kaski się zderzają.

– Gotowa?

Czuję ucisk w brzuchu. Boję się brzmienia własnego głosu, więc po prostu kiwam głową.

Ostatecznie obejmuję go dwiema rękami. Będziemy jechać tak szybko, myślę głupio.

Silniki *piki-piki* brzmią jak trzmiele, a one same ledwo są w stanie wyprzedzić rower. Ta maszyna jest jak gepard ścigający ofiarę, a ja nie dbam o nic prócz tego, by się utrzymać. Gdy wchodzimy w pierwszy zakręt, mocno zaciskam uda, nie myśląc już o tym, że dotykam Michaela.

– Pochyl się w stronę zakrętu! – krzyczy Michael, a ja próbuję naśladować jego ruchy. Jesteśmy przechyleni na tyle mocno, że mogłabym wyciągnąć dłoń i dotknąć jezdni, ale puszczenie się byłoby ostatnią rzeczą, o której bym teraz pomyślała.

Posiadłości w Ringu migają koło nas w rozmazanej smudze. Krzyczę cicho, kiedy Michael wyprzedza samochód jadący zbyt wolno. Słyszę, jak się śmieje.

– Wszystko w porządku tam z tyłu?

– Tak! – Mój głos brzmi piskliwie. Odchrząkuję.

Droga prowadząca w dół Ringu jest kręta i stroma, ale przynajmniej nie ma w niej dziur, które pokrywają większość ulic Sangui. Po kilku minutach zaczynam przywykać do prędkości i czuję, jak moje galopujące serce przechodzi od strachu do podniecenia. Uświadamiam sobie, że straciłam czucie w dłoniach – tak mocno je zaciskałam. Poluzowuję chwyt, a Michael bierze głęboki wdech, jakbym wcześniej zgniatała mu płuca.

– Jak ci się podoba? – pyta.

– Szybki!

Michael się śmieje.

– Jeszcze nie widziałaś, co potrafi!

– Nie! Nie przyspieszaj!

Michael popuszcza gaz.

– Przepraszam. Jazda sprawia, że czuję się... obudzony. Żywy... – Robi pauzę, a ja jestem zdumiona, słysząc w jego głosie coś na kształt wahania. – Sądziłem, że ci się spodoba.

Zaczynam analizować swoje odczucia. Omiata mnie powietrze, cienie i promienie słońca falują na moich rękach i nogach, kiedy pędzimy wśród drzew jakarandy, otulających drogę na kształt tunelu. Ich kwiaty zaścielają jezdnię niczym purpurowy śnieg. To piękny widok i wiem, co Michael ma na myśli, mówiąc o jedynej rzeczy, która sprawia, że czuje się w pełni sobą, w pełni żywy. Ja czułam się tak, włamując się do jego domu dwie noce temu. Jakby nikt na świecie nie mógł mi powiedzieć, co mam robić; jakby nikt nie wiedział, jak robić to lepiej. Przerazające, ale całkowicie prawdziwe.

– Podoba mi się – mówię.

Siedemnaście

Wjeżdżamy do miasta i musimy zwolnić, a ja natychmiast zaczynam się pocić pod kaskiem. Nie uświadamiałam sobie w pełni tego, o ile chłodniej jest w Ringu. Tutaj, na dole, próba przedarcia się przez ruch, dziury i pył nie jest już tak zabawna. Im bliżej portu jesteśmy, tym tłoczniej. Rowery, kurczaki, dzieci, kozy, a także mnóstwo ludzi, którzy po prostu zatrzymują się, by pogapić się na motocykl, jakby to był herold zwiastujący drugie przyjście.

Ja pilotuję, a Michael kluczy po gwarnych ulicach. Musimy przedostać się na drugą stronę Sangui, przez most, a potem ponownie zanurzyć się w krętych, wąskich uliczkach Starego Miasta. Jedziemy aleją Biashara, a nawet mijamy szkołę Kiki. Słyszę, jak dziewczynki śmieją się i krzyczą na podwórku; wykręcam szyję, gdy mijamy główną bramę, ale nie widzę Kiki. Co miałabym jej powiedzieć, gdybym ją zobaczyła? Siema, siostra! Pamiętasz swojego przyrodniego brata, Michaela? Jego tata zabił naszą mamę. Trzymaj się!

Ona nie ma pojęcia o tym wszystkim. I nigdy nie będzie miała.

Z tylnego siedzenia motoru brud Starego Miasta traci ostrość i wyobrażam sobie, że tak właśnie postrzegają je turyści: pełne zakamarków labirynty wapiennych budynków i falujących drzew palmowych; stragany z idealnymi piramidami żółtych i czerwonych mango, falbaniastych strąków zieleniny, bananów i papryk, zwieszających się niczym girlandy. Są tu mężczyźni o poważnych twarzach, w długich, białych *kanzu*, oraz kobiety owinięte w tęczowe *kanga* lub w otulające je od stóp do głów *buibui*, które nadymają się jak czarne żagle. Nad wszystkim rozciąga się czyste, błękitne niebo, a na dole faluje jaskrawoniebieska woda. Z tej perspektywy wygląda to jak raj.

Zbliżamy się do targu rybnego, gdy Michael odchrząka.

– Zamierzasz mi powiedzieć, z kim się spotykamy?

Mijamy duży, zielony meczet w centrum Starego Miasta oraz domokrażców sprzedających swoje towary turystom przed Muzeum Suahili: tanie naszyjniki w stylu rasta, sarongi, drewniane słonie i impale stojące na kocach masai w równych szeregach niczym żołnierze. Michael omija sędziwego mężczyznę z zaprzężonym w osła wozem pełnym węgla drzewnego. Ani mężczyzna, ani osioł nie wydają się spieszyć.

– Skręć tu w lewo – mówię, ale Michael zatrzymuje motocykl w cichym miejscu, z którego rozciąga się widok na port.

– Co robisz? – pytam.

Zdejmuje kask i obraca się na siedzeniu.

– Niech ci będzie – mówię, również zdejmując kask. – Ma na imię Donatien.

– Ale kto to jest? Goonda? Nie chcę iść tam w ciemno.

Z trudem powstrzymuję śmiech.

– Nie, nie jest Goonda. To tylko gość, który znał moją mamę. Daj spokój, spóźnimy się.

– Skąd znał twoją mamę?

Przygryzam wargę.

– Nie możesz mu zdradzić, że o tym wiesz, dobra? Zabiłby mnie, gdyby usłyszał,

że ci o nim powiedziałam.

– W porządku...

– A jeśli coś mu zrobisz – jeśli cokolwiek mu się stanie – będę o tym wiedzieć.

– Sądzisz, że rzucę go rekinom na pożarcie czy coś? Słuchaj, może w to nie uwierzysz, ale jeszcze nikogo nie zabiłem i obiecuję, że nie zacznę dzisiaj.

Majstruję przy zapięciu kasku.

– To dziennikarz.

– Dziennikarz?! – krzyczy Michael. – Dajesz mu dane z komputera taty?

– Nie!

Przynajmniej jeszcze nie, dodaję w myślach. Pilnuję, by utrzymywać z Michałem kontakt wzrokowy, w przeciwnym razie od razu zauważy, że kłamię.

– Nie zajmuje się już takimi materiałami. On... wpadł w kłopoty.

Założę się jednak, że historia o tacie Michaela pomogłaby mu wrócić do łask.

Donatien nie wie, że zamierzam podrzucić mu wartościowe brudy, ale na pewno wykorzysta szansę, by ujawnić sprawki Extracty i Wielkiego Gościa działającego we wschodniej Afryce. Obsesyjnie chce ich zniszczyć, odkąd Greyhill zrujnował jego karierę, ale ciągle powtarza, że potrzebuje dowodu. Prawdziwego dowodu, nie samych teorii. To właśnie teorie i spekulacje wpędziły go w kłopoty.

Namierzyłam go dwa lata temu. Znalazłam historię, którą opublikował w największej gazecie w Sangui zaraz po śmierci mamy. Ośmielił się zapytać, dlaczego sprawa jej morderstwa nie została zbadana, insynuując przy tym, że policja tuszowała postęпки pana G., najprawdopodobniej jej zabójcy. Doprowadziło to do jego degradacji, a on jest pewien, że stał za tym sam Greyhill – dzięki wszystkim swoim znajomościom.

Sam artykuł wystarczyłby, żebym zaczęła szukać Donatiena, ale to, co mnie naprawdę zaciekało, to sposób, w jaki pisał o mamie. Brzmiał, jakby był wściekły. Jakby ją znał.

Okazało się, że faktycznie tak było.

Wciąż czuję napięcie Michaela i usiłuję się z tego wykręcić. Myślę o zeskoczeniu z motoru, ale to może nas jeszcze bardziej opóźnić.

– A skąd zna swoją mamę?

– Pisał artykuł o Extraccie w Kongu – mówię niechętnie. – O tym, jak skupują złoto od milicji, zamiast je wydobywać. Ona była źródłem.

Zajęło mi to chwilę, ale możesz zameczyć każdego, jeśli wystarczająco długo będziesz siedzieć przed jego domem, biurem i ulubionymi barami. Donatien wreszcie się poddał i zgodził się ze mną porozmawiać. Myślę, że może nawet był trochę samotny. Kiedy go przekonałam, że naprawdę jestem córką mamy, otworzył się. Powiedział mi, że poznał mamę w Kasisi, naszej rodzinnej wiosce, jedenaście lat temu, a ona chciała mu pomóc przy artykule.

Oczy Michaela zwięzają się.

– Źródłem? Co dokładnie mu powiedziała?

Z utęsknieniem spoglądam w stronę naszego celu.

– Słuchaj, kiedy już przełamie się jego opór, Donatien będzie mówił. Uwielbia opowiadać o konfliktach kopalnych i Kongu, ale jest nieco nadwrażliwy, więc pozwól mi

zadawać pytania, dobra? Możemy już jechać?

Michael omiata wzrokiem port, gdzie dały o białych żaglach dryfują z prądem. W oddali prom perkocze w kierunku wybrzeża w błękitnych oparach ropy. Nawet stąd widzę rdzę na jego kadłubie i ciżbę ściśniętą przy barierkach. Kosztuje mnie sporo wysiłku, żeby nie wykrzyczeć Michaelowi, że tracimy czas. Ale wreszcie zakłada kask i odpala silnik.

Otwarta i głośna, pachnąca frytkami i przyprawą masala, restauracja jest obleganym miejscem. Rybacy siedzą przy tanich białych plastikowych stolikach, większość z nich jest już na dobrej drodze, by przepić cały zarobek, uciulany na sprzedaży dziennego połowu.

– Lepiej podkasaj spódnicę – mówię, gdy dostrzegam twarz Michaela. – Jest tu trochę brudniej niż w miejscach, do których nawykłeś.

– Bywałem już w takich miejscówkach. Podołam.

– Oczywiście. A teraz posłuchaj – ściszam głos – cokolwiek by się nie działo, nie mów Donatienowi, kim jesteś, dobra? Nie sądzę, żeby mógł cię rozpoznać. Na wszelki wypadek lepiej w ogóle nic nie mów.

– Świetnie. Czyli mam tu po prostu siedzieć?

– Rób, co mówię, jasne? To mój świat, a ty jesteś teraz moim gościem.

Prowadzę Michaela obok głośnika grającego rumbę na cały regulator. Dziewczyny zmierzchu, w krótkich spódnicach i z długimi paznokciami, zgromadziły się z jednej strony baru. Przerzucają warkocze przez plecy i uważnie mi się przyglądają, upewniając się, że nie wkraczam na ich terytorium. Zapach staje się intensywniejszy: do mieszanki dochodzi kwaśne piwo i cierpka woń mężczyźni śpiących w łodziach rybackich.

Nie przeszkadza mi ani hałas, ani smród. W pewien sposób jest tu większa prywatność niż w wielu innych obskurnych lokalach położonych na tyłach, które Donatien mógł wybrać na nasz zwyczajowy punkt schadzek. Nie spotyka się w takich miejscach. Mawia, że jest tam zbyt wielu znudzonych kelnerów, którzy mają uszy większe niż mózg.

Donatien siedzi już przy stoliku, tym co zwykle, w zacienionym rogu patio.

– Kto to? – pyta, jeszcze zanim usiadziemy, wskazując na Michaela podbródkiem, porośniętym kilkudniowym zarostem.

Donatien to jedyny *mzungu* w lokalu, nie licząc Michaela, ale choć wyróżnia go ziemista, biała skóra, wciąż wygląda, jakby czuł się tu jak w domu. Przy jego łokciu widnieje kolekcja pustych butelek po piwie. Przed nim piętrzą się smażone ryby, w tym kilka już zjedzonych, po których zostały tylko bielejące ości.

– Nikt ważny – mówię.

– Wiesz, że nie rozmawiam z obcymi, Drobinko.

– To przyjaciel. Jest w porządku. Nie jest kapusiem.

– Ty nie masz przyjaciół.

– Jezu, Donatien, no dzięki. To nowy uchodźca. Oprowadzam go.

– Wygląda zbyt delikatnie jak na uchodźcę. – Donatien ma na myśli, że jest zbyt biały, ale nie powie tego wprost.

– Wiem, to samo mu powtarzam.

– Jesteś dziennikarzem i nie rozmawiasz z obcymi? – pyta Michael.

Posyłam mu zabójcze spojrzenie, ostrzegając, by trzymał gębę na kłódkę.

– Nie z tymi, których nie znam – mówi Donatien. – I nie jestem prawdziwym dziennikarzem. Piszę o sporcie. – Słowo „sport” wypowiada niczym przekleństwo.

– To wciąż dziennikarstwo – zauważa Michael.

Donatien burczy pogardliwie i sprawdza, ile piwa mu zostało. Podnosi butelkę w stronę kelnera, by zasygnalizować, że potrzebuje kolejnej.

– Skoro o tym mowa, nie mogę długo zostać. Za godzinę zaczyna się bardzo istotny mecz w krykieta w lidze młodzików, z którego muszę napisać relację. – Wskazuje na swoje ryby. – Chcesz trochę?

– Wystarczy napój.

Pstrykając otłuszczonymi palcami, Donatien wzywa kelnera.

– *Sampson, leta tuska baridi sana. Na soda mbili.*

Mężczyzna przynosi świeże piwo tusker. Zimne, bardzo zimne, co Donatien testuje, chwytając za szyjkę butelki, zanim pozwoli kelnerowi zdjąć kapsel. Dwie pomarańczowe fanty stają przede mną i Michałem. Kopię Michaela pod stołem, gdy zauważam, że ma zamiar wytrzeć rękawem szyjkę butelki.

Donatien pociąga łapczywy łyk piwa, a potem znów wgryza się w rybę, trzymając ją w palcach jak każdy miejscowy gość. Używa *ugali* – białej mąki kukurydzianej, by podnosić mięso i chili. Pochłonawszy cały stos, beka i nie przeprasza.

– Twoja strata. Najlepsza ryba w mieście.

– Donatien jest Francuzem – zwracam się do Michaela. – Jest wybredny, gdy chodzi o jedzenie.

– Belgiem – poprawia mnie Donatien. – Ile razy mam powtarzać? Nienawidzę tych pieprzonych Francuzów. – Patrzy na mnie przekrwionymi oczami. – To co tam? O co chodzi?

Wyjmuję z kieszeni zdjęcie.

– Wiesz, kto to jest? – pytam, wskazując na dziewczynę stojącą obok mojej matki.

Donatien mruży oczy. Wyciera ręce i podnosi fotografię, by przyjrzeć się jej z bliska.

– Nie mam pojęcia.

Próbuję nie okazać rozczarowania.

– Jesteś pewien? Znalazłam to na jego komputerze.

– Co masz na myśli, mówiąc: na *jego* komputerze.

– Wiesz przecież. Jego. Nie patrz tak na mnie.

– Tina, nie zrobiłaś niczego głupiego, prawda? Jeśli poszłaś...

– Sądzisz, że włamałam mu się do domu? – kpię, ignorując drgnięcie Michaela. – Jestem dobra, ale nie aż tak dobra. Ktoś je dla mnie zhakował. Jesteś pewien, że jej nie znasz?

– Kiedy zostało zrobione? – pyta Donatien, ponownie spoglądając na uśmiechniętą dziewczynę. – Twoja matka jest tu młoda. – Spogląda podejrzliwie na Michaela. – Mają na sobie szkolne mundurki. Zdjęcie zrobiono, zanim ją poznałem. – Przysuwa fotografię z powrotem do mnie, a ja ostrożnie ją chowam.

Czekam, aż zaczną rozpracowywać kolejną olbrzymią porcję ryby, zanim ryzykuję.

– Zastanawiam się czasami, skąd mama wiedziała to, co wiedziała? – Donatien rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. – W jaki sposób pielęgniarka poznaje kogoś takiego jak...

– Tina...

– ...jak sam-wiesz-kto?

Donatien pociera bliznę na szyi.

– Jeśli chcesz pogadać, Christina, twój nowy kolega musi stąd spadać.

Spoglądam na Michaela i podbródkiem wskazuję drzwi. Krzywi się, ale wstaje i zostawia nas samych. Gdy przeciska się przez ciżbę w restauracji, Donatien odprowadza go wzrokiem.

Pochylam się w jego stronę.

– Donatien?

Przebiega palcami po drobnych znamionach na obojczyku, gdzie kawałki skóry zostały ze sobą zszyte.

– Ufasz mu? Musisz uważać, przy kim co mówisz, Tina.

– Wiem. Masz rację. Nie martw się. To tylko smarkaty uchodźca. Sama nie wiem, czemu pozwoliłam mu się za mną pałętać. – Czekam, aż Donatien przełknie kolejny łyk piwa, po czym mówię: – Więc? Jak poznała pana Greyhilla?

Donatien wolno odstawia piwo. Muchy zbierają się wokół oczodołu jego ryby, ale on zdaje się tego nie zauważać.

– Co kombinujesz, Tina? Skąd tyle pytań?

– Ja tylko... Czemu mi nie powiesz, skąd miała informacje o działaniach Extracty?

Próbowałam ugryźć ten temat już wcześniej, ale bez powodzenia. Donatien może mówić cały dzień o rebeliantach sprzedających złoto wykopane przez niewolników, o podejrzanych kompaniach wydobywczych, takich jak Extracta, sprzedających im broń, ale za każdym razem, gdy pytam o mamę – o to, czemu chciała z nim rozmawiać albo skąd dowiedziała się o powiązaniach Extracty z milicją – milknie jak zaklęty.

– To nie jest mój sekret, bym mógł go zdradzić – mówi.

– Czyli mam poczekać, aż umrę, i wtedy ją zapytać?

Wzdryga się.

– To nie ma znaczenia, skąd wiedziała. Po prostu wiedziała.

Dostrzegam drganie w kącie jego ust, jakby chciał coś jeszcze dodać. Czekam. Kiedy już mam zamiar się poddać, pociera twarz ręką i mówi:

– Nigdy nie powinna się była zgodzić, żeby mi pomagać.

To nie jest odpowiedź na moje pytanie, ale zawsze coś. Pochylam się.

– Ponieważ Greyhill dowiedział się o tym i niemal cię zabił?

Opowiedział mi o tym dniu w Kasisi, na moment przed tym, zanim je opuściliśmy. Mama miała się z nim spotkać w jego hotelu i zabrać go do miejsca w dżungli, w którym dokonywano wymiany złota na broń. Miał zamiar robić zdjęcia z ukrycia. Kiedy w nocy usłyszał pukanie do drzwi, otworzył je, sądząc, że to ona. Ujrzał jednak kilku gości z ostrymi pangami – wielkimi nożami używanymi do wyrąbywania przejścia przez

chaszce. Lub do rąbania mięsa. Donatien opowiadał mi wielokrotnie, ile mililitrów krwi musieli w niego wpompować (ponad dziewięćset) i ile szwów było potrzebnych, by go zaszyć (czterdzieści trzy). A także o tym, że nigdy później nie miał żadnych wieści od mojej matki, aż nie skontaktowała się z nim w przededniu swojej śmierci, pięć lat później.

W tym czasie mama i ja miałyśmy już własne problemy.

Ale nie chcę o tym teraz myśleć. Chcę dowiedzieć się więcej o panu Greyhillu.

– Dlaczego czekałby tyle czasu, by ją wykończyć? I czemu ona pracowałaby tutaj, u niego, jeśli to jego przyjaciele z milicji wypędzili ją z Konga? – Donatien uważnie mi się przygląda. – Daj spokój – pryham. Nie jestem już dzieckiem! Cokolwiek mi powiesz, przełknę to! – Ściszam głos: – Albo ty mi powiesz, albo zapytam *jego*. Mam dość tej niewiedzy. Nie myśl, że tego nie zrobię.

Domyślam się, że przez głowę Donatiena przebiega teraz tysiąc różnych myśli, ale ostatecznie mówi tylko:

– To chyba nie przez niego uciekła.

Czekam na więcej. Ale on milczy.

– Nie rozumiem. Kto jeszcze mógłby...

– W te interesy zamieszane były inne osoby. Greyhill nie brał osobiście udziału w wymianach.

– Co? Ale powiedziałaś...

– Powiedziałem, że twoja matka była świadkiem takich układów i stąd wiedziała, że złoto wymieniane jest na pieniądze i broń. Ale gdy zapytałem ją, czy zakupu dokonywał biały Amerykanin, zaprzeczyła. To ja jej powiedziałem o moich przypuszczeniach, że to Roland Greyhill jest mózgiem stojącym za tym wszystkim.

Donatien nie patrzy na mnie. Dlaczego jest taki nieufny?

– Czyli nigdy nie spotkała go w Kongu? Kto dokładnie dokonywał wymiany?

Jego usta zaciskają się w cienką linię.

– Nie mówiła. Wiem tylko, że za wszystko odpowiadał jakiś Kenijczyk.

– Dowiedziałeś się później, kto to był?

– Nie. – Donatien rozpira się na krzesle. Patrzy ponad moją głowę, w stronę wody. – Wiesz, co było później. Porzuciłem śledztwo. Wróciłem do sprawy dopiero po jej śmierci.

Czuję się przytłoczona całą tą niewiedzą. Kim była moja matka, tak naprawdę? Pielęgniarka. Tyle mi powiedziała. To wszystko, co jestem w stanie powiedzieć Michaelowi, gdy o to pyta. Ale skąd tyle wiedziała o krwawym złocie? Skąd wiedziała, gdzie i kiedy dokonuje się wymiana? Według Donatiena chodziło o sekretne miejsce gdzieś w środku dżungli. Mój umysł wrze. Nie potrafię złożyć fragmentów w jasny obraz całości. Jak to się stało, że tak mało wiem o tym, kim była i co się wydarzyło w Kongu? Pytania bzyczą w mojej głowie niczym natrętne komary. Przygryzam wargę.

– Nie brała w tym udziału, prawda? W wymianach złota?

Donatien znów zwraca na mnie uwagę.

– Nie, nic podobnego.

– Skąd wiesz?

– Nie mogłaby.

– Ale skąd to wiesz? – żądam odpowiedzi, uderzając pięścią w stół. – Ledwo ją znałeś! Ja ledwo ją znałam! – Słowa opuszczają moje usta, zanim zdążę je zatrzymać.

Donatien sięga po moją rękę, ale za chwilę uznaje, że to zły pomysł.

– Słuchaj, Tina, miałem te same wątpliwości, przyznaję. Kiedy do mnie zadzwoniła, w noc przed tym jak została zamordowana, nie chciałem z nią rozmawiać. Nie mieliśmy kontaktu od tamtego dnia, gdy nieomal zginąłem. – Patrzy na mnie, a na jego twarzy maluje się poczucie winy. – Sądziłem, że to ona nasłała na mnie tamtych mężczyzn.

Nie poruszam się.

– Podejrzywałeś ją?

Potakuje i mówi dalej:

– Kiedy skontaktowała się ze mną, zapytałem ją o to i ona... przekonała mnie. Nie... – Podnosi rękę, by mnie powstrzymać. – Po prostu mi zaufaj. Nie była w stanie się ze mną spotkać i to nie była jej wina. To, co mi się przydarzyło, nie było jej winą. Po nią też przyszli tamtej nocy, tak jak po mnie. Sama mi to powiedziałaś.

To prawda. Widzę języki ognia, wysokie jak drzewa. Wciskam piąstki w oczy, próbując pozbyć się tego obrazu. Nie mogę teraz o tym myśleć. Powracam do tego samego pytania:

– Dlaczego więc po przybyciu tu poszła do Greyhilla, skoro to on nasłał na nią i na ciebie tych mężczyzn?

– Jak czy dlaczego twoja matka zaczęła pracować dla pana Greyhilla – tego nie wiem. Nie chciała mi powiedzieć. Ale jestem pewien, że miała ku temu dobry powód. Musiała czuć jakiś przymus i wiedzieć, że to najlepszy sposób, byś była bezpieczna. Twoja matka była... cóż, była taka jak ty. Twarda, ale dobra. – Oczy Donatiena zwięzają się. – Skąd tyle pytań akurat dziś, Tina? Czy coś się dzieje? Wydajesz się nieswoja.

Gapię się na niego, a potem pozwalam spojrzeniu odpłynąć w kierunku wody, gdy rozmyślam o moich planach dotyczących rodziny Greyhillów.

– Nie znasz mnie. Wcale nie jestem taka dobra.

Donatien otwiera usta, by zaprotestować, ale przerywam mu:

– Słuchaj – przetykam wszelkie emocje, jakie próbują znaleźć ujście – chcę tylko mieć pewność, że to on ją zabił. To wszystko.

Bierze głęboki wdech. Obraca piwo, zostawiając na blacie wilgotne plamy. Musi myśleć to samo, co ja: że moja matka naprawdę spieprzyła sprawę, jeśli chodzi o wybór miejsca, w którym miałyśmy być bezpieczne.

– Greyhill to zrobił, Tina. Jeżeli czegokolwiek jestem pewien, to właśnie tego. Skontaktowała się ze mną, powiedziała, że chce o nim pomówić, a potem skończyła martwa. Nikt nie miał przez nią do stracenia więcej niż on.

Dobrze o tym wiem. Ale i tak mówię:

– Potrzebuję dowodu.

– I jak zamierzasz... – Marszczy brwi. Widzę, jak elementy układanki wskakują na swoje miejsce. – O mój Boże. Ten dzieciak. Wiedziałem, że wygląda znajomo. Czy to...? – Jego oczy rozszerzają się ze strachu.

– Nie przejmuj się nim – mówię.

Donatien pochyla się i chwyta mnie za rękę.

– To Michael Greyhill? – pyta ostrym szeptem. – Tina, dlaczego się z nim zadajesz? Co ty wyprawiasz?

– Powiedziałam, żebyś się tym nie martwił.

Chcę wstać, ale Donatien nie zwalnia uchwytu.

– Nie możesz z nimi zadzierać, Tina – syczy. – Są żądni krwi. Pomyśl o swojej matce. Cokolwiek z nim planujesz, musisz przestać, natychmiast.

Wrywam rękę.

– Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Donatien – mówię. – Naprawdę doceniam. Ale ja *myślę* o mojej matce.

– Tina...

– Muszę iść. Będziemy w kontakcie.

Odwracam się i wychodzę, zanim zdąży wstać i mnie zatrzymać.

Osiemnaście

Kiedy skończyłam siedem lat, poszłam do szkoły. Nie z Michaeliem – czesne w jego szkole kosztowało małą fortunę ze semestr – ale do przyzwoitej szkoły blisko Ringu. Jestem pewna, że pan G. za to płacił. Autobus odbierał mnie co rano na rogu obok domu Greyhillów i odwoził w to samo miejsce każdego dnia. Nauczyciele byli mądrzy i mili. Nauczyłam się czytać i liczyć, i śpiewać hymn państwowy Kenii. Kolorowaliśmy prawdziwymi kredkami i graliśmy w piłkę na trawie. Było bardzo przyjemnie, a ja byłam szczęściarą.

Nienawidziłam tego.

Nienawidziłam zostawiać mamy. Nienawidziłam zostawiać Kiki. Każdego dnia udawałam chorą albo próbowałam się ukryć i każdego dnia mama wyprawiała mnie w świat w niewygodnych butach i drapiącym mundurku, niewzruszona krokodylimi łzami, które kapały z mojego podbródka. „Jesteś na to za duża”, mówiła z ogniem w oczach. Czekaliśmy na rogu na autobus, ona z Kiki na biodrze, powtarzając mi, ile mam szczęścia, mogąc uczęszczać do takiej szkoły. Czy wiem, ile dzieci chciałoby chodzić do szkoły, a nie może? A moja szkoła miała lekcje muzyki. I basen. I gimnastykę po południu. Gimnastykę!

Kiki miała zaledwie roczek i nie wiedziała, czemu się dąsam, idąc do szkoły, ale jej usta wyginały się w podkówkę tak samo jak moje, a to frustrowało mamę jeszcze bardziej. „Nie płacz! Przez ciebie twoja siostra też będzie płakać, a ja nie mam na to czasu!”.

Kiedy Kiki skończyła dwa lata, była na tyle duża, że mogła chodzić ze mną. Przy mojej szkole znajdował się żłobek. Musiała do niego chodzić – tak zarządziła mama. Nie było dyskusji. Ale pierwszego dnia, gdy mama próbowała wsadzić ją do autobusu razem ze mną, Kiki wpadła w szal. Płakała i krzyczała, jakby ją mordowali. Nie chciała zostawić mamy. Zająłam swoje miejsce w autobusie i zobaczyłam, że kierowca się nam przygląda, a potem zerka na zegarek. Mama próbowała uspokoić Kiki i usadzić ją na wolnym miejscu, ale to nie działało. Kiki wierzgała, wiała się i zawodziła. Rozglądałam się, nie wiedząc, co zrobić. Nie winiłam Kiki. Sama nie chciałam chodzić do głupiej szkoły, z głupimi piosenkami i skakanką. Chciałam się bawić w ogrodzie Greyhillów. Chciałam się wspinać na figowca dusiciela. Schodziłabym z drogi. Obie byśmy schodziły. Właśnie miałam otworzyć swoją niewyparzoną gębę i to powiedzieć, ale wtedy zobaczyłam twarz mamy. Byłam zbyt mała, by dokładnie zrozumieć, o czym myślała, ale jakimś sposobem wiedziałam, że mam się zamknąć. Wyglądała, jakby znajdowała się na skraju przepaści i spoglądała w dół. Zrozumiałam, że Kiki musi pojechać ze mną. Wiedziałam, że jeśli mama wróci do Greyhillów z Kiki, uczepioną jej spódnicy, będzie miała kłopoty. Może pani G. postawiła jej ultimatum. Może posada mamy – a wraz z nią nasze miejsce w domu – nie była stabilna. Może pozbycie się nas z zasięgu wzroku, choćby na trochę, było wynikiem zawartej przez mamę umowy. Oczywiście wtedy tego nie rozumiałam; wiedziałam tylko, że wyraz jej twarzy wzbudza we mnie wstyd. Mama chciała, żebym przestała zachowywać się jak dziecko.

– Wezmę ją – powiedziałam i wyciągnęłam ręce po siostrę. – Chodź tu, Kiki,

opowiem ci, jak fajnie jest w szkole.

Kiki uciszyła się i pociągnęła nosem. Spoglądała ogromnymi, bursztynowymi oczami to na mnie, to na mamę.

– Skoła?

Przykleiłam uśmiech do twarzy.

– Jest wspaniała! Nauczyciele są naprawdę mili, są tam huśtawki i zjeżdżalnia, i przerwa na przekąski! Chodź, usiądź tutaj!

– Psekąski?

Pozwoliła, by mama posadziła ją na siedzeniu obok mnie, podczas gdy inne dzieci w autobusie przyglądały się temu, a kierowca niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę. Była tak mała, że mogła wyciągnąć wyprostowane nogi do przodu. Przypięłam nas obie jednym pasem.

– Zdobędziesz tylu przyjaciół – obiecałam jej. I tak było. Ludzie kochali Kiki, jej promienny uśmiech i pyzate policzki. Większość ludzi w każdym razie.

– Będę tu czekać, gdy wrócicie – powiedziała mama, zanim kierowca autobusu zamknął drzwi. Stała na poboczu i patrzyła, jak odjeżdżamy. Była już w stroju służącej, gotowa do pracy. Podbródek uniosła wysoko. Stała na twardej ziemi. Pomachała nam na pożegnanie.

– Możesz mnie tu wysadzić – mówię do Michaela.

Dojechaliśmy do skrzyżowania ulic Dagoretti i Timau, gdzie zaczyna się nowe centrum handlowe Rajska Wyspa. Samochody i piesi dręczą się wzajemnie, wywierając presję jedni na drugich, każdy próbuje dostać się gdzieś indziej. Odkąd wsiedliśmy na motor, wypowiedziałam ledwie kilka słów, mimo że Michael nagabywał mnie całą drogę. W głowie odtwarzałam słowa Donatiena: „Greyhill to zrobił... Jeżeli czegokolwiek jestem pewien, to właśnie tego”.

Ale on też tego nie wie, czyż nie? Nie na pewno. Tak samo jak ja. Pan G. prowadzi brudne interesy. On i mama byli ze sobą blisko. Może jest tak, jak powiedział Michael – mama usłyszała coś, czego nie powinna, o jednym z jego wspólników. Może pan G. nawet opowiedział jej o jednym z nich. A jeśli zamierzała przekazać Donatienowi informacje, które obciążą jeszcze kogoś? Jak miałabym się dowiedzieć, o kogo mogłoby chodzić? Czy przejrzelśmy wszystkie nagrania z dnia jej morderstwa, rejestrujące, kto wchodził i wychodził? Może był tam ktoś jeszcze prócz Gicandy i Abdirahmana, ktoś, o kim pan G. i Mwika nie wspomnieli policji. Zapisuję w pamięci, by raz jeszcze przejrzeć nagrania z policyjnego pliku.

– Wysadzić? To nie było częścią planu.

Otrząsam się z rozmyślań.

– Zatrzymaj się!

Jesteśmy jakieś pięć przecznic od mojego dachu, bliżej nie mogę pozwolić Michaelowi podejść.

Przejeżdża przez skrzyżowanie.

– Zatrzymaj się. Muszę spotkać się z moim partnerem biznesowym.

Michael zwalnia i skręca w cichszą uliczkę. Zatrzymuje motor na poboczu przed wyszukanym kompleksem apartamentów i zdejmuje kask.

– Umawialiśmy się, że idę z tobą. Mieliśmy prowadzić to śledztwo razem. Ja również ściągam kask.

– Wciąż jesteś zły o to, że zostałeś wyproszony? Ponieważ powiedziałam ci już, że wyjaśnię wszystko później...

– Zgodnie z umową pracujemy razem. Nie chodzisz nigdzie sama.

– Muszę się spotkać ze swoim partnerem; czeka na mnie. To nie ma nic wspólnego ze „śledztwem” – mówię, wykonując dłońmi znak cudzysłowu.

– I tak idę z tobą.

Próbuję innego podejścia:

– Nie chcesz wrócić do domu? Sądziłam, że masz szlaban. I że musisz odrabiać lekcje.

– Nie wracam bez ciebie.

– Nie zabieram cię ze sobą.

– To nie jest prośba.

Kiedy tak siedzimy i mierzymy się wzrokiem, rozważam, czy nie zeskoczyć i pobiec. Mogłabym to zrobić, z łatwością, a później po prostu zjawić się u Greyhillów. Ale wtedy ryzykuję, że Michael będzie mnie gonił, a naprawdę nie jestem w nastroju do takich gier. Jeśli przegapię spotkanie z Boyboyem, będę musiała czekać na kolejną zaszyfrowaną wiadomość, by się z nim umówić – nie mamy tyle czasu.

Ale wtedy wpadam na pomysł.

– Dobrze – pryham. – Jedź w tamtym kierunku.

Kieruję Michaela przez uliczki, z dala od zgiełku. Opuściliśmy Stare Miasto i jesteśmy na obrzeżach tego, co pewnego dnia może się stać przedmieściami. Aktualnie to tylko kolejne ulice pełne niedokończonych szarych bloków. Część z nich pokrywają rusztowania, na których niczym mrówki krzątają się robotnicy, ale większość utknęła na jakimś etapie pośrednim – górne piętra są otwarte, zieją prętami zbrojeniowymi i betonem. Ich właściciele będą wracać co jakiś czas, kiedy zarobią trochę pieniędzy, żeby zbudować kolejne piętro, *polepole*. Powoli, powoli. Mojego budynku nie tykali od lat. Idealnie.

– Tam, na dole – mówię.

To brama do podziemnego parkingu w budynku. Zeskakuję i rozglądam się po ulicy, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest ktoś wypatrujący luksusowego motocyklu znikającego w tym miejscu. Odsuwam na bok metalową blachę zasłaniającą zardzewiałą bramę i Michael wprowadza motor do środka. Prowadzę go do ciemnego wnętrza garażu i mówię, by zaparkował. Cisza po wyłączeniu silnika jest nagła i ogluszająca. Pospieszam go, idąc w stronę drzwi oznaczonych tabliczką „Hatari! Niebezpieczeństwo!”, i wbijam kod pozwalający otworzyć kłódkę.

Do garażu wpada wystarczająco dużo światła, by było cokolwiek widać, ale wewnątrz kotłowni jest całkowicie ciemno. Umiem poruszać się tu po omacku, ale słyszę, jak Michael raz po raz wpada na rusztowania. Podnoszę to, czego potrzebuję, a potem się odwracam, znajduję jego rękę i prowadzę go za nadgarstek przez labirynt na drugą stronę. Otwieram drzwi. Pada na nas światło słoneczne, słabe i pylaste.

Michael idzie za mną do małego betonowego pokoju i rozgląda się. Jesteśmy

w długim szybie, którym powinna jeździć winda.

– Dobra – mówię – zrobimy tak: jako że mam dziś dobry humor, nie zostawię cię na ciemnym parkingu.

– Co ty...

W stosunku do mnie jest o wiele za wolny. Kiedy tu szliśmy, zdążyłam zacisnąć na jego nadgarstku jedną z obręczy kajdanek, które zabrałam z kotłowni. Teraz zręcznie przypinam drugą do wytrzymałej rury.

Oczy Michaela rozszerzają się.

– Nie możesz tego zrobić!

– Chyba właśnie to zrobiłam. Nie martw się, wrócę za dziesięć minut. Nie zostawię cię tu na długie godziny, tak jak ty zostawiłeś mnie.

– Zabrałaś je ze schronu? Jak...?

– To jedna z moich par. Trzymam kilka w pogotowiu.

– Po prostu mnie tu zostawisz?

– Nie wybieram się daleko. Będę na górze.

Michael protestuje, ale przerywam mu:

– Nie uciekam. Nie miałabym dokąd pójść.

Rozgląda się.

– Zacznę krzyczeć – mówi. – To jakaś sekretna kryjówka, prawda? Nie chciałaś, żeby ktokolwiek zobaczył, że tu wchodzę.

Moje oczy się zwięzają.

– Nie ośmielisz się.

– Dlaczego nie? Jeśli mnie tu zostawisz, będę krzyczał tak długo, aż wypłuję płuca. Zobaczysz. Mam tego dość, Tina. – Bierze głęboki wdech i otwiera usta.

– Poczekaj! – Rozglądam się. Wiem, że jego głos odbija się tu echem. – Dobrze! Po prostu potrzebuję kilku minut, by zamienić parę słów z Boyboyem w cztery oczy. Możesz dać mi choć tyle?

– Twój przyjaciel ma na imię Boyboy?

– Partner w interesach.

Michael patrzy na mnie przyzwalająco, jakby to nie on był zakuty w kajdanki.

– Pięć minut.

– Dziesięć.

– A potem zrzucisz mi kluczyk?

– Potem tu zejść i wrócimy do domu.

– Nie ma mowy, chcę się spotkać z tym Boyboyem. – Czeka na moją reakcję. – Mam naprawdę całkiem niezłe płuca, Tina. Chcesz posłuchać?

– Dobrze, już dobrze! Zrzucę ci kluczyk.

Michael spogląda na zegarek.

– Dziesięć minut, potem mój krzyk obudzi nawet umarłego.

– Jesteś prawdziwym wrzodem na dupie.

Michael wygląda tak, jakby chciał się uśmiechnąć.

– To jak dajesz radę siadać?

Ściany są wilgotne i pokryte zielonkawym śluzem, ale z betonu wystają pręty

zbrojeniowe, umożliwiające wspinaczkę. Chwytam fragment nad głową.

– Sam na to wpadnij – rzucam i podciągam się na pierwsze z dziecięciu pięter.

Boyboy podskakuje, kiedy wychylam się z szybu windy na samej górze.

– Masz wszystkie pliki? – pytam, zanim na dobre stanę na ziemi.

– Dobry Boże, Tina, wiem, że mama nauczyła cię manier na tyle, byś krzyknęła *hodi*. – Zerka na mnie znad ekranu komputera. – Chcesz, żebym dostał zawału?

Rozkosznie zwyczajny widok siedzącego tu Boyboya sprawia, że się uśmiecham, pomimo wszystkiego, co się wydarzyło.

– Nie sądzę, by należało obwieszczać przybycie do własnego domu. To jak, udało się?

Boyboy, zgarbiony, nie rusza się z krzesła safari. To mój jedyny mebel, pomijając wysłużony materac w rogu. Chyba można stwierdzić, że nie często spraszam tu gości. Polubiłam to krzesło – ukradłam je z tarasu wyszukanej restauracji *mzungu*, gdzie serwują turystom strusia i krokodyla. Tłumię rozdrażnienie faktem, że Boyboy je sobie zawłaszczyl – zresztą robi to za każdym razem, kiedy tu przychodzi – i przyciągam dla siebie pustaka.

Palce Boyboya nie przestają stukać w klawiaturę laptopa, nawet gdy mruczy z niezadowoleniem:

– Gdzie piękniś? Sądziłem, że wasza dwójka miała się bawić w dom.

– Na dole. Czeka w dziurze. On, hmm... chciałby cię poznać. Czy dane się przesłały?

– Przywlekaś go do Batjaskini? Zwariowałaś? – Boyboy mierzy mnie wzrokiem. – I co ty masz na sobie?

Czuję ciepło wstępujące na policzki i odruchowo wyglądam zieloną bluzkę. Powstrzymuję się przed wytknięciem, że sam założył żółty sweter *kitenge* z wzorem latającego tosterka, buty na platformie i turban. Jestem pewna, że wyglądałby idealnie na wybiegu w Lagos, ale między jego przyciągającym wzrok strojem a motocyklem moja sekretna kryjówka z minuty na minutę staje się coraz mniej sekretna.

– Skoncentruj się, Boyboy! Co udało ci się odczytać z jego dysku?

– Nie krzycz – wdryga się Boyboy. – Nie spałem od trzydziestu sześciu godzin, napędza mnie wyłącznie kofeina. Mogę zamienić się w Hulka i wyrzucić cię z tego budynku.

Odchylam się, by lepiej go widzieć.

– Nie spałeś?

Boyboy zdejmuje okulary i pociera oczy.

– Twoi kumple Goondanie kazali mi pracować przez całą noc. Wyszedłem stamtąd ledwie kilka godzin temu.

Ogarnia mnie poczucie winy. Boyboy wsiąkł w tę sprawę głębiej niż w którekolwiek z moich wcześniejszych zleceń.

– Robał miał cię puścić do domu.

– Taa, w sumie to puścił. Tyle że chwilę mu to zajęło – mruczy Boyboy, po czym wychyla zawartość jednego ze stojących obok niego otwartych napojów energetycznych.

Nie chcę o to pytać, ale idę o zakład, że mama Boyboya wpadła w panikę, gdy nie

wrócił do domu przez dwa dni. Nawymyśla mi, gdy ją spotkam. Szczerze mówiąc, traktuje go, jakby miał pięć lat, a nie piętnaście. Nie przepada za mną, ale z drugiej strony Boyboy przynosi do domu więcej pieniędzy z naszych zleceń, niż ona kiedykolwiek będzie w stanie zarobić na sprzedaży herbaty na rogu. Pięcioro dzieci – to pięć głów do wykarmienia, zwłaszcza jeśli jesteś uchodźczynią i samotną matką. Do tego dochodzi ochrona dla przyjaciół Goondan.

Boyboy ponownie zakłada okulary.

– Robal chciał wiedzieć, co byliśmy w stanie zdobyć z dysku Greyhilla. Co nie było łatwe, gdy Keczup non stop kłapał jadaczką. Kiedy nie naskakiwał na mnie, pieprzył o twoim pobycie u Greyhillów. Uważa, że ich sprzedałaś.

– Powinien się martwić o własną głupią osobę. Nie zdradzam Goondan. Nie mam ochoty umierać. Nie śledzili cię, prawda?

– Nie sądzę. Próbowiałem kluczyć.

– No dobra. To co udało nam się zdobyć?

– Zaledwie piętnaście procent danych z twardego dysku.

Przeklinam kwiecieście i spoglądam przez ramię w stronę szybu windy. Ściszam głos, mimo że jestem pewna, iż Michael nie może nas usłyszeć.

– Będę musiała wrócić do gabinetu Greyhilla i przesłać dane ponownie, prawda?

– Jeśli chcesz mieć wszystko, to tak.

Pocieram czoło dłonią.

– Słuchaj – szepczę – Michael sądzi, że mamy wszystko, a przynajmniej wszystko, czego potrzeba, by zrujnować jego ojca. Tylko dzięki temu udało mi się go namówić do wypuszczenia mnie z celi. Sądzi, że nie opublikujemy brudów, jeśli udowodni mi, że jego tata nie zabił mojej matki.

Boyboy mruga.

– Co? Czemu miałybyś się zgodzić na coś takiego? Greyhill zabił twoją mamę, zawsze to powtarzałaś.

Kolejny raz zerkam przez ramię, potem przybliżam się do niego.

– Wiem, wiem... Ale posłuchaj, istnieje nagranie. Pan Greyhill miał w swoim gabinecie kamerę, rejestrującą wszystko tej nocy, gdy ona zmarła.

– Co takiego? – Boyboy z trudem nabiera powietrza. – Nie było tej kamery w sieci, do której się włamałem.

– Wiem. Musiała być od niej oddzielona. Lub teraz jest. W każdym razie nagranie z tamtej nocy zniknęło. Zabrał je David Mwika, zanim rozpłynął się w powietrzu. Ale Michael twierdzi, że wie, gdzie jest Mwika, i może zdobyć nagranie.

– A ty mu wierzysz?

Nie potrafię spojrzeć Boyboyowi w twarz i powiedzieć mu, że Michael zdobył te informacje od ojca. To zabrzmiałoby zbyt śmiesznie.

– Taa – mówię. – To znaczy, że mamy czas, co nie? Nawet po tym, jak zdobędę dane, będziesz potrzebował kilku dni na ich deszyfrowanie. Pomyśl o tym, Boyboy. Nagranie. Dowód, ostateczny dowód, że Greyhill to zrobił.

– To gdzie jest Mwika?

Odchylam się do tyłu.

– Michael nie chce mi powiedzieć. Uważa, że nawieję. – Przechylam głowę. – Oczywiście ma rację...

Boyboy wyciąga rękę, by mnie zatrzymać.

– Muszę się upewnić, że dobrze rozumiem. Zawarłaś umowę, która może spowodować, że pan Omoko będzie zmuszony poczekać na swoje pieniądze, podczas gdy ty będziesz się bawić w detektywa?

– Nie. Omoko już się zgodził poczekać tydzień, podczas gdy ty będziesz deszyfrował dane. Wie też, że jedną z danych wymagających deszyfrowania są konta bankowe. Wykorzystałam margines czasu, który i tak mamy, na zawarcie umowy z Michaeliem – a poza tym, jak wiesz, sądziłam, że może być potrzebny powrót do gabinetu pana Greyhilla. I miałam rację.

Boyboy daje sobie chwilę na przetrwanie wszystkiego.

– A co by było, gdybym miał już wszystkie dane?

Unikam jego wzroku.

– No cóż, nie masz, więc przestań narzekać. Tym razem zdobędę wszystko. Ach, potrzebuję też nowego dynksa na USB. Masz jakiś? Michael zniszczył ten, który miałam.

Boyboy ignoruje moje pytanie.

– Ale umowa, którą zawarłaś, niczego nie zmienia, prawda? Ty przekazujesz brudy dziennikarzowi, ja hakuję konta bankowe, pieniądze trafiają do Goondan, ty robisz z panem Greyhillem, co chcesz zrobić, a o czym ja nie chcę wiedzieć. Brudy. Pieniądze. Krew.

Obgryzam paznokiec.

– Raz, dwa, trzy. Jak tylko zobaczę nagranie.

– Niezależnie od tego, co na nim ujrzysz. Niezależnie od tego, kto zabił twoją mamę, prawda? Jesteśmy po tej samej stronie? – Boyboy mówi bardzo powoli. – Omoko spodziewa się swoich pieniędzy. Jeśli ich nie dostanie, Goondanie cię zabiją. A potem zabiją mnie. A potem wrócą i zabiją cię jeszcze raz, żeby mieć pewność, że zrozumiałaś.

– Wiem. Plan się nie zmienił. Nagranie pokaże, że pan Greyhill zabił moją mamę, a wtedy już będę wiedzieć na pewno, na sto procent, raz na zawsze.

Boyboy nie wygląda najlepiej. Już otwiera usta, by dalej się ze mną kłócić, ale przerywa mu głos:

– Tina!

Boyboy spogląda ponad moim ramieniem w dół szybu windy.

– To on?

Podchodzę do otworu.

– Cii! – mówię i też patrzę w dół.

Jasne oczy Michaela lśnią w świetle.

– Rzuć mi klucz!

– Nie minęło dziesięć minut.

Michael wskazuje na zegarek.

– Minęło.

Przeklinam pod nosem, ale wyławiam klucz ze skrytki między stronicami jednej z moich książek. Upuszczam go, nawet nie sprawdzając, czy trafi Michaela między

głupie, zielone oczy.

Szybko wracam do Boyboya.

– Nie martw się, dobra? Będzie dobrze. A teraz szybko, zanim się tu wespnie, czy wśród tych piętnastu procent, które odebrałeś, jest cokolwiek wartościowego?

Boyboy wciąż wygląda na chorego, ale siada nieco prościej.

– Jest kilka soczystych kąsków. – Dotyka ekranu.

Z tego, co mi pokazuje, rozumiem równie dużo, co z hieroglifów.

– Na co tak właściwie patrzę? – pytam szeptem.

– To pieniądze wpadające na konto Extracty z Chin i Dubaju.

Gwiżdżę przeciągle.

– To rzeczywiste sumy? Nie jestem pewna, czy umiem do tyłu liczyć.

– To wszystko legalne. Ale spójrz na to. – Boyboy przełącza na kolejną stronę. – Tutaj więcej pieniędzy płynie do jakiejś prywatnej firmy wojskowej w RPA w zamian za „porady z zakresu bezpieczeństwa”. Ale wychodzi jakieś sto tysięcy dolarów za jedną poradę.

– Więc?

– Więc te całe porady przyjeżdżają w drewnianych skrzyniach, które, zgodnie z tymi fakturami, ważą kilka ton.

– Importuje coś. – Obracam się przez ramię, ale Michael jeszcze się nie pojawił. – Sądzisz, że chodzi o broń? – Ledwo opanowuję drżenie głosu.

Boyboy potakuje.

– Stawiam na szali moją torebkę Birkin.

– Są jakieś dowody na to, że ta broń trafia do milicji? A może jest coś o skupywaniu złota? Albo o Kasisi?

– Nie, jeszcze nie.

Mój uśmiech blednie.

– Nic?

– To nie jest nic! – prycha, pokazując ekran.

– Masz rację. – Potrząsam głową. – Przepraszam. Czy Robal lub Keczup o tym wiedzą?

– Nie, nie mają pojęcia, co robię. Powiedziałem im, że nie byłem w stanie jeszcze nic rozszyfrować.

– Dobrze. Ale wiedzą, że nie mamy wszystkiego i że muszę po to wrócić.

– Taa...

Chcę sprawdzić, jak idzie Michaelowi, ale Boyboy kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Tina, posłuchaj, to się robi zbyt zagmatwane. Zapomnij o nagraniu. Wiesz, kto zabił twoją mamę. Może powinniśmy zacząć ograniczać straty. Znajdę inny sposób, by zhakować konta bankowe Greyhilla. Nie musisz tam wracać.

– Ja... Nie. Potrzebujemy wszystkiego. To, co mamy, nie wystarczy, by zniszczyć pana G.

Rzuca mi długie, badawcze spojrzenie.

– Zaczynasz wątpić w to, że ją zabił?

Wstaję.

– Nie. Ja tylko... Mamy czas. Robał dał nam tydzień.

Boyboy wciąż nie wygląda na przekonanego.

– Nie podoba mi się to.

Splatam ręce na piersi.

– Ja... nie mogę cię zmusić, żebyś nad tym dalej pracował. Chcesz się wycofać?

Robala biorę na siebie.

Parska.

– A kto dokładnie rozszyfruje pliki pana G.?

Nie odpowiadam. Wie, że nie mam nikogo innego, kto potrafiłby to zrobić.

Boyboy wzdycha, szuka czegoś w torbie, po czym wyciąga nową przejściówkę

USB.

– Tej nie zgub. Nie mam więcej, a zdobycie kolejnej zajmie tydzień.

– On ma moją słuchawkę.

– Nie potrzebujesz słuchawki, jeśli nie będziesz wykonywać akrobacji, by wejść do środka. Po prostu skorzystaj z telefonu. USB łączy się z nim bezpośrednio.

Wsuwam przejściówkę do kieszeni.

– Dzisiaj o północy. Powiem Robalowi, żeby cię podwiózł. Spróbuję też zadbać o to, by Keczup został w domu.

Boyboy wygląda na uspokojonego.

– Dobrze.

Przenoszę ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– I... dziękuję. Za wszystko.

Odchrząkuje, spoglądając gdzieś za mnie.

– Witaj, piękny – mówi na wydechu.

Obracam się akurat w momencie, gdy Michael wychodzi z szybu windy.

– Wreszcie – mówię.

Ociera czoło rękawem koszuli.

– Wynaleziono takie coś jak schody, jeśli nie wiesz.

– Drobinka nie lubi, jak ktoś wspina się do jej gniazda. A dzięki temu to prawie niemożliwe – oznajmia Boyboy. – Zablokowała schody. Minęły miesiące, zanim się nauczyłem tu wchodzić w mniej niż pół godziny.

– Czekaj. Do gniazda? Mieszkasz tutaj? – pyta Michael.

Rzucam Boyboyowi gniewne spojrzenie.

Przez sekundę patrzę na swój dom oczami Michaela: gołe betonowe bloki, z ziejącymi dziurami w miejsce okien i drzwi. Postrzępione plastikowe płachty wiszące niczym zasłony od wschodniej strony, mające chronić przed deszczem. Brudny materac, mały piecyk gazowy. Mój stosik ukradzionych książek, napuchły od wilgoci. Sznur na pranie. Gołe ściany. Kurz w kątach.

Nie powinnam się przejmować tym, co myśli – w końcu go tu nie zapraszałam – ale coś w sposobie, w jaki się rozgląda, sprawia, że czuję się naga. Wiem, że on nie docenia ani wspaniałego widoku miasta, ani tego, że jestem tu bezpieczna. Swoimi oczami, oczami bogatego chłopca, widzi jedynie biedną uchodźczynię mieszkającą w brudnym, niedokończonym budynku.

– Nie wszystkich stać na Ring – mówię.

– To jest apartamentowiec – podpowiada Boyboy. – A przynajmniej mógłby się nim stać pewnego dnia.

– Nie, po prostu sądziłem, że... – Michael wydaje się zagubiony. – Całkiem sama?

– Tak.

Gapi się jeszcze przez kilka sekund, a później podchodzi do Boyboya i wyciąga dłoń. Jeśli odrzucają go maniery i strój Boyboya, to jest na tyle dobrze wychowany, by tego nie komentować.

– Ty musisz być, no ten, Boyboy. Jestem Michael Greyhill.

– Wiem, kim jesteś, *habibi* – mówi Boyboy, na chwilę ujmując jego dłoń.

– Więc – Michael spogląda na komputer Boyboya i nagle przechodzi do interesów – to tu masz wszystkie haki na mojego tatę?

Boyboy rzuca mi spanikowane spojrzenie. Michael gapi się na komputer, a później na otwartą dziurę, pełniącą funkcję okna. Boyboy, domyślając się, o czym myśli, przytula komputer do piersi.

– Zrobiłem kopie! Nie waz się tknąć Priscilli!

Wkraczam między nich.

– Spokojnie, Mikey. Jak sam wielokrotnie mi przypominałeś, mamy umowę.

Michael się nie porusza. Przez jego twarz przechodzi grymas. Jest w nim coś mrocznego, co mrozi mi krew w żyłach.

– Co znalazłeś? – pyta.

– Ach, nie miałem jeszcze czasu rozszyfrować wszystkiego – mówi Boyboy piskliwie.

– To trochę zajmuje. – Chwytam Michaela za ramię i próbuję go odciągnąć. Przypomina to próbę wyrwania drzewa. – Będzie nas informować o postępach. Daj spokój. Poznałeś Boyboya, powinniśmy już iść. Robi się późno, twoja matka będzie wściekła.

Michael spogląda to na mnie, to na niego, i przez kilka bardzo niekomfortowych sekund czuję, jakby czytał mi w myślach.

– Tina, jeśli kłamiesz w kwestii posiadania danych z dysku twardego mojego ojca...

– Nie martw się – szczebiocze Boyboy – mam je. A to, co widziałem do tej pory, nie jest ładne. Pranie złota, handel bronią. Twój tata siedzi po uszy w wielkich brudach.

Michael głośno przetyka.

– Pokaż.

Boyboy wciąga powietrze i odsuwa się.

– Jeszcze nie – mówię, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo się teraz denerwuję. Co ja zrobiłam? Dlaczego pozwoliłam tu wejść synowi pana Greyhilla?

– Nie taka była umowa. Jeśli udowodnisz, że twój tata nie zabił mojej mamy, odzyskasz je wszystkie. Ale do tego czasu ręce precz.

Michael ponownie przenosi spojrzenie na Boyboya. Jest większy i silniejszy niż nasza dwójka, i nie jestem pewna, czy zdołam go powstrzymać, jeśli postanowi rzucić komputer – a może Boyboya razem z nim – z dachu.

– A jeśli jest tam coś, co pomogłoby nam znaleźć zabójcę twojej mamy? – pyta Michael.

– Boyboy da mi znać, jeśli cokolwiek znajdzie, prawda, Boyboy?

Czuję, jak cała się spinam, gotowa do skoku, gdyby Michael zamierzał wykonać nagły ruch. Nie pozwolę mu zabrać komputera ani skrzywdzić Boyboya. Ale wtedy nagle, na moich oczach, złe, wyrachowane oblicze Michaela roztapia się i pozostaje tylko jego maska. Omija wzrokiem Boyboya i spogląda na miasto.

– Masz rację, Tina, powinniśmy iść.

Odwraca się i rusza w stronę szybu windy.

Wypuszczam wstrzymywany oddech.

– Do zobaczenia niebawem – rzucam do Boyboya.

Patrzę, jak Michael opuszcza się do szybu. Wciąż kipię od wysokiego poziomu adrenaliny.

Boyboy patrzy na mnie i bezgłośnie mówi: Bądź ostrożna.

Kiwam głową, po czym opuszczam się w ślad za Michaeliem.

Dziewiętnaście

Gdy docieramy z powrotem do Greyhillów, jest już późne popołudnie. Michael prosi, żebym poszła na górę, a sam zostaje, by zebrać cięgi od matki. Nie protestuję. Im mniej czasu spędzę pod okiem pani G., tym lepiej. Jestem pewna, że z chęcią zrzuciłaby zniknięcie Michaela na karb mojego złego wpływu. Poza tym muszę zadzwonić.

Ponownie zamykam się w łazience i wyjmuję telefon. Zauważyłam trzy nieodebrane połączenia i pięć SMS-ów od Keczupa, jeszcze zanim Michael i ja opuściliśmy mój dach. Teraz mam już sześć nieodebranych połączeń – cztery od Keczupa i dwa od Donatiena. Wybieram numer Robala, czując wzbierające mdłości.

– Słyszałem, że byłaś dziś w mieście – mówi Robal, niskim, spokojnym głosem wprost w moje ucho, bez żadnego wstępu.

– Naprawdę? – Staram się nie zabrzmieć piskliwie.

– Keczup widział cię, jak jedziesz wypasionym motorem w stronę Starego Miasta. Uderzam pięścią o udo.

– Ja... To wszystko część planu. Musiałam zdobyć nową przejściówkę od Boyboya. – Nie zrobiłaś nic złego, Tina, próbuję się uspokoić. – Powiedział mi, że nie zdobyliśmy wszystkich danych z dysku twardego Greyhilla. Muszę wrócić tam dziś w nocy, by dokończyć pracę. – Waham się. – Czy możesz go podwieźć, by użył swojej technologii? – Czekam na odpowiedź, która nie nadchodzi. – Przepraszam, Robal, nie udało mi się pozbyć Michaela aż do teraz, bym mogła powiedzieć ci, co się dzieje.

Robal milczy. To gra w cykora; próbuje zyskać pewność, że jestem z nim szczerą.

– Dobra. Przywiozę go – mówi wreszcie.

– Dziękuję. Umm. I bez Keczupa.

– Dlaczego? – pyta podejrzliwie.

– Sam wiesz, jak traktuje Boyboya. Keczup mówi rzeczy, które sprawiają, że się denerwuje. Nie chcemy, żeby nasz spec od IT był poddenerwowany.

Robal wzdycha.

– W porządku. Ale tym razem załatwisz wszystko do końca. Żadnych wpadek.

– Żadnych wpadek. – Liczę sekundy, czekając na jego odpowiedź.

– I żadnego więcej latania po mieście bez pozwolenia, rozumiesz, Drobinko? *Mdosi* Omoko nie jest osobą nawykłą do życia w niewiedzy. Zrób, co do ciebie należy. Zdobądź dla niego to, czego chce.

– Tak zrobię.

– A w przeciwnym razie, Drobinko?

– Tak?

– Nie wracaj.

Upycham pożyczoną zieloną koszulę pod łóżkiem w pokoju gościnnym, razem z innymi moimi ubraniami, i znajduję nowy strój. Gdy jestem już czysta, ślamazarnie schodzę na dół, ale słyszę, że matka Michaela wciąż daje mu popalić w salonie. Wychodzę na zewnątrz i zanurzam stopy w basenie.

Z tego miejsca, z patio Greyhillów z rozległym widokiem na miasto i ocean, nie można dostrzec chat dla służby. Skrywają je tewecje i plumerie. Ale wiem, że gdzieś na

końcu kompleksu jest nasz stary dom. Mam ochotę tam podejść i popatrzeć na niego, ale teraz mieszkają w nim inne osoby, nowi służący. Wciąż widzę wąskie łóżko, które dzieliłam z Kiki, nasz zapadający się fotel, na który z malutkiego obrazka w ramce spoglądała Święta Katarzyna, a także usypiska z tyłu domu, gdzie mama i inne służące gotowały i rozwieszały nasze pranie. Zastanawiam się, czy „dom” do zabaw, który urządziłam dla mnie i Kiki pod pnączami bugenwilli, wciąż tam stoi. Może szmaciana lalka Kiki, za którą płakała, a po którą ja nie chciałam wrócić, gdy stąd odeszliśmy, wciąż gnije wśród liści.

Kiki urodziła się w naszej chatce. Pomijając szkołę zakonnicek, to jedyny dom, jaki zna. Jeśli kogoś dziwiło, że żadnej innej służącej nie wolno było przyprowadzać tu swoich dzieci, musiały zostawiać je z krewnymi w wioskach albo w Sangui, to nikt mi nic o tym nie powiedział. Nie wpadłam też na pomysł, by kogokolwiek o to pytać – do momentu, aż już nie miałam kogo.

Zastanawiam się, co miała do powiedzenia pani Greyhill, kiedy oczywistym się stało, że mama spodziewa się kolejnego dziecka, które tak samo jak ja jest pozbawione ojca. Zastanawiam się, co pomyślała, gdy pojawiła się Kiki, po części różowawa, i czy pani G. wyciągnęła zdjęcia z dzieciństwa własnej córki i wpatrywała się w nie, porównując, próbując przekonać samą siebie, że jej mąż nie mógł być przecież tak głupi bądź tak okrutny.

Zastanawiam się na wieloma sprawami.

Pani Greyhill w końcu puszcza Michaela wolno, ponieważ ona i pan G. wybierają się na wystawną kolację. Michael nie mówi mi, co mu nagadała, a ja nie pytam.

Gdy wychodzą, wracamy na górę, ale musimy zostawić drzwi do pokoju Michaela otwarte. Służące mają za zadanie nas pilnować i przechodzą obok pokoju zbyt często, byśmy mogli rozmawiać o sprawie, jak Michael wciąż ją nazywa. Próbujemy obejść to, szepcząc, ale ostatecznie popadamy we frustrację i postanawiam, że na dziś damy sobie spokój.

Zostawiam Michaela pochylonego nad aktami ONZ i policji, uważnie sporządzającego notatki. Powtórzyłam mu większość z tego, co powiedział mi Donatien – koncentrując się głównie na fakcie, że on jest przekonany o winie pana G. Pomięłam fragment, kiedy Donatien ostrzegał mnie przed samym Michaeliem.

Gdy jestem już w swoim pokoju, wysyłam Boyboyowi SMS-a, by zadzwonił do mnie, kiedy on i Robal będą w drodze, po czym wskakuję do łóżka. Wyjmuję z kieszeni zdjęcie mojej matki i wpatruję się w jej twarz, aż zaczyna tracić kształt. Jej uśmiech staje się zbyt szeroki, warkocze zbyt skręcone. Kwiatowym pnączom w tle wyrastają ciernie, które zaczynają wić się i ślizgać po rękach dziewczyn niczym węże miażdżące swoje ofiary. Druga z nich szepcze coś mamie do ucha i obie się śmieją. „Tina, chodź tutaj!”, woła mama.

Próbuję powiedzieć jej, że nie mogę, ale moje usta są ciasno zaszyte niczym blizna Donatiena. Chcę ją dosięgnąć, ale moje ręce i nogi są skrępowane pnączami.

„Tina!”

Zaczyna się śmiać, po czym odrzuca do tyłu głowę; jej usta stają się otchłania, a potem zaczyna krzyczeć.

Nagle coś mną wstrząsa i wracam do rzeczywistości. Przez kolejną sekundę nurzam się w ciemności. Ponownie słyszę krzyk, ale to nie jest krzyk, to tylko wibracje mojego telefonu. Próbuję go namacać, czując mrowienie w ręce.

– Boyboy?

– Wreszcie.

– Która godzina?

– Północ! Próbuję się do ciebie dodzwonić od pół godziny. Jesteś zbyt zajęta księciem z bajki?

– *Mavi!* Zasnęłam.

– Wspaniale. Dobrze wiedzieć, że poważnie do tego podchodzisz. Jesteś już przytomna? Gotowa, żeby tam wrócić?

Włączam światło i przyzwyczajam wzrok.

– Taa... – mamroczę, wciąż mając przed oczami powidoki z mojego snu. Wstrząsa mną dreszcz. – Daj mi chwilę. Gdzie jest Robal?

– Prowadzi. Wkurzony, że nie odbierałaś.

Delikatnie klepię się w policzki, próbując się obudzić.

– Możesz zhakować kamery i sprawdzić, czy wszyscy leżą w łóżkach?

– Robi się.

Słyszę, jak palce Boyboya uderzają w klawiaturę. Czekaając, znajduję w szafie Jenny ciemne ubrania, w które mogę się przebrać.

– I jak? – dopytuję.

– Nikt ci nigdy nie mówił, że cierpliwość jest cnotą?

– Moja matka, jedynie jakiś milion razy. – Poprawiam telefon, gdy wciągam bluzkę przez głowę.

– Cieszę się, że wzięłaś to sobie do serca. Dobra, Michael nie wyszedł z pokoju, ale Greyhillów nie ma w sypialni. Wygląda na to, że nie ma też ich samochodu.

– Idealnie. Muszą wciąż być na przyjęciu.

– Spróbuję włamać się do firmy ochroniarskiej, która obsługuje ich samochód, i sprawdzić, gdzie umiejscawia ich GPS. Poczekaj.

Obracam się do lustra i dopiero teraz zauważam, że bluzka, którą uznałam za czarną, jest pokryta ciemnoczerwonymi ustami złożonymi do pocałunku. Robię grymas. Wyobrażam sobie, jak zareagowałby Boyboy, gdyby mnie teraz zobaczył.

No cóż, to nie pokaz mody.

To włamanie.

– Boyboy? Jesteś gotowy? Ruszam.

– Poczekaj! Nie chcesz się upewnić, że właśnie nie wjeżdżają na podjazd?

Wiercę się niespokojnie, gdy mijają kolejne sekundy. Wreszcie Boyboy mówi:

– Ochrona twierdzi, że są kilka kilometrów stąd, w Miambu. W porządku, zapętłam obraz z wewnętrznych kamer, poczynając od teraz.

– Dobra, idę.

– Poczekaj jeszcze sekundę. Robal chce z tobą pomówić.

Słyszę, jak telefon zmienia właściciela, a potem dobiega mnie głęboki głos Robala. Czekam, aż znów mnie zgani, ostrzeże, że bym tego nie zaważyła, ale on mówi tylko:

– Uda ci się, Drobinko. A gdy tylko skończysz, możesz wynieść się z tego domu i wrócić do prawdziwego życia.

– Taa – rzucam, niepewna, co mam odpowiedzieć. – Zadzwoń, gdy będę w gabinecie. – Rozłączam się i wkładam telefon do kieszeni, a potem potrząsam rękami i nogami, próbując się rozluźnić.

Kiedy wślizguję się na korytarz, nie dostrzegam światła pod drzwiami Michaela. Gdy skradam się przez ten dom, przypominający grobowiec, czuję, jak mój puls przyspiesza. Znajomy przyływ adrenaliny wywołuje uśmiech na mej twarzy. Wszystko nagle wydaje się na swoim miejscu. To właśnie wiem. Tym właśnie jestem. Złodziejem. Dobrym. Tym razem nie wyjdę, póki wszystkie sekrety pana G. nie będą moje.

Dwadzieścia

Dwie minuty później zamek w drzwiach gabinetu nie stanowi już przeszkody. Wchodzę do środka i oddzwaniem do Boyboya.

– Za łatwo – szepczę.

Dobiega mnie jego urywany głos:

– Nasłuchuj, czy nie nachodzi cię znów twój kochaś.

Parskam.

– Kochaś?

– Hej, dziewczyno, ja tylko wyciągam wnioski z tego, co widzę. Ten chłopak robi do ciebie maślane oczy.

– Widziałeś go przez jakieś dwie minuty – mówię, zastanawiając się, czy Robal przysłuchuje się tej rozmowie.

Docieram na drugą stronę ciemnego pokoju, oświetlając sobie drogę komórką, po czym włączam lampkę na biurku.

– Zapominasz o tym, że... geniuszem... bardzo spostrzegawczy... – połączenie co chwilę przerywa. – ...szkoda, że ty... pograżysz jego rodzinę. Wasza dwójka... ładną parę...

– Mówisz to tylko dlatego, że jesteś zbyt daleko, bym mogła ci przywalić – rzucam, ale gdy sadowię się w wielkim fotelu pana G., czuję w trzewiach zarzewie winy. Spoglądam na skórzaną kanapę. Myśl o mojej matce osuwającej się bez życia zaognia mój gniew.

Ponowne uzyskanie dostępu do komputera i dysku twardego pana Greyhilla nie trwa długo, gdy już wiem, jak to się robi. Po kilku chwilach Boyboy żongluje ekranami jak w cyrkowej sztuczce.

– Chodźcie do tatusia – mówi, po czym kwęka zniecierpliwiony: – Sygnał wciąż jest słaby. Próbowałem wzmocnić pasmo, ale jest wolne.

Mówi bardziej do siebie niż do mnie, a ja pozwalam mu robić swoje i odwracam się, by przyjrzeć się biblioteczce. Przyciskam telefon ramieniem i przesuwam palcami po brzegach półek. Nic. Żadnych zawiasów czy czegokolwiek, co wskazywałoby na obecność ukrytych drzwi lub kamery. Wyciągam książki, przestawiam małe drewniane figurki masajskich wojowników, ustawione w równym rzędzie na jednej z półek. Ani drgnie.

Spoglądam ponownie na komputer. Ekran jest wypełniony linijkami kodu.

– Umieść telefon... obok... komputera, Tina. Ja... zamknąć śledzenie GPS... – mówi Boyboy. – Zwalnia... za bardzo. Robal będzie... ich samochodu.

Kładę telefon obok komputera, wracam do biblioteczki i węszę dalej. Gdzie jest kamera? Jak Michael otworzył drzwi? Kiedy przez nie przeszedł, byłam zbyt zajęta wpatrywaniem się w zdjęcie mojej matki, by wiedzieć, że w ogóle tu jest, a co dopiero odgadnąć, jak tu wszedł. Nie dostrzegam niczego, co mogłoby służyć za dźwignię. Poczynając od dołu, jeszcze raz badam wszystkie półki. Jestem przy masajskich statuetkach, kiedy słyszę, jak Boyboy mnie woła.

Chwytam telefon i przykładam słuchawkę do ucha.

– Co?

– Samochód Greyhillów... właśnie parkuje!

Przeklinam pod nosem, patrząc, jak małe okno pojawia się na ekranie komputera.

– Co to?

Wygląda jak obraz z kamery.

– Korytarz prowadzący do gabinetu – przyjrzyj się mu!

– Ile czasu potrzebujesz?

– Więcej niż... mam. Po prostu... zobaczę, co da się zrobić.

Bezsilnie rozglądam się wokół. Przeklęty pokój bez okien. Pan Greyhill być może nie przyjdzie prosto do gabinetu, ale nie jestem gotowa, by tu zostać i się o tym przekonać. Muszę mieć dość czasu, by niepostrzeżenie wyjść i zniknąć za rogiem.

– Pospiesz się – mówię.

– Nie pomagasz – odpowiada śpiewnie Boyboy.

Nie odrywam oczu od obrazu korytarza. Jest pusty. Na razie. Jeśli pan G. pokaże się na ekranie, będzie to oznaczało, że mam jakieś dziesięć sekund, zanim mnie złapie. Chyba że... Odkładam telefon obok komputera i obracam się w stronę biblioteczki. Musi być jakiś sposób, żeby ją otworzyć. Ale próbowałam już wszystkiego... Idę z powrotem do biurka i macam blat pod spodem.

– Za późno. – Słyszę głos Robala. Chwytam telefon jedną dłonią, a drugą wciąż próbuję coś znaleźć. – Kamery pokazują... wchodzi do środka. Greyhill... w każdej chwili. Uciekaj, Tina...

Boyboy najwyraźniej wciąż pracuje, bo ekran komputera przełącza się między plikami.

– Boyboy ma już wszystko?

– Możesz wrócić później! – mówi Robal.

Nie odpowiadam. Moje palce ślizgają się po drewnianym biurku. Gdzieś tu musi być jakaś dźwignia albo przycisk, albo...

– Mam! – Wciskam niewielki przełącznik i obracam się, by ujrzeć bezszelestnie otwierającą się biblioteczkę.

Do pokoju wpada chłodny podmuch powietrza.

– Otworzyłam tajne przejście! – wołam.

– Dobry Boże, całe szczęście. – Słyszę z oddali głos Boyboya.

Ponownie spoglądam na ekran.

Pan Greyhill zbliża się korytarzem.

– Skończyłeś? – pytam.

– Prawie... *mavi*.

– Co?

Ekran komputera migocze, a potem się zaczernia.

Przekleństwa Boyboya są głośne i wyraźne. Nagle na ekranie pojawia się kreskówkowy królik i grozi nam palcem.

– Nie, nie, nie! – mówi królik.

– Co do...? – Słyszę, jak stukot palców Boyboya cichnie, a potem rozlega się ponownie. Na ekranie pojawia się więcej królików.

– Wychodzę – mówię i sięgam po przejściówkę USB.

– Zaczekaj! – krzyczy Boyboy. – To fork-bomba! Będzie wiedział, że ktoś tu był! Króliki skaczą po całym ekranie, a mantra „Nie, nie, nie!” staje się coraz intensywniejsza.

– Nie mamy czasu! – Spoglądam w górę, nasłuchując dźwięku klucza w zamku.

– Iiiiiii, teraz, czysto! Uciekaj! – krzyczy Boyboy.

Wyszarpuję USB. Ekran robi się czarny, zamykam pokrywę. Wrzucam laptopa i twardy dysk do szuflady biurka, a potem wślizguję się w otwór za biblioteczką. Zatrząskuję go w chwili, gdy drzwi gabinetu się otwierają. Przyciskam ciało do zimnej, wilgotnej ściany i nasłuchuję, moje serce mocno bije. Unoszę telefon do ucha. Przez zakłócenia słyszę, jak Boyboy bierze szybkie, urywane oddechy, mimo że to nie jemu grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo.

– O Boże... Tina? – dyszy. – Wszystko w porządku?

– Udało mi się – szepczę. – Jestem w tunelu.

Boyboy oddycha z ulgą.

– Teraz pam... dlaczego jesteś złodziejem, a ja... nerdem. Chyba mam... atak paniki...

– Cii. Masz wszystko?

– Myślę... muszę sprawdzić...

Wykorzystuję poświatę telefonu, by odnaleźć ekran obok drzwi. Wciskam guziki tak długo, aż światło otula tunel miękkim, szarawym blaskiem.

– Co ty... tam robisz? – Słyszę głos Robala. – Możesz... się wydostać... jest... tylne wyjście?

– Daj mi chwilę – mówię. – Widzę go na kamerze.

Poruszam się cicho, podczas gdy pan Greyhill wchodzi w kadr i siada przy biurku. Wyjmuje z szuflady laptopa, a po nim twardy dysk. Wstrzymując oddech, czekam, czy cokolwiek zauważy, ale jego zmęczona postawa pozostaje bez zmian. Obok komputera stoi drink, musiał go sobie wcześniej nalać. Widzę go jedynie z tyłu, ale rozpoznaję, że pociera twarz, poluzowuje krawat i odpina spinki od mankietów. Potem wyjmuje z kieszeni telefon i przykłada go do ucha.

Boyboy mówi cicho:

– Jest tam... wtyczka... przejściówkę do ekranu...

Waham się.

– Zrób to. – Słyszę głos Robala.

Z boku ekranu znajduję miejsce, w które mogę wpiąć USB.

– Zdziałało? Widzisz coś?

– Taa – dyszy Boyboy. – Włącz... dźwięk.

Wciskam przycisk dźwięku i słyszę, jak pan G. mówi: „Tak, oczywiście”. Stuka w klawiaturę komputera, ale jego plecy zasłaniają ekran.

– Myślisz, że zauważył króliki? – pytam.

– Nie, wyczyściłem to – zapewnia Boyboy. – Nieźle popieprzone.

– Cii... – Pochyliam się bliżej.

– To samo, co wcześniej – mówi pan G. swoim zimnym głosem Wielkiego

Gościa. – Nie pozwól, by Huan-Xi protestował w kwestii stawek. Powinien być dość ostrożny, by nie próbować żadnych numerów. ...Racja. Nie, będę w kopalni, sam musisz się tym zająć. W tej na terytorium Walikale, w pobliżu Kasisi. Nie, to najbliższe miasto, a kopalnia jest oddalona o dziesięć kilometrów, w wysokich górach. Działają tam tylko telefony satelitarne.

Dostaję gęziej skórki. Kasisi. Moja rodzinna wioska.

– ...To jest kopalnia cyny. Tam ją dostarczają. Sam chcę zbadać próbki. ...Nie ufam nikomu. Mam tam też inne sprawy do załatwienia. ...Muszę się przyjrzeć temu nowemu *comptoir*, próbującemu wejść do gry. Nie, nie martwię się o niego. Po prostu trudniej się go pozbyć niż pozostałych. ...Nie, rebelianci są na to za sprytni. Będą trzymać się nas. Jesteśmy godni zaufania. Nikt inny nie zapewni im tego, czego chcą, po naszych cenach. ...Tak, próbowałem, ale ten nowy koleś najwyraźniej zebrał swoją grupkę. A jego działania sprawiają, że wydaje mi się... Nieważne. Nie, to nic takiego. ...Nie martw się, zajmę się tym.

Sposób, w jaki mówi „zajmę się tym”, sprawia, że przechodzą mnie dreszcze. To ten sam głos, którego używa Robal, kiedy mówi o kimś, kto zaczął sprawiać problemy.

Pan G. kontynuuje:

– ...Chicago z całą pewnością nie musi wiedzieć. ...Nie, lepiej, żebyś ty też nie wiedział. Tutaj tak to działa. Myślałby kto, że milicja ma już dość tych ciągłych walk, ale... Jasne, oferta wciąż obowiązuje, ale nikt nie wydaje się zainteresowany prowadzeniem biznesu w ten sposób. ...Powtarzam im, że przyniosłoby im to większe zyski, ale... nie w tym życiu.

Nasłuchuję, próbując powiązać w logiczną całość wszystko, co mówi pan G.

– Tak, musimy pracować z tym, co mamy. Jeśli będzie trzeba, przed powrotem do Sangui spotkam się z generałem w Kigali. Nie, o tym nie musisz wiedzieć. ...Nie, generał z Rwandy. Nie robię interesów z kongijskimi parszywcami. Armia, milicja nie mogą zdecydować, po czyjej są stronie, więc po co miałbym zwracać sobie nimi głowę...

Generał z Rwandy. Zastanawiam się, czy chodzi o Gicandę, mężczyznę, którego nazwisko pojawia się w aktach policyjnych mamy.

– ...Dopilnuj, by odpowiedni ludzie dostali w łapę. Dorzuć Johnniego Walkera. ...Weź aktówkę. Wypłacę trochę akcji. – Wydaje z siebie zabawny odgłos; potrzebuję kilku sekund, by uświadomić sobie, że to śmiech. – Dobra. ...Dam ci znać, jak tylko wrócę. Mhm, tobie też. Dobranoc.

Odkłada telefon, bierze drinka i potrząsa kostkami lodu w szklance. Przez kilka sekund się nie porusza. Następnie otwiera szufladę biurka.

Dostrzegam srebrny błysk.

To pistolet.

Patrzę, sparaliżowana, jak podnosi go i obraca w dłoniach.

– Co on robi? – Słyszę szept Boyboya.

– Nie wiem.

Greyhill przez kilka chwil bawi się bronią niemal z czułością, a potem odkłada ją do szuflady. Odchyła się i odsłania monitor. Kiedy dostrzegam, co na nim jest, głęboko nabieram powietrza.

To zdjęcie mamy i jej przyjaciółki.

Zaciskam pięści. Czuję, że w moim gardle wzbiera ryk.

Nagle ktoś puka do drzwi gabinetu, zaskakując zarówno Greyhilla, jak i mnie. Pan G. wciska przycisk na komputerze. Moja mama znika.

– Tak?

Drzwi uchylają się ze skrzypnięciem.

– Przyjdiesz niebawem do łóżka, kochanie? – pyta pani Greyhill.

– Dwie minutki.

Wychodzi, a pan G. zamyka komputer. Rusza za żoną, ale o krok od drzwi zatrzymuje się, obraca i spogląda w moim kierunku. Kulę się w cieniu, choć wiem, że nie może mnie dostrzec. Jego głęboko osadzone oczy skrzą się niczym lód.

Wstrzymuję oddech.

Spogląda w stronę mojej kryjówki jeszcze przez chwilę, po czym odwraca się i wychodzi.

Wypuszczam powietrze z cichym świstem.

Boyboy i Robal siedzą cicho.

– Jak wykasować nagranie? – pytam wreszcie przez zaciśnięte zęby.

Boyboy przeprowadza mnie przez sekwencję klawiszy na ekranie, aż znajduję to, czego szukam: ślady mojej obecności w pokoju. Z powrotem dam radę przekraść się w ciemności. Kamera nie zarejestruje mnie, jeśli nie zapalę światła.

„Czy na pewno chcesz usunąć?”, pojawia się pytanie. Obraz na ekranie stanął na ostatniej klatce – z twarzą pana G.

Wciskam „tak”.

Dwadzieścia jeden

Budzę się o świcie. Wokół panuje głucha cisza.

To niepokojące.

Zwykle poranki na moim dachu przepełniają dźwięki ulicznego ruchu lub nosowy zaśpiew ibisów. Ale zeszłej nocy, zanim rzuciłam się na łóżko, zapomniałam otworzyć okno, przez co powietrze jest zatęchłe i nieruchome. Nawet gdy rozsuwam zasłony i otwieram okno, słyszę tylko delikatne ćwierkanie ptaków w ogrodzie. Pozostawiają wiele miejsca myślom kłębiącym się w mojej głowie.

Sprawdzam telefon, ale nie mam wiadomości od Boyboya na temat plików przesłanych zeszłej nocy. Wysłałam do niego SMS-a o treści „?”. Prawdopodobnie o tak wczesnej godzinie jeszcze śpi, zwłaszcza jeśli spędził całą noc na deszyfrowaniu plików. Mam tylko nadzieję, że Robal pozwolił mu wrócić do domu.

Ubieram się i wystawiam głowę na korytarz, by zobaczyć, czy Michael już wstał, ale jego drzwi wciąż są zamknięte. Schodzę na dół i słyszę, jak pani G. w kuchni wydaje rozkazy służącym, idę więc w przeciwnym kierunku, na patio. Słońce nie przebiło się jeszcze przez mgłę, ogród otula mleczna poświata. Opalizujące nektarniki wystrzeliwiają z niej, miotają się od kwiatu do kwiatu. Przez minutę opieram się o balustradę, rozglądam się, czując wilgoć i chłód odchodzącej nocy.

Urywki rozmowy telefonicznej pana G. przelatują przez moją głowę. Wybiera się do kopalni cyny w pobliżu Kasisi, by zdobyć jakieś próbki. Prawdopodobnie złota, prawda? A do tego ma sprawdzić *comptoir*. Donatien używał już tego słowa. *Comptoir* to pośrednicy, którzy skupują złoto od milicji i przemycają je do innych krajów. W większości to płotki. Może ten jeden pracuje dla innej firmy wydobywczej, która próbuje przerwać transakcje Greyhilla z milicją? Z tonu rozmowy wnioskuję, że Greyhill zamierza go sprzątnąć. A może chce wykorzystać do tego generała z Rwandy? To nie brzmi dobrze. To brzmi mrocznie i pogmatwanie.

Czy pliki z twardego dysku rzucą nieco światła na tę sprawę? Pliki. Czuję napięcie w ramionach. A co jeśli nic więcej w nich nie ma? Jeśli Boyboy nie da rady ich rozszyfrować? Jeśli nie będzie tam dość materiałów, by przekazać je Donatienowi? Co wtedy zrobić? Przejdę do drugiego kroku albo...

– Dzień dobry, Christino.

Podskakuję.

Głos pana Greyhilla niesie się w gęstym powietrzu. Odwracam się i widzę, jak idzie w moją stronę, niosąc dwie filiżanki herbaty. W jedwabnym krawacie i gładko zaczesanych włosach o barwie popiołu wygląda na gotowego do pracy. Staje koło mnie, tak blisko, że mogłabym dotknąć świeżo zaprasowanego kantu na rękawie jego koszuli.

– Dzień dobry panu. – Podaje mi filiżankę. – Dziękuję.

– Spokojnie tu, czyż nie? – Rozgląda się po podwórzu. – Lubię tu przychodzić rankami przed pracą. Oczyszczyć umysł.

Podążam za jego wzrokiem: linia dachu mojej starej chaty majaczy za drzewami.

– Tak, proszę pana.

Sączy swoją herbatę, a ja sączę swoją. Para owiewa nasze twarze. Próbuję znaleźć

jakiś temat do rozmowy, ale w głowie mam tylko morderstwo. Morderstwo. Morderstwo. Czy wie, że to ja przerwałam jego rozmowę z mamą w noc poprzedzającą jej śmierć, gdy zaciskał dłonie na jej gardle? To wydarzyło się właśnie tutaj, pod tym drzewem. Może powinnam po prostu spytać, czego dotyczyła jego rozmowa z ubiegłej nocy. Jakimi rzeczami czy osobami będzie się pan dziś „zajmować”?

Wreszcie pan G. mówi:

– Wiesz, że możesz tu zostać tak długo, jak tylko chcesz.

Rzucam spojrzenie na jego gładko ogoloną twarz, zaskoczona uprzejmością w jego głosie.

– Dziękuję panu. Ale za kilka dni muszę wracać do szkoły.

– Tak, oczywiście. Przypomnij mi, do której szkoły chodzisz?

– Nie wspominałam o tym – odpowiadam ostrożnie. – Akademia Aleksandra w Paryżu.

– Rozumiem. Podoba ci się Paryż?

Próbuję sobie przypomnieć, co mówił Michael.

– Ludzie są nieuprzejmi.

Usta pana G. wyginają się w delikatny uśmiech.

– Często tu przyjeżdżasz? To znaczy do Sangui.

– Nie, proszę pana.

– Musisz dziwnie się tu czuć.

Nawet nie masz pojęcia jak dziwnie.

– Tak, proszę pana.

Wciąż wpatruje się w ogród.

– Przez pierwsze lata życia w Afryce nie mogłem się doczekać powrotu do Stanów. Każde wakacje, każda podróż służbowa do naszej centrali w Chicago przynosiła mi ulgę. W Ameryce są dobre drogi i sygnalizacja świetlna, a w większości miejsc możesz spacerować po zmroku, o nic się nie martwiąc. – Patrzę na niego, moja ciekawość mimowolnie wzrasta. – Ale krok po kroczku, wraz z każdym powrotem, to miejsce stawało się coraz bardziej obce. Zbyt zimne, zbyt sterylne. Sklepy pełne rzeczy, które można kupić jedynie w absurdalnych ilościach. Ludzie nie rozumieli, czemu nie chciałem wrócić do domu. Sam do końca tego nie rozumiałem. Moje podróże stawały się coraz krótsze. To było dwadzieścia lat temu. Teraz jeżdżę tam, tylko jeśli naprawdę muszę, służbowo, i nie zostaję dłużej niż to konieczne. – Bierze łyk herbaty. – Sangui jest nieoszlifowane. Tobie na pewno nie muszę tego tłumaczyć. Trochę przypomina moje wyobrażenie o niegdysiejszym Dzikim Zachodzie. Jest pełne bezprawia i korupcji, ale też da się tu zbić fortunę, jeśli ma się głowę na karku. Jest jednocześnie stare i nowe – centra handlowe sąsiadują z liczącymi kilka stuleci meczetami. Masajowie gonią bydło pasem zieleni dzielącym autostrady. Wszędzie są ludzie. Jest tu tyle energii. Tyle życia. Nie jestem pewien, czy moje dzieci to rozumieją. – Marszczy brwi, spogląda na swoje knykcie. – To zabawne, prawie nigdy nie możemy sami wybrać, gdzie nasze dusze znajdą swój dom.

Ogarnia nas cisza. Jestem zupełnie skołowana. Kim jest człowiek, który wczorajszej nocy przez telefon mówił tak zimno o pozbyciu się konkurencji, a teraz

z uczuciem rozprawia o swoim adoptowanym mieście?

Pan Greyhill odwraca się w moją stronę.

– Wiesz, Christino, to, co się stało z twoją matką...

Sztywnieję. Kątem oka dostrzegam jego twarz, wykrzywioną lekkim grymasem. Ale po dłuższej chwili po prostu kładzie dłoń na moim ramieniu.

– To było okropne. Tak bardzo mi przykro.

Zbieram wszelkie pokłady silnej woli, by nie strząsnąć jego ręki. Jest ciężka i ciepła, a moja skóra cierpię w miejscu, w którym ją położył.

– Tak – szepczę, wbijając wzrok w naszą starą chatkę. – Wiem.

– Jeśli jest coś, co mógłbym zrobić...

Cofa dłoń, tak jakby wyczuwał moją odrazę. Gdy na niego spoglądam, jego twarz znów jest gładka, a emocje skryte. Michael odziedziczył to po ojcu, uświadamiam sobie, tę zdolność ukrywania wszystkiego pod maską.

– ...wystarczy, że poprosisz – kończy pan Greyhill.

Potrzebuję kilku sekund, ale w końcu udaje mi się wygiąć kąciki ust w coś, co może uchodzić za uśmiech.

– Dziękuję panu, tak zrobię.

Odwraca się i odchodzi.

Wkrótce mgła wyparuje, a krańce świata staną się wyraźne. Ale teraz wciąż są rozmyte i choć staram się najmocniej, jak mogę, nie potrafię dostrzec, gdzie jedne rzeczy się kończą, a inne zaczynają.

Dwadzieścia dwa

Mam już tak dość pokoju Michaela, że mogłabym krzyknąć. Jeśli przyjdzie mi zostać w tym domu znacznie dłużej, zacznę celowo niszczyć rzeczy, żeby nie było tu tak idealnie. Desperacko czekam na wieści od Boyboya, ale po pięciu moich wiadomościach on odpisuje jedynie: „Zostaw mnie w spokoju kobieto wszystko ok nie skończyłem”.

Michael jest już zmęczony patrzeniem, jak wydeptuję ścieżki w dywanie, ale dobre maniery nie pozwalają mu tego powiedzieć. Stuka tylko długopisem o policzek w rytmie moich kroków, spoglądając w swoje notatki.

Słyszę, jak przerzuca strony.

– A więc zgodnie ze słowami Donatiena on i twoja mama mieli się spotkać 24 kwietnia, żeby zrobić te zdjęcia, tak? Ale ona się nie zjawiła.

Przegląda akta ONZ.

– Następnie ty i twoja mama wjechałyście do Kenii 10 maja.

Odkłada papiery.

– Co działo się pomiędzy? Co pamiętasz sprzed waszej ucieczki?

– Niewiele.

– Ale czy stało się coś, co mogło przeszkodzić jej w spotkaniu się z Donatienem?

Coś, co sprawiłoby, że chciałyby opuścić Kongo i odnaleźć mojego tatę?

Milczę przez chwilę, odwrócona plecami do Michaela.

– Naprawdę nie chcę o tym mówić.

Czuję, jak prostuje się z uwagą.

– Mówić o czym? Co się wydarzyło, Tina?

– To... To nie ma nic wspólnego z jej śmiercią.

– Skąd możesz wiedzieć? Daj spokój, nie mamy tu z czym pracować. Spójrz na mnie.

Niechętnie obracam twarz w jego stronę. Patrzy na mnie wyczekująco.

– Zostałyśmy rozdzielone – mówię. – Tuż zanim wyjechałyśmy.

Michael zamienia się w słuch, pochyla do przodu i czeka.

Skubię rąbek pożyczonej koszuli.

– Było tak, jak w aktach sprawy: milicja i żołnierze atakowali nasz dom, musiałyśmy uciekać i chować się w lesie. Zdarzyło się to też przed naszym przeniesieniem się do Kenii, ona wysłała mnie przodem. – Czuję, jak moje gardło się zaciska, biorę uspokajający oddech. – Przez pewien czas przebywałam sama w dżungli.

– Pewien czas? – zachęca mnie Michael.

Wzruszam ramionami.

– Miałam pięć lat, nie pamiętam dokładnie. Przez kilka dni?

Jego oczy się rozszerzają.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Drapanie w gardle przekuwam w złość.

– Nie porzuciła mnie. W końcu po mnie wróciła.

– Ale... kilka dni? Gdzie była w tym czasie?

Odwracam się od niego i rzucam przez ramię:

– Nie wiem. Nie powiedziała mi. Sądzę, że powiedziała Donatienowi, ale on też nie chciał mi nic powiedzieć. A jak już mówiłam, naprawdę nie pamiętam wiele, tak? Po pewnym czasie po prostu znalazła mnie w lesie i wyjechałyśmy. Koniec opowieści.

– Nigdy nie powiedziała, gdzie była?

Potrząsam głową.

Michael milczy przez chwilę. Wreszcie wzdycha głęboko.

– Może patrzymy na to od złej strony. Co jeśli coś się stało, a ona przyszła do mojego taty, szukając pomocy? Może ją ochraniał?

– Ochraniał? Czemu miałby to robić?

– Może miała coś, na czym mu zależało. – Spoglądam na niego ponownie. Jego twarz wykrzywia grymas. – Nie, nie to. Coś innego. Złoto?

– Miał mnóstwo złota – mówię. – Co takiego mama mogła przywieźć ze sobą z Kasisi, czego nie mógłby zdobyć na własną rękę? Miał złoto; miał władzę. Ona nie miała nic prócz mnie.

– Może chodziło o informacje? – mamrocze Michael, robiąc notatkę.

Uderzam paznokciami o zęby. To prawda – tkwiąc w brudnych interesach, trzeba wiedzieć wszystko o wszystkich.

– Może miało to jakiś związek z milicją? – pytam. – Albo z kimś, kto dla niego pracował? No wiesz, Donatien powiedział, że twój tata nie kupował złota od milicji osobiście. Ponoć to był jakiś Kenijczyk. To jego mama widziała, gdy załatwiał interesy. Jakiś pomysł?

Michael przestaje pisać.

– Czekaj, chcesz powiedzieć, że ona nigdy nawet nie widziała mojego taty w Kongo?

– Ja... Sądziłam, że widziała.

– Sądziłaś, że widziała? – powtarza Michael.

– Donatien nigdy mi tego tak naprawdę, hmm, nie wyjaśnił, aż do wczoraj. Ale to nie zmienia tego, co zrobił twój tata – dodaję szybko. – Kenijczyk był tam na jego polecenie. A ona wiedziała, że to twój ojciec jest mózgiem całej operacji. Donatien jej o tym powiedział.

– Ale na własne oczy nigdy nie widziała, żeby robił cokolwiek złego?

– Nie zachowuj się tak, jakby był niewiniątkiem – rzucam gniewnie i prostuję się. – Poczekaj! Mwika! To David Mwika mógł dokonywać zakupu! On pochodzi z Kenii, prawda?

Michael nie wygląda na przekonanego.

– Wiele osób pochodzi z Kenii, Tina. Sam nie wiem... Musiałyby często wyjeżdżać, prawda? Żeby prowadzić interesy w Kongo? Mwika zawsze był w pobliżu, z tatą czy z nami.

Ale Mwika wydaje mi się najbardziej prawdopodobnym kandydatem. Lojalny sługa, wykonujący polecenia swego pana.

– Hej! – wołam energicznie. – Mam świetny pomysł. Zapytajmy go!

Michael gniewnie dopisuje coś do notatek.

– Pracuję nad tym.

Moja werwa wyparowuje.

– Próbujesz chociaż?

– Oczywiście! Nie jest łatwo się z nim skontaktować.

– Jesteś pewien, że wiesz, gdzie on jest?

– Wiem, dobra? Podśledzałem rozmowę telefoniczną taty na temat firmy, w której

Mwika teraz pracuje.

Mój puls przyspiesza.

– Czyli jakiej firmy?

Michael wpatruje się we mnie dłuższą chwilę. Wreszcie mówi:

– Nazywa się First Solutions. To firma ochroniarska działająca w Kongu.

– First Solutions. Wspaniale. Znajdziemy go z łatwością!

Michael marszczy brwi.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Próbuję się z nią skontaktować, ale nikt nie odbiera moich telefonów.

Wygląda na sfrustrowanego. Nie ma jeszcze pojęcia, jakich cudów jest w stanie dokonać Boyboy, mając zaledwie strzępek informacji. Jeśli ktokolwiek jest w stanie odnaleźć Mwikę, to właśnie on.

Słyszę wibracje telefonu sygnalizujące przyjście wiadomości.

– Nareszcie – mówię, widząc, że nadawcą jest Boyboy. – Muszę lecieć.

– Co? Nie – protestuje Michael. – Nie mogę wyjść z domu. Mama dała mi szlaban do osiemdziesiątki.

Przez moment po prostu na niego patrzę i mam ochotę powiedzieć: „Popatrz, ty przynajmniej masz matkę, która może dać ci szlaban”. To brzmiałoby jak kwestia z filmu.

– Nie proszę cię o pozwolenie – mówię jednak. – Muszę się spotkać z Boyboymem. – Wkładam telefon do kieszeni. – Wrócę tu – dodaję, widząc zmarszczkę rysującą się między jego brwiami.

– Pozwól chociaż, by zawiózł cię jeden z kierowców.

– Żeby mnie pilnował? – Michael nie odpowiada. – Dobra, ale podwiezie mnie tylko do Świętego Rafała i tam później się z nim spotkam. Jeśli będzie mnie śledzić, zorientuję się i poprzebijam mu opony.

– Jezu, Tina! Nie zachowuj się jak Goonda.

Michael mówi to chyba półżartem, ale odpowiadam mu chłodno:

– Tym właśnie jestem, panicyku. Przywyknij.

Gdy docieram na dach, Boyboy już tam jest, usadowiony na moim krześle safari. Dzisiaj jego strój jest bardziej powściągliwy – nabijana ćwiekami skórzana kurtka i spodnie w kolorze, który najprawdopodobniej określiłby jako morską pianą czy coś w tym stylu. Paznokcie pomalował na lawendowo.

– Mam nadzieję, że nie zapomniałaś niczego zabrać – mówi. – Bo wiem, że tam nie wracasz. Rozkazy Robała. Zostajesz tu ze mną. Skończyliśmy. To by było na tyle.

– Taa? – pytam, podchodząc bliżej. – Mamy wszystko?

– Tak. Jeszcze kilka dni na rozszyfrowanie plików, a dostaniesz tego gnoja jak na tacy. Wtedy będziemy mogli przejść do mojej ulubionej części Ostatecznego Planu Zemsty Drobinki. – Ostentacyjnie strzyka kłykciami. – Upłynnienia kont bankowych!

Wybrałem już torebkę, którą kupię za moją część: cynobrowa kopertówka z lakierowanej skóry od Louboutina. To najbardziej gejowska rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Matka będzie mnie błagać, bym nie chodził z nią poza domem, ale i tak nie posłucham. Będę ją nosił każdego dnia, ponieważ kocham ją tak bardzo, bardzo, bardzo!

– Mhmm.

Wreszcie na mnie spogląda.

– Dobra, co jest? Powiedz coś, Tina. Denerwuję się przez ciebie.

– Wszystko gra – mówię i zaczynam intensywnie się wpatrywać w ugryzienie komara na moim barku. – Hej, słyszałeś kiedyś o firmie ochroniarskiej First Solutions? Michael sądzi, że Mwika pracuje dla nich w Kongu. Możesz sprawdzić, co jesteś w stanie wygrzebać?

– Wiesz, gdzie on jest?

– Wiem tylko tyle. Ale jeśli zdołamy go znaleźć sami, może nie będziemy musieli czekać, aż zrobi to Michael.

Boyboy długo się we mnie wpatruje. A potem wzdycha.

– W porządku. Dodam to do twojego rachunku. Chodź tu, niewdzięczniku. Chcę ci pokazać, co znalazłem.

– Dobre brudy na naszego złoła? – pytam, wpatrując się w ekran.

– O tak! Naprawdę porządne świństwa. Pamiętasz tę płatność, którą pokazywałem ci wczoraj i która wcale go nie pogrążyła?

– Tę do placówki w RPA w zamian za porady związane z bezpieczeństwem?

– No cóż, znalazłem kartę z szyfrem. – Boyboy stuka lawendowym paznokciem w jedną z linijek na ekranie. – Tutaj widać, za co faktycznie zapłacił: porady związane z bezpieczeństwem to według kodu dwie tony amunicji. Wszystko poniżej to dokładna lista tego, za co była faktura – stos pistoletów i innych takich. Gość jest jedną wielką zorganizowaną armią przemytników. Pójdzie na dno. Nie ma co do tego wątpliwości.

– Nieźle – mówię. – Jesteśmy w stanie jakoś to połączyć z milicją?

– Pracuję nad tym. Wciąż nie rozszyfrowałem większości danych. Jestem jednak pewien, że znajdziemy tam niejedno, jeśli wszystko jest równie szczegółowo opisane. – Boyboy znów na mnie spogląda. – To jest ten moment, kiedy z radości wykonujesz salto w tył. No dalej, nie krępuj się.

– Przepraszam. Hurra! – Potrząsam dłońmi w górze.

Boyboy poważnieje.

– Co z tobą?

Pozwalam, by mój uśmiech zbladł.

– Jeśli znajdziesz jakiegokolwiek dodatkowe przelewy do Mwiki, dasz mi znać?

– To znaczy?

– Wszystko, co wykracza ponad jego pensję. Uważam, że Mwika mógł być kimś więcej niż tylko szefem ochrony Greyhilla.

– Jasne, poszukam. – Robi pauzę. – Poczekaj. Jak się nazywała ta firma, dla której teraz pracuje?

– First Solutions. Dlaczego?

Boyboy gwałtownie zaczyna stukać w klawiaturę.

– To jest gdzieś tutaj. Kojarzę tę nazwę.

Czekam, siedząc w napięciu na krawędzi betonowego bloku, podczas gdy on szuka.

– Tutaj – mówi wreszcie. – Wiedziałem, że nazwa brzmi znajomo. Dwie płatności w wysokości trzydziestu pięciu tysięcy dolarów.

Pochylam się, próbując dojrzeć, co mi pokazuje.

– Do First Solutions?

– Mhm, tak sądzę. Na to wygląda. Płatności w odstępie dnia, dwa lata temu.

Moje myśli zaczynają pędzić.

– Jesteś pewien?

– Tak. To, co mam, na to wskazuje.

– Widać, dokąd trafiła płatność? Jakaś wskazówka pozwalająca odszukać Mwikę? Boyboy przebiega palcami po liniijkach na ekranie.

– Western Union. W mieście Walikale.

– To w pobliżu Kasisi – mówię. Serce zaczyna mi mocniej bić.

– Jest numer kontaktowy. Może to Mwiki.

Boyboy zapisuje dane i podaje mi.

Wstaję, wpatrując się w niewielki kawałek papieru. Numer telefonu Mwiki. Jest w Walikale. Wreszcie! Jakieś odpowiedzi! Ale... Ruszam w stronę okna. Pan G. wysłał mu pieniądze. Czy to oznacza, że Mwika dla niego pracował? A może to pieniądze za milczenie? Zatrzymuję się, czuję ucisk w żołądku. Może Mwika odsprzedał nagranie panu Greyhillowi. W takim przypadku mam przerabane. Nie mam nic. Jeśli nagranie pokazywało, jak pan G. zabija moją matkę, to na pewno już dawno zostało zniszczone.

– Znalazłeś wśród danych jakiegokolwiek nagrania? – pytam Boyboya.

– Tina, nie żartuj. Nie sądzisz, że gdybym znalazł film przedstawiający morderstwo twojej mamy, powiedziałbym ci o tym?

Więc nagranie może nie istnieć. Ale może pan G. nigdy go nie kupił. Zaczynam krążyć po pomieszczeniu.

– Hej, zanim znów staniesz się zadumana i niekomunikatywna, może chcesz zobaczyć ostatnią rzecz, jaką znalazłem? – rzuca Boyboy.

Wracam, by spojrzeć ponad jego ramieniem na ekran, moje myśli wciąż są rozbiegane.

– Zdjęcie mojej mamy?

– Sprawdziłem je po tym, jak pan Greyhill lampił się na nie zeszłej nocy. W sumie tylko po to, bym mógł odhaczyć je na liście. Nie spodziewałem się, że cokolwiek znajdę. Ale popatrz.

Klika. Mama i druga dziewczyna znikają, a ich twarze zastępuje coś, co wygląda jak zeskanowane kartki notesu. Pokrywają je odręczne tabele i liczby.

– Co to jest?

– Nie wiem. To znaczy zdjęcie jest zmyłką, oczywiście.

Przewracam oczami.

– Oczywiście. Czyli?

– Faktyczne dane są zagłuszane fałszywymi bitami.

– Zagłuszane?

Boyboy wzdycha swoim charakterystycznym westchnięciem, które oznacza, że jestem beznadziejna.

– Nie uszkodź swojego małego, słabego mózdzka. To po prostu sposób ukrycia czegoś. Wiem, nigdy byś na to nie wpadła. No, chyba że byłabyś mną.

Pochylam się bliżej, by przyrzeć się miniaturowym zapiskom. Jakość obrazu nie jest zbyt dobra; jest rozpixselowany i trudny do odczytania. Przechodzi mnie lekki dreszcz, gdy rozczytuję nagłówek zapisków: „Kasisi”. Przesuwam palcem po kolumnach.

– Wyglądają jak zapiski z księgowości. Kolejny ślad po sekretnych transakcjach?

– Nie sądzę. Cała dokumentacja pana Greyhilla jest elektroniczna. Nie wyobrażam sobie, by człowiek jego pokroju korzystał z kartki i ołówka. – Boyboy podaje mi komputer, wstaje i przeciąga się. – Przyniosłaś mi jedzenie na wynos, jak prosiłem? Tikka masala? Z dodatkowymi piri-piri?

– Zaraz ci przyniosę. Obiecuję – mamroczę, zajmując krzesło.

Strona wygląda, jakby została wyrwana z notesu, zgnieciona, a potem znów wyprostowana. Jest na niej sześć kolumn. Pierwsza zawiera dziwne słowa: „Terminator”, „Brzydki bliźniak”, „Szprycha”, „Woskowina”. Może to imiona? Brzmią jak nazwy Goondan. Członkowie milicji? Kolejne kolumny są wypełnione liczbami. Jedna z nich podpisana jest jako „odsetki mobilne”.

Przewijam w dół. Widzę kolejną wyrwaną stronę, podobną do poprzedniej. I jeszcze jedną. Na ostatniej jest czarna smuga. Strony zostały zeskanowane w czerni i bieli, ale smuga sprawia wrażenie zaschniętej krwi.

– Dlaczego postanowił to ukryć? Co to jest?

– Dwa słowa, Drobinco: tikka masala.

– Dobra, dobra – rzucam, ale wciąż siedzę na miejscu, a miliony myśli przelatują przez moją głowę.

Czym są odsetki mobilne? Otwieram nowe okno na komputerze Boyboya i próbuję wyszukać to pojęcie. Nie znajduję jednak nic prócz kilku reklam telefonów komórkowych. Wpatruję się w migający kursor w pasku wyszukiwania, a potem wpisuję „Kasisi, Kongo”.

Pokazuje się mała kropka na mapie – czerwony pyłek na skrzyżowaniu dróg, otoczony zielenią. Takie maleństwo. Przybliżam. W tym miasteczku nie może być więcej niż dwadzieścia budynków; pamiętam, jak wyglądał nasz dom, ale nie potrafię go teraz znaleźć. Drogi ciągną się od miasta przez góry do niewielkich łysych pól, które muszą być farmami. Ale nie biegną daleko. Dalej nie ma już nic. Jedynie wierzchołki drzew rozciągające się kilometrami. Lasy deszczowe Konga. Terra incognita. To tam czyhają potwory.

Wpatruję się w zielone obszary, aż obraz zaczyna mi się rozmywać przed oczami. Pamiętam, jak wpatrywałam się w korony drzew, wysokie jak dach, na którym dziś siedzę z Boyboyem. Kamieniste strumienie tryskające chłodem. Kwiaty. Małpy, dzioborożce, ryjówki. Małe antylopy o zwinnych kopytach i dzikany zaroślowe o niespokojnych nosach. Pareczniki i motyle, wielkie jak moja dłoń. Jeśli się skoncentruję, wyczuję pizmową woń gnijących liści.

Gdzieś z tym wszystkim wymieszane są wspomnienia członków milicji –

podążających wąskimi ścieżkami z bronią przewieszoną przez plecy; naszyjniki z trawy i amulety kołyszą się na ich piersiach.

Pocieram oczy i ponownie spoglądam na zapiski z sekretne notesu. Te strony niekoniecznie muszą mieć związek z moją matką, mówię sobie.

Ale wiem, że mają. Czuję to w trzewiach. Ukrył je pod jej zdjęciem. Są opisane nazwą miasta, w którym żyliśmy i z którego uciekaliśmy. Jest jakieś powiązanie. Po prostu jeszcze go nie dostrzegam.

Słyszę swój własny głos:

– Jadę tam.

Boyboy mruga. Wie, że nie mówię o knajpie sprzedającej tikka.

– Gdzie?

Pomysł zaskakuje mnie prawie równie mocno, jak jego, ale kiedy wypowiadam go na głos, nabiera realnej mocy. Nie ma innego sposobu, by się dowiedzieć, co spotkało moją matkę, kim była i jakie sekrety zabrała ze sobą z tego mrocznego lasu. Tutaj, w Sangui, nie ma nic więcej, co mogłabym odkryć. Nie ma tu nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na moje pytania. Zanim będę w stanie ruszyć naprzód, muszę się cofnąć.

Michael ma rację. Muszę wiedzieć na pewno, czy pan Greyhill ją zabił. Jeśli David Mwika z jego nagraniem gdzieś tam jest, odszukam go. A jeśli nie, może to, co wyгнаło mamę z naszego domu i wysłało do pana Greyhilla – cokolwiek to było – wciąż tam tkwi, ukryte pod liśćmi. Wykopię to.

Uświadamiam sobie, że zmierzałam w tym kierunku od momentu, gdy ujrzałam twarz matki na fotografii, tej pierwszej nocy w gabinecie pana G. Pomysł, by udać się do miejsca, z którego kiedyś uciekaliśmy, jest przerażający, ale każda komórka w moim ciele mówi mi, że to właśnie muszę zrobić. Muszę zacząć szukać od nowa, spojrzeć świeżym wzrokiem. Muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć wszystko.

Na sto procent.

Dla siebie. Dla niej.

Wskazuję podbródkiem mapę.

– Tam. Do Konga. Z powrotem do domu.

Dwadzieścia trzy

Boyboy przyjmuje to dość dobrze.

– Nie ma mowy. *Nie ma mowy*. Oszalałaś? Nie możesz tam pojechać. – Tupie nogą. – Zabraniam ci!

– Boyboy, nie zachowuj się jak królowa. Jadę tam. – Wstaję i zaczynam się rozglądać, żeby ustalić, co powinnam spakować.

– Ale właśnie zdobyliśmy wszystkie brudy! Nie chcesz go zdemaskować? Co z twoim planem? Co z brudami, pieniędzmi i krwią?

– Nie proszę cię, żebyś ze mną jechał.

– Nie o to chodzi! Sądzisz, że bycie włamywaczką w Sangui jest niebezpieczne? Tamto miejsce to nie przelewki! To Mordor, w którego paszczę sama się pchasz!

– Mordor? Jadę do Kasisi.

– Nie! – Boyboy wyrzuca ręce w górę. – Mam ma myśli Mordor z *Władcy pierścieni*, Oko Saurona. No wiesz, uosobienie wszelkiego zła.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. To coś dla nerdów?

– Tak, to... Nieważne. Posłuchaj mnie. Nie możesz ot tak wparadować do Konga. Jak sądzisz, dlaczego nasi rodzice zabrali nas z tej piekielnej dziury w pierwszej kolejności?

– Nie dramatyzuj. Przecież wciąż mieszka tam mnóstwo ludzi, prawda?

– Tak, watażkowie! Milicja!

Pakuje do plecaka mój drugi najlepszy nóż. Sweter. Biorę też plastikową butelkę, którą napełniam deszczówką z beczki.

– Nie tylko oni – mówię. – Normalni ludzie też. Farmerzy i tak dalej. – Wciąż się rozglądam, próbując zachować spokojny wyraz twarzy. Nie ma sensu pokazywać Boyboyowi, że koncepcja tej podróży przeraża i mnie. Co zabiera się na wycieczkę do jądra ciemności? Dodaję do stosu puszkę fasoli.

Boyboy przełyka ślinę; widzę, że próbuje utrzymać racjonalny ton.

– Tina, *my* byliśmy normalnymi ludźmi. I przydarzyły się nam złe rzeczy. Proszę, nie rób tego.

Układam rzeczy w plecaku.

– Muszę, Boyboy – mówię, ale nie potrafię spojrzeć mu w oczy. – To tam jest Mwika. Pan Greyhill też się tam wybiera. Morderstwo mamy i dom – to wszystko jest ze sobą zasupłane w gruby węzeł. Zajmij się dalszym rozszyfrowywaniem plików, dobra?

Patrzy na mnie tak, jakbym przyprawiała go o najgorszy ból brzucha w życiu.

– Co zamierzasz powiedzieć Robalowi?

Waham się. Robal powiedział Boyboyowi, że mój czas u Greyhillów dobiegł końca.

– Coś wymyślę. Mogę mu powiedzieć, że nie dam rady opuścić Ringu bez wzbudzania podejrzeń Michaela. Wrócę za kilka dni, zanim skończysz z deszyfrowaniem. Może się nawet nie zorientować, że mnie nie ma.

Boyboy obejmuje się ramionami i kręci głową.

Nie mówię mu, że choć Robal jest przerażający, to przestałam już dbać o to, co

zrobi, jeśli się dowie, że wyjeżdżam z miasta. Niektóre rzeczy są ważniejsze od obitego tyłka.

Świetnie znów spać we własnym łóżku. Nie jest w stanie mnie przytłoczyć nawet poczucie winy, które odzywa się we mnie, gdy kierowca, a potem Michael na zmianę dzwonią i piszą, aż nie wyłączę telefonu. Czuję ulgę, będąc znów w swoim domu, otoczona własnymi zapachami, własnymi rzeczami, światłami mojego miasta, skrzącymi się niczym skradzione diamenty na aksamicie.

Rozważam odwiedzenie Kiki, ale wiem, że nie będzie mnie oczekiwać, i musiałabym zapukać do okna akademika. Nie chcę, by przeze mnie wpadła w kłopoty. Jest dopiero poniedziałek. Wrócę do piątku, powtarzam sobie.

Budzę się jeszcze przed świtem, roztrzęsiona i zdenerwowana, ale też podekscytowana. Wreszcie coś *robię*.

Naszykowanie się nie zabiera mi dużo czasu. Myję zęby i wpinam we włosy nowe wsuwki. Upycham tyle gotówki odłożonej na czarną godzinę, ile może mi się przydać podczas wyprawy, w specjalnie zrobione rozcięcie na szwie w kurtce. Następnie przepycham betonowy blok do wschodniego rogu głównego pokoju i staję na nim. Wkładam dwa palce w szczelinę między cegłami w ścianie i wydłubuję plastikową torbę. Po tym, jak zdmuchuję kurz, spoglądam na kartę z modlitwą, na twarz Świętej Katarzyny, złamane koło obok niej, miecz u jej stóp, gałązkę palmową w dłoni.

Czasami czuję, jakbym podzieliła Świętą Katarzynę na pół. Kiki otrzymała jej imię i dobroć. Ja – to, co ją zabiło.

Owijam plastikową torebkę dookoła karty i wkładam ją do plecaka razem ze zdjęciem matki. Może pewnego dnia dodam tryumfalną gałązkę palmową do tatuaży na ramieniu, przedstawiających miecz i koło. Ale jeszcze nie teraz.

Na dworcu autobusowym jak zwykle panuje chaos. Domokrądcy, koniki, kieszonkowcy i podróżni mijają się w promieniach wczesnego słońca. Przerażeni mężczyźni i kobiety z głębi kraju przyciskają torby do boków i ukradkiem przeliczają banknoty, poupychane w stanikach czy majtkach. Zdeterminowani ludzie pracujący w autobusach i kramach obserwują ich z drapieżną pogardą.

Kiwam głową na powitanie kilku znajomym złodziejaszkom o lepkich palcach i daję im znać, że dziś nie pracuję. Dostrzegam ulgę na ich twarzach.

I wtedy ich zauważam.

Jeden w limonkowiezielonym kapeluszu i szortach w kratę, taksujący wzrokiem tłum; drugi starający się sprawiać wrażenie, że stale pałęta się po dworcach autobusowych, ale wychodzi mu to nieudolnie, ponieważ każdy głupi jest w stanie dostrzec, że to *sonko*, bogaty chłopak, który nie jeździ autobusami. Widać to w sposobie, w jaki unika dotykania czegokolwiek, a także w odcieniu skóry – o pół tonu bielszym niż skóra pozostałych, nie licząc ślepego żebraka albinosa, potrzęsającego blaszanym kubkiem na momenty.

– Co tu robicie? – pytam, podchodząc do nich.

Michael ma czelność cieszyć się, że mnie widzi.

– Czekamy na ciebie, oczywiście. – Boyboy prostuje się i wysuwa do przodu klatkę piersiową. Próbuje udawać bezczelnego, ale kurczy się pod moim groźnym spojrzeniem.

– Jak mnie znaleźliście?
– Podpiąłem się do GPS-a w twoim telefonie – odpowiada Boyboy. Na ramieniu ma torbę podróżną.

– Dlaczego? – pytam, posyłając torbie podejrzliwe spojrzenia. – I co tu robi Michael?

Spoglądają na siebie.

Mrużę oczy.

– Zadzwońeś do niego? Powiedziałeś mu?

Boyboy robi oburzoną minę i opierając pięść na biodrze.

– Ktoś musi się o ciebie zatroszczyć, a ja nie jestem stworzony do takich męskich zadań.

– Sama umiem się o siebie zatroszczyć! Nie potrzebuję męskiego mężczyzny!

– Tak ci się wydaje. Jesteś płótką, która szykuje się do kąpieli z rekinami. Mężczyzna, kobieta, nieważne; potrzebujesz kogoś, kto będzie cię zabezpieczał.

Michael wciąż milczy. Naskakuję na niego:

– Zakładam, że zgodziłeś się jechać, by zyskać pewność, że dotrzymam mojej części umowy?

Jego oczy błyszczą.

– To ty uciekłaś. Nie udawaj teraz urażonej.

Splątam ręce na piersi i próbuję popatrzeć na niego z góry, ale wypada to mniej onieśmielająco, niżbym chciała, ponieważ jestem o głowę niższa.

– Naprawdę chcesz się za mną pałętać?

– Nie chcę się za tobą pałętać. Chcę jechać – mówi Michael. – Zawarłem z tobą układ i będę się go trzymał. Zamierzam się dowiedzieć, kto zabił twoją mamę. Jeśli to oznacza podróż do Konga, by odnaleźć Mwikę, to ruszajmy w drogę. Ale tak, przy okazji chcę się upewnić, że nie nawiejesz.

Zgrzytam zębami.

– Nie zamierzałam ujawniać brudów dotyczących twojego taty. Na razie. Nie zламаłam umowy.

– Umawialiśmy się, że zrobimy to razem.

– Nie masz szlabanu?

– Nagle zaczęło cię to obchodzić?

Mierzymy się wzrokiem, aż wreszcie Boyboy przewraca oczami i mówi:

– *Ngai*, jesteście jak dwa koguty walczące o kwokę. Skończyliście prężyć klaty? Bo tylko tracimy czas, a czeka nas długa droga.

– Po prostu nie chcę być zbyt blisko, gdy jego ojciec wyśle za nim małą, prywatną armię.

– Nie musisz się przejmować moim ojcem.

– Och, naprawdę? Założę się, że tak samo myślała moja matka.

Boyboy zakłada okulary przeciwsłoneczne i wkracza między nas.

– Dobra! Pora ruszać! Którym autobusem jedziemy?

Biorę głęboki wdech.

– Czyli postanowione. Obaj jedziecie ze mną?

Michael potakuje.

– Nie przyszedłem tu dla przyjemności, *habibi* – mówi Boyboy, rozdmuchując spaliny minibusu.

– Dobrze. Rozumiem, że nie dam rady was powstrzymać. Ale nie jedziemy autobusem.

– Prywatnym autem? – pyta Boyboy z nadzieją.

– Nie.

– No dobra, pani przewodniczko, jaki środek transportu w takim razie sugerujesz? Dopasowuję sprzączki torby, zaciskając je mocno na ramionach.

– Pojedziemy tym, czym jeździ każdy uchodźca.

Usta Boyboya otwierają się, gdy podąża za moim spojrzeniem.

– Żartujesz, prawda? Bananową ciężarówką?

Uśmiecham się tryumfalnie.

– No chyba że masz prywatny samolot, o którym nie wiem?

– Michael ma. Jego tata ma helikopter do przemytu broni.

Michael krzyżuje ręce.

– Co innego zabrać motocykl ojca na przejażdżkę, a co innego ukraść jego helikopter. Poza tym korzysta z niego. – Rzuca mi ostre spojrzenie. Czy wie, że ja wiem o podróży jego taty?

Boyboy wydaje z siebie jęk.

– Gardzę bananowymi ciężarówkami. Przysięgałem, że więcej nimi nie pojadę.

– Więc jedź autobusem, zatrzymywany przez straż graniczną, i przekupuj ich, przemierzając trzy kraje – mówię. – Ja wybieram ciężarówkę.

Boyboy zdejmuje kapelusz, rzuca mu przepraszające spojrzenie i upycha go do torby.

– Chcę, żeby to było jasne: to najmniej wytworna rzecz, jaką kiedykolwiek dla ciebie zrobię, Drobinko.

– Nie zmuszam cię! – rzucam, poirytowana. – To ty chcesz ze mną jechać. Zawsze możesz zostać.

Patrzy na mnie w zabawny sposób.

– To nie tak, że *chcę* jechać.

– W takim razie nic z tego nie rozumiem.

Otwiera usta, ale ostatecznie tylko potrząsa głową i idzie w stronę ciężarówki. Nawet Michael posyła mi dziwne spojrzenie, jakby wstydził się za mnie z jakiegoś powodu. Kiedy odwraca się, by ruszyć za Boyboym, rzuca:

– Jak na kogoś tak bystrego, potrafisz być straszną idiotką.

Dwadzieścia cztery

ZASADA NUMER 12: ZAWSZE BĄDŹ GOTOWA DO UCIECZKI.

W jakimś momencie życia przyjdzie ci przed czymś uciekać. Nie daj się zaskoczyć. Może masz tunel pilnowany przez potwory, samochody i helikoptery czekające na zewnątrz, by przenieść cię gdzieś w mgnieniu oka. Może masz paszporty i konta bankowe w całej Europie. Może masz motocykl.

Może masz tylko swoje stopy. I jeśli brak ci przygotowania, to mam nadzieję, że ulituje się nad tobą duża kobieta z ciężarówką.

Ale takie przypadki z reguły nie przydarzają się po raz drugi.

Mama i ja wydostałyśmy się z Konga w bananowej ciężarówce.

Po opuszczeniu lasu udałyśmy się do Gomy, położonej nad jeziorem Kiwu. Niewiele pamiętam z tego etapu podróży. Okazało się jednak, że w Gomie jest zbyt wielu żołnierzy patrolujących ulice i strzelanin o dziwnych godzinach, więc po tym, jak przespałyśmy kilka nocy na podłodze w domu pastora, obok tuzina innych oszołomionych i posiniaczonych ciał, pastor powiedział, że walki się wzmagają i musimy uciekać. Udało mu się załatwić nam podwózkę ciężarówką z kierowcą o opadającej powiece i okazałym brzuchu. Zmierzył mamę wzrokiem z góry na dół, uśmiechnął się i powiedział, że zabierze nas, dokądkolwiek zechcemy. Podziękowałyśmy pastorowi, a gdy odszedł, mama znalazła nam inny transport – też w bananowej ciężarówce, ale kierowanej przez potężnej postury, groźną kobietę o imieniu Paula Kubwa, „Duża Paula”.

Najwyraźniej wielu przyszlých uchodźców chciało złapać podwózkę poza kraj z Paulą Kubwą. Mówiono, że była córką jednego z przywódców milicji, i nie przejmowała się ani milicją, ani policją. Płaciła łapówki w punktach kontrolnych, tak jak wszyscy inni, i ruszała dalej, a jeśli jakikolwiek mężczyzna próbował stanąć jej na drodze, leżał w błocie szybciej, niż się obejrzał, a jego przyjaciele sikali po nogach ze śmiechu.

Nie było łatwo o zdobycie kursu z kobietą kierowcą. Mama powiedziała mi później, że dodawałyśmy Paulę Kubwę do naszych wieczornych modlitw w podziękowaniu za to, że nas znalazła. Uratowała nas, wybrała z tłumu rozpychających się uchodźców. Była naszym Mojżeszem, rozdzielającym morze, byśmy mogły uciec do ziemi obiecanej. Nie wiem, czy pamiętam jej twarz czy może wyobraziłam ją sobie na podstawie opowieści mamy. W moim umyśle była jak góra – wspaniała i przerażająca niczym anioł z mieczem.

Jestem całkiem pewna, że ona nie potrzebuje moich modlitw.

Boyboy, Michael i ja pewnie mogliśmy pojechać autobusem i znaleźć jakiś sposób, by ukradkiem przekroczyć granice, ale na samą myśl o spędzeniu ośmiu godzin w zatłoczonej przestrzeni, w otoczeniu wszystkich tych ciał i ich bagaży, w dodatku przy zamkniętych oknach, robiło mi się niedobrze. Wszyscy jedzący, pierdzący i rozmawiający zbyt głośno, małe dzieci sikające w majtki, ponieważ autobus się nie zatrzymuje, ludzie dosłownie siedzący ci na głowie. Spiracony film o kung-fu wyświetlany na zbyt małym ekranie z samego przodu, z za bardzo podkreślonym głosem. Kontrabanda w postaci kurczaków, które uciekły i rozbiegły się, gdacząc, na wszystkie

strony, póki jakiś biedak nie wyłapał ich i nie wsadził z powrotem za pazuchę.

Lubię tłum – sprzyja uprawianiu kradzieży kieszonkowej – ale muszę mieć możliwość ucieczki. Wolę zapłacić kilka szylingów za miejsce z tyłu ciężarówki pełnej dóbr jadących w głąb kraju. Może będzie mniej wygodnie, ale przynajmniej czuć powiew wiatru.

Ponieważ jestem sierotą i nikt nie mógł mi zabronić, pewnego razu dotarłam aż do punktu kontrolnego na granicy między Kenią a Ugandą. Planowałam jechać wzdłuż północnego brzegu Jeziora Wiktorii aż do Konga. Po prostu wsiadłam do autobusu, bo miałam na to ochotę. Udając, że jestem członkiem dziesięcioosobowej rodziny, wtopiłam się w grupę głośnych, ruchliwych dzieciaków, popędzanych do środka przez przytłoczonego ojca. Przemknęłam pod nosem kierowcy i zaszyłam się w fotelu na tyłach. Nie chciałam wrócić na dobre, tylko... chciałam tam pojechać. Zobaczyć.

Ale stchórzyłam przed przekroczeniem niewidzialnej linii, za którą Kenia zmienia się w inny kraj. Jeden krok i nagle znów jestem poza prawem, a moje dokumenty uchodźcy są pozbawione znaczenia. Przynajmniej tak powiedzieli mi przemytnicy z ciężarówek.

Nazywa się je bananowymi ciężarówkami, ponieważ te duże samochody z płaskimi platformami załadunkowymi przewożą towary zakupione w Sangui – olej spożywczy, garnki i patelnie, środki medyczne, produkty z Chin – do Konga. Z powrotem transportują lokalne produkty (w tym banany, którym zawdzięczają swą nazwę), drewno i węgiel drzewny, a także pasażerów. Czasami przemycają też trochę złota, jeśli kierowca sądzi, że da radę przewieźć je przez wszystkie punkty kontrolne i nie dać się złapać. Częściej jednak niż złoto transportują uchodźców, ponieważ łatwiej na nich trafić niż na złoto, a nikt nie chce ich ukraść.

Ciężarówki wyjeżdżają i wracają, jedna za drugą, po rozpadającej się autostradzie. Jak krowy idące rankiem na pastwisko, a na noc wracające do obory. Podczas tej wyprawy zdecydowałam się odpuścić sobie autobus i wrócić do Sangui ciężarówką. Mężczyzna, którego znalazłam, zgodził się mnie zabrać, ale skoro miałam papiery, które pozwalały mi dostać się do Kenii, czemu chciałam się ukrywać? Dlaczego nie chciałam siedzieć w autobusie? Dopiero co miałam to za sobą. Wzruszył ramionami i podał mi cenę przejazdu – wynoszącą niemalże tyle samo, co cena za autobus – ale zapewnił, że jeśli nie mam pieniędzy, mogę zapłacić w inny sposób. Z niekłamanym rozczarowaniem wpatrywał się w moje uda, gdy wyciągnęłam gotówkę.

Szukam wśród kierowców dużej kobiety, ale widzę samych mężczyzn. Pojedziemy inną trasą niż ta, którą wybrałam się poprzednio, przez Tanzanię i Rwandę, wzdłuż południowego brzegu Jeziora Wiktorii. Oznacza to więcej granic do przekroczenia, ale to najkrótsza droga do Gomy. Potrzebujemy kierowcy z dobrą ciężarówką, która się nie zepsuje, a także z pomocnikiem, który zmieni go i będzie prowadził w nocy, przez co nie stracimy cennych godzin. Ale najpierw musimy porozmawiać z konikami, którzy umawiają przejazdy i pobierają prowizję. Rozpychają się, chcąc załatwić nam przejazd, machają i krzyczą jeden przez drugiego, szarpią nas za ramiona.

W końcu dokonujemy transakcji i zostajemy zaprezentowani naszemu kierowcy. Rzuca na nas krótkie spojrzenie, po czym gwałtownie odwraca się z pretensjami w stronę

konika. Ich kłótnia jest dynamiczna i głośna. Na koniec konik wyrzuca ręce w górę i odchodzi.

– Ile masz lat? – pyta mnie kierowca.

– Osiemnaście.

– *Kwani?* Osiemnaście, a niech mnie! Wróć, kiedy będziesz mieć dwanaście. –

Odwraca się, by odejść, ale zatrzymuję go:

– Dobra, szesnaście.

Przenosi spojrzenie ode mnie, przez Boyboya – w jego wymyślnych spodniach, na Michaela. Widzę, jak waży wszystkie za i przeciw. Wyglądamy jak uciekinierzy. Na jego miejscu też nie chciałabym nas zabrać i ryzykować kłopotów z policją w punkcie kontrolnym.

– Zapłacimy więcej – deklaruje Michael.

Oczy kierowcy świdrują nas, gdy podchodzi bliżej. Cicho mówi Michaelowi, ile chce dostać – to obłędna suma.

– Zapłacimy połowę tego – przerywam negocjacje, widząc, że Michael jest gotów się zgodzić. Mam swoją dumę.

Kierowca wie, że to uczciwa propozycja.

– Bądźcie gotowi za dwadzieścia minut.

Pomocnik ładuje olej spożywczy w dwudziestolitrowych dzbanach, kierowca nadzoruje prace. To dobra inwestycja, ponieważ dzbany można później wykorzystać do noszenia wody i kierowca może za nie więcej policzyć. Duże aluminiowe garnki do gotowania, prosto z Chin, są ładowane jako następne, obok pudełek pełnych długich tabliczek mydła do prania – później tnie się je jak masło i sprzedaje w kostkach. Gumowe sandały, damskie eleganckie używane pantofle, koszulki z logo drużyn piłkarskich. Guma do żucia, papierosy, plastikowe kazoo – wszystko idzie na tył. Kierowca obserwuje, skoncentrowany, jak ugina się spód platformy. Bądź co bądź musi tam upchnąć jeszcze nas.

Oddalam się o kilka kroków i dzwonię do szkoły Kiki. Wiem, że niebawem wrócę, ale czuję się winna, wyjeżdżając bez sprawdzenia, co u niej.

– Młodym dziewczętom nie wolno rozmawiać przez telefon, o ile nie jest to nagły wypadek – informuje mnie srogi głos. – Czy to nagły wypadek?

– Nie do końca, ale...

– Żadnych rozmów, o ile nie jest to nagły wypadek – powtarza kobieta i rozłącza się, zanim zdołam odpowiedzieć.

Mamroczę coś niezbyt chwalebne o zakonniczy i ponownie wybieram numer. Dzwoni i dzwoni, ale nikt nie odbiera.

Nie podoba mi się koncepcja opuszczenia Sangui, a co dopiero kraju, bez wcześniejszej rozmowy z Kiki. A jeśli nie wrócę do piątku? Sama wizja siostry czekającej na mnie w umywalni sprawia, że zaczyna mnie boleć brzuch. Ale nie jestem pewna, co więcej mogę zrobić. Nic jej nie będzie, powtarzam sobie. Próbuję wyprzeć złe przecucie, które pozostało po rozmowie telefonicznej, ale pozostaje ze mną przez resztę dnia.

Nie jesteśmy jedynymi pasażerami. Kiedy nadchodzi pora, by wyruszyć, znajduję się wśród ścisku ciał – każde z nich tuli przeładowaną walizkę i domaga się możliwości

wskoczenia na pakę ciężarówka w ostatniej chwili, nie opłaciwszy koników. Nasz konik odgania ich, pocąc się i krzycząc, brzuch wymyka mu się spod koszuli. Przeciskam się przez tłum w stronę tyłu ciężarówka, przed sobą popycham Michaela, za mną podąża Boyboy. Konik pozwala nam się wspiać, ale najpierw wślizguje się tak blisko mnie, by potrzeb swoim sprzętem o moją nogę, gdy przechodzę obok. Chichocze, widząc wyraz mojej twarzy, a ja jestem w stanie wyczuć, jakie gówno jadł dziś na śniadanie.

Sześć osób łącznie zapewniło sobie przejazd. Jedna więcej, a ciężarówka szorowałaby po ziemi. Jestem jedyną kobietą. Trzej mężczyźni, którzy do nas dołączyli, są wysocy i mają pociągłe twarze, przypominają mi kolby kukurydzy. Wyglądają na wyczerpanych. Jeden z nich wymienił usługę przewozu za bycie ochroniarzem i teraz uważnie pilnuje, by nikt nie tknął towarów z tyłu ciężarówka, gdy tkwimy w korku przy wyjeździe z miasta. Inni natychmiast zapadają w sen. Ochroniarz wygląda tak wątko i krucho, że nie potrafię sobie wyobrazić, by mógł stawić czoła komuś naprawdę zdeterminowanemu. Tak naprawdę boję się, że jeśli nabierzemy prędkości, te kościotrupy wyfruną z ciężarówka i poszybują w niebo.

Michael ma mnóstwo pytań do panów kościotrupów.

Zadaje jedno za drugim, a mężczyźni odpowiadają poważnym, pedagogicznym tonem. Wkrótce okazuje się, że w istocie cała trójka uczyła kiedyś w szkole w Kongu, ale teraz pracują jako tragarze na bazarach Sangui. Mężczyźni jadą do Konga, by sprawdzić stan swoich farm oraz – w drodze powrotnej do Sangui – odwiedzić żony i dzieci, którzy zostali w obozie dla uchodźców w Rwandzie. Nie są mile widziani w Kongu, mówią Michaelowi, a ten oczywiście próbuje wyciągnąć z nich więcej informacji. Kto ich tam nie chce? Dlaczego? Kto z kim walczy?

Wzdrygam się, słysząc, jak wyszukanych słów używa, ale panowie kościotrupy to łykają.

Pierwszy pan szkielet:

– To skomplikowane, ale podstawowy problem tkwi w tym, że ten nasz kraj jest bardzo duży, a wypełnia go tak wiele różnych osób, języków i historii. No wiesz, król Belgii zagarnął kiedyś całe Kongo jako swoją własność. Wyobraź to sobie! Wszystko – ludzie, drzewa, minerały, nawet powietrze, którym oddychamy – człowiek urzędujący tysiące kilometrów stąd ogłosił swoją własnością!

Drugi pan szkielet:

– Nasi pradziadowie śmiali się tak długo, aż Belgowie nie poobcinali im języków.

Pierwszy pan szkielet:

– Wywalczenie naszej niepodległości było długie i krwawe, a my odziedziczyliśmy to miejsce, które nagle zyskało granice, które nagle stało się krajem. Podzieliło to ziemie przodków i połączyło różne społeczności w coś na kształt narodu. Stworzenie jednego Konga, czego chciałby rząd, jest właściwie niemożliwe, zwłaszcza na wschodzie, skąd pochodzimy. Rząd jest zbyt oddalony. Nie wiemy zupełnie nic o ludziach ze stolicy. Nasi ojcowie założyciele byli w istocie królami Rwandy, dawno temu. W czasach poprzedzających granice, króla Belgii, Francuzów i Amerykanów.

Trzeci pan szkielet z uśmiechem:

– To długa opowieść. Potrzebowalibyśmy tygodnia, by dokładnie omówić historię.

A pytałeś tylko, kto z kim walczy. – Odwraca się do swoich towarzyszy. – Kto tym razem?

– Mai-Mai.

– M23.

– Armia.

– Walczą przeciwko sobie? – pyta Michael.

– Zależy od dnia! Dokąd jedziecie?

– Terytorium Walikale.

Mężczyźni potrzęsają głowami.

– Tam nie jest bezpiecznie.

– FDLR.

– CNDP.

– FARDC, M23...

– I trzy różne ugrupowania Mai-Mai.

Michael i ja spoglądamy na siebie.

– Cały alfabet – mówię. Tylko dwie nazwy brzmią znajomo: Mai-Mai i M23. Próbuję przypomnieć sobie, jak Donatien opowiadał o różnych grupach i sojuszach, ale to trudne. Jest ich tak wiele.

Michael próbuje zadać kolejne pytanie, ale trzeci pan szkielet zbywa go machnięciem dłoni.

– Po prostu trzymajcie się z dala od ludzi z bronią. Wszyscy są tacy sami! Nawet armia. Nawet ci, którzy pochodzą z mojego plemienia. Gangi. Bandy trzydziesto-, pięćdziesięcioosobowe, dowodzone przez jednego. Czasami przez plemię, czasami nie. Jednego dnia są rebeliantami, następnego żołnierzami rządowymi, ponieważ ich szef ubił interes. A jeszcze kolejnego znów są rebeliantami. Potem zmieniają nazwę ugrupowania. Mój siostrzeniec walczy. Opowiedział mi o tym. – Kiwa głową niczym mędrzec.

– Twój siostrzeniec? Ten maluch? – Pierwszy pan szkielet wygląda na strapionego. Trzeci pan szkielet zwiesza głowę.

– Wiem, próbowałem przemówić mu do rozumu, ale ci młodzi ludzie nikogo nie słuchają. Nie chcą iść do szkoły ani pracować na farmie. Chcą tylko strzelać z broni, pić i spółkować z kobietami.

– Gdzie mieliby uprawiać ziemię? – protestuje drugi. – Gdzie mieliby pójść do szkoły? Możesz zarobić kulkę za samo stanie na swoim polu! Skrzykują dzieci w szkole i wkładają im broń do rąk. Albo, jak w moim przypadku, wypruwasz sobie żyły, by uprawiać jedzenie dla swojej rodziny, a żołnierze przychodzą i wszystko zabierają!

Mężczyźni przechodzą na własny język. Rozmawiają głośno i w końcu zapominają, że wciąż się przysłuchujemy:

– Przywódcy mówią, że są bojownikami o wolność, ale pokazują jedynie żądzę krwi i złota. Chłopcy, którzy za nimi idą, to w większości ledwie dzieci. Mój biedny siostrzeniec... To był taki dobry młody człowiek.

Każdy po kolei zamyka oczy, wspominając innych siostrzeńców, synów, braci. Przez pewien czas są zbyt smutni, by mówić.

Dwadzieścia pięć

– Boyboy powiedział mi, że kiedyś uratowałaś mu życie – mówi Michael.

Podróżujemy od sześciu godzin. Szkieletowi panowie drzemią, zwinięci niczym przecinki dookoła towarów. Udało mi się wsunąć między pudło oddzielnie pakowanych gum do żucia a torbę sandałów. Nie jest źle. Słońce wciąż praży, ale owiewający nas wiatr jest chłodny, a mi podoba się widok przypominających łaty farm na wznoszących się i opadających wzgórzach. Ale nie potrafię wyrzucić z głowy zmęczonych głosów naszych towarzyszy. Sprawili, że wojna i walki wydały się czymś codziennym, co będzie ciągnęło się w nieskończoność. Może gdy taki stan utrzymuje się przez większość twojego życia, to tak właśnie się czujesz. Mama zwykła powtarzać, że ciało może się przyzwyczaić do wszystkiego.

Michael czeka na moją odpowiedź. Rozłożył się na torbie cukru; sprawia nieznośne wrażenie, że jest mu wygodnie, z rękami splecionymi za głową.

Zerkam na Boyboya, opatulonego w chustę *kanga* i drzemiącego z otwartymi ustami.

– Nie do końca – mówię. – Po prostu pobiłam kilku dzieciaków, którzy zatruli mu życie.

– Powiedział, że właśnie mieli go wrzucić do rzeki.

– Nic by mu nie było, o ile umie pływać.

– Czyli jednak uratowałaś mu życie.

Wzruszam ramionami.

– Dramatyzuje. To nie było nic wielkiego. Uderzyłam jednego z nich w twarz i zaczął krwawić. To były głupie dzieciaki, nawijające o sprawach, których nie rozumieją, wyzywające go. Na widok krwi wszystkie uciekły z płaczem.

Michael parska śmiechem.

– Chciałbym to widzieć.

Sama lekko chichoczę.

– Tak, to było całkiem niezłe.

Mijamy mężczyznę, który pędzi bydlę poboczem; smaga zady krów długim kijem. Ciężarówka przejeżdża obok, nie zwalniając, a ja wstrzymuję oddech. Jedna z krów zaczyna skręcać w naszą stronę, ale mężczyzna uderza ją w odpowiedni punkt na boku i zwierzę schodzi śmierci z drogi.

Gdy mężczyzna i jego krowy znikają z horyzontu, Michael pyta:

– W tej podróży nie chodzi wyłącznie o Mwikę, prawda? Jedziesz do Konga, ponieważ mój tata też tam jedzie.

– Wiesz o jego wyjeździe?

– Powiedział mi, dokąd jedzie. Często musi osobiście doglądać pewnych spraw.

Ale skąd ty o tym wiesz?

– Ja... mam swoje źródła.

– A czy te źródła przypadkiem chowają się w sekretnych tunelach?

Czuję, że rumieniec wstępuje na moje policzki.

– Ja... ja skasowałam nagranie. Skąd wiesz?

– Czyli zakradłaś się tam z powrotem.

Patrzę na niego, nachmurzona. Podpuścił mnie, żebym sama się obciążyla. Czekam, aż się wścieknie, ale on mówi tylko:

– Sądzisz, że śledzenie go pomoże ci stwierdzić, czy zabił twoją mamę?

Wciąż go obserwuję. Wiem, do czego zmierza. Nie robi zamieszania z tego, że działałam za jego plecami. Chce, żebym to odwzajemniła. Nie nawykłam do otwierania się przed kimś i rozmawiania w ten sposób, do dzielenia się.

– Nie wiem – mówię, co przynajmniej jest szczerze.

– Masz jakiś plan? Wiesz, co będziemy robić, gdy już dotrzemy na miejsce?

– Znajdziemy Mwikę.

Potakuje.

– Boyboy powiedział mi, że mój tata przelewał mu pieniądze kilka lat temu.

– Wiesz dlaczego?

Michael potrząsa głową. Chcę go zapytać, czy sądzi, że to zapłata za nagranie, ale coś w wyrazie jego twarzy mnie powstrzymuje. Dowiemy się tego wkrótce. Po raz pierwszy zastanawiam się, czy to wszystko nie jest trudniejsze dla Michaela niż dla mnie. Moja mama zmarła dawno temu, a choć ból wciąż nie minął, to zelżał przez lata. Ale jak bym się czuła, gdybym nagle odkryła, że w istocie była okropną osobą, jak doświadcza tego Michael w kwestii swego ojca?

Nie myśl w ten sposób, Tina. Nie współczuj mu. Myśl o mamie. Zbyt ciężko na to pracowałaś.

Myślenie o mamie przypomina mi o drugiej dziewczynie ze zdjęcia. Może wciąż mieszka w Kasisi i uda nam się ją odszukać. A może mama miała innych znajomych, z którymi możemy pomówić, albo rodzinę. Moją rodzinę. Czy mam rodzinę? Dziadków? Ciocie, wujków? Mama nigdy nie wspomniała o nich ani słowem, a według jej akt z ONZ była jedynym dzieckiem, sierotą. Skoro jednak skłamała na temat bycia mężatką, mogła kłamać i w tej kwestii. Myśl o tym, że mogę odnaleźć krewnych w Kasisi, sprawia, że moje ciało przenika dreszcz. Jacy mogliby być? Co pomyśleliby o mnie?

Spoglądam na swoje tatuaże i moje podekscytowanie nieco słabnie, gdy wyobrażam sobie, jak przyjęliby mój wygląd. Mam przecucie, że takie dziury nie są mile widziane w tamtym miejscu. Tam dziewczęta noszą sukienki. Ech.

Skubię rzemyk wystający z torby pełnej sandałów.

– Co powiedziałaś rodzicom w kwestii swojego wyjazdu? – pytam Michaela. – Będziesz miał kłopoty? Wyślą ludzi, żeby cię odnaleźli?

Michael obserwuje wzgórze, które mijamy.

– Powiedziałem im, że wracam do szkoły, że pozwolili mi wrócić wcześniej. Poprosiłem przyjaciela, by zadzwonił do mamy i udawał dyrektora. Kierowca podwiózł mnie na lotnisko.

– Uwierzyli ci?

– Po tym, jak zostałem zawieszony, mama była naprawdę wściekła. Zagroziła, że wycofa nasze dotacje dla szkoły. Stwierdziła, że to niesprawiedliwe, by wymierzać nam tę samą karę za pobicie się, skoro drugi dzieciak obrzucał mnie rasistowskimi obelgami. Powiedziałem im, że jej groźba zadziałała.

– A zadziałała?

Michael wyciąga ręce i przygląda się im. Nagle uświadamiam sobie, że jego skóra jest blada jak na moje standardy, ale raczej nie jak na szwajcarskie.

– Nie.

Milczymy przez pewien czas. Tarmoszę rąbek *kanga*, które pożyczył mi Boyboy, bym mogła się opatulić. Wszystkie mają nadrukowane powiedzenia. Na moim widnieje napis *wache waseme*: „A niech gadają”.

Michael przerywa ciszę:

– Powiedziałem im, że postanowiłaś się zatrzymać u kuzynki.

Nawet nie pomyślałam, że jego rodzice mogliby zastanawiać się nad tym, gdzie się podziałam. Nie jestem przyzwyczajona, by prosić o pozwolenie na wyjazd.

– Dzięki.

Kiwa głową.

– A skoro już cię kryję, mogę ci zadać pytanie?

– W porządku – odpowiadam ostrożnie.

– Opowiedz mi o swoich tatuażach.

Nie tego pytania się spodziewałam. Sądziłam, że będzie chciał się dowiedzieć, dlaczego uciekłam po śmierci mamy, rozmawiać o moich uczuciach, Boże, uchowaj.

– To nie jest długa opowieść. Wszyscy Goondanie je noszą.

– Dlaczego?

– Nie wiem, tak po prostu jest.

– Zawsze do nich należałaś? Odkąd odeszłaś?

– Tak.

– Zawsze byłaś złodziejką? – Znowu spogląda na swoje dłonie. – Musiałaś kiedykolwiek...

Marszczę brwi.

– Czy musiałam się puszczać? Nie.

– Nie to chciałem...

– Faceci zawsze tak zakładają. Że jedynym sposobem, by przetrwać na ulicach albo jako Goonda, jest zostanie prostytutką. Ponieważ dziewczyny tylko tego są w stanie się nauczyć, rozkładania nóg.

– Dobra... Jezu, przepraszam. Nie chciałem...

– A nawet gdybym to robiła, to nie byłby twój interes.

Podnosi ręce w geście kapitulacji.

– Zrozumiałem.

Znowu przez chwilę siedzimy w milczeniu.

– A więc – podejmuje w końcu Michael – co oznaczają twoje tatuaże?

Spoglądam na pola, szeregi grządek okalające wzgórze aż do szczytu, upstrzone chatami z błota. Próbuje wymyślić odpowiedź.

– W ten sposób Goondanie upamiętniają wydarzenia – mówię. – Wielkie bitwy, śmierć, najlepsze skoki. To jak zapisywanie swojej historii, tyle że na skórze, zamiast na papierze.

Odwracam się i naciągam nieco koszulkę, żeby zobaczyć twarz lamparta na mojej

łopatce. Kropki na plecach i ramieniu zamieniają się w lecące ptaki.

– Ten zrobiłam po moim pierwszym dużym włamaniu. – Michael nic nie mówi, ale pochyła się z uwagą. – Sądziłam, że jestem całkiem sprytna. Całkiem gibka. Jak lampart. Wiesz, że na świecie żyje więcej lampartów niż jakichkolwiek innych wielkich kotów? Po prostu ich nie widzisz. Mogą cię śledzić niczym cień przez wiele kilometrów, a ty nawet się nie zorientujesz. – Michael wygląda na rozbawionego. – Tak, wiem, to banalne. Ale miałam wtedy trzynaście lat.

– Trzynaście! A pozostałe?

Opowiadam mu, że okalające ramię teksty w suahili zrobiłam tuż po tym, jak ukradłam dość znany szmaragd świeżo upieczonej żonie szejka ropy naftowej z Kuwejtu. Spędzali miesiąc miodowy w najbardziej luksusowym kurorcie w Sangui, a ja podziwiałam pokryte henną ramiona panny młodej. Napisy otaczają koło na moim lewym ramieniu oraz miecz na prawym.

– Co oznacza koło?

– To osobista sprawa.

– Wygląda dziwnie. Ma kolce.

– Mhm.

– I w pewien sposób pasuje do miecza na drugim ramieniu, są w takich samych miejscach.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy.

– I...?

– I to wciąż nie twój interes. Rozglądasz się za kimś, kto cię wydziara? Znam dobrego gościa, ma na imię Spike...

Michael uśmiecha się i pociera ramiona.

– Myślę, że mama naprawdę by mnie zabiła. – Ta myśl wydaje się go radować. – Może któregoś dnia.

Odwraca ręce i spogląda na nie. Błady okruch ciała o kształcie półksiężyca wyróżnia się po wewnętrznej stronie jego lewej ręki.

– Wciąż widać twoją bliźnię – mówię.

Wzrokiem szuka mojej ręki, mojej bliźny, otoczonej teraz pętlami i kropkami, ale nadal widocznej. Coś kazało mi powstrzymać Spike'a przed pokryciem tej długiej, prostej linii tatuażem. Michael powoli wyciąga dłoń i przesuwają ją po bliźnie, co wywołuje gęsią skórkę na moim ramieniu i nagłe uderzenie krwi do głowy.

Michael uważnie mnie obserwuje.

– Tak. Moja historia chyba też zapisała się na mojej skórze.

A potem z powrotem siada na swoim miejscu i zamyka oczy.

Noc. Kulimy się pod cienkimi kocami i brezentami, które dał nam kierowca, i próbujemy spać. Gdzieś w Tanzanii budzę się i orientuję, że jestem wciśnięta między Michaela a Boyboya, obaj twardo śpią. Gwiazdy Drogi Mlecznej są tak jasne, że wyglądają jak zbita masa. Myślę o poruszeniu się, ale wiatr jest tak zimny, że zanim zdążę się zdecydować, znów jest ranek.

W południe Tanzania jest już za nami. Potem Rwanda.

Wysiadamy przed oficjalnymi punktami kontrolnymi i idziemy wydeptaną ścieżką

przez krzaki. Tej drogi też pilnują jacyś mężczyźni, ale nie dbają o to, kto tędy przechodzi. Interesuje ich tylko zapłata. Nie targują się. Jeśli nie chcesz zapłacić żądanej sumy, spychają cię na bok i biorą kolejną osobę z kolejki, która ma już przygotowane pieniądze.

– Witamy w Kongu – mówi wreszcie jeden z nich, przeliczywszy naszą gotówkę. –

Bienvenue.

Przez błękitną piłkarską bluzę ma przewieszony AK-47; gestem każe nam iść dalej.

Gdy punkt kontrolny znika z naszego pola widzenia, wsiadamy z powrotem do ciężarówki i jedziemy dalej.

Za Gomą droga zwięża się i zmienia w twardy czerwony *murram*, na którym ciężarówka podskakuje, utrudniając spanie. Wkrótce przedzieramy się przez las, gdzie smutnookie mały przecinają ścieżki, a powietrze jest wilgotne i chłodne. Miasteczka, przez które przejeżdżamy, wyrastają ukradkiem niczym grzyby po deszczu, ale zaraz, równie niespodziewanie, dają się pochłonąć drzewom i wysokim trawom, przez co człowiek zaczyna się zastanawiać, czy nie są wytworem jego wyobraźni. Jest zielono jak w śnie konika polnego.

Czasami droga prowadzi wśród drzew tak wysokich, że odcinają cały dopływ światła, a czasem ciągnie się wśród brzegów klifów. Czasami widzimy zgniecione szczątki ciężarówek daleko w dole, ciasno oplecione przez pnącza, tak jakby dżungla była bestią wsysającą wszystko, czego dotknie.

Szkieletowi panowie mówią, że zaraz dotrzemy na miejsce.

Dwadzieścia sześć

– Kasisi – oznajmia jeden z mężczyzn, gdy wreszcie udaje się nam dotoczyć do przystanku przy czerwonej drodze. Rozglądam się, wypatrując jakiegoś znajomego znaku, ale otoczenie nie wygląda jak mój dom. Kilka jednopiętrowych budynków tłoczy się przy skrzyżowaniu. Niegdyś pomalowane na optymistyczną biel – teraz spryskane czerwonym błotem z drogi. Ulice są pełne ludzi, kóz, kurczaków, psów i śmieci. Widzę przed sobą skrawek bazaru, mężczyzn przejeżdżających na rowerach, kobiety trzymające na głowach plastikowe misy owoców i wykrzykujące do siebie powitania. Zapach smażonego *mandazi* sprawia, że burczy mi w brzuchu.

Zeskakuję z ciężarówki i dołączam do szkieletowych panów, rozciągających mięśnie. Podróż zajęła dłużej, niż sądziłam. Jest późne popołudnie w środę i martwię się, że koniec końców nie wrócimy na czas, bym spotkała się w piątek z Kiki. Ale może poszczęści się nam i szybko znajdziemy Mwikę?

Michael idzie zapytać kierowcę o hotel, podczas gdy Boyboy przyciska do piersi swą designerską torebkę. Wygląda rozpaczliwie.

– Och, rozchmurz się, *habibi* – mówię, rozglądając się. – Czyż nie jest dobrze wrócić do domu? Może otworzyli tu butik Prady, odkąd się wyprowadziłeś.

– Nie odzywaj się do mnie... Hej! Sio! – krzyczy Boyboy, gdy koza nieśmiało zaczyna skubać mankiet jego spodni.

Zastanawiam się, czy pan G. już tu jest. Czy uda się prosto do kopalni, czy może najpierw przejdzie przez miasto? Jakoś nie umiem go sobie wyobrazić spacerującego po slumsach.

Słyszę, jak Michael dziękuje kierowcy. Gdy do nas dołącza, wydaje się niemal radosny.

– Powiedział, że najlepszym miejscem, w którym możemy się zatrzymać, jest pensjonat przy szpitalu misyjnym. To tam nocują pracownicy ONZ, kiedy tędy przejeżdżają. Mają prąd i całą resztę. Wszyscy kierowcy *piki-piki* wiedzą, gdzie to jest. Mogą nas podwieźć.

Włoski na moim karku stają dęba. Szpital? To tam mama pracowała jako pielęgniarka? Może to w tym pensjonacie zatrzymał się Donatien.

– Potrzebujemy tylko wymienić trochę pieniędzy – mówi Michael, rozglądając się. – Pensjonat przyjmuje jedynie franki.

– Nie martw się o to – mówię. – Mam gotówkę.

– Wymieniłaś już pieniądze? Szybko poszło.

Boyboy posyła mi przeciągłe spojrzenie.

– Taa – rzucam, poklepując zwitek banknotów wciśnięty za pasek.

Zwinęłam konikowi pieniądze Michaela wraz z odsetkami, gdy obmacywał mnie podczas wsiadania do ciężarówki. Większość kwoty była we frankach kongijskich.

– A do tego dowiedziałem się czegoś o twojej matce – mówi cicho Michael, kiedy zmierzamy w stronę *piki-piki*, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. – Gość, z którym rozmawiał kierowca, znał nazwisko twojej matki. Powiedział, że może zaprowadzić nas do sklepu twojego kuzyna na targowisku.

Prawie się potykam.

– Wypytywałeś obcego faceta o moją matkę?

Uśmiech Michaela znika.

– No co? Sądziłem, że będziesz zadowolona. Po części po to tu jesteśmy, tak? Żeby znaleźć ludzi, którzy ją znali, i porozmawiać z nimi?

– Ale nie musimy obwieszczać wszystkim naszego przybycia – cedzę przez zęby.

Rozglądam się. Zdążyliśmy już wzbudzić zainteresowanie: Boyboy, w swoim odświętnym stroju, macha nam, byśmy wsiedli na jedną ze śmiertelnych pułapek, które dla nas załatwił; ja w moich miejskich ubraniach – musiałabym założyć spódnicę, by wtopić się tu w tłum, a to się *nie wydarzy* – a do tego blady, zielonooki Michael, wciąż wyglądający na zbyt czystego.

Wskakuję na tylne siedzenie motocykla, który wygląda, jakby zrobiono go z folii aluminiowej podtrzymywanej drutem.

– Jesteś najgorszym detektywem na ziemi – mówię. – Ruszajmy. Robi się ciemno.

Zanim uda się nam dostać pokoje, trzeba upolować opiekuna pensjonatu. Zgaduję, że ostatnio nie przybywało tu wielu pracowników ONZ – zakonnica, z którą rozmawiamy, wykręca dłonie i mówi coś o konieczności znalezienia mebli. Boyboy, Michael i ja wymieniamy spojrzenia, ale na tym etapie wystarczy nam cokolwiek z dachem i ścianami. Z nadzieją pytamy o koce i dowiadujemy się, że opiekun powinien być w stanie je znaleźć, a potem siostra przeprosza nas i wraca do szpitala. Gdy śpiesznie odchodzi, zauważam ciemną plamę krwi na rąbku jej spódnicy.

Zostawiam chłopców i idę zrobić rekonesans. Jest już po zmroku, ale nie palą się światła. Wrzaskliwy dźwięk żab i owadów jest niemal ogłuszający. Michael chyba powiedział, że mają tu prąd, ale może chodziło tylko o szpital. Mijam basen, aktualnie wypełniony sadzonkami warzyw. Pokoje gościnne okalają zbiornik i trawnik, a także to, co kiedyś mogło być restauracją, dziś opuszczoną, z połamanymi stołami i krzesłami ustawionymi pod ścianą oraz dachem ze strzechy, który wygląda, jakby miał parcha. Zatrzymuję się i spoglądam na pomidory i kukurydzę, które walczą o miejsce na grządce w kształcie nerki. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek wcześniej widziałam to miejsce.

Nagle na tyłach ogrodu słyszę krzyk kobiety. Wyginam szyję w stronę, z której dolatuje, i dostrzegam przebłysk fluorescencyjnego światła przebijającego się przez żywopłot. Idę w jego kierunku i natykam się na betonową ścieżkę biegnącą między dwoma długimi, niskimi budynkami o zabitych oknach. W środku pali się światło, podchodzę do jednych z otwartych drzwi. W pomieszczeniu jest na oko pięćdziesiąt szpitalnych łóżek, upchniętych obok siebie, i jeszcze więcej ciał na barłogach na podłodze. Nic dziwnego, że zakonnica martwiła się o dodatkowe łóżka. Widzę ją po drugiej stronie pokoju – przygotowuje igłę do zastrzyku. Zatrzymuję się na skraju cienia i ponownie słyszę krzyk kobiety. Jest gdzieś z prawej strony, poza moim polem widzenia, w innym pokoju.

– *Habari ya jioni* – mówi głos za moimi plecami.

Odwracam się. Starsza zakonnica w grubych okularach przygląda mi się z progu zagraconego, małego biura.

Odzwajem formalne powitanie i stoję zakłopotana, nie wiedząc, czy zostać

czy iść. Kobieta znów krzyczy.

– Nie martw się – mówi zakonnica, widząc moją minę. – To tylko poród. Nic jej nie będzie. Jest młoda i silna.

Potakuję, zachłystując się jej suahilijskim akcentem. Brzmi jak moja matka. Sama zupełnie zatraciłam akcent, mieszkając w Sangui. Oczywiście inni uchodźcy mówią w kongijskim suahili, ale jest coś szczególnie znajomego w sposobie mówienia zakonnicy, jej słowa stapiają się ze sobą. Przełykam z bólem.

– Przepraszam, nie chciałam nikomu przeszkadzać. Mogę sobie pójść.

– Nie, w porządku, skarbie. Jest tu ktoś z twojej rodziny?

Ćmy uderzają o żarówkę nad jej głową w szalonym tańcu.

– Zatrzymałam się w pensjonacie.

Unosi brwi.

– Och... Nie mamy obecnie wielu odwiedzających. Wyglądasz bardzo młodo, jak na podróżniczkę. Nie jesteś tu sama, prawda? – Potrząsam głową. – Dobrze. Dziewczęta nie powinny chodzić same po mieście.

– Całkiem dobrze umiem o sobie zadbać.

W przeciwieństwie do większości osób nie komentuje, jak drobno i niepozornie wyglądam. Zamiast tego mówi:

– Nie jesteś stąd, prawda?

– Właściwie to jestem, ale nie było mnie tu długi czas.

– *Karibu*. Witaj w domu. – Uśmiecha się; zmarszczki na jej twarzy przypominają słoje drewna. Stwierdzam, że podoba mi się jej twarz. – Jestem siostra Dorothy – mówi. – Skoro już tu przyszedłaś, może mi w czymś pomożesz?

– Och, emm... – Spoglądam w stronę pacjentów, zastanawiając się, przy czym konkretnie miałabym pomóc.

Uśmiecha się.

– Chodź, oni nie gryzą. Potrzebuję pary silnych rąk. Jak masz na imię, skarbie? – Wchodzi do biura i wraca z wysokim stosem drapiących, poliestrowych koców.

– Christina. – Imię opuszcza moje usta, zanim zdążę przemyśleć opcję podania fałszywych danych.

– Bardzo ładne – stwierdza dziarsko. – Nocami robi się tu chłodno, a mamy nowych pacjentów, którzy będą ich potrzebować.

Biorę koce, rozważając, czy na wszelki wypadek powinnam ukraść kilka dla nas. Idąc za nią, rzucam okiem w stronę pensjonatu.

Zaraz za progiem siostra Dorothy pochyla się nad młodą kobietą w łóżku. Obydwie dłonie kobiety są zabandażowane, a ona przyciska je do piersi, podczas gdy siostra łagodnie do niej przemawia. Potem bierze koc ze szczytu stosu, który trzymam, i otula nim młodą kobietę. Wygląda zagniecenia, a pacjentka zamyka oczy, nie obdarzywszy mnie ani jednym spojrzeniem.

Podchodzimy do kolejnego łóżka, staruszki o siwych włosach, która jest tak przywiędła i krucha, że właściwie znika w pościeli. Śpi, ale obok niej siedzi dziecko o wielkich oczach, ssąc palec. Chłopiec patrzy na mnie. Wygląda zdrowo. Zastanawiam się, gdzie jest jego matka. Kolejny koc znika; nagle czuję ogromne wyrzuty sumienia, że

w ogóle pomyślałam o kradzieży.

Przechodzimy do kolejnego łóżka. Kobieta siedzi i patrzy na nas.

– Nowicjuszka? – pyta, wskazując na mnie głową.

– Nie, gość – odpowiada zakonnica.

Nozdrza kobiety się rozszerzają. Mówi coś – bardzo szybko i po francusku – czego nie rozumiem. Ale przesłanie jest dość jasne, wnioskując ze sposobu, w jaki wskazuje na moją twarz, oraz z gestów odpędzania wykonywanych dłońmi.

– Co powiedziała? – pytam.

Siostra Dorothy bierze ode mnie koc. W suahili mówi:

– Że jesteś bardzo ładna. Niepokoi ją, że może włamać się tu milicja, sądzi, że przyciągają ich ładne dziewczęta. Już dobrze, Georgette, rozmawialiśmy o tym. Musisz się odprężyć, w przeciwnym razie nie wyzdrowiejesz. Nie przejmuj się tą dziewczyną. Jest tu równie mile widziana, jak ty.

Następnie siostra Dorothy pyta Georgette cichym głosem, jak się czuje, podczas gdy ja kręcę się z zakłopotaniem i próbuję nie podsłuchiwać. Georgette mozolnie przewraca się na łóżku i mówi po francusku. Jej ból „tam, na dole” nie chce minąć, jeśli dobrze rozumiem.

Siostra Dorothy dotyka jej czoła grzbietem dłoni.

– Przyniosę ci aspirynę – mówi.

Ruszamy dalej.

– Leżą tu tylko kobiety? – pytam.

– Nie, są też chłopcy i mężczyźni. W drugim skrzydle, chyba że są tak mali, jak ten, którego widziałas.

Pacjentka w kolejnym łóżku również śpi, więc przykrywamy ją kocem. Nad jej ciałem unosi się dziwny, miedziany zapach, a także coś gorszego, co przywodzi mi na myśl rzeźnię. Mobilizuję całą siłę woli, żeby się nie odsunąć. Bandaż pokrywa większość jej twarzy, a ta część, która spod niego wystaje, wygląda na pogruchotaną i napuchniętą. Siostra marszczy brwi i sprawdza puls kobiety na nadgarstku.

– Przyjęto ją dzisiaj. Trzy tak właściwie. – Wskazuje głową na pozostałe łóżka przy ścianie.

Kobiety śpią, ich twarze są zwiotczałe. Białe bandaże na ramionach i twarzach odznaczają się na tle ciemnej skóry. Ta na końcu wydaje się niewiele starsza ode mnie, choć przez jej poobijaną twarz trudno stwierdzić na pewno.

– Plus jeszcze jedną, która nie przeżyła operacji – dodaje siostra Dorothy i wkłada rękę kobiety pod koc. – Znalezione je na skraju pól, porzucone na pewną śmierć. Teraz są pod wpływem leków, ale nie wystarczy ich nawet na cały pierwszy dzień. Jutro będzie ciężko.

– Co im się stało?

Spogląda na mnie, a ja myślę, że nie odpowie. Ale później omiata wzrokiem pokój, nieruchome ciała i twarze bez wyrazu. Niektóre z kobiet patrzą na nas, ale większość utkwiała wzrok w suficie lub ścianie albo zwinęła ciało w ciasny embrion. Siostra Dorothy mówi cicho:

– To samo, co wszystkim innym. Wojna.

Gdy siadamy do kolacji z zakonnice, po tym, jak skończyły wieczorne modlitwy, moja głowa wciąż jest pełna obrazów połamanych ciał. Cieszę się, że Michael i Boyboy nie wciągają mnie w żywiołową dyskusję na temat tego, czy zbłąkane zwierzę, które przebiegło im drogę do jadalni, było bezpańskim kotem czy cywetą. Najwyraźniej jedno przynosi szczęście, a drugie nie. Nie wysilam się nawet na tyle, by zapytać, czym jest cyweta, choć pewnie powinnam. Temu miejscu przydałoby się trochę szczęścia.

Tłoczmy się wraz z tuzinem zakonnice i księdzem. Elektryczność odłączono w całym kompleksie, jedyne światło dają migoczące lampki oliwne. Zakonnice mówią nam, że z braku gości restauracja hotelowa została zamknięta, a jej użyteczne elementy wykorzystano gdzieś indziej. Ale zakonnice mają własną kuchnię i stawiają przed nami parujące misy *dengu*, *sukuma* i *matoke*.

– To tylko fasola, zielenina i banany – mówię Michaelowi, który chyba nie wie, co zrobić ze swoim talerzem. – Nie bądź niegrzeczny.

Bierze ostrożny kęs i mruży z aprobatą. Chwilę później je łąpczywie. Pogawędki zakonnice otaczają stół ciepłym gwarem i wkrótce zaczynam się czuć trochę lepiej. W końcu dopada nas zmęczenie po długiej podróży. Głowa Boyboya zwiesza się nad talerzem.

– Jesteście studentami? – pyta ksiądz, ojciec Fidele. – Co was sprowadza do Kasisi? – Jest młody i wygląda przyjaźnie. Jego twarz wciąż jest okrągła od dziecięcego tłuszczu.

Rozmowy ustają i słychać jedynie dźwięk łyżek uderzających o talerze. Zakonnice wpatrują się w nas wyczekująco. Chrząkam i ocieram usta, zbyt późno uświadamiając sobie, że zrobiłam to wierzchem dłoni.

– Tak – mówię. – Realizujemy... emm... projekt.

– Musimy porozmawiać z mieszkańcami wioski o praktykach rolnych – wybawia mnie Michael. – Jesteśmy w klasie o profilu ekologicznym.

Boyboy pokasłuje i uśmiecha się, potakując.

– To wygląda na duży projekt, jak na szkołę średnią. Podróżujecie bez opiekunów?

– Uczymy się na uniwersytecie – mówi Boyboy.

Jedna ze starszych zakonnice cmoka wymownie.

– To nie jest takie dziwne. Podróżowałam sama do szkoły, gdy byłam w ich wieku.

– Ale to było w czasach, zanim zapchały się rebeliantami – odpowiada inna.

– Przez ostatnie kilka dni dochodziły nas słuchy o napaściach na wioski na północ stąd – mówi siostra Dorothy.

– Jesteśmy bardzo ostrożni – zapewniam. – Podczas podróży zatrzymujemy się u pastorów i księży.

– Na nich też musicie uważać – ostrzega inna zakonnica, a pozostałe się śmieją. Siostra, która, jak zakładam, jest ich przełożoną, posyła jej surowe spojrzenie, a winowajczyni mamrocze przeprosiny.

– Wszystko w porządku – mówi ojciec Fidele, który również się śmieje. – Będziemy się modlić o waszą bezpieczną podróż.

– Umm, dziękujemy.

– Siostra Dorothy mówiła, że pochodzisz stąd, Christino? – pyta.

Wiercę się na krześle. Żałuję, że nie wymyśliłam jakiejś historyjki na potrzeby zakonnicy, ale teraz jest już za późno.

– Tak. Wyjechałam stąd, gdy miałam pięć lat, jakieś jedenaście lat temu, razem z moją matką.

Waham się, zerkam na Michaela i Boyboya, ale oni czekają na ciąg dalszy. Czy mogę zapytać o mamę? To zakonnice, myślę. Ksiądz. Opiekują się wieśniakami. Przebłysk nadziei rozbudza się we mnie. Jeśli nic nie powiem, mogę przegapić swoją szansę.

– Była pielęgniarką – mówię ostrożnie, obserwując ich twarze. – Mogła tu pracować...

– Tak? Jak się nazywała?

Nabieram powietrza.

– Anju Yvette Masika.

Zapada cisza. Rozglądam się i dostrzegam łyżki zatrzymane w pół drogi do ust, oczy szeroko otwarte. Jedna z zakonnice dyskretnie wykonuje znak krzyża na piersi. Czuję ucisk w żołądku. A potem chwila mija i wszyscy znów jedzą, jakby nic się nie wydarzyło. Dostrzegam jednak, jak siostra Dorothy wymienia spojrzenia ze starszą zakonnice.

– Znacie ją? – pyta Michael, subtelny jak zawsze. Mam ochotę kopnąć go pod stołem, ale boję się, że trafię którąś z zakonnice.

Kilka potrzasa głowami. Ksiądz odchrząkuje i prosi o dokładkę. Następuje poruszenie, a potem rozmowy zbaczają na malejący asortyment lekarstw, kwestię ewentualnego wysłania kogoś do Gomy po zapasy oraz rozważania, czy sezon na malarię będzie ciężki tego roku. Zerkam na Boyboya; on unosi brew. Ktoś tu coś wie.

Dwadzieścia siedem

Po kolacji chcę porozmawiać z siostrą Dorothy na osobności, ale młoda kobieta pracująca w szpitalu dopada ją jako pierwsza, trącając w ramię, jeszcze zanim ta wstanie od stołu. Inne zakonnice znikają dwójkami i trójkami niczym duchy, a ja nie mam sposobności, by zapytać o moją matkę. Każdy otrzymuje swój kaganek i nie pozostaje mi nic innego, jak udać się w ślad za Boyboyem i Michaeliem. Przepelniają mnie zmęczenie i niepokój.

Nasze cele są wilgotne i zaniedbane. Gekony uciekają przed snopem światła, piszcząc w panice. Nie ma tu łóżek, ale opiekun znalazł dla nas kilka krzesel i polówek, które przypominają mi łóżko, na którym spałam w lochu Greyhillów.

Jakaś część mnie spodziewa się, że Michael zacznie narzekać na warunki, ale on tylko rzuca torbę na swoją polówkę i mówi:

– Nie ma jak w domu.

Boyboy eksperymentalnie przełącza włącznik w pokoju Michaela, ale nic się nie dzieje.

– Mój laptop nie wytrzyma długo bez prądu – mówi.

– Mam nadzieję, że twój mózg nie uschnie bez dostępu do ekranu.

Na jego twarzy pojawia się grymas.

– Mocy mózgu wystarczy mi na wiele kilometrów, złotko, o nic się nie martw. To mój komputer mnie niepokoi. Naładuję go jutro. Wziąłem panel słoneczny. Po prostu nie zrobię za dużo do tego czasu.

– Co tak właściwie wydarzyło się na kolacji? – pyta Michael.

– Nie mam pojęcia. Ale najwyraźniej one znały moją mamę. – Zamyślona, gryzę paznokiec.

– To nie jest duże miasto. Może tu każdy zna każdego.

– Zachowywały się dziwnie. – Boyboy wyjmuje komputer i włącza go.

– To co mamy w planach na jutro? – pyta Michael. – Mwika był ostatnio widziany w Walikale, to kilka godzin jazdy stąd. Jedziemy tam czy na razie zostajemy tutaj, żeby się rozejrzeć?

– Boyboy, możesz wykorzystać ten numer telefonu z plików pana G., żeby spróbować go namierzyć? – pytam. – Nie chcę stąd wyjeżdżać, póki nie będziemy mieli solidnego tropu.

Ignoruję grymas na twarzy Michaela na wzmiankę o danych ukradzionych jego tacie.

– Postaram się – mówi Boyboy. – Zakładam, że nie możemy tak po prostu wejść do First Solutions?

Michael potrząsa głową.

– Gdyby to było takie proste. Nie wiem nawet, gdzie jest ich siedziba. Z tego, co słyszałem, po prostu wysyłają ludzi w różne miejsca. Od kilku dni próbuję się z nimi skontaktować, ale nikt nigdy nie odbiera telefonu. Zostawiłem kilkanaście wiadomości. Może numer, który wy macie, będzie lepszy.

– Czym ich zanęciłeś? – Boyboy zerka ponad ekranem.

– Zanęciłem?

Przewraca oczami i precyzuje:

– Powiedziałaś im, kim jesteś?

– Oczywiście, że nie!

Boyboy wygląda na niewzruszonego.

– Daj mi to, co na nich masz, a ja zobaczę, co mogę zrobić, by kogoś wypłoszyć.

Ktoś musi wiedzieć, dokąd wysłać pensję Mwiki.

Michael przenosi spojrzenie na mnie.

– A co my mamy w tym czasie robić?

– Jak daleko jest do kopalni Extracty? Możemy tam pojechać i powęszyć.

Michael sztywnieje.

– Chcesz tam jechać? Czy nie powinniśmy trzymać się razem, na wypadek gdyby Boyboy znalazł Mwikę?

– Przejechaliśmy kawał drogi. Chcesz teraz beczynnie siedzieć?

– Jesteśmy tu, by znaleźć Mwikę, prawda? – pyta Michael. – Czego jeszcze potrzebujemy?

Wstaję.

– Chcę się dowiedzieć, co moja mama wiedziała na temat twojego taty i co zamierzała powtórzyć Donatienowi.

Kątem oka dostrzegam, że barki Michaela się napinają. Nic nie mówi.

– Co z plikiem ukrytym pod zdjęciem twojej mamy? – pyta Boyboy. – Czy jesteście w stanie cokolwiek z niego odczytać? To musi być w jakiś sposób istotne.

– Jakim ukrytym plikiem? – pyta Michael.

Rzucam Boyboyowi ostre spojrzenie.

– Nieważne. To nic takiego. – Znika za ekranem laptopa.

– Jakim plikiem? – ponownie pyta Michael, zwracając się do mnie.

– Ja... To z danych twojego taty. Nie sądziłam, że musisz o tym wiedzieć. Jeszcze nie. To znaczy... on nie ma nic wspólnego z mamą.

– Pokaż mi – żąda Michael.

Wzdycham.

– W porządku.

Boyboy wyświetla odręczny spis nazwisk i liczb na swoim komputerze.

– Co to jest? – pyta Michael; oczy mu błyszczą. – I kiedy dokładnie planowałaś się tym ze mną podzielić?

– Pokazuję ci to teraz, czyż nie? – mówię. – Poza tym sami jeszcze nie wiemy, co to jest. To tylko nazwiska i liczby.

Michael wskazuje na ekran.

– Mobile Interests. Wiesz, co to jest?

– Nie. – Splatam ręce.

Wykrzywia się.

– Cóż, gdybyś mi to pokazała, powiedziałbym ci.

– Co to jest? – pytam, zniecierpliwiona.

Michael wpatruje się we mnie, pełen niedowierzania. Wygląda, jakby chciał się

spierać, ale ostatecznie tylko potrząsa głową i mówi:

– To była firma transportowa, z którą współpracowała Extracta. Przewoziła rudę do Sangui, póki tata nie wykrył, że go okradała.

– Skąd to wszystko wiesz?

– W domu była wielka awantura, ponieważ rodzina mamy jest właścicielem części firmy.

Jego twarz wciąż wykrzywia gniew.

Odchylam się do tyłu.

– To dobre wieści.

– Nie możesz zatajać przede mną takich rzeczy, Tina.

– Nie zachowuj się jak dziecko. – Wstaję. – Nie muszę dzielić się z tobą wszystkim.

– Musisz, jeśli mam ci pomóc odkryć, kto zabił twoją mamę!

Celuję palcem w jego twarz.

– Wciąż mogłabym się założyć, że to twój tata zabił moją mamę, więc dlaczego miałabym chcieć dzielić się z tym z *tobą*?

– Spokojnie, dzieci, wystarczy. – Boyboy wchodzi między nas. – Dość jak na jedną noc. Wydaje mi się, że wszyscy spędziliśmy za dużo czasu w ciężarówce z bananami; pora na trochę snu dla urody. Możecie wrócić do tego jutro.

– Dobra. – Chwytam swój kaganek i wychodzę. Słyszę, jak Michael i Boyboy kontynuują rozmowę plecami, jeszcze gdy zatrzaskuję drzwi mojego pokoju. Za kogo on się ma? Nie powinno go tu być. Mogłabym robić to wszystko sama.

Wciąż nie wiesz, gdzie jest Mwika.

No dobra, razem z Boyboyem.

Rzucam się na połówkę i wpatruję w sufit. Złość pulsuje w moim ciele niczym gorączka.

Dopiero w ciszy uświadamiam sobie, jak głośne są owady i żaby na zewnątrz. Deszcz zaczyna bębnić o cynowy dach niczym tysiące maleńkich kamieni. W przyćmionym świetle lampki oliwnej wydaję zdjęcie matki i jej kartę z modlitwą. Spoglądam na kartę, potem na zdjęcie, jak gdyby coś z tyłu głowy mówiło mi, że są ze sobą powiązane. Ale nie potrafię dostrzec, w jaki sposób. Zdjęcie pogmiotło się od ciągłego noszenia go w kieszeni, ale twarz i oczy mamy są ostre jak zawsze. Twarz dziewczyny obok wygląda znajomo, ale nie potrafię uchwycić się tej myśli. Kiedyś znaczyła coś dla mojej matki. Widać, że były blisko. Znowu czuję zarzewie złości. Czy nie powinnam wiedzieć, kim jest ta kobieta? Dlaczego mama nigdy o niej nie wspomniała?

Ogrom dezinformacji na temat mojej matki i jej życia tutaj jest jak ciężar na piersi. Robię to wszystko dla niej, tymczasem ona nigdy się nie wysiliła, by opowiedzieć mi o tym wcześniej. Czy nie uważała, że chciałabym to wiedzieć? Przecież to także moja historia, a czuję, że postanowiła wszystko zachować dla siebie. Nie tylko złe rzeczy, ale i dobre. Jej przyjaciele, jej rodzina. *Moja* rodzina. Po raz pierwszy od dłuższego czasu rozmyślam o swoim ojcu. Kim był? Może on też jest tutaj, w tym właśnie miasteczku? Mogłam go minąć na ulicy.

Wpatruję się w Świętą Katarzynę, w jej różane policzki i tęskne spojrzenie. Jest

niewzruszona jak zawsze. Biorę głęboki wdech, by się uspokoić; bogaty zapach mokrej ziemi i gnijących liści wypełnia moje płuca. Powinnam spać. Przykręcam lampkę, aż płomień gaśnie, a potem kładę się na plecach. Umieszczam na piersi zdjęcie i kartę. Nie słyszę już rozmowy Michaela i Boyboya, jedynie intensywne nocne życie owadów. Dźwięk jest dziwnie znajomy, zgaduję, że tak powinno być. Jako małe dziecko musiałam słuchać tego samego robactwa. Albo ich praprapradziadków.

Żałuję, że Kiki nie może zobaczyć tego miejsca. W sporej części odbiega ono od moich wyobrażeń Konga, które miałam, będąc jeszcze w Sangui. Jest tu niebezpiecznie, wiem, ale też roi się od owadów i żab. Deszcz, ludzie martwiący się, czy zdążą wrócić do domu z targu, nim się rozpada. Myślę o wszystkich pasterzach, których widzieliśmy na poboczu drogi, o kobietach zajmujących się swoimi polami i dzieciach bawiących się na szkolnym podwórku. Zgaduję, że rozgrywa się tu milion małych dramatów, jak w każdym innym miejscu. Wojna nie może zatrzymać wszystkiego. Chciałabym, by Kiki poznała ten aspekt naszego życia. Kiedy dwa dni temu wyjeżdżałam z Sangui, nie sądziłam, że będę chciała kiedykolwiek opowiedzieć jej o tej wyprawie. Ale może powinnam. W przeciwnym razie będę zupełnie jak mama – ukryję prawdę przed rodziną, przekonana, że wiem najlepiej. Ale z drugiej strony Kiki jest taka mała. Jeśli zapyta, dlaczego przyjechałam do Konga, co jej powiem? Że jestem tu głównie po to, by jej ojciec zapłacił krwią za śmierć naszej mamy? Wiruje mi w głowie. Ale wiem, że ta wyprawa nie opiera się wyłącznie na krwi i śmierci. To też śpiew żab i miłe zakonnice.

Uświadamiam sobie, że zaczynam odpływać, moje myśli płyną już zupełnie przypadkowo. Deszcz bębni jak opuszki palców. A potem uświadamiam sobie, że to nie tylko deszcz, ale ktoś puka delikatnie do moich drzwi. Siadam, wsuwam zdjęcie i kartę do kieszeni bluzy.

– Kto tam? – szepczę, gotowa powiedzieć Michaelowi czy Boyboyowi, że nie jestem w nastroju na godzenie się.

– Siostra Dorothy.

Zrywam się i otwieram drzwi. Widzę zaledwie kontury jej twarzy.

– Chwileczkę, zapalę lampkę.

– Nie, nie zapalaj. Chodź ze mną.

Wychodzę z pokoju, nie założywszy nawet butów, i podążam za nią. Wydaje mi się, że prowadzi mnie z powrotem do szpitala, gdzie wciąż pali się kilka lamp naftowych, ale ona skręca w stronę niewielkiej kaplicy znajdującej się w kompleksie.

Poświata ze szpitala nie dociera tutaj, noc oplata nas ciasno. Siostra Dorothy pędzi na przełaj przez trawnik, moknąc w strugach deszczu. Błoto oblepia moje gołe palce, gdy idę za nią. Nie wchodzi przez frontowe drzwi – idzie naokoło, do tych zamkniętych na kłódkę, z boku kaplicy. Otwiera je jednym z kluczy wiszących jej u pasa i popędza mnie, bym weszła.

W ciemnym wnętrzu ocieram rękawem mokrą twarz. Słyszę dźwięk pocieranej zapalki i widzę rozbłysk płomienia, a potem wreszcie siostra Dorothy staje się wyraźniejsza w blasku świecy. Rozglądam się po pustej kaplicy; odróżniam jedynie puste ławy kościelne i proste okna witrażowe, upstrzone kroplami deszczu.

– Przepraszam za tę konspirację – mówi, otwierając ukryte za ołtarzem drzwi, które

prowadzą do niewielkiego pokoju. Wewnątrz panują stęchlizna i chłód, niczym w piwnicy, ponieważ pomieszczenie wydrążono we wzgórzu, o które opiera się kaplica. Pod ścianą stoją zakurzone pudła i butelki mszalnego wina, ale zostało też miejsce na mały stół i dwa krzesła.

Siostra Dorothy zamyka za nami drzwi i siada, wzdychając ciężko.

– Gdybym wiedziała, kim jesteś, ostrzegłabym cię, byś uważała na to, co mówisz w mieście.

– Kim jestem?

– Raczej kim jest twoja matka.

Chwytam rant stołu.

– Co z moją matką? Znałaś ją? Sposób, w jaki wszyscy zachowywali się dziś na kolacji...

– Siadaj – przerywa mi, a ja opadam na krzesło naprzeciwko niej. Posyła mi zmęczony uśmiech. – Minęło wiele czasu, odkąd ktokolwiek wspomniał o Anju. – Jej oczy błyszczą w świetle, a ja zastanawiam się, czy szuka na mojej twarzy śladów mamy. – Urodziłaś się tutaj. W tej klinice. Nie wiedziałaś o tym, prawda?

Jej słowa są dla mnie niczym cios.

– Naprawdę?

– Miałaś rację. Twoja matka tu pracowała. – Siostra Dorothy dotyka srebrnego krzyżyka na szyi. – Odbyła tu szkolenie na pielęgniarkę. W pewnym momencie chciała zostać zakonnica... – przerywa. Nieświadomie bawi się krzyżykiem na łańcuszku, poruszając nim w przód i w tył.

– Zakonnica? – Mrugam bezwiednie. – Mama? Co się stało? Proszę, wie siostra coś więcej? Próbuję się dowiedzieć, kto ją zabił. – Znowu na mnie spogląda, a ja pochylam się do przodu. – Wiedziała siostra o tym? O tym, że została zamordowana?

– Tak. Otrzymaliśmy wieści z Sangui. Dlatego tu jesteś? Chcesz wytropić jej ducha?

– Ja... tropię jej mordercę. – Spoglądam na swoje brudne paznokcie. – Musi zapłacić za to, co zrobił.

Siostra Dorothy nie wygląda na zszokowaną ani nie próbuje mnie besztać, jak się tego spodziewałam. Tylko badawczo mi się przygląda.

– Byłaś dzieckiem, kiedy stąd wyjechałaś. Co pamiętasz z życia tutaj?

– Nic.

– Nic a nic?

Bezradnie wzruszam ramionami; unikam kontaktu wzrokowego.

– Jakieś fragmenty, urywki... Pamiętam, że uciekałam...

Przez moment się nie porusza, spogląda tylko na ścianę za moim ramieniem, ale wiem, że chciałaby mi coś powiedzieć. Wstrzymuję oddech.

Kiedy wreszcie znów się odzywa, jej słowa brzmią jak kamienie, które ostrożnie wypycha przez usta:

– Po tym, jak przez dwadzieścia lat przywożono do mnie dziewczyny, *dzieci*, żebym je poskładała na nowo, nie potrafię dłużej udawać, że rozumiem, czemu złe rzeczy mają miejsce, albo że jest to celowe, że Bóg tak chce... – Milknie na chwilę. Zaciska usta.

Potem kontynuuje: – Nie potrafię udawać, że na świecie nie istnieje prawdziwe zło, które żyje wśród nas. Powiem ci coś, co pozwoli ci zachować czujność. – Patrzy na mnie bystrym wzrokiem. – Rozumiesz? – Powoli kiwam głową. Nie jestem pewna, czy faktycznie rozumiem, ale nie chcę, żeby przestała mówić. Jej wzrok znów przenosi się na ścianę. – Twoja matka była jedną z moich ulubienic. Nie powinnyśmy nikogo faworyzować, ale przyznaję się do tego. Przybyła tu, gdy miała osiemnaście lat, żeby szkolić się na pielęgniarkę. Była bardzo bystra. Zawsze ciekawa, niezwykle energiczna. Byłaby piękną siostrą. – Widzę, jak skóra wokół ust siostry Dorothy zaczyna drżeć. – Atak nadszedł, gdy spałyśmy. Była pora sucha, sezon napaści, a rebelianci atakowali jedną wioskę po drugiej. Sądziłyśmy, że tu będziemy bezpieczne. Żołnierze rządowi mieli nas ochraniać, ale akurat żadnego nie było w okolicy. Nikt nie przybył, kiedy krzyczałyśmy. – Potrzebuje chwili, by głęboko odetchnąć. Kiedy znów się odzywa, jej głos brzmi dziwnie, z dystansem, jakby recytowała z pamięci: – Zabrali pięć kobiet: cztery uczennice pielęgniarstwa i nauczycielkę. – Czuję suchość w ustach. – Nie było ich przez trzy miesiące. Dwie nigdy nie wróciły. Pierwszą z trzech ocalałych była nauczycielka, która od razu stąd odeszła; nie wiem, co się z nią stało. Drugą była dobra przyjaciółka twojej matki, inna uczennica. – Siostra Dorothy wreszcie na mnie spogląda. – A trzecią była twoja matka. Wróciła ledwie żywa, z tobą pod sercem.

Dwadzieścia osiem

Przez kilka sekund trwam w bezruchu. Siostra Dorothy uważnie mi się przygląda, ale milczy, jedynie czeka. Pokój traci kontury.

– Mój ojciec był jednym z nich? – pytam cicho. – Jednym z mężczyzn, którzy ją zabrali?

– Tak.

Ledwie jestem w stanie mówić.

– Wiesz, kim był?

– Nie. Musiało być ich kilku... – Siostra Dorothy wzdyga się i odwraca wzrok.

Zaczynam znów oddychać, ale czuję, jakbym miała zaraz zemdleć. Nie minęła godzina, odkąd zaczęłam myśleć o swoim ojcu, a teraz... Zakładałam jednak, że był jej chłopakiem, po prostu matka nie chciała o nim mówić. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że był mężczyzną, który... który... Nawet nie znam właściwych słów. Czuję nagłe uderzenie gorąca, niczym w chorobie. Zginam się i opieram czoło na zaciśniętych w pięści dłoniach.

Przez moment pozwalam, by omiotła mnie fala mdłości. Gdy podnoszę głowę, siostra Dorothy sięga na półkę za swoimi plecami. Spod pajęczyn wyjmuję butelkę i dwie małe szklanki. Nalewa nam wina mszalnego. Jest cicho jak w grobie. A potem rozlega się grzmot, w uszach zaczyna mi dzwonić. Słyszę przytłumione bębnienie deszczu.

– Sądziłam, że zakonnicom nie wolno pić – mówię, wpatrując się tępo w stojącą przede mną szklankę.

– Nikt nie dorówna chwale Boga. Sądzę, że przebaczy on starej kobiecie. – Siostra Dorothy unosi szklankę do ust.

Myśl o winie sprawia, że zaciska mi się żołądek, ale sięgam po szklankę i wypijam zawartość jednym haustem. Wino jest kwaśnosłodkie i gęste, ale rozgrzewa mnie. Uświadamiam sobie, że Goondanie, rozmawiając o śmierci, robią to samo. Gdy jeden z nich umrze, przynoszą butelkę i piją do momentu, aż nikt nie jest już w stanie o niczym rozprawić. Goondanie i zakonnice, opijanie zmarłych. Szalony chichot prawie wymyka mi się z ust, ale powstrzymuję go. Biorę głęboki wdech.

Słowa siostry Dorothy odbijają się echem w mojej głowie: „dwie nigdy nie wróciły...”. „Z trzech ocalałych...”.

Podnoszę wzrok.

– Ta druga uczennica... Ta, którą zabrali... Czy wciąż mieszka w Kasisi?

– Tak. – Siostra Dorothy marszczy brwi. – Catherine wciąż tu jest.

To imię sprawia, że przebiega mnie dreszcz. Catherine – jak Kiki, myślę. Jak Święta Katarzyna.

Wyjmuję z kieszeni pogniecione zdjęcie.

– Siostrze Dorothy, czy to ona? – Wskazuję na dziewczynę obok mojej matki, która wygląda, jakby miała świat u swych stóp.

Oczy zakonnicy łagodnieją.

– Tak – mówi. – To Catherine.

Serce bije mi coraz szybciej.

– Chcę z nią porozmawiać. Czy wie siostra, gdzie ona mieszka?

– Nie sędę, by to był dobry pomysł...

– Dlaczego?

Siostra Dorothy napełnia ponownie szklanki.

– Catherine... ma problemy.

– Co to znaczy?

Mówi powoli, ostrożnie:

– Jeśli dziewczyna zostaje pojmana przez milicję, a potem odnaleziona, to wszyscy się radują. To jakby wróciła z za grobu. W końcu jednak radość ustaje, a wszyscy chcą, by dziewczyna zapomniała. Ale to niemożliwe. Niektóre z kobiet mają problemy medyczne. Czują ból albo nie mogą rodzić dzieci. Stale przypominają nam, że rodzina i wioska nie były wystarczająco silne, by nie dopuścić do tragedii. Czasami ludzie obwiniają te kobiety albo mówią, że dołączyły do rebeliantów i zostały odesłane jako szpieczy. Jeśli mają dzieci, niektórzy nazywają je duchami czy czarownicami – mówią, że noszą w sobie zło. – Zamieram. Mowa o *mnie*. – Niektóre z kobiet przenoszą się więc, próbują zacząć nowe życie. A niektóre, jeśli nie są w stanie pracować czy wyjść za mąż, uciekają się do innych sposobów, by przetrwać. – Waha się. – Catherine... Ona się sprzedaje.

Mrugam kilka razy.

– Jest prostytutką?

Wyraz twarzy siostry Dorothy potwierdza moje przypuszczenia.

– Ludzie ją obwiniają? Przecież nie prosiła się o to, żeby ją uprowadzili!

Zakonnica nagle wygląda na bardzo starą.

– Ludzie to skomplikowane stworzenia, moja droga. Sposoby, w jakie tłumaczą sobie istnienie złych rzeczy na świecie, nie zawsze są właściwe. Czasami po prostu są najłatwiejsze. To one pozwalają im komfortowo zasnąć co noc, pozwalają przestać się obwiniać.

Kręcę szklanką na blacie.

– Gówniane podejście.

– Tak. Chyba faktycznie... gówniane.

– Muszę porozmawiać z Catherine – upieram się.

Ale siostra Dorothy powtarza:

– Nie sędę, by to był dobry pomysł...

Rozglądam się po pokoju. Brak okien. Ciemno. Tajemniczo.

– Nie chodzi o to, że jest prostytutką, prawda? Po prostu nie chcesz, żeby z nią rozmawiała. Czemu mnie tu przyprowadziłaś? Dlaczego nie chcesz, by widziały nas razem inne zakonnice?

Bierze łyk wina.

– Nie chodzi o zakonnice. Chodzi o... wszystkich. Rozmowy są niebezpieczne. Ostatnim razem, gdy widziałam tutaj twoją matkę, rozmawiała z białym mężczyzną, który zatrzymał się w pensjonacie. Później dowiedziałyśmy się, że był dziennikarzem. – Domyślałam się, że chodzi o Donatiena. – Zaskoczyłam ją. Nie zdradziła, o czym rozmawiali, ale wydawała się zdenerwowana. To był czas wzmożonej pracy w klinice, więc nie myślałam o tym aż do chwili, gdy następnego dnia prawie zabito tego człowieka. Później dowiedziałyśmy się, że wasz dom spalono, a ty i twoja matka zniknęłyście. Mijały

dni, a potem wrócili tu tamci mężczyźni; szukali jej. Podejrzewali, że ją ukrywamy.

– Jacy mężczyźni?

Potrząsa głową.

– Ci z gatunku złych. Tacy, jak ci wcześniej. Milicja. Podeszli pod bramę i zaczęli strzelać w powietrze, wykrzykując jej imię. Pacjenci byli przerażeni. A kiedy powiedziałyśmy im, że nie wiemy, gdzie ona jest, zaczęli bić ludzi i niszczyć rzeczy, tak samo jak wtedy... – Czekam, gdy bierze uspokajający oddech. W końcu podejmuje: – Po tym zdarzeniu ludzie zaczęli szeptać na temat twojej matki i losu reportera, którego dźgnięto. Bali się. Matka przełożona odesłała dziennikarza z powrotem do Sangui i zabroniła nam wspominać o Anju, w przeciwnym razie groził nam powrót milicji.

– Chciała, żebyście o niej zapomnieli? Żebyście zachowywały się tak, jakby mama nigdy nie istniała?

Siostra Dorothy wzdycha.

– W klinice pracują dobrzy ludzie, Christino. Nie zostałybyśmy tu i nie były codziennie świadkami horrorów, gdyby nam nie zależało, gdybyśmy nie czuły Bożego powołania. Zakonnice, a także kobiety i mężczyźni, którzy tu pracują, to dobrzy ludzie. – Znowu wbija wzrok w szarą, betonową ścianę. – Ale okropna prawda o tym miejscu jest taka, że każdy, kto tu zostaje, musi obiecać, że nie będzie zadawać zbyt wielu pytań. Nie możemy nazywać szatana jego ludzkimi imionami. Nigdy nie wiesz, kto podsłuchuje, kto zbiera informacje, na wypadek gdyby musiał handlować z milicją, by uratować swojego męża czy dzieci przed uprowadzeniem. – Znowu na mnie patrzy. Dostrzega we mnie moją matkę, wiem to. – Powinnaś stąd wyjechać. Zabierz swoich przyjaciół i wracaj do Sangui. Zapomnij o zemście.

– Nie mogę.

Sprawia wrażenie, jakby wiedziała, że to powiem.

– W takim razie będę się modliła do Boga, by cię odnalazł i nie opuszczał. – Dopija zawartość szklanki. – Ale czasem się martwię, że on już dawno zwątpił w to miejsce.

Dwadzieścia dziewięć

ZASADA NUMER 13: ZALETĄ ZŁYCH WIEŚCI JEST TO, ŻE PRZYNAJMNIJ SĄ PRAWDZIWE.

A jeśli spędziło się większość życia, operując półprawdami i domysłami, coś prawdziwego jest niczym znalezienie suchego lądu na środku oceanu.

Nie żeby znajomość prawdy pomogła mi spać ostatniej nocy.

Chłopiec ma nam pokazać drogę do domu Catherine, ale właśnie zagrzebał się w błocie niczym ropucha i odmawia postawienia kolejnego kroku. Wskazuje na ścieżkę i posługując się mieszanką suahili i jakiegoś innego języka, którego nie znamy, oraz gestów, przekazuje nam, że musimy iść jeszcze tylko kawałek dalej. Podnosi dłoń.

– Pięć minut.

– Chłopcze, zapłaciliśmy ci, żebyś nas tam zabrał! Do samego celu – mówi Boyboy, opierając dłoń na biodrze i unosząc jedną brew. Wyjmuje telefon, by znów coś sprawdzić.

– Coś od gościa z First Solutions? – pytam czujnie.

Zeszłej nocy Boyboy spędził kilka godzin na szukaniu, a dziś rano godzinę wisiał na telefonie. Ma dobre przeczucie co do ostatniego tropu. To niesamowite, jak wielu osobom rozwiązuje się język, gdy tylko położysz im pod nosem trochę gotówki.

Prawdopodobnie powinnam była poprosić Boyboya, by został ze swoim komputerem w pensjonacie i dalej pracował, ale po tym, jak streściłam mu opowieść siostry Dorothy, nalegał, by mi towarzyszyć. Nie miałam siły się z nim kłócić. W ogóle nie powiedziałabym Boyboyowi o Catherine, gdyby mnie do tego nie zmusił. Po powrocie ze śniadania stwierdził, że albo złapałam pasożyta, albo coś szykuje. Ale Michaelowi nic nie powiedziałam. Wie jedynie, że siostra Dorothy potwierdziła, iż Catherine była przyjaciółką mojej mamy i że wciąż mieszka w okolicy. Pewnie dlatego, jako jedyny członek naszej drużyny, wygląda na wyluzowanego i wypoczętego; maszeruje obok nas niczym skaut na patrolu.

– Wciąż nie ma zasięgu – marudzi Boyboy, upychając telefon w tylnej kieszeni.

Nie pomaga, że powietrze w lesie, przez który wędrujemy od niemal godziny, jest ciepłe i skrajnie wilgotne. Wszyscy ociekamy potem. Strumień przecina żleb po naszej lewej stronie, błotnisty i wypełniony deszczem z ubiegłej nocy. Zdaje się, że nie tyle idziemy, co płyniemy przez dżunglę.

Naszym pierwszym celem tego ranka była próba ustalenia, czy w okolicy mówi się o przyjeździe pana Greyhilla, ale bez bezpośredniego wypytywania ludzi na ulicy trudno cokolwiek stwierdzić. Założyliśmy, że przybycie bogatego *mzungu* do miasta spowoduje nieco zamieszania, ale nic takiego nie odnotowaliśmy. Michael rozważał, czy nie zatrzymał się w jednym z domów pracowniczych kopalni Extracta. Więcej szczęścia mieliśmy w przypadku Catherine. Wskazano nam bar, w którym pracuje. Kucharz powiedział, że nie ma jej w okolicy, ale stwierdził, że możemy wynająć jego siostrzeńca, by zabrał nas do jej domu.

– No chodź – przymilam się do dzieciaka.

Potrząsa głową, nieugięty. To dobry chłopak. Dom Catherine to pieczara diabła i bliżej niego nie podejdzie.

Michael ociera pot z twarzy.

– Jesteśmy już blisko? Na pewno?

Chłopiec potakuje; uważnie kreśli palcem linie w błocie.

– Pięć minut – powtarza.

Pięć minut może najwyraźniej oznaczać wszystko, od minuty marszu do godziny. Jego wuj również zapewniał nas, że dom Catherine jest oddalony o pięć minut drogi. Teraz wiemy, że miał na myśli raczej pięć kilometrów.

– Chodźmy. – Biorę Boyboya za łokieć. – Musimy być już blisko. Nie rób takiej miny. Mówiłam ci, żebyś nie szedł w tych butach.

Dzieciak czeka, aż ruszymy ścieżką, po czym umyka, szybko przebierając chudymi kończynami. Ja też jestem sceptyczna, nie wiem, czy uda się nam odnaleźć dom Catherine. Wspinamy się na wzgórze, a później wychodzimy z lasu na nasłonecznione pole. Oddychamy z ulgą. Owce i kozy pasą się wokół małego domku ze ścianami z błota.

Przez sekundę lub dwie po prostu stoimy, łapiąc oddech.

– Jesteś pewna, że to tutaj? – szepce Boyboy. – Nie wygląda jak pieczara diabła.

– To ostatni dom w okolicy.

Za łąką rozpoczynają się strome góry i dżungla. Dom wygląda tak jak każdy z kilkunastu, które mijaliśmy. Czerwona ścieżka dookoła niego została dokładnie zamieciona, a z przerdzewiałych puszek po obu stronach progu, nad którym powiewa płachta materiału, wyrastają kwiaty fuksji. Małe białe motyle fruwać nad nawozem w starannie wzniesionej przybudówce dla krów, kilkadziesiąt metrów stąd.

Dostrzegam dziewczynę rozwieszającą w oddali pranie na krzakach porośniętych różowymi i pomarańczowymi kwiatami. Nazwa rośliny przebija się nagle z zakurzonego zakamarka mojej pamięci: lantana, diabeł w krzewach. Cała scena jest jak idealne zdjęcie na pocztówkę i nie potrafię powiedzieć, czy faktycznie wygląda znajomo czy tylko tego pragnę.

– *Hodi* – wołam, oznajmiając nasze przybycie, gdy wchodzimy na skraj podwórza. – Halo?

Denerwuję się. To już. Wreszcie spotkam tajemniczą dziewczynę ze zdjęcia.

Nikt nie odpowiada, idę więc na tyły domu, skąd dolatuje zapach dymu z palonego drewna. Boyboy i Michael podążają za mną. Ale zanim skręcimy za róg, słyszymy ujadanie; ogromny brunatny pies nadciąga susami zza węgła domu, jeżąc sierść.

– Spokojnie! – wołam, unosząc ręce.

Boyboy piszczy i chowa się za moimi plecami.

– Halo? – nawołuje Michael. – Jest tu ktoś? Potrzebujemy pomocy.

Za psem idzie kobieta. Szybko tracimy nadzieję na ratunek, widząc AK-47 przewieszane przez jej ramię. Nie celuje w nas; nie musi. Cofamy się zgodnie.

– Kim jesteście? Co tu robicie? – pyta. – Askari!

Na dźwięk swego imienia pies przestaje szczeleć, ale wciąż krąży blisko swej pani i obserwuje nas czujnie.

Wstrzymuję oddech. Kobieta wygląda znajomo. Może być dziewczyną ze zdjęcia,

ale jakaś różnica w wyrazie jej twarzy sprawia, że nie mam pewności.

– Umm, cześć. – Michael otrząsa się jako pierwszy, ale nie spuszcza oka z broni. – Jestem Michael, a to moi przyjaciele, Christina i Boyboy. Przyszliśmy z miasta.

– I co dalej?

– My, ach, cóż, mamy nadzieję, że będziemy mogli z tobą porozmawiać.

Dziewczyna, która wieszala pranie, galopuje przez trawę w naszą stronę. Przy jej nodze biegnie kolejne bydło.

Kobieta spogląda po kolei na każde z nas, podejrzliwie marszcząc brwi.

– O czym?

Nie ma sensu owijać w bawełnę. Występuję przed szereg.

– Ty jesteś Catherine? – pytam, a gdy nie odpowiada, kontynuuję: – Chodzi o moją matkę, Anju. Chyba ją znałaś.

Kobieta przez chwilę wpatruje się we mnie, jakbym mówiła po chińsku. Nagle wyraz jej twarzy się zmienia, jakbym obrzuciła ją błotem.

– Anju? Anju Yvette?

Dziewczyna dobiega do nas i staje w lekkim oddaleniu, przypatrując się nam. Jest może w wieku Kiki. Sama skóra i kości. Kobieta wyciąga w jej stronę rękę, zatrzymując ją.

– Tak, chodzi o nią – mówię i z nadzieją robię krok w przód. – Możemy wejść...

– Nie. – Głos Catherine jest niski i niebezpieczny. Broń z jej biodra idzie w ruch, ale na razie wykorzystuje ją, by wskazać nam drogę powrotną. – Nigdy więcej nie chcę słyszeć imienia tej kobiety. – Pluje na ziemię. *Pluje*. – A teraz wynoście się z mojej farmy i nie wracajcie.

Nie mamy innego wyjścia, jak tylko odwrócić się i odejść. Michael próbował jeszcze protestować, ale spotkał się jedynie z syknięciem, które było skierowane do psów – sygnał do ataku. Zaczęły ujadać i skakać na nas. Szybko więc wróciliśmy ścieżką na szlak.

– Co, do diabła, zrobiła jej twoja mama? – pyta Boyboy, raz po raz zerkając za siebie.

– Nie wiem – mówię, smagając dłonią krzewy rosnące wzdłuż ścieżki. – Sądziłam, że się przyjaźniły.

Nie byłam na to przygotowana. Sądziłam, że Catherine się ucieszy, że będzie chciała pomówić o mojej mamie; gwałtowność jej reakcji zabolala mnie.

Zatrzymuję się.

– Nie możemy tak po prostu odejść – mówię. – Musimy z nią porozmawiać.

Michael wygląda niepewnie. Wiem, że zastanawia się, co dokładnie Catherine ma wspólnego ze śmiercią mojej matki, ale nie zamierzam nawet próbować mu tego wyjaśnić. Potrzebuję z nią pomówić. Może być jedyną osobą na świecie, która jest w stanie mi powiedzieć, co się im przydarzyło, co doprowadziło do moich narodzin. Była przyjaciółką mojej matki i musiały przejść przez to razem. Moja potrzeba porozmawiania z nią jest teraz ważniejsza od znalezienia mordercy. Jest głębsza, bardziej osobista.

Boyboy opiera ręce na biodrach.

– Nie wracam tam. Ta panna ma kompleks Rambo. Kto, poza członkami policji,

trzyma w domu taką broń?

Nagle jego telefon zaczyna wibrować. Wyjmuje go z kieszeni i pomrukuje, patrząc na ekran.

– Wiadomość na poczcie głosowej. Nareszcie.

– Ile musiałeś zapłacić gościowi z First Solutions, żeby z tobą porozmawiał? – pyta Michael.

– Nic. – Boyboy przykłada telefon do ucha. – Ale ty zapłaciłeś mu sporo. To znaczy, technicznie rzecz biorąc, zapłacił mu twój fundusz stypendialny. Ale w zbożnym celu.

– Co? Jak ci się udało...

– Co mówi? – pytam Boyboya.

Marszczy brwi, koncentrując się na wiadomości. Podnosi palec, każąc nam czekać.

– Musimy porozmawiać z Catherine – zwracam się w tym czasie do Michaela. – Była przyjaciółką mamy. Wie... o pewnych sprawach.

Michael wciąż rzuca Boyboyowi zde gustowane spojrzenie.

– Może namówimy siostrę Dorothy, żeby z nią porozmawiała – proponuje, a potem marszczy brwi. – O co chodzi, Boyboy?

Odwracam się. Mina Boyboya stanowczo mi się nie podoba. Odsuwa telefon od ucha.

– Złe wieści – mówi. – Mwika nie żyje.

Kontakt Boyboya nie przedstawił wielu szczegółów, powiedział tylko, że Mwika został zasztyletowany podczas bójki w barze jakieś dwa lata temu, w pobliżu kopalni diamentów w Katandze, gdzie pracował.

– Ale zostawił mi jego adres mailowy. Zhakuję skrzynkę. – Boyboy kładzie dłoń na moim ramieniu. – Może coś w niej znajdziemy.

Michael kiwa głową.

– Nie powinniśmy się jeszcze poddawać.

– Jak mogłeś nie wiedzieć, że on nie żyje? – pytam Michaela. Dwa lata temu pan Greyhill wysyłał przelewy do Mwiki. Musi mieć to jakiś związek z jego śmiercią. – A może wiedziałeś?

– Nie! – Michael robi krok w moją stronę. – Oczywiście, że nie wiedziałem!

Odsuwam się od niego, próbując wyczytać prawdę z jego twarzy. Wygląda na równie zszokowanego, co Boyboy, ale jeśli czegoś mogę być pewna, to tego, że Greyhillowie są świetnymi kłamcami.

– Nie wierzę, że ci ufałam – mówię, po czym odwracam się i ruszam ścieżką.

Nie ma nagrania.

Cała umowa z Michaelem miała na celu dotarcie do Mwiki i do rzekomego nagrania, a teraz dowiadujemy się, że gość nie żyje od dwóch lat. Czy Michael o tym wiedział? Czy tylko mnie zwodził?

Sytuacja wokół Mwiki i Catherine sprawia, że nasza wyprawa jak na razie jest wielką katastrofą. Jediną rzeczą, której się dowiedziałam dzięki przyjazdowi tutaj, jest to, że moja matka przeszła przez jakieś okropne, niewyobrażalne piekło, a ja jestem dzieckiem wojny, którego nigdy nie chciała. Dzieckiem, które zrujnowało jej życie

i pewnie każdego dnia przypominało o tragedii z przeszłości. Nagle bardzo pragnę zobaczyć się z siostrą. Nie żeby opowiedzieć jej o tym, co zaszło, ale po prostu żeby ją ujrzeć – żeby przekrzywiła głowę, patrząc na mnie, i zapytała, co się stało, jak czasem robi. Nigdy jej nie odpowiadam, ale lubię, gdy pyta. Przydałoby mi się to teraz.

Gdy wracamy do pensjonatu, idę do pokoju, zamykam za sobą drzwi i po prostu stoję. Nie mam pojęcia, co robić dalej. Nie płacz, Drobinko. Może Boyboy znajdzie coś w e-mailach Mwiki.

Przez okno słyszę, jak Boyboy mówi do Michaela, że ma do mnie nie pukać, że potrzebuję trochę czasu. Potem rozlega się dźwięk włączanego komputera.

Co teraz? Mamy po prostu wrócić do domu? Chcę porozmawiać z Catherine, ale jak to zrobić? Siedzenie tu i dąsanie się nie pomoże. Biorę głęboki oddech i szukam telefonu w torbie. Może mogę pomóc i sama zadzwonić do kontaktu Boyboya, zdobyć więcej informacji. Może Mwika miał dom, miejsce, gdzie przechowywał swoje rzeczy. Znajduję telefon i już chcę wyjść na zewnątrz, gdy widzę kilkanaście nieodebranych połączeń od Keczupa, trzy od numerów, których nie znam, i najgorsze – jedno od Robala. Jest też wiadomość od niego: „gdzie jesteś zadzwoń do mnie teraz”.

Żołądek zawiązuje mi się w ciasny supeł. Gdy wpatruję się w telefon, próbując zdecydować, czy oddzwonić do Robala i udawać, że wszystko jest w porządku, a ja wciąż jestem w Sangui, komórka zaczyna wibrować. Przeklinam, pewna, że przychodzące połączenie pochodzi od niego lub Keczupa, ale to nie jest żaden z ich numerów. Wiem, że nie powinnam odbierać – najprawdopodobniej któryś z nich dzwoni z innego telefonu – ale mam jakieś dziwne przeczucie.

– Halo?

– Tina? To ty?

Miękną mi kolana.

– Kiki? Wszystko w porządku?

– Próbuję się do ciebie dodzwonić od kilku dni!

– O co chodzi? Co się stało?

Słyszę, jak szepce coś do kogoś stojącego obok. Potem wraca do mnie.

– Co? Nie, nic się nie stało. Gdzie ty jesteś?

W tle słyszę rozmowy dziewczyn. Moje serce zwalnia bieg; ocieram usta drżącą ręką. Biorę głęboki oddech, próbuję brzmieć normalnie:

– Opuściłam miasto.

– Co zrobiłaś? Dlaczego? Gdzie jesteś? Ledwo cię słyszę.

– Ja... musiałam coś załatwić. Nie będzie mnie tylko kilka dni.

– Och! Ale wrócisz do piątku?

– Postaram się. Ale jeśli mi się nie uda, nie martw się, dobra?

– Jedna z dziewczyn usłyszała, że ktoś próbował się do mnie dodzwonić. To byłaś ty, prawda?

– Taa, ale zakonnica nie pozwoliła mi z tobą porozmawiać.

– To była siostra Agnes. Jest *taka* zasadnicza. Żadnych rozmów telefonicznych, żadnych komórek. Sądzi, że dzwoniłybyśmy do chłopaków albo zamawiały jedzenie czy coś. Ale moja przyjaciółka, Simone, ma telefon, który chowa w materacu. Pożyczyła mi

go. – Kiki mówi nieprzerwanym strumieniem, na jednym oddechu. – Ten koleś powiedział, że opuściłaś miasto. Martwiłam się, dlatego poprosiłam Simone o telefon.

– Jaki koleś?

– Hmm... Nie znam jego imienia, ale przyszedł wczoraj do szkoły, kiedy byłam na przerwie. Powiedział, że jest twoim przyjacielem. I że powinnam do ciebie zadzwonić. – Przez chwilę milczy. A potem pyta: – Tina, kto to był? Dlaczego wyjechałaś z Sangui? Wszystko w porządku?

– Tak. – Staram się panować nad tonem głosu. – Jak wyglądał ten koleś?

– Jak twardziel. Tatuaze na rękach, jak u ciebie. Dziewczyny sądzą, że był uroczy, ale moim zdaniem wyglądał jak surykatka.

Oblizuję wargi.

– Pamiętasz któryś z jego tatuazy?

– Nie bardzo. Miał ich sporo. Hmm, na grzbiecie dłoni miał chyba dużego pomidora. To zapamiętałam.

Świat wokół mnie ciemnieje.

Keczup.

Był w szkole Kiki. Rozmawiał z nią.

Zabiję go.

– Powiedział, że jeśli będę z tobą rozmawiała, mam ci przekazać, żebyś do niego zadzwoniła. Zostawił też liścik.

– Liścik? Co napisał?

– Poczekaj. Mam go w kieszeni. – Słyszę szelest, a potem: – „Drobinko, tracisz czas. Pozdruw siostrę”. Co to znaczy? – Robi pauzę. – Napisał „pozdrów” przez „u” otwarte.

Muszę zasłaniać dłonią mikrofon, żeby Kiki nie słyszała mojego urywanego oddechu. Keczup próbował się do mnie dodzwonić. A gdy nie odbierałam, zrobił to, o czym wiedział, że przyciągnie moją uwagę. Chciał, żebym wiedziała, że poszedł się spotkać z Kiki. Że wie, gdzie ona jest i jak się do niej dostać. Jak ją znalazł? Byłam taka ostrożna.

– Tina? Muszę lecieć. Simon mówi, że zużyję jej cały limit.

– Jasne, dobra... – udaje mi się wykrztusić. – Słuchaj, gdyby ten koleś wrócił do twojej szkoły, nie rozmawiaj z nim, dobrze?

– Nie będę. – Nagle jej głos się łamie. – Ale nic ci nie jest, prawda? On nie robi ci krzywdy ani nic takiego?

Otrząsam się.

– Nie, nic takiego. Daj spokój, nie martw się. Wkrótce się zobaczymy.

– W piątek?

– W piątek. Będę na pewno.

– Świetnie. Na razie!

Czuję nagłą potrzebę, by powiedzieć jej, że ją kocham, ale zwlekam zbyt długo i słowa utykają mi w gardle. A potem słyszę trzask na linii. I już jej nie ma.

Trzydzieści

ZASADA NUMER 14: NIESZCZĘŚCIA CHODZĄ GRUPAMI, I TO ZNACZNIE LICZNIEJSZYMI NIŻ PARY.

Po południu zarówno Michael, jak i Boyboy są już zmęczeni moim rozdygotaniem. Boyboy błaga mnie, bym zajęła się czymś produktywnym gdzieś indziej, bo on chce popracować. Nie wiem jednak, co miałabym robić. Ta wyprawa była głupim pomysłem, a teraz jeszcze moja siostra może mieć kłopoty.

Musimy wyjechać bardzo wcześnie rano, jeśli chcę się spotkać z Kiki na czas. Co rusz podnoszę telefon, by zadzwonić do Robala, ale potem się powstrzymuję i znów o tym rozmyślam. Czy mam próbować go przekonać, że wciąż jestem u Greyhillów? Keczup powiedział mojej siostrze, że wyjechałam z miasta. Ale skąd miałby to wiedzieć? Jeśli zadzwonię, czy Robal będzie mógł w jakiś sposób zhakować mojego GPS-a i ustalić, gdzie naprawdę jestem? Boyboyowi udało się wyśledzić mnie na dworcu autobusowym. Możliwe, że Robal byłby w stanie znaleźć kogoś, kto namierzyłby mnie tutaj. Co wtedy? Jak wielkie będą tarapaty, w które wpadnę? Co grozi Kiki?

– Wracajmy do miasta. – Michael wyrywa mnie z rozmyślań. – Możemy iść do sklepu twojego kuzyna, o którym wspominał kierowca ciężarówki. A może mój tata jest już w okolicy.

Wkładam telefon do kieszeni i w ślad za Michaelem opuszczam pensjonat, wciąż niezdecydowana, czy powinnam zadzwonić. Myślę o tym przez całą drogę. W pensjonacie i tak nie miałibyśmy nic do roboty – poza doprowadzaniem Boyboya do szau. Siostra Dorothy jest zbyt zajęta, by rozmawiać, a skrzynka e-mailowa Mwiki okazała się trudniejsza do zhakowania, niż Boyboy sądził. Próba zatelefonowania do kontaktu z First Solutions też nie dała nam żadnego nowego punktu zaczepienia.

Wędrówka do miasta stanowi przynajmniej jakiś cel, ale do czasu, gdy docieramy na miejsce, wciąż nie zdecydowałam, co robić. Kiki jest bezpieczniejsza w szkole niż w większości innych miejsc, powtarzam sobie, ale wiem, że to nieprawda. Jeśli Goondanie wiedzą, gdzie ona jest, są w stanie do niej dotrzeć. Żałuję, że nie mam do kogo zadzwonić i poprosić o pilnowanie jej, ale jedyna osoba, której ufam, siedzi teraz w pensjonacie i próbuje zhakować skrzynkę Davida Mwiki. Zresztą niby jak Boyboy mógłby ochronić moją siostrę przed Goondanami?

Gdy idziemy w stronę targu, sprawdzam telefon, by upewnić się, że Boyboy nie próbował się ze mną skontaktować, ale jedyne nieodebrane połączenie jest od Keczupa. Znowu.

– Słuchaj – odzywa się Michael – musisz mi uwierzyć. Nie wiedziałem, że Mwika nie żyje. Przecież nie jechałbym z tobą taki kawał. Po prostu nie pozwoliłbym ci tu przyjechać.

Chyba sądzi, że zachowuję się tak, bo wciąż jestem na niego zła. Milczę. Ruszam w dół ulicy. Czy powinnam mu powiedzieć, co przydarzyło się Kiki? Nie. To moja siostra i to ja się tym zajmę. Zapewne przypomniałby mi, że technicznie rzecz biorąc, oboje jesteśmy z nią spokrewnieni w tym samym stopniu, ale to nieistotne. Wcale nie w tym

samym. W końcu decyduję, że zadzwonię do Robala, gdy wrócimy do pensjonatu. Będę w stanie znaleźć cichy kąt, w którym nikt mnie nie usłyszy. Przekonam go, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Muszę.

Sklep mojego kuzyna jest zamknięty, gdy do niego docieramy.

Oczywiście, że tak.

A nikt, kogo mijamy na zatłoczonym targu, nie plotkuje na temat przybycia do miasteczka bogatego, białego nieznajomego.

Oczywiście, że nie.

Posyłam słusznego kopniaka zamkniętym drzwiom nazwanego na wyrost MegaSuperMarketu Jezusowej Łaski. Płoszę tym kościstego kota, który spał w cieniu cynowego baraku.

Michael nawet nie próbuje mnie pocieszyć, co jest dobre, ponieważ byłabym gotowa kopnąć i jego. Obracamy się i wracamy w milczeniu, mijając kobiety kierujące produkcją, młodych mężczyzn siekających trzcinę cukrową, kurczaki w drucianych klatkach, garnki i patelnie, słomiane kosze o słodkim zapachu, płachty mięsa wywieszane, by klienci mogli je obejrzeć.

Michael bezmyślnie podnosi mango ze stoiska i podrzuca je delikatnie.

– Ja też jestem sfrustrowany tym, że nie znaleźliśmy Mwiki – mówi.

– Jasne – pryham.

– Jak mam udowodnić, że mój tata nie zabił twojej mamy, bez tego nagrania?

Sprzedawczyni obserwuje Michaela zza stosu owoców.

– Kupuj albo przestań je obmacywać, *kijana!* – woła.

– Przepraszam. – Michael szybko odkłada mango.

Gdy odchodzimy, rzucam mu spojrzenie z ukosa.

– Naprawdę nie wiedziałeś, że Mwika nie żyje? Nie wymyśliłeś tego szalonego układu tylko po to, by odwrócić moją uwagę?

Michael zatrzymuje się i łapie mnie za ramię. Stajemy twarzą w twarz.

– Nie. Nie wiedziałem, że nie żyje – mówi. – Przysięgam. Po co miałbym się tak kłopotać? Uciekać do Konga? Mogłem zabrać Boyboyowi komputer już dawno temu. Albo rzucić was oboje rekinom na pożarcie.

Czeka, jakby liczył na to, że się uśmiechnę.

Moje ramiona opadają. Jestem taka zmęczona. Czuję, jak kącik moich ust unosi się bez mojego udziału.

– W porządku – przyznaję wreszcie. – Wierzę ci. W większości.

Michael odwzajemnia uśmiech.

– Chodźmy.

Uszliśmy raptem kilka metrów, gdy to czuję. Mój uśmiech blednie i dopada mnie dziwne przeczucie, że ktoś mnie obserwuje, a gdy podnoszę wzrok, mogę przysiąc, widzę, jak w alejkę nurkuje Keczup. Serce bije mi szybciej, pędzę do załomu między budynkami, ale nie ma tam nikogo prócz kobiety myjącej garnki na tyłach restauracji.

– Co? – pyta Michael, kiedy mnie dogadania.

– Nic... – mamroczę. – Wydawało mi się, że kogoś widziałam.

– Kogo?

– Nikogo. To nie był on.

Keczupa tu nie ma, nie ma, powtarzam sobie. Po prostu za dużo o nim myślałam. W sumie żałuję, że go tu nie ma. Przynajmniej wtedy nie musiałabym się martwić o to, czy jest blisko Kiki.

Wiatr się wzmaga i kłęby kurzu przetaczają się przez wąskie uliczki między towarami. Chmury zbierają się w kłębowiska, poranny czysty błękit to już odległe wspomnienie. Sklepikarze i domokrażcy zaczynają zauważać zmianę pogody. Kobiety poprawiają chusty i zabezpieczają towary. Wpatrują się w niebo, nie chcąc osłaniać straganów plastikiem aż do ostatniej minuty.

Nagle Michael chwytą mnie za rękę i szarpie w kierunku straganu ze ścianami z niebieskiego brezentu.

– Co ty wyprawiasz? – pytam, ale on ciągnie mnie wzdłuż elektroniki rozbebeszonej w kramach sprzedawców, a potem na drugą stronę.

Straganiarze gapią się na nas, gdy znikamy za rogiem.

– Ja... – waha się. – Nic.

– Słuchaj, nikogo tam nie widziałam – mówię. – Nie martw się.

Michael nie przestaje skanować wzrokiem handlarzy.

– Tak, wiem. Tyle że na chwilę przed tym, zanim powiedziałaś, że kogoś widziałaś, próbowałam określić, czy nie śledzi nas dwóch gości.

Spogląda w dół i dopiero wtedy orientuje się, że wciąż trzyma moją dłoń.

– Przepraszam – mówi i szybko ją puszcza, co z jakiegoś głupiego powodu sprawia, że się czerwienię. Żałuję, że nie cofnęłam dłoń pierwsza.

Ja również się rozglądam, unikając jego spojrzenia.

– Widzisz ich?

– Nie.

– Wokół jest mnóstwo osób. Nic nam tu nie grozi.

Michael spogląda na mnie.

– Mówisz tak, jakbyś się spodziewała, że jednak coś się wydarzy. – Nie odpowiadam, więc dodaje: – Chodź, wracajmy, zanim zaczną padać.

Idziemy szybko, podążając za tłumem w stronę ulicy. Purpurowe niebo wygląda tak, jakby zaraz miało eksplodować. W oddali widzę szarą ścianę – tam już leje.

Kierujemy się do miejsca, w którym dzień wcześniej znaleźliśmy *piki-piki*. Kropla spada wprost na moją twarz i widzę, że ziemia przede mną upstrzona jest deszczem. Obracam się i patrzę na Michaela, który co rusz zerka przez ramię.

– To nic – zapewnia.

Zaczynamy biec. Widzę w oddali *piki-piki*, ale szybko znikają, gdyż kierowcy albo biorą pasażerów, albo szukają schronienia. Przeklinam pod nosem.

– Nie powinnaś być jakimś niezwykle twardym dzieckiem ulicy czy coś? Nie zniesiesz odrobiny deszczu? – Ton Michaela jest lekki, ale słyszę, że skrywa troskę.

– Gość w niebieskiej koszulce i jego kumpel w kapeluszu? – pytam.

– Tak... Skąd...?

– Przestań się rozglądać. Zorientują się, że wiemy.

– Może to kieszonkowcy?

Przyspieszamy, a ja liczę na ostatni motocykl czekający na klientów, lecz dopada go przysadzista kobieta; sadowi się na miejscu pasażera i *piki-piki* odjeżdża.

– To ci sami, których widziałeś na targu? – pytam. Rozpadało się na poważnie.

– Tak.

– Czyli raczej nie kieszonkowcy. Dopadliby cię tam.

– Mnie? Dlaczego mnie?

– To oczywiste, że ty masz pieniądze. – Zanim Michael zdąży zaprotestować, dodaję: – Na następnym rogu skręć w prawo i idź za mną. Nie przyspieszaj. Zachowuj się normalnie. Nie odwracaj się! – dodaję, gdy jego głowa skręca odruchowo. – Dobra, raz, dwa, trzy, teraz.

Odbijamy w bok, ślizgając się nieco na błocie. Ruszam sprintem, a Michael idzie w moje ślady. Gwałtownie wchodzę w zakręt i nagle trafiamy do labiryntu domów o dachach pokrytych cynową blachą. Niebo się otwiera. Deszcz pada zbyt mocno, by dało się słyszeć kroki, ale jestem całkiem pewna, że za naszymi plecami rozlega się krzyk.

Chowam się za dwoma barakami i przeganiam stadko zmokłych kur. Rozbiegają się na wszystkie strony. Starszy, bezzębny mężczyzna protestuje z progu. Jestem już całkowicie przemoczona. Małe potoki błota zaczynają wypełniać ścieżki. Zerkam do tyłu; nie widzę nikogo, ale znów słyszę krzyk. Michael depcze mi po piętach. Przemykamy pod mokrym praniem powiewającym na sznurach, przeskakujemy nad wózkiem, znów skręcamy i nagle wpadamy w ślepią uliczkę.

– Tutaj! – woła Michael i podstawia mi splecione dłonie, bym mogła się wybić i przeskoczyć rozklekotany mur.

– A co z tobą?

– Dam sobie radę! Uciekaj!

Podsadza mnie na płot i popycha; ląduję po drugiej stronie, rozpryskując błoto. Słyszę, jak gramoli się za mną. Równocześnie dobiega mnie krzyk:

– Tam jest!

Michael z sykiem ląduje obok mnie. Chyba rozciął sobie dłoń, ale teraz nie ma czasu, by się tym zająć; ruszamy dalej. Gdy jednak skręcamy, Michael upada, przyciskając rękę do piersi. Gdy podciągam go za łokieć, kątem oka widzę czerwone krople. Idziemy dalej, nasłuchując dźwięku kroków za plecami. Wtem baraki się kończą, a my stajemy na progu na wpół dokończonego bloku mieszkalnego, który wygląda stanowczo zbyt ambitnie jak na tę lokalizację. Inwestor najwyraźniej nie przewidział, że w porze deszczowej to miejsce zamieni się w bagno, a woda wypełni dolne kondygnacje. Wodorosty i rzęsa wodna oraz dryfujące śmieci klinują się w otworach, w których powinny być drzwi. Michael rusza w stronę ścieżki prowadzącej z powrotem do baraków, ale zatrzymuję go.

– Tędy! – krzyczę i wchodzimy do wody, poruszając się w stronę drzwi opuszczonego budynku.

Nagle orientuję się, że w budynku jest już jakiś mężczyzna. Siedzi na chwiejnej platformie wzniesionej na betonowym bloku wystającym z wody. Wstaje, chudy i żółtooki, gotowy nas przegonić. Na platformie dostrzegam pułapki zastawione przez

dzikiego lokatora.

– Wyciągaj kasę – szepczę do Michaela.

– Co?

– Już!

Michael wyjmuję portfel. Mężczyzna obserwuje wygłodniałym wzrokiem, jak wyszarpuję z niego garść banknotów.

– Nie widziałeś nas – mówię, machając gotówką przed jego nosem.

Upewniam się, że mnie rozumie, a potem zwijam kasę w dłoni, ciągnę Michaela za sobą, przez bagno i dalej korytarzem, w stronę innych pokoi, które, mam nadzieję, mają jakieś drugie wyjście. Brodząc po kolana w wodzie, skręcamy za róg do pomieszczenia z klatką schodową.

Wskazuję na nią głową; Michael idzie za mną. Słyszymy głosy. Mogę tylko mieć nadzieję, że ci mężczyźni nie zaoferują pieniędzy dzikiemu lokatorowi. Wspinamy się po obrośniętych mchem schodach do pokoju z oknem. Wychodzi na stronę, z której przyszliśmy. Kucamy, wystawieni na bryzgi deszczu, i dopiero wtedy uświadamiam sobie, jak szaleńczo bije mi serce.

– Kim oni są? – Michael ciężko oddycha.

Potrząsam głową i zerkam przez okno. Chowam się szybko i szepczę:

– Są na zewnątrz.

Michael również rzuca im ukradkowe spojrzenie, podczas gdy ja taksuję wzrokiem pokój, szukając czegoś, czegokolwiek, co można by wykorzystać jako broń. Ale najlepsze, co mamy, to stara butelka po piwie.

Mężczyźni zatrzymują się na skraju wody. Kłóćą się, czy iść dalej ścieżką czy przeszukać budynek. Słyszę, jak jeden z nich gwizdże i krzyczy:

– *Mzee!* Widziałeś dwójkę dzieciaków? Ukradły mój telefon!

Wstrzymuję oddech i zaciskam powieki, licząc na cud.

Poniżej słyszę plusk wody. To musi być stary mężczyzna.

– Poszli w tamtą stronę! – krzyczy, a ja modlę się, by jego sękaty paluch wskazywał ścieżkę. – Dziewczyna i chłopak? Dorwijcie ich! Sprzedajcie im kopa też ode mnie!

Słyszę tupot kroków, czekam sekundę i rzucam kolejne szybkie spojrzenie. Mężczyźni biegną w przeciwnym kierunku.

– Słodki Jezu...

Osuwam się po ścianie, Michael robi to samo. Siedzimy tak przez kilka sekund, łapiąc oddech.

Wtedy na schodach pojawia się głowa.

– Forsa! – Mężczyzna wyciąga kościstą dłoń.

– Dobrze, już dobrze. – Staję na nogi. – Zasłużyłeś na nią.

– Daj mu wszystko – mówi Michael. – Ucałowałbym go, gdyby nie był cały brudny.

Ku własnemu zdumieniu szczerzę się jak idiotka, podając starcowi pieniądze. Przytula je do piersi, wydając z siebie gdaknięcie.

– Dwie minuty – mówi, wyciągając palce. Nie wiem, skąd pochodzi, ale suahili nie jest jego mocną stroną. – Dwie minuty, wy iść!

– Oczywiście, *mzee*, pójdziemy sobie – zapewniam.

Cofa się po schodach, a ja opadam obok Michaela, czekając, aż nogi przestaną mi drżeć.

Michael zdejmuję z pięści rąbek koszulki, którą tamował krew, i spogląda na skaleczenie. Rana ma poszarpane brzegi.

– O co chodziło? Kim byli ci ludzie?

– Nie wiem. Daj, spojrzę na to. – Ujmuję jego dłoń. – Trzeba oczyścić ranę. Gdy wrócimy do pensjonatu, poprosimy jedną z pielęgniarek, by cię połątała.

Odrywam zakrwawiony fragment jego koszulki. Czuję w palcach dziwne łaskotanie, gdy niechcący dotykam przy tym jego ciała. Obwiązuję ranę tkaniną.

– Jesteś pewna, że nie wiesz?

Zerkam na niego.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że nie mówisz mi wszystkiego o swojej mamie. Plik ukryty pod jej zdjęciem... Catherine... Nie myśl, że nie zauważyłem twojego dziwnego zachowania... Kogo rzekomo zobaczyłaś w tamtej alejce? – Nie odpowiadam i Michael zabiera dłoń. – Słuchaj – mówi – nie zdołamy ustalić, kto zabił twoją mamę, jeśli nie będziemy dzielić się ze sobą informacjami.

– Umawialiśmy się, że ty się tego dowiesz. Ja wciąż nie jestem przekonana o niewinności twojego ojca. – Chciałam to powiedzieć ze złością i zaskoczyło mnie wahanie w moim głosie.

– Daj spokój, Tina! Ktoś nasłał tych gości. Prawdopodobnie ktoś słyszał, jak wypyujemy o twoją mamę, i nie spodobało mu się to. Czemu mój tata miałby to robić? Przecież nie kazałby im gonić własnego syna.

– A może zgarnęliby tylko mnie? Skąd możesz to wiedzieć? – pytam z uporem.

Michael zaczyna odpowiadać, ale nagle czuję wibracje w kieszeni. Wyjmuję telefon.

– Halo? Boyboy?

– Lepiej wracaj tutaj. – Połączenie ma zakłócenia. – Znalazłem coś w skrzynce Mwiki, oboje musicie to zobaczyć.

– Co takiego?

– To nagranie. Pospieszcie się.

Trzydzieści jeden

Nie udaje się nam znaleźć *piki-piki*, więc powrót do pensjonatu trwa całą wieczność. Dodatkowo spowalnia nas ukrywanie się w krzakach na poboczu drogi za każdym razem, gdy ktoś się zbliża. Nie wiem, czy to dlatego że Michael jest zły czy boli go dłoń, czy po prostu boi się oglądania nagrania, ale nie rozmawiamy.

Na miejsce docieramy o zmroku. Boyboy już na nas czeka.

– Powinieneś zatroszczyć się o rękę – mówię do Michaela.

– Najpierw nagranie – stwierdza stanowczo. Wiem, że powinnam go zmusić, by poszedł do szpitala – potrzebuje szwów – ale nie robię tego. Nie potrafię zwlekać ani chwili dłużej.

Gdy czekamy, aż komputer się uruchomi, widzę, że ktoś przyniósł nam talerze z *matoke* i fasolą. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że nie jadłam nic od śniadania, więc czym prędzej chwytam za talerz. Posiłek wciąż jest ciepły; przelkam kilka kęsów, ale wszystko smakuje gorzko. To pewnie przez te nerwy. Poddaję się.

– Nagranie było na mailu Mwiki? – dopytuje Michael.

– Wysłał je komuś i napisał, że chce za nie pół miliona.

– Komu? – chcę wiedzieć. – Panu Greyhillowi?

Boyboy zaciska usta.

– Tego jeszcze nie ustaliłem. To konto mailowe to atrapa, a nie chciałem zużywać baterii na śledzenie, do kogo należy. Nie byłem w stanie naładować laptopa od dłuższego czasu, a mocy zostało tylko tyle, by obejrzeć nagranie. Może nawet nie dość. W szpitalu nie było prądu przez cały dzień. Najwyraźniej w tym zapomnianym przez Boga mieście nie ma już paliwa do napędzania generatorów.

Prawie go nie słucham. Wbijam wzrok w ziarnisty obraz, który otworzył na ekranie.

– To jest to?

– Tak – mówi Boyboy; robi pauzę, zanim uruchomi odtwarzanie filmu. – Ale to nie jest... nie powinnaś...

– Po prostu nam je pokaż! – Sięgam ponad jego ramieniem, by włączyć wideo.

Scena ożywa. Na początku jest to tylko statyczny obraz z naniesioną datą i godziną: pięć lat temu, dzień morderstwa mojej matki. Godzina 1.13 w nocy. Mój oddech przyspiesza, gdy włącza się światło, oświetlając pokój na czarno-biało.

Pochylam się.

– To jest to. To gabinet Greyhilla.

Teraz moje serce bije jak szalone. To widok z kamery zamontowanej w drzwiach biblioteczki.

Kamera przesuwają się w bok. Ktoś otworzył ukryte drzwi, uświadamiam sobie. Zamykają się, znów widać gabinet.

I nagle w środku pojawia się moja matka.

Obraz rozmywa mi się przed oczami. Mrugam szybko, by dojrzeć coś przez łyż. Weszła przez tunel. Miałam rację. Znikała nocami, żeby spotykać się z panem G. w jego gabinecie.

Ponury, czarny uniform służącej, który ma na sobie, w najmniejszym stopniu nie maskuje jej urody. Obchodzi biurko i zdejmuje buty. Jest znacznie niższa, niż zapamiętałam; wygląda krucho niczym młode drzewko. Idąc wolno w stronę sof, rozpuszcza warkocze, upięte w węzeł przy szyi, i potrząsa głową. Pociera skalp opuszkami palców. Zdejmuje kolczyki i wkłada je do kieszeni.

Mam kłopoty z oddychaniem.

Matka wygląda, jakby czuła się tam jak w domu. Komfortowo.

Nie mogę na to patrzeć. Muszę na to patrzeć. Nie mogę na to patrzeć. Nie potrafię odwrócić wzroku.

Ustawienie kamery znów się zmienia i tracę mamę z oczu. Przyklękam.

– Co się...

Znowu widać pokój.

I oto jest.

Przyszedł w ślad za nią – przez tunel.

Jej morderca.

Moją twarz od ekranu dzielą ledwie centymetry. Michael przyciska bark do moich pleców, również chcąc widzieć. Widoczne są jedynie plecy mężczyzny. Ledwie rejestruję, że jego włosy i skóra są ciemne – a pan Greyhill nie jest czarnoskóry – kiedy w jego dłoni pojawia się pistolet.

Moja matka obraca się w jego stronę.

– Nie... – szepczę bezwiednie. – Nie. Uciekaj...

Wyraz jej twarzy, gdy widzi broń, jest dziwny, jakby w ogóle nie była zaskoczona. Jakby na to czekała. Wpatruje się w napastnika przez dłuższą chwilę, zanim jej mina staje się inna. Niemalże... krnąbrna.

– Nie! – jęczę, potrząsając głową.

– Wyłącz to! Nie patrz, Tina! – woła Michael, jakby nagle uświadomił sobie, co się za chwilę wydarzy. Z furią odsuwam jego rękę od klawiatury. – Tina... – mówi błagalnie.

Mama bez słowa rusza w stronę zabójcy.

I wtedy nagle...

Bum.

Robi krok w tył.

Czuję, jak z mojego gardła wyrywa się zwierzęcy ryk; przykładam ręce do twarzy. Boyboy się krztusi, ale nie potrafię odwrócić wzroku. Plama otacza jej serce. Krew na czarnym stroju. Wciąż się cofa. Kolana uginają się pod nią; upada na sofę.

Pozwala swej głowie opaść na poduszki, jakby chciała chwilę odpocząć.

Przez moment nic się nie dzieje. Przez prawie minutę jest tylko ona; siedzi tam, a jej pierś faluje ciężko, jakby była wyczerpana, jakby przebiegła maraton. Morderca kładzie broń dokładnie pośrodku biurka pana Greyhilla. Wciąż obserwuje mamę, ani na chwilę nie odwraca twarzy do kamery.

Pojękuję – wciąż i wciąż.

Wtem ekran znów się przesuwają tam i z powrotem.

– Wszedł przez tunel – chrypi Michael. – Nie widziałem jego twarzy. A ty? To był Mwika?

Nie potrafię odpowiedzieć. Kiwam się na boki. Czuję, że Boyboy mnie obejmuje. Patrzę, jak umiera moja matka. Niech ktoś jej pomoże. Proszę.

I nagle za nią otwierają się drzwi do gabinetu, ekran na moment się rozmazuje. Następne, co widzę, to pan Greyhill – klęczący obok matki, uciskający jej klatkę piersiową.

– Co on robi? – pytam z trudem. Czerń przepływa między jego palcami.

To zbyt wiele. Już nic nie widzę. Nie potrafię nabrać powietrza. Łzy płyną po mojej twarzy i szyi. Czuję się tak, jakby ktoś przecisnął moje serce przez sito. Przez moment nierealna nadzieja zalewa moją pierś. Uratuje ją. Zawiezie ją do szpitala i wszystko będzie w porządku.

I wtedy widzę, jak mama unosi głowę i otwiera oczy. Wciąż jest przytomna. Przez moment wydaje mi się, że zamierza odepchnąć pana Greyhilla. Ale ona tylko na niego patrzy, a potem wyciąga dłoń i dotyka jego twarzy. On wtula twarz w tę dłoń, cały się trzęsie. Potem jej ręka opada. Głowa osuwa się do tyłu.

Moja matka umiera.

Jej duch odrywa się od ciała.

Nie ma jej.

A ja nie mogę oddychać.

Słyszę coś. Moje imię. Czuję dłonie na ramionach, na plecach. Nie mogę się poruszyć.

Cały świat zlewa się w jeden jasny i straszliwy punkt.

Trzydzieści dwa

Nie pamiętam, żebym wstawała czy wychodziła z pokoju. Po prostu orientuję się, że stoję na zewnątrz, w trawie, i łapię hausty wilgotnego powietrza. Świat pulsuje, rozmazuje się. W ciemności widzę odbicie lampy; łapie krople padającego deszczu. Nie potrafię ustać, więc zginam się i obejmuję kolana. Deszcz pada na moje plecy.

Słyszę za sobą kroki. Cichną. Nie muszę się odwracać, wiem, że to Michael. Stoi tam przez długi czas, obserwując bez słów moje zgarbione ramiona, aż dłużej nie mogę tego znieść. Odwracam się, zaciskając pięści.

– Co? – rzucam. – Co mam ci powiedzieć? Miałeś rację! Twój tata tego nie zrobił! Nie zabił jej!

– Tina... – Wyciąga do mnie rękę.

Odsuwam się. Przez sekundę wydaje mi się, że upadnę.

– Nie dotykaj mnie!

Powoli idzie do przodu. Stoję tam, a deszcz wciąż na mnie pada. Moje ciało się trzęsie, czuję ciepło, jakby paliła mnie gorączka.

– Tak mi przykro, Tina – mówi. – Nie powinnaś była tego oglądać...

– Przestań! Po prostu przestań!

– To niczego nie zmienia. – Znow próbuje się do mnie przysunąć. – Może to był Mwika. Dowiemy się, kto ją zabił. Pomogę ci.

– Nie chcę twojej pomocy! Nie dbam o ciebie ani o twojego tatę, ani o Mwikę, ani o Omoko!

Michael wygląda na zdezorientowanego. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie wie, kim jest Omoko. Nie obchodzi mnie to. Drę się jak oszalała.

– Wróć do środka, Tina. Deszcz... – Ujmuje mój nadgarstek.

– Nie. – Próbuję wyrwać rękę, ale jego uchwyt jest mocny. – Nie – powtarzam.

Nie potrafię spojrzeć mu w twarz. Tonę. Muszę usiąść. Jeśli nie usiądę, upadnę.

– Tina – przysuwa się bliżej – spójrz na mnie. Tak mi przykro...

– Nie – szepczę, ale wiem, że utknęłam. Nie potrafię się poruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Ciemność i światło wirują wokół mnie. Krople deszczu są niczym pęcherze na skórze. Wciąż nie mogę oddychać.

– Wszystko będzie dobrze – mówi tak cicho, że ledwo go słyszę. Jego twarz podpływa bliżej. Czuję jego ręce na moich dłoniach, silne i twarde niczym gałęzie drzewa. – Nie poddamy się. Dowiemy się, kto ją zabił.

Jest tak blisko, że wyczuwam bijące od niego ciepło. Jego oczy błyszczą. Nie widzę nic prócz jego twarzy, znajomej, miękkiej. Kręci mi się w głowie. Moje ciało przestaje walczyć. Opadają mi powieki. W ustach czuję dziwny, kredowy posmak.

Poczekaj, mówi słaby głosik w mojej głowie. Coś tu nie gra.

Nagle otwieram oczy.

– Nie... – Niezdarnie odpycham Michaela i wyrywam się z jego objęć. – Nie.

– Tina, poczekaj...

Odsuwam się. Odwracam. Biegnę w noc.

Trzydzieści trzy

ZASADA NUMER 15 – ZASADA MOJEJ MATKI: UCIEKAJ.

– Nie wracaj. Nawet się nie waż odwrócić. Biegnij, jakbyś się ściagała i chciała pokonać wszystkich chłopców. Idź do lasu i czekaj na mnie w naszym miejscu. Pamiętasz je? Znajdziesz je? Dobrze. A teraz idź. Biegnij.

I wtedy wypchnęła mnie z okna.

Nocny sprint przez las wcale nie jest taki prosty, jak pokazują w filmach. Dziury, powalone drzewa, kolczaste pnącza i niewidzialne pułapki, wyposażone w żądła i pazury, czyhają na każdym kroku. A jeśli jest ciemno, a ty jesteś tylko małym dzieckiem, to taki bieg graniczy z niemożliwością. No, chyba że czujesz zapach benzyny, za tobą unosi się dym, a jedyne światło w zasięgu wzroku to słabe migotanie płomieni w zgniłych liściach konarów nad twoją głową, pochodzące z kierunku, gdzie stoi twój dom. Wtedy światło nie zapewnia ci pociechy, a ty biegniesz – byle znaleźć się jak najdalej. Wypatrujesz ciemności i cierni, i rozpadlin w ziemi, ponieważ są lepsze od tego, co zostawiasz za sobą w płomieniach.

Stoję w głupim deszczu niczym głupi bezpański pies.

Jestem ledwie świadoma faktu, że czuję kolkę w boku i klucie w stopie. Zatrzymałam się, tylko dlatego że dotarłam do skraju wąwozu. Nie widzę niczego poniżej błyszczącej powierzchni czarnej wody, która porusza się w burzliwych kołtunach, jak śliskie węgorze. Wbijam palce stóp w miękkie błoto przy krawędzi, moje nogi przez chwilę bawią się pomysłem, by tam wskoczyć; nie chcą się uspokoić.

Jestem w lesie, ale nie pamiętam, jak tu dotarłam. Biegłam. Pali mnie w płucach. Nie ma tu nic prócz potoku, opadłych liści i szumu owadów. Powinien być most. Moje myśli ożywają powoli, jak błoto ustępujące pod moim ciężarem i wpadające do strumienia. Jak długo tu stoję? Robię krok w tył. Jest mi gorąco, ociekam potem, a moje stopy zaczynają pulsować bólem. Przypominam sobie kamienistą ścieżkę. Głowa ciąży mi niczym melon na patyku, przeważa mnie na boki. Widzę polanę za strumieniem. Połąć bladej trawy. Ciemną chatę, majaczącą na horyzoncie. Z oddali widać jedynie odległe pulsowanie światła.

Coś się porusza w krzakach za moimi plecami. Prawdopodobnie *mokele-mbembe* wyszedł z wody na swoich łuskowanych nogach, wymachuje smoczym ogonem, oblizuje smocze zęby i szykuje się do pożarcia mnie. Droga wolna.

W tej samej chwili moje kolana uderzają o ziemię, czuję silny uścisk na łokciu. Razi mnie zbyt ostre światło.

– Mama... – mówię.

Niska trawa łaskocze mnie w kostki. Potykam się.

Twarz w oknie, otoczona pomarańczowym światłem. *Mokele-mbembe?* Ma rogi. Nie, nie rogi, uszy. Pies.

Woda, bardzo zimna, ochlapuje moje nogi i ręce.

Matka wymawia moje imię: „Christina”, jakbym miała kłopoty. Chcę jej odpowiedzieć: „Tak, jestem tutaj”, ale moje usta się nie poruszają.

Zapach, którego nie czułam od lat: koce suszone na słońcu na krzewach lantany.
A potem nicłość.

Budzę się w rozklekotanym łóżku, które trzeszczy przy każdym ruchu. Gdy próbuję usiąść, moja głowa pulsuje; obraz rozmazuje mi się przed oczami. W końcu przekręcam głowę i mrugam. Wraca mi wzrok i widzę ścianę wykonaną z gałęzi młodych drzewek, uszczelnioną błotem. Ziemia jest wyłożona ciasno plecioną matą z trawy. Czuję zapach dymu z palonego drewna i suchej ziemi.

Wśród rzeczy, które mnie otaczają, dostrzegam ślady obecności kobiety i dziewczyny – sukienki powieszona na kołkach i niedzielne buty ustawione równo obok drzwi. Szkolne podręczniki i Biblia, kalendarz sprzed czterech lat prezentujący białe dzieci na łyżwach, zawieszony obok fotografii poważnie wyglądającej starszej pary. AK-47 wisi nad głowami pary, poza zasięgiem dziecka, na występie między ścianą a dachem.

Promienie słońca wpadają przez szpary pod okiennicami i drzwiami, tworząc nieregularne linie. W pobliżu słychać ptaki, a nieco dalej kozy – beczące i potrząsające dzwoneczkami. Powoli wstaję. Wciąż jestem w swoich wilgotnych ubraniach. Pomijając ból głowy i wrażliwość stóp, wszystko chyba ze mną w porządku. Kuśtykam do drzwi, co zajmuje mi chwilę. Moje usta są wyschnięte na wiór. Czuję się jak balon napełniony piaskiem.

Uchylam drzwi i mrużę oczy, gdy zalewa mnie jasność. Podwórko, pokryte czerwonym pyłem, nosi ślady niedawnego zamiatania miotłą z gałęzi; dalej dostrzegam trawę i las. Wychodzę na zewnątrz. Słońce zaczyna palić moją skórę.

Wiem, gdzie jestem.

– Catherine? – chrypię. Odchrząkuję i próbuję ponownie. Nagle uświadamiam sobie, że to drogą prowadzącą do jej domu biegłam wczorajszej nocy, jak w gorączkowym amoku. To ona podniosła mnie z ziemi, nie moja matka. Moja pamięć jest mglista i pełna luk. Czuję nagłe i intensywne fale gorąca i zimna. Pędzę na skraj podwórza i wymiotuję.

– Piłaś wczorajszej nocy? – słyszę.

Prostuję się, ocieram usta rękawem, i odwracam w stronę głosu.

Catherine nadeszła z drugiej strony domu. Suszy metalowy garnek.

– A może jesteś w ciąży?

– Nie – odpowiadam szybko. – Ani jedno, ani drugie.

Prycha.

– Przyszłaś tu chora. Wygadywałaś jakieś herezje o swojej matce.

Usiłuję się skupić. Co się wydarzyło? Zostałam czymś odurzona? Wczoraj jadłam tylko posiłek od zakonnicy.

– Nie piłam. Może coś mnie ugryzło.

– Może pająk – mówi, ale chyba w to nie wierzy.

– Gdzie mnie znalazłaś?

Unosi podbródek, wskazując wzgórze. Widzę ciemne miejsce na skraju lasu, skąd wiedzie ścieżka w stronę strumienia.

– Próbowалаś się dostać na swoją farmę?

– Moją farmę... – Powoli dociera do mnie, dlaczego jej dom wydał mi się wcześniej znajomy. Przenoszę spojrzenie na ścieżkę. – Mieszkałyśmy tutaj.

Zaczynam iść, walcząc z gorącem, sztywnymi kończynami i stromizną wzgórza. Catherine idzie za mną. Nic nie mówi. Prawdopodobnie śmieje się pod nosem, więc postanawiam się nie oglądać. Gdy docieram do ścieżki, znów jestem w cieniu, ale muszę się zatrzymać, by złapać oddech i uspokoić bicie serca, które rozsadza mi uszy.

– Pająki... – dyszę. – Albo wąż.

– Albo ktoś cię otruł. – Słyszę inny głos, cichy i wysoki.

Podnoszę wzrok i dostrzegam dziewczynę o długich kończynach. Albo porusza się bardzo cicho, albo ja wciąż jestem otumaniona i dlatego nie zauważyłam ani jej, ani żółtego psa. Podchodzi do mnie i podaje mi kij, na którym mogę się wesprzeć. Czeką, aż ruszę pierwsza. Stąd nie jest daleko do miejsca, gdzie ścieżka zbiega się z potokiem, którego wody przez noc opadły. Teraz widać wystające ponad taflę kamienie, po których można przejść na drugą stronę.

Spoglądam na przeciwległy brzeg i próbuję odnaleźć wspomnienia, które pasują do tego miejsca. Plastry błota odpadają od ściany chaty, a to, co pozostało z dachu, zapadło się i szerniało od ognia. Szopa zniknęła, spalona do gołej ziemi. Chwasty sięgają parapetów. Gdzie jest drzewo, na które się wspinałam? Gdzie był nasz ogród? Kiedyś miałyśmy króliki i kurczaki. Dawno zniknęły, ale może zobaczę w polu ich dzikie potomstwo. Przechodzę na drugą stronę strumienia. Żółty pies z pluskiem wskakuje do wody; wyprzedza mnie, gdy wspinam się na brzeg.

– Zamierzasz przejść to miejsce?

Odwracam się. Catherine idzie zwinnie po kamieniach w krok za swoją córką.

– Nie. – Wyciągam rękę, by jej pomóc, ale ignoruje mój gest.

– Powiedziałaś ci, żebyś tu nie wracała.

– Wiem.

Wypuszcza powietrze nosem i mija mnie, idąc prosto do chaty. Staje na skraju podwórza i wspiera ręce na biodrach. Dziewczyna idzie dalej, po niewidocznej ścieżce zarośniętej przez chwasty. Na tyłach rośnie drzewo awokado, teraz sobie przypominam.

– To dlaczego tu jesteś? – pyta Catherine.

Wiem, że to nie jest odpowiedź, ale tylko tyle jestem w stanie powiedzieć:

– Moja matka nie żyje. – Catherine ani drgnie, więc dodaję: – Ktoś ją zabił. Pięć lat temu. Wciąż nie reaguje, a ja orientuję się, że ta cisza i całkowity brak współczucia przynoszą mi ulgę. Mówię dalej: – Sądziłam, że wiem, kto ją zabił, ale wczorajszej nocy okazało się, że się myliłam. Nie ma co do tego wątpliwości. Może popadłam w lekkie szaleństwo. – Próbuję się uśmiechnąć, ale nieszczególnie mi wychodzi. Straciłam pięć lat na pogrążanie się w nienawiści do pana G. Na knucie zemsty. Pozwoliłam, by ta nienawiść napędzała moje działania. Brud. Pieniądze. Krew. To było takie proste. A teraz... to jak nagła utrata kończyny. Próbuję iść dalej, zapominając o tym, że straciłam nogę. – Wiesz, co jest najdziwniejsze? – pytam bardziej siebie niż ją. – Wydaje mi się, że w głębi serca wiedziałam, że on tego nie zrobił.

Przetykam ślinę i kiwam głową. Catherine wciąż milczy. Jestem jej za to wdzięczna.

Czy nie mogę po prostu nadal nienawidzić pana Greyhilla? To by było znacznie prostsze. Zwrócenie mojego gniewu w stronę Davida Mwiki jest jak skłonienie Ziemi, by

nagle zaczęła się obracać w drugą stronę. David Mwika? On nie żyje. Nigdy go nie zapytam, dlaczego to zrobił. Czy to w ogóle jego widać na nagraniu? Nie mam nowego punktu zaczepienia.

– Kto ją zabił? – pyta w końcu Catherine. Jej twarz wciąż jest zacięta, ale miękkość głosu, co niespodziewane, przebija mnie na wylot.

Opadam na ziemię. Świat wydaje się zbyt jasny; jest go za dużo.

– Nie wiem. Może członek ochrony, z którym pracowała? Ale ja... ja nie wiem, dlaczego miałby to zrobić.

Powinam wracać do domu. Przyjazd do Konga był głupim pomysłem. Nie wiem, co robię. Powinam wrócić do Kiki... I co dalej? Błagać Robala o wybaczenie? Zagwarantować panu Omoko pieniądze pana Greyhilla, tak jak obiecałam? Otworzyłam te drzwi i teraz nie wiem, jak je zamknąć. Jeśli nie zawrócę z drogi, zrujnuję całą rodzinę. Michaela, jego siostrę, matkę – wszystkich. O to przecież chodziło. Ale teraz nie jestem w stanie tego zrobić. Jestem? Nie. Tak. Muszę. Pan Omoko czeka. Goondanie, którzy nie wykonują rozkazów, zostają przykuci do resztek zgliszcz i zrzuceni z mola. Zresztą, może i tak mnie zabiją za sam fakt, że uciekłam jak idiotka.

Przyciskam palce do czoła, próbując stłumić myśli i łomotanie w głowie.

Catherine, ze stęknieniem, siada na ziemi obok mnie. Podkula nogi i obserwuje podwórze; pies bawi się w trawie, a dziewczyna podbiega do niego.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – pyta.

– Nie – mówię. – Nie pamiętam. Ale wiem, że znałaś moją matkę. Prawdopodobnie lepiej niż ja.

Wyjmuję skrawek papieru z kieszeni fartucha. Jej ręce są ciemne i zniszczone, nawykłe do pracy. Rozwija papier. Orientuję się, że gdy spałam, wyjęła z mojej kieszeni zdjęcie przedstawiające ją i moją matkę. Spogląda na fotografię przez dłuższy czas, po czym powoli mi ją podaje.

– Była moją najlepszą przyjaciółką. – Uśmiecha się lekko.

Spoglądam na młodszą twarz Catherine. Pełniejszą, o jaśniejszych oczach. Catherine siedząca obok mnie wciąż jest atrakcyjna, ale jej oczy są starsze o tysiąc lat.

– Anju była moją kuzynką, ale traktowałam ją jak siostrę. Dorastałyśmy razem. Gdy cię urodziła, pomagałam jej.

Gapię się na Catherine. Ona i jej córka są moją rodziną. Jedyłą, jaką znam, pomijając Kiki. I nagle, gdy tak tam siedzę, upajając się zapachem trawy i chłodem bijącym od strumienia, przypominam sobie: dźwięk śmiechu mojej matki i drugiej kobiety. Śmieją się z czegoś, co powiedziałam. To była ona. Catherine. Łamie mi się głos, gdy pytam:

– To dlaczego teraz jej nienawidzisz?

Catherine wzdycha.

– Chyba już nie czuję nienawiści.

– Ale wczoraj...

– Wczoraj jej nienawidziłam. Kochałam ją, ona mnie zostawiła, więc znienawidziłam ją za to. Ale teraz, gdy ujrzałam ciebie... – Spogląda to na mnie, to na swoją córkę. – Teraz chyba rozumiem.

– Proszę, Catherine, wyjaśnij mi. Ja nic nie rozumiem...

Uśmiecha się blado.

– Poza zakonnicami nikt już mnie tak nie nazywa. Mów mi Cathi.

Spuszczam wzrok.

– Moja siostra ma na imię Catherine, ale na nią też nikt tak nie mówi. Wołają ją Kiki.

– Siostra? – Cathi wygląda na zaskoczoną. Jej głos drży. – O imieniu Catherine? Twoja matka wyszła za mąż?

Waham się.

– Nie.

Ponownie spogląda na swoją córkę, która znalazła długi kij i trąca nim awokado. Cathi podnosi dwa palce do ust, ale nic nie mówi. Awokado spada z drzewa, dziewczyna podnosi je i dokłada do pozostałych owoców, które trzyma w spódnicy. Wydaje mi się, że jest rówieśniczką Kiki, może ciut starsza.

– Ciebie też porwali, prawda? – wrywa mi się. – Razem z moją matką? To wtedy zaszła w ciążę? – Cathi próbuje się podnieść. Za bardzo naciskam, powiedziałam coś nie tak. – Poczekaj – obniżam głos i łapię ją za rękę. – Proszę. Przybyłam tu, by się dowiedzieć, kto zabił moją matkę, ale za każdym razem, gdy wydaje mi się, że jestem bliżej rozwikłania zagadki, wszystko się komplikuje. Pomóż mi. Muszę wiedzieć.

Jej ręka jest sztywna pod moim dotykiem, napięta. Puszczam ją.

Cathi bierze kilka długich, głębokich oddechów.

– Ostatni raz widziałam Anju jeszcze przed narodzinami twojej siostry. Nie wiem, kto ją zamordował.

– Ale znałaś ją lepiej niż ktokolwiek inny! Pomóż mi zrozumieć, co się stało. Sądzę, że to wszystko ma jakiś związek z tym miejscem. Z jej – i z twoim – porwaniem, z tym, co widziała i co wiedziała. Uciekła stąd, ale może ktoś podążył za nią. Nie wiem, dlaczego ją zabito, ale... proszę. Nie znam jej. Wydaje mi się, że nigdy jej nie poznałam. Powiedz mi, ile możesz. Cokolwiek.

– Jesteś za młoda – mówi Cathi po dłuższej chwili, ale czuję, że sama w to nie wierzy. Pochyla się do przodu. – Moja Anju... moja biedna Anju... Wybaczam ci, oczywiście... – Wpatruje się w błoto u swych stóp, kołysząc się wolno w przód i w tył.

Wyciągam rękę, by znów jej dotknąć. Obawiam się, że zaraz ją stracę, że pustka pochłonie ją całą.

– Proszę, Cathi. Muszę wrócić do Sangui, ale nie mogę stąd wyjechać, wiedząc tyle samo, co w chwili przyjazdu.

Podnosi wzrok; nagle jej oczy jaśnieją.

– I co wtedy zrobisz, he? Co zrobisz z moją opowieścią? Nie mam dla ciebie odpowiedzi! Nie wiem, kto zabił twoją matkę! Nie wiem, kto jest ojcem mojej Ruth! Mogę ci powiedzieć, co nam zrobiono, ale po co? Co to da? Te dni nie przyniosły mi nic prócz zła! Nikt nie zostanie ukarany; ci mężczyźni wciąż tu są, w górach. – Wskazuje ręką dżunglę. – Moja opowieść nie zostanie nagrodzona sprawiedliwością! Wiesz, co muszę robić, by zarobić na chleb? Wiesz o mężczyznach, którzy podchodzą do mnie w barach, bo nie pozwolono mi sprzedawać warzyw na targu? Nie. To nie jest historia, którą należy

powtarzać. Nie przynosi nic prócz cierpienia.

– Myślisz, że jeszcze nie cierpię? – krzyczę.

Cathi nie przestaje się kiwać.

– Nic nie wiesz o cierpieniu. Jesteś tylko dzieckiem. Nawet nie masz pojęcia... – Zatyka sobie ręką usta.

Siedzimy w milczeniu. Owady bzyczą nam nad głowami. Spoglądam na mój zniszczony, spalony dom rodzinny.

Przez krótką chwilę potrafię sobie wyobrazić, jak mógłby wyglądać, gdybyśmy nie musiały uciekać. Firanki w oknach, donice z kwiatami po obu stronach drzwi, jak u Cathi. Moja matka wieszająca pranie. Spoglądam za siebie, w głąb lasu, gdzie według Cathi obozuje milicja. Biorę głęboki oddech.

– Może i cię nie pamiętam. Ale pamiętam tamtą noc. – Cathi delikatnie przekrzywia głowę w moją stronę, obserwując mnie kątem oka. – Miałam pięć lat. Pamiętam głośne dźwięki i ogień. Pamiętam krzyki. Zawodzenia. – Składam ręce i ściskam je kolanami. – Mama wyciągnęła mnie z łóżka, wypchnęła przez okno i kazała uciekać. – Przełykam ślinę. Spoglądam na podwórze i próbuję sobie przypomnieć, którędy mogłam biec. – Jestem dobrym biegaczem. Biegłam długi czas do miejsca nad strumieniem, gdzie często chodziłyśmy. Może je znasz. Jest tam mała grotka. Weszłam do środka i czekałam. Przez... Nie wiem, jak długo to trwało. Dni. Jadłam rośliny i owoce, przez które się pochorowałam, piłam brudną wodę z dna jaskini. Bałam się zwierząt. Bałam się, że ktoś mnie znajdzie. Bałam się, że nikt mnie nie znajdzie. Słyszałam mężczyzn przechodzących przez dżunglę. Pewnego dnia musiałam wyjść i ulżyć sobie. Robiłam swoje, kiedy usłyszałam ich głosy. Nie zdążyłam się schować. Musiałam zagrzebać się w liściach tam, gdzie stałam, we własnych odchodach, i mieć nadzieję, że na mnie nie nadepną ani mnie nie wyczują. Jeden z mężczyzn podszedł tak blisko, że mogłam sięgnąć ręką i rozwiązać mu buta. Widziałam jego oczy. – Wreszcie spoglądam na Cathi. – Zabiliby mnie z taką samą łatwością, z jaką biorą kolejny oddech. – Chmury przetaczają się przez niebo. Cykady wibrują w upale. Czuję coraz większą jasność umysłu. – Chciałabym, by moje dni spędzone w dziurze czy własnych odchodach nie poszły na marne – mówię. – Gdy moja matka wreszcie wróciła i zabrała mnie stamtąd, nie powiedziała nic o tym, gdzie była. Nigdy nie wspominała o tych dniach ani o żadnych innych z przeszłości. Kiedyś może bym ją o to spytała, ale została zamordowana, zanim miałam okazję. I zamierzam się dowiedzieć dlaczego. Nie proszę cię o nic. Tylko pomóż mi zrozumieć.

Córka Cathi wraca do nas, rozpromieniona niczym blask słońca na tafli wody, ze spódnicą pełną owoców. Cathi przez długi czas obserwuje ją w milczeniu. Mała pokazuje matce, co zebrała, rzucając mi ukradkowe spojrzenia. Widzę w niej widmo kobiety, wiszące nad nią niczym cień.

– Zanieś je *Nyanya* Florence – mówi Cathi. – Jej stare zęby będą zachwycone. Zabierz psa.

Dziewczyna odbiega. Znowu jest tylko dzieckiem. Obserwujemy, jak przekracza potok i znika za horyzontem. Cisza gęstnieje wokół nas. A potem Cathi głęboko nabiera powietrza i zaczyna mówić.

Trzydzieści cztery

Opowieść o dwóch dziewczynach:

Dawno, dawno temu w żywej krainie za siedmioma górami żyły sobie dwie dziewczyny.

Jedna z nich była głośna i rozchichotana, a druga cicha i poważna. Jedna lubiła chłopców, druga wolała książki. Jedna była pulchna niczym mango, druga chuda jak szczapa. Jedna była ładna, ale druga – piękna jak księżyc w pełni.

Choć tyle je różniło, kochały się wzajemnie, a żadnej z nich nie można było spotkać bez tej drugiej. Z dziewczynek wyrosły na młode kobiety, a gdy skończyły szkołę średnią, nie chciały się rozdzielać, obie więc poszły do szpitala w mieście, by przyuczać się na pielęgniarki. Pracowały ciężko, stały się silnymi kobietami i mądrymi uzdrowicielkami.

Podczas pierwszego roku szkolenia ukochany tej głośnej podarował jej ojcu pięć krów i poprosił o jej rękę. Cicha cieszyła się ze szczęścia przyjaciółki – sama jednak już dawno zdecydowała, że zaślubi się Bogu. Obie radowały się wzajemnie ze swoich wyborów, choć sekretnie, w głębi serca, wolałyby nigdy się nie rozdzielać.

W połowie drugiego roku ich szkolenia do szpitala dotarły pogłoski o złocie znalezionym w górach. Zakonnice wykonały znak krzyża na piersiach i powiedziały:

– Szykujcie się. My już wiemy, jak to się kończy. Idzie wojna.

Na początku były to jedynie trzaski w oddali, tajemnicze zniknięcia, niedostatek leków i pożywienia. Trudno to było nazwać wojną; przypominało raczej wycie dzikich psów – niewidoczny dźwięk budzący dreszcze, przed którym można się odgrodzić, zamykając okno, i zapomnieć.

Tak więc mimo ostrzeżeń zakonnicy dziewczyny nie były przygotowane, gdy wojna wtoczyła się przez frontowe drzwi szpitala, rwąc na strzępy i siekając na kawałki. Poruszała się szybko. Nie były gotowe na ten rozlew krwi, na rzucanie basenami i wyśmiewanie modlitw zakonnicy. Wojna zabrała księdza. Zabierała wszystko, co przyciągnęło jej wzrok: nawet morfinę i pudding w puszcze. Zanim odeszła, położyła ręce na pięciu młodych kobietach, w tym na tych dwóch, które nigdy nie chciały się rozdzielać, i rzekła: to moje. A potem uciekła z nimi w noc.

To była ciemna noc. Bardzo, bardzo ciemna i długa noc. Noc ciągnąca się miesiącami, choć niepodobna stwierdzić, jak długo dokładnie, ponieważ dziewczęta kierowały się swoim miesięcznym krwawieniem, by liczyć dni, a gdy krwawienie ustawało, trudno było się doliczyć.

Watażkowie zabierali skradzione kobiety w góry, do swego królestwa, gdzie drzewa przysłaniały niebo. W takim miejscu kobiety uświadamiały sobie, że niektórzy mężczyźni to w istocie mali chłopcy z czerwonymi oczami i martwymi twarzami. Kiedy mężczyźni i chłopcy szli walczyć, wplatali we włosy liście i kwiaty, przez co byli niewidzialni dla pocisków. W królestwie watażków przebywały też inne kobiety, ale one mówiły swoim językiem, o ile w ogóle mówiły, i poruszały się niczym duchy.

Mężczyźni wybrali to miejsce, ponieważ tam mieszkał ich bóg, głęboko w jamie w górze. Każdego dnia pięć kobiet wysyłano razem z innymi jeńcami do tej jamy, by przeszukiwały zbocza boga złota i przynosiły od niego świecidełka.

A nocami? Każdej nocy nadchodziło piekło, pod postacią mężczyzny lub chłopca, pięć lub sześć razy. Ta głośna nie poznawała ich; po prostu zamykała oczy i pozwalała, by jej dusza dryfowała hen, daleko, podczas gdy ciało czekało, aż będzie po wszystkim.

Ale wojna dostrzegła piękno tej cichej – zatrzymano ją i podarowano jako prezent mężczyźnie zwanemu Numer Dwa, który przybywał do królestwa i opuszczał je na rozkazy potężnego białego pana. Przylatywał helikopterem, przywoził broń i pieniądze. Gdy się zjawiał, zawsze prosił o nią. Nikt prócz niego nie miał prawa jej dotknąć.

Mawiali, że przyjeżdżał z miasta nazwanego na cześć krwi – Sangui.

Z tych pięciu kobiet:

Jedna uciekła, chłopcy się śmiali i władowali jej kulkę w plecy.

Jedna zaczęła pić zatrutą wodę w jamie boga, nawet gdy inni błagali ją, by przestała; zmarła, rozdierana gorączką.

Jedna była nauczycielką dwóch dziewczyn, zakonnica; gdy tylko mogła, odciągała piekło od swoich uczennic. Ale przez większość czasu nie mogła.

Dwie dziewczyny przeżyły, tylko dlatego że żadna z nich nie chciała umrzeć i zostawić tej drugiej w tym straszliwym królestwie.

Pewnego dnia mężczyźni zostali zniemacka zaatakowani przez innych mężczyzn, wyglądających dokładnie tak samo jak oni sami. Wszędzie wokół walczone, strzelano, eksplozje wstrząsały ziemią; w tym chaosie nauczycielka kazała im uciekać, więc ona i dziewczyny biegle i biegle, i biegle, aż wróciły do miasteczka i weszły do szpitala, gdzie wreszcie, wreszcie były bezpieczne.

Dwie przyjaciółki spodziewały się, że po ucieczce będzie lepiej. I przez pewien czas faktycznie było.

Ale wkrótce po tym, jak wyzdrowiały, gdy znów mogły wstać i chodzić, zauważyły coś dziwnego: zapach. Ludzie wokół nich krzywili się i odsuwali. Trzy kobiety wahały wiatr i starały się dowiedzieć, skąd pochodzi. Zgniły niczym wychodek i stos odpadów, narastający, gdy cała trójka była razem. Wreszcie uświadomiły sobie, że to nie wiatr go niesie – pochodzi od nich, z ich porów, ich włosów, ich oddechów.

Kobiety szorowały się i szorowały, piły słodkie herbaty, ale niezależnie od tego, co robiły, piekło, przez które przeszły, wisiało nad nimi, wypełniało pokoje swoim zapachem. Cierpkim, zawstydzającym, wszechobecnym, niemożliwym do wyeliminowania.

Zapachem, który nie był zapachem.

Wtem pewnego dnia ukochany tej głośnej zabrał swoje krowy. Później usłyszały, że odczekał tydzień i podarował je ojcu innej dziewczyny.

Brzuch tej cichej rósł, był już duży i okrągły. Pewnego dnia matka przełożona zawołała ją do swego gabinetu i wyjaśniła, że choć cicha wciąż może być pielęgniarką, to życie zakonne nie jest już dla niej. Nie dla matki.

Nauczycielka, która uciekła wraz z nimi, wyjechała do Sangui, mówiąc, że nie pamięta już, jak wygląda twarz Boga. Zapytała dwie dziewczyny, czy chcą jechać razem z nią. Cicha pojechałaby, ale była już zbyt duża, by podróżować. Głośna nie chciała zostawić przyjaciółki.

W okrzykach i płaczach narodziła się dziewczynka. Dano jej na imię Christina.

Dwie kobiety wprowadziły się z powrotem na farmy sąsiadujące z ich rodzinnymi. Matka i ojciec tej głośnej zmarli w ciągu roku po jej powrocie, jedno po drugim. Ojciec tej cichej odszedł, jeszcze gdy była w tamtym straszliwym królestwie. Matka się skurczyła.

Ta cicha wciąż pracowała jako pielęgniarka w szpitalu, ale głośnej trzęsły się ręce za każdym razem, gdy przynoszono kolejną złamaną kobietę. Próbowwała handlować warzywami, jednak miała dość innych sprzedawców gapiących się na nią i marszczących nosy.

Znalazła więc nowy zawód. Nie lubiła już chłopców, ale nie musiała ich lubić, żeby wykonywać swą pracę. Po prostu zamykała oczy i pozwalała, by jej dusza dryfowała hen, daleko.

Choć kobiety wciąż się kochały, wiedziały, że coś między nimi się zepsuło i już nigdy nie zostanie do końca naprawione. Obie skoncentrowały się na dziecku, które szybko rosło. Ta cicha czasami łapała się na tym, że wpatrywała się w twarz córki. A czasami w ogóle nie potrafiła spojrzeć na swoje dziecko – gdy tak się działo, ta głośna podnosiła małą i odchodziła, scałowując sól z policzków niemowlęcia, aż zaczęło się śmiać.

Mijały lata. Wojna czała się za zakrętem, przychodząc i odchodząc jak pory roku. Czasami kradła bydło i kozy. Czasami widywano ją spędzającą czas w barach w mieście, śmiejącą się i pijącą. Czasami słyszano, jak nadchodzi, a wtedy ukrywano się w tajnych kryjówkach w lesie i udawano przed dziećmi, że to wspinała przygoda.

Pewnego z takich razów matka tej cichej, która stała się mniejsza i bardziej krucha, odmówiła uciekania i chowania się, mimo że córka prosiła ją i błagała. Gdy cicha wróciła, znalazła matkę w łóżku – wyglądała, jakby spała. Nie było dużo krwi.

Dziewczyny umyły jej ciało w strumieniu i odziały w najlepsze niedzielne *kitenge*. Pochowały ją na wzgórzu obok męża.

Po śmierci matki ta cicha się zmieniła. Wciąż była cicha, ale coś w jej spojrzeniu martwiło tę głośną. Cicha zaczęła zostawiać z nią swoje dziecko i udawać się samotnie do lasu. Wracała z brudnymi stopami, gałęziami we włosach i spojrzeniem dzikiego zwierzęcia.

Pięć lat po narodzinach dziecka do miasta przybył biały mężczyzna i zaczął zadawać pytania.

Nie był pierwszym białym przybyszem. Wojna sprowadzała pilotów, dziennikarzy i – spośród wszystkich możliwych kolorów – niebieskie hełmy, którzy obserwowali walki niczym widownia. Bóg świadkiem, że biznes tej głośnej rozkwitał, gdy pracowała w barach najbliższej hoteli. Wojna sprowadziła dobroczyńców i misjonarzy, którzy wyglądali jednocześnie na przerażonych i podekscytowanych, a także górników, którzy zachowywali się jak te psy, które nie szczekają, a jedynie gryzą.

Ale ten mężczyzna był inny. Zadawał zbyt wiele pytań. Wypowiadał na głos nazwiska, o których inni rozmawiali wyłącznie szeptem.

Kiedy ta głośna dowiedziała się, że cicha rozmawiała z nim, była wstrząśnięta. Nakazała jej przestać, ale wtedy cicha powiedziała, że ma już dość milczenia.

Wojna wróciła, tak jak ta głośna przypuszczała. Przyszła tej samej nocy, gdy cicha

rozmawiała z białym mężczyzną. Tym razem jednak nie przybyła po kozy czy bydło. Przybyła po dwie dziewczyny, teraz już kobiety. Ścigała je przez las. Położyła na nich swoje łapy i rzekła: one wciąż są moje. I zabrała je z powrotem do straszliwego królestwa.

Jedynie dziecko uciekło.

Tym razem nie było kopania. Jedynie piekło. Dwie kobiety zostały rozdzielone; ta głośna słyszała krzyki tej cichej i sama krzyczała, i myślała o tym, by jej dusza dryfowała hen, daleko i nigdy już nie wróciła. Ale wiedziała, że nie może na to pozwolić, ponieważ oznaczałoby to zostawienie tej cichej zupełnie samej.

Lecz nagle, cztery dni później, cicha zniknęła.

Mężczyźni krzyczeli, szukając jej:

– Dokąd poszła? Dokąd poszła?

Bili tę głośną, która już nie była głośna. Zatapiaли ostrza noży w ogniu i przykładali do jej nóg. Ale to nie miało znaczenia. Ta już-nie-tak-głośna kobieta nie wiedziała, jak jej przyjaciółka zdołała uciec ani dokąd się udała. Wiedziała tylko, że ta, która stała się już-nie-tak-cichą, zostawiła ją.

Była sama w tym straszliwym królestwie.

Pobili ją niemalże na śmierć. Ale jako że obchodziła ich tak naprawdę tylko ta niegdyś-cicha, w końcu stracili nią zainteresowanie. Zwinęli obóz i zostawili niegdyś-głośną na leśnym poszyciu. A gdy uświadomiła sobie, że nie umrze, nie miała innego wyjścia, jak tylko wrócić do domu.

Tam wciąż była sama, pomijając nasienie w jej brzuchu. Dziwna sprawa – to nie powinno było przetrwać. Ale przetrwało, co było albo szczęściem, albo przekleństwem. Albo jednym i drugim, ponieważ teraz tylko to chroniło jej duszę i powstrzymywało ją od odpłynięcia hen, daleko już na zawsze.

Trzydzieści pięć

Gdy Cathi kończy mówić, wstaje i strząsa brud z sukienki. Podchodzi do skraju lasu. Stoi, wpatrując się w dal, jakby czekała, aż ktoś się pojawi.

Gdy znów rozmawiamy, jest już późne popołudnie, a robimy to tylko dlatego że wróciła rozgadana Ruth. Prawnuczka *Nyanya* Florence zaplotła jej włosy i Ruth czeka, aż obie ją skomplementujemy. To nam wystarcza, by powrócić do prawdziwego świata.

– Bardzo ładnie – mówię, a ona się rozpromienia. Nie wygląda jak Kiki, ale nie mogę powstrzymać myśli o siostrze. Czuję ból w piersi, potrzebę chronienia tej dziewczynki, którą dopiero co poznałam. Cathi musi wariować na samą myśl o tym, że to, co ją spotkało, któregoś dnia może spotkać jej córkę. Mieszkają tak daleko od miasta, na skraju dżungli, a Cathi wie, że ci mężczyźni wciąż tam są. Nagle AK-47 i dwa ogromne psy wydają się rozsądnym wyborem.

– Zostaniesz na kolację, Christino? – pyta Ruth.

– Powinnam wracać do szpitala – odpowiadam.

– Wciąż jesteś chora?

– Nie, już mi lepiej. Zatrzymaliśmy się w pensjonacie przy szpitalu.

Cathi marszczy brwi.

– Wkrótce zapadnie zmrok. Może powinnaś zostać tu na kolejną noc.

– Moi przyjaciele będą się zastanawiać, gdzie jestem – mówię niechętnie.

Muszę też myśleć o Kiki. Trzeba wreszcie się zebrać i zadzwonić do Robala; trzeba położyć kres kolejnym wizytom Keczupa. Gdy uciekałam w deszczu niczym obłąkana, nie zabrałam nie tylko butów, ale też telefonu. Chociaż idę o zakład, że pewnie nie ma tu zasięgu. I tak zostałam zbyt długo. Ale trudno mi odejść. Cathi zaczęła gotować z tyłu domu; zapach cebuli, czosnku i chili sprawia, że burczy mi w brzuchu. To miejsce jest znajome. Nawet jeśli nie mam przed oczami konkretnych wspomnień, czuję się tu jak w domu.

– Sądziłam, że ci chłopcy będą cię szukać – mówi Cathi. – Że zjawią się tu i razem wrócicie do miasta.

– Dam sobie radę – zapewniam. – Nie potrzebuję eskorty.

– Wejdę na wzgórze i zadzwonię z komórki do ojca Fidele. Przynajmniej spotkacie się w pół drogi. Nikt nie będzie cię niepokoić w jego towarzystwie.

– Och, nie rób tego. Na pewno jest zajęty.

Cathi mnie ignoruje; bierze telefon i zaczyna się wspinać na wzniesienie. Po chwili słyszę jej głos i czuję przyływ sympatii do ojca Fidele, mimo że prawie go nie znam. Musi wiedzieć, czym się trudni Cathi, by przetrwać, a mimo to ona wciąż może zadzwonić do niego po pomoc.

– Idzie w tę stronę – mówi Cathi po powrocie. – Jeśli będziesz się trzymać głównej ścieżki, spotkacie się.

Wstaję, gotowa do drogi.

– Cześć, Ruth.

– Pa, pa, Christino.

Wyjmuję z kieszeni zdjęcie Cathi – to z moją matką – i podaję jej.

– Zatrzymaj je – mówię. Catherine bierze ode mnie fotografię, jakby dotykała kruchego skrzydła motyla. Wsuwa ją między strony Biblii. – Dziękuję, Cathi. – Przełykam głośno ślinę, by się nie rozpląkać.

Kładzie dłoń na ramieniu Ruth. Obie spoglądają na mnie jaśniejącymi oczami.

– Będziemy się modlić za Anju. I za ciebie.

– Wrócisz pewnego dnia? – pyta miękko Ruth.

– Mam nadzieję.

– Będiesz tu mile widziana – odpowiada Cathi. – Jesteśmy rodziną.

Chcę iść szybko, by ojciec Fidele nie musiał zająć zbyt daleko, wychodząc mi na spotkanie, ale ścieżka jest kamienista, a moje stopy wciąż są poranione. Powinnam była włożyć sandały, które zaoferowała mi Cathi, ale przeczuwałam, że to jej jedyna para. Wybieram więc drogę wśród kamieni. Na ścieżce nie ma nikogo, a jedyne dobiegające mnie dźwięki to szum przepływającego obok strumienia i ptasie trele nad głową. Późno popołudniowe słońce przebija się złotymi promieniami przez listowie. Wraz z kolejnymi krokami splątana, bolesna sieć opowieści Cathi o mojej matce zaczyna się rozplątywać, a pasma tkają się na nowo, łącząc się z informacjami, które już miałam. Zaczynają się układać w obraz.

Tworzę oś czasu, porządkującą to, co już wiem, i to, czego wciąż nie wiem:

Mama i Cathi zostały pojmane przez milicję i zmuszone do pracy w kopalni.

Mama została wypatrzona przez Numer Dwa. Ten psychopata to prawdopodobnie mój ojciec. Został tu przysłany przez białego mężczyznę, którym musiał być pan Greyhill.

Mama i Cathi uciekły milicji. Urodziłam się. Minał czas.

Pojawił się Donatien, zaczął zadawać pytania, a mama zgodziła się pokazać mu, gdzie są dokonywane wymiany.

Zanim zdołała to zrobić, milicja zjawiała się w naszym domu i ponownie porwała mamę i Cathi. Mama wypchnęła mnie przez okno, a ja uciekłam. Tego samego dnia ktoś próbował zabić Donatiena.

Mama jakimś cudem ponownie uciekła milicji, odnalazła mnie i opuściliśmy Kongo. Mama zabrała nas do Sangui.

Mama zaczęła pracować u Greyhillów, choć Donatien powiedział jej, że pan Greyhill to zły gość Numer Jeden, pracodawca Numeru Dwa. Dlaczego? Dlaczego tam pojechała? I dlaczego zgodził się ją zatrudnić?

Mama urodziła Kiki; jej ojcem jest pan G.

Mama zagroziła panu G., że ujawni jego tajemnice; on zagroził, że ją zabije.

Mama została zamordowana w domu pana G., ale nie przez pana G.

David Mwika, szef ochrony, zabrał nagranie przedstawiające mordercę i później próbował kogoś nim szantażować. Kogo?

David Mwika mógłby być mordercą, ale jaki miałby motyw? A jeśli nie on, to kto? I dlaczego? Morderca niczego nie zabrał; nie był włamywaczem. Przyszedł tam z zamiarem zabicia mamy. Czy był to ktoś, kto chciał ją powstrzymać przed zrobieniem czegoś? Albo zemścić się za coś, co już zrobiła? A może miał zupełnie inny powód?

Zatrzymuję się. Stoję, wpatrzona w strumień. Uświadamiam sobie, że choć mam w głowie milion pytań, to to, od którego powinnam zacząć, jest dość proste. To pytanie

powraca do mnie kolejny raz: dlaczego mama odszukała pana Greyhilla? Dlaczego poprosiła o pracę? I dlaczego on zgodził się ją zatrudnić, pozwolił mi tam zostać – w gruncie rzeczy zapewnił nam schronienie? Co na tym zyskał? Gdybym to wiedziała, pewnie wiedziałabym też więcej na temat tożsamości mordercy.

Muszę się tego dowiedzieć.

Nie będzie łatwo, ale wiem, kogo zapytać. Muszę wrócić do Boyboya, Michaela i telefonu. Odwracam się od potoku, by wrócić na ścieżkę, pełna determinacji.

Na mojej drodze stoi ojciec Fidele.

Zaskakuje mnie; robię krok w tył. Szum wody stłumił dźwięk nadchodzących kroków. Czuję, jak brzeg strumienia osuwa się spod moich stóp; w ostatniej chwili pastor chwyta moją rękę, by uratować mnie przed upadkiem.

– Ostrożnie!

Zaczynam mu dziękować, ale coś w jego oczach mnie powstrzymuje. Nie mam czasu krzyknąć, gdy przyciąga mnie blisko siebie tą samą ręką, którą chwycił mnie za nadgarstek. Drugą dłonią przyciska jakiś gałganek do mojej twarzy. Próbuję walczyć, ale gryzące opary wypełniają moje płuca. Nagle wszystko wokół staje się jasne, a potem wiruje i zmienia się w nicość.

Trzydzieści sześć

– Dobrze, a teraz zbierz materiał po obu bokach i zwiążemy go na środku – powiedziała mama.

Stałyśmy na zewnątrz naszej chaty, na skraju trawnika, mama, Kiki i ja. Był ciepły, słoneczny dzień. Z całego podwórza Greyhillów dobiegały znajome odgłosy pracującej służby. Rozmowy pokojówek, świst pangi ogrodnika wycinającego chwasty. Uderzenia trzepaczki o dywan, przerywane okazjonalnymi kichnięciami, sprowokowanymi wzbijającym się w powietrze kurzem. Wszyscy przygotowywali się na przyjęcie.

Mama była potrzebna w domu, więc mnie też przydzielono zadanie. Zgięłam się w pasie, a małe dziecko, wierzgająca, ciepłutka Kiki wylądowała na moich plecach. Pewne ręce mamy prowadziły moje, gdy zbierałyśmy końce tkaniny *kanga* – jeden przez moje ramię, jeden przy pasie – i przywiązywałyśmy Kiki do mnie. Tego dnia ja miałam ją nosić i zabierać ją wszędzie, dokąd szłam. Mama powiedziała mi, że to duża odpowiedzialność, ale skończyłam już sześć i pół roku i byłam na to gotowa.

– Potrafisz zawiązać węzeł? – spytała mnie.

Potrafiłam. Najpierw zacisnęłam go zbyt mocno, ale mama pomogła mi go poluzować. Kiki zabawiała sama siebie niemowlęcymi odgłosami.

– Teraz powoli wstań. Upewnij się, że Kiki się nie wyslizgnie. – Mama zrobiła krok w tył, by popatrzeć.

Spojrzałam na nią, czekając na ocenę. Te oczy widziały wszystko. Każdy luźny róg tkaniny, każdy kosmyk włosów, który wymykał mi się z warkoczy, strupy na kolanach po zabawach z Michaeliem, donaszaną po kimś spódnicę, która robiła się już zbyt krótka. Sądziłam, że zauważy jakiś mankament; zawsze zauważała.

Byłam więc zaskoczona, gdy przykucnęła i pocałowała mnie w czoło.

– Jesteś dobrą dziewczynką – powiedziała, a jej uśmiech był tak niecodzienny i wspaniały, że chciałam go pochwycić, ciasno złapać w piąstkę i obejrzeć dokładniej później, gdy już będę sama. – Dbaj o siostrę – dodała.

– Dobrze – odparłam.

I tak zrobiłam. Nie tylko tego dnia, ale i każdego następnego.

Dłoń uderza mnie w twarz. Moja głowa kiwa się do przodu i do tyłu. Pieczenie wystarcza, by wyciągnąć mnie z ciemności, ale przez kilka sekund wciąż nie wiem, co się dzieje. Uświadamiam sobie, że ktoś na mnie krzyczy.

– Drobinko. Drobinko, obudź się!

Czuję, jakby moje powieki były sklezione. Gdy otwieram oczy, wydaje mi się, że widzę przed sobą kilka osób, ale po chwili rozumiem, że po prostu widzę podwójnie. Podnoszę głowę dokładnie w momencie, gdy lodowata woda uderza w moją twarz, równie nagle, co policzek. Pluję i kaszlę.

Ale to wystarcza; jestem przytomna. Mrugam i spoglądam w górę. Postać wyostrza się. Trzyma wiadro i uśmiecha się niczym hiena.

Keczup.

Próbuję wstać, ale jestem ciasno unieruchomiona. Ręce mam związane za plecami; po sekundzie czy dwóch uświadamiam sobie, że zostałam przywiązana do krzesła. Gdy

już to stwierdziłam, zaczynam odczuwać ból w skrępowanych nadgarstkach i kostkach. Znajduję się w pomieszczeniu z materiałowymi ścianami. W namiocie. Słyszę śpiew ptaków; chyba jest rano. Stoją tu też krzesło i polowe łóżko, w którym ktoś śpi, ale poza tym, pomijając Goonda i mnie, namiot jest pusty. Pod stopami mam zwykłą ziemię pokrytą liśćmi.

Keczup się śmieje.

– Wyglądasz jak zmokła kura.

Poruszam nadgarstkami. Okowy są z metalu, chyba. Czuję, że przecięły moją skórę.

– Gdzie jestem? – mamroczę. Moja twarz jest odrętwiała.

– Nie tak prędko, Drobinko. – Keczup podchodzi na tyle blisko, by chwycić mnie za szczękę i zwrócić moją twarz w swoją stronę. – Teraz my zadajemy pytania.

W jego oddechu wyczuwam tani domowy gulasz. Ma czerwone, rozbiegane oczy.

Potrząsam głową, chcąc wyrwać ją z uścisku, ale najlepsze, co mi wychodzi, to rzucenie mu wściekłego spojrzenia. Keczup? Tutaj? Czyli nie wyobraziłam go sobie na targu. Zbieram nieco śliny i pluję mu na dłoń.

Wyzywa mnie i ociera rękę o mój policzek. Odsuwa się, by uderzyć mnie mocniej, ale wtedy rozwierają się poły namiotu i do środka wkracza mężczyzna.

Początkowo go nie rozpoznaję. Ale to tylko dlatego, że tak bardzo nie pasuje do tego miejsca. Minęło wiele czasu, odkąd widziałam go osobiście. Wydaje się nieco starszy, jego okrągła twarz zaczęła się zapadać, włosy nad uszami przyprószyła siwizna. Ma na sobie koszulkę polo z krótkim rękawem i chinosy, wszystko schludnie wyprasowane i nieskazitelne. Wygląda tak, jakby właśnie zszedł z pola golfowego.

Keczup się waha, potem opuszcza rękę.

– Pan Omoko. Właśnie po pana szedłem, sir.

– Obudziła się – stwierdza szef Goondan. Mówi do Keczupa, ale patrzy na mnie.

– Właśnie ją ocuciłem – odpowiada Keczup. Usuwa się z drogi, tak by pan Omoko mógł do mnie podejść.

– Widzę – mówi pan Omoko, marszcząc brwi.

Gdzie jest Robal? Zastanawiam się nad tym. Pan Omoko nie zabrałby ze sobą samego Keczupa, nie zostawiłby Robala.

Szef Goondan siada na krześle naprzeciwko mnie.

– Proszę zaczekać na nas na zewnątrz, panie Keczup.

Keczup wpatruje się w jego plecy spode łba – pan Omoko jakimś cudem ośmieszył jego przewisko jeszcze bardziej – ale wycofuje się w milczeniu.

Pan Omoko wyjmuje z kieszeni chusteczkę i ociera nią moją twarz. Nie mam większego wyboru, niż mu na to pozwolić. Następnie odkłada ją i mówi:

– Uciekłaś z miasta. Martwiliśmy się.

Nic w jego postawie nie świadczy o tym, by się martwił.

Zimna woda przemoczyła moją koszulkę, zaczynam drżeć.

– Nie sądziłam, że Robal pozwoliłby mi jechać. Więc nie prosiłam o zgodę.

– Nie, nie pozwoliłby. Ponieważ ja bym się na to nie zgodził. – Pan Omoko zagadkowo przekrzywia głowę. – Co tu robisz, dziewczyno? Czemu wyjechałaś, skoro

byłaś już tak blisko zdobycia wszystkiego, czego pragnęłaś? Sądziłem, że mamy plan. Brudy, pieniądze, krew.

– Planowałam wrócić na czas, gdy dane będą już rozszyfrowane i będziemy mogli uderzyć w konta bankowe. – Sztywnieję coraz bardziej pod uporczywym spojrzeniem pana Omoko. Zaczynam dostrzegać w jego oczach błysk, kojarzący się z ostrzem noża.

– Ale nie tak się umawialiśmy, prawda? Miałaś opuścić dom Greyhillów zaraz po zdobyciu danych. – Przesuwam się na krześle. Gdzie jest Michael? I Boyboy? Z pewnością już zaczęli mnie szukać. – Nie lubię, jak ktoś działa za moimi plecami, Drobinko. – W jednej chwili twarz pana Omoko znajduje się tuż przed moją, tak blisko, że nie mam wyboru i muszę obrócić głowę. Przez sekundę czuję paniczną potrzebę, by się odsunąć, jakby miał mnie ugryźć. Ale on tylko pyta: – Dlaczego tu jesteś? Nie wiesz, że tu jest niebezpiecznie?

– Ja...

Odsuwa się i gwałtownie wypuszcza powietrze.

– Na całe szczęście nie było trudno cię znaleźć.

– Panie Omoko, proszę posłuchać. Dane, które zabraliśmy panu Greyhillowi...

Przerywa mi:

– Mam je. Czy raczej mam komputer twojego przyjaciela. Mogę przejąć tę sprawę. On nie jest jedyną osobą w mieście zdolną zhakować bankowe konto. – Wpatruje się w swoje paznokcie i w duży, złoty pierścień połyskujący na jego dłoni w słabym świetle. – Ale może nie będę się musiał tym kłopotać – dodaje.

– Ma pan komputer Boyboya? – Czekam, czując zimny pot wstępujący na czoło. – Nie rozumiem. Boyboy tu jest? I Michael?

Pan Omoko uśmiecha się pobłaźliwie.

– Nie zwykłaś trzymać się reguł gry, prawda, Tina? Zazwyczaj cenię to w tobie. Prosiłem o skarby Greyhilla i dokładnie to mi dostarczyłaś. Po prostu nie w tej formie, jakiej oczekiwałem.

– O czym pan mówi? Konta...

– Mówię o Michaelu.

Czuję dudnienie krwi w uszach.

– Co z Michaelem? – pytam powoli.

– Skoro go mamy, nie ma potrzeby, by kłopotać się pierwotnym planem.

Przełykam ślinę i rozglądam się, jakbym była w stanie przejrzeć przez brezent.

– Michael i Boyboy są tutaj?

– Tak. Pastor miał pochwycić was razem, ale najwyraźniej gdzieś mu uciekłaś.

Chyba masz to we krwi.

– Naszprycowaliście nas czymś.

– Nie ja. Mam od tego ludzi – zaleta bycia szefem. Pastor mi pomógł. Gdy doniósł, że jesteś w Kasisi, omal mu uwierzyłem. Moja Drobinka? Tutaj? Miał się upewnić, że nie zmyjecie się do chwili, gdy dotrę na miejsce. Potrzebował kilku prób, ale w końcu mu się udało. Miał szczęście, że ta dziwka zadzwoniła do niego i powiedziała mu, gdzie jesteś.

– Opłaca pan Ojca Fidele?

– Mamy umowę. Pozwalam szpitalowi nieco odetchnąć od ataków milicji, a on

o wszystkim mnie informuje. Jestem pewien, że przeżywa z tego powodu konflikt wewnętrzny, ale to już sprawa między nim a Bogiem. – Omoko pociera podbródek. – A więc. Plany. Trochę się wykołubiły, ale wciąż są do odratowania. Wydaje mi się, że musisz zapomnieć o tej części z brudami. To i tak nigdy nie była główna atrakcja. Nikt nie dba o takie sensacyjne historie; za dobrze je znamy. Kolejny biały kolonialista zarabia na Afryce. W najlepszym razie taki news wylądowałby na ostatniej stronie. Przejdźmy od razu do pieniędzy, co ty na to? Taki mały zwrot akcji.

Jego oczy błyszczą.

– Zamiast anonimowo wyzerować konta bankowe Greyhilla, zabawimy się nieco. To bardziej skomplikowane, przyznaję, musimy dodać porwanie do planu. Ale skoro mamy to z głowy... – Wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nic już nie da się zrobić. – I muszę przyznać, będę cieszyć oczy widokiem Rolanda Greyhilla, gdy dowie się, że mam jego syna. A jeszcze lepszy będzie wyraz jego twarzy podczas przelewania na moje konta znaczącej sumy, by go odzyskać. – Pan Omoko nie potrafi powstrzymać szerokiego uśmiechu. – To będzie prawie tak zabawne, jak krok trzeci.

Przetykam ślinę.

– Panie Omoko, nie musimy...

Pochyliła się, jakby chciał mi zdradzić nielichy sekret.

– Krok trzeci – kontynuuje. – Krew.

Obracam nadgarstkami, próbując niepostrzeżenie wyswobodzić się z więzów.

– Panie Omoko, wiem, że mam kłopoty, ale czy możemy o tym porozmawiać? To znaczy... nie sądzę, by krok trzeci naprawdę był konieczny i...

– Nie ma nad czym dywagować – przerywa mi. – Krok trzeci to najlepsza część. Wiem, że chciałaś zrobić to sama, ale wyobraź to sobie: kiedy już się upewnimy, że pieniądze do nas dotarły, Greyhill odlatuje helikopterem wraz ze swoim synem. I wtedy...

– Omoko unosi palec i robi efektowną pauzę. Udaje, że opiera na ramieniu wyrzutnię rakiet i że pociąga za spust. – Buuum! Rozsadzamy ich na kawałki. – Gestykułuje żywiołowo. – Będzie dramatycznie.

Nie mogę oderwać wzroku od jego twarzy. Czy zawsze brzmiał jak szaleniec? A może byłam tak pochłonięta żądzą zemsty, że wcześniej tego nie zauważałam? Muszę się stąd wydostać. Wciąż pocieram jeden nadgarstek o drugi, próbując wysunąć jedną z dłoni.

– Panie Omoko – usiłuję utrzymać racjonalny ton głosu – pan Greyhill nie jest tak zły, jak myślałam. Dowiedziałam się wielu rzeczy dzięki pobytowi tutaj. Myliłam się – on nie zabił mojej matki.

– Och, wiem.

Nieruchomieję.

– Naprawdę? Skąd pan wie?

Coś uwiera mnie w mózg. Moje ciało drży, jakby zaraz miało uświadomić sobie coś, co jest na skraju mojej percepcji. Wpatruję się w Omoko.

Wtedy on stwierdza rzeczowym tonem:

– Ponieważ ja ją zabiłem.

Na krótką chwilę wszystko zastyga. Słowa przepływają obok mnie, docierają

powoli, jakby wypowiedział je w innym języku.

Ja ją zabiłem.

On zabił moją matkę.

Krew uderza mi do głowy.

Zamordował ją. To on jest mężczyzną z nagrania.

– Tina, słuchasz mnie? – Pan Omoko pstryka palcami przed moją twarzą. – Ten głupi pastor ubił wszystkie twoje szare komórki – zrzędzi. Delikatnie klepie mnie po twarzy. Podskakuję i wydaję zduszony okrzyk; moim ciałem wstrząsa adrenalina. Patrzy mi w oczy. – Mówię ci to, ponieważ chcę, byś mnie zrozumiała. Jak widzisz, nie możesz ot tak ode mnie odejść, póki ja nie będę tego chciał. Nie możesz mnie skrzywdzić. Zwłaszcza jeśli, tak jak i twoja matka, jesteś zwykłą wiejską dziewczyną, której się wydaje, że może próbować zniszczyć wszystko, co z takim trudem budowałem.

Uświadamiam sobie, że nie oddycham. Wtedy nabieram powietrze łapczywymi haustami, jakby ogłuszył mnie wiatr.

– Pan jest Numerem Dwa? – udaje mi się wykrztusić.

Wykrzywia twarz w grymasie.

– Nigdy nie lubiłem tego imienia. Ale tak, kiedyś byłem Numerem Dwa Greyhilla.

– Ale to oznacza... pan jest...

Omoko znów wbija we mnie spojrzenie.

– Tak – mówi, nieco zniecierpliwiony. – Rozumiesz już? Jestem twoim ojcem.

Odpyłwam; słyszę jego słowa, ale odnoszę wrażenie, że mówi do jakiejś innej dziewczyny, a ja tylko ich obserwuję. Wiedziałam o tym. Oczywiście, że tak; to jedyny logiczny wniosek płynący z tego wszystkiego. Ale coś wewnątrz mnie wstrzymywało tę informację, nie pozwalało jej do mnie dotrzeć, jeszcze nie. To zbyt wiele.

– Każda inna osoba siedząca na twoim miejscu byłaby już martwa – mówi. – Jestem na ciebie zły za to, że uciekłaś. Oczywiście, że jestem. Ale tak długo się o ciebie troszczyłem, że nie zamierzam cię teraz zabić. Chcę tylko, byś wiedziała, do czego jestem zdolny.

Jego słowa wyrywają mnie ze stuporu.

– Troszczyłeś się o mnie? – Mój głos to ledwie szept. – O czym ty mówisz?

– A jak myślisz, dlaczego Robal wprowadził cię w szeregi Goondan, he? On nie dbał o to, co się z tobą stanie. Ja kazałem mu cię znaleźć. I jak sądzisz, dlaczego nie trafiłaś na ulicę z innymi dziewczynami? Dlaczego twoja impertynencja uchodziła ci na sucho? Dlaczego uchodziło ci to, że byłaś inna? – Jego twarz jest tak blisko mojej, że dostrzegam delikatną pajęczynę żyłek w jego oczach. – Nigdy nie zauważyłaś, że jesteś traktowana lepiej niż inni? Sądziłaś, że to dlatego iż Robal i ci idioci cię lubią? – Śmieje się. – To tak nie działa, Christino.

Wszystko to kłamstwa.

Całe moje życie jest zbudowane na kłamstwach.

Z trudem przetykam ślinę.

– Zabiłem moją matkę.

– Twoja matka powiedziała Greyhillowi, że go okradam.

– Ale czemu musiałaś ją zabić? – Wciągam głęboko powietrze.

Spogląda na mnie, jakbym była opóźniona.

– Christino, w tym biznesie twoja reputacja jest wszystkim, co masz. Kim bym był, gdybym pozwolił jakiejś kobiecie zepsuć wszystko bez konsekwencji? – Czekaj, upewniając się, że rozumiem. – Twoja matka była przebiegła. Trzeba jej to przyznać; poszła do Greyhilla i zdradziła mu moje sekrety w zamian za ochronę. Zajęło mi to trochę czasu, ale znalazłem sposób, by dać obojgu nauczkę, której nigdy nie zapomną.

Desperacko próbuję złapać oddech.

– Torturowałeś moją matkę. Zgwałciłeś ją. Jestem tu wyłącznie z powodu tego, co zrobiłeś. – Czuję, jakbym oddzielała się od swego ciała, traciła hamulce. – To nie wystarczyło?

Głos Omoko przechodzi w ryk:

– Dostała to, na co zasłużyła. Powiedziała Greyhillowi o sprawach, które jej nie dotyczyły. O moich sprawach. Moich interesach. Zapracowałem na każdego centa z tych pieniędzy i on dobrze o tym wiedział! Byłem lojalny. Robiłem, co kazał. Handlowałem z tymi dzikusami, żeby on nie musiał brudzić sobie rąk.

Wtedy to do mnie dociera. Plik ukryty pod jej zdjęciem. Przyniosła panu Greyhillowi sekretne zapiski księgowo Omoko. Musiała zobaczyć, jak kradnie złoto, i szukała jakiegoś dowodu.

Omoko kontynuuje:

– Zatrąła moją relację z nim. On wykorzystał swoje znajomości, by zamrozić moje konta bankowe. Musiałem znów zaczynać od zera. Myślisz, że to łatwe? Wcale nie. Pochłania czas. I pieniądze. I krew. Mnóstwo pieniędzy i mnóstwo krwi. Musiałem znów wspiąć się na szczyt. – Spogląda na sufit w namiocie. – Goondanie! – prychnęła. – Zanim się zjawiłem, byli tylko bandą przygłupów, walących się maczugami po głowach niczym jaskiniowcy.

Staram się, jak mogę, by słuchać wszystkiego, co mówi, i przetwarzać te informacje, ale mój mózg zasnuwa chmura czystej wściekłości. Wkrótce nie będzie w nim miejsca na nic innego.

– A teraz. – Pan Omoko uderza dłońmi w kolana i wstaje. – Gonią mnie terminy. Zrobimy tak: zadzwonimy do Rolanda Greyhilla i powiemy mu, że mamy jego syna. Wiem z zaufanego źródła, że jest w okolicy, a my mamy połączenie satelitarne, więc będzie w stanie odzyskać chłopaka, jak tylko przeleje pieniądze na moje konto. – Zmierza w kierunku wyjścia. – Nie mogłoby się złożyć lepiej, choćbyśmy to planowali.

Podnoszę głowę.

– My?

Zatrzymuje się przy drzwiach namiotu.

– Słucham?

– Wciąż powtarzasz „my”. Spodziewasz się, że ci pomogę?

Mruga.

– Zakładam, że twój udział już się skończył, jeśli tego chcesz.

Wpatruję się w niego.

– Sądzisz, że po prostu przystanę na ten plan, tak jakbym wciąż była Goonda? – Krztuszę się. Czuję, jak mój umysł się oczyszcza, a gniew wzbiera niczym eksplozja

kondensująca powietrze przed wybuchem. – Zabiję cię.

Wykorzystując buzującą we mnie adrenalinę, wybiję sobie kciuk i zedrę drutę krępujące nadgarstki. Nie będę w stanie go udusić, ale mogę stać na jego szyi, póki nie przestanie oddychać. W tym właśnie miejscu. Przyciskam kciuk do boku krzesła i zaczynam mocno naciskać.

– Nie – mówi Omoko z pewnym rozczarowaniem. – Nie sądzę, że to zrobisz.

Podchodzi do mnie, wydając telefon z kieszeni.

Milczę, zdezorientowana. Co on robi?

Spogląda na ekran.

– Przekłęte urządzenie. Robię się za stary, by to odczytać. – Uśmiecha się i znów sięga do kieszeni – tym razem po okulary do czytania. Zakłada je. – Tak lepiej. Wiesz, nie chciałem, żeby do tego doszło, ale zakładałem, że znam cię lepiej, niż ci się wydaje.

– O czym ty mówisz?

Naciska coś, po czym obraca telefon, bym mogła zobaczyć. Mrużę oczy. Zdjęcie jest nieco rozmazane, ale wystarczy sekunda, bym zrozumiała, na co patrzę.

A wtedy wola walki mnie opuszcza. Całkowicie, w jednej chwili.

– Spójrz na datę. Dzisiejsza. Stara sztuczka porywacza. Widziałem to kiedyś w filmie. – Chichocze i spogląda na zdjęcie razem ze mną, wskazując na gazetę przytrzymywaną przez wytatuowaną dłoń obok jej twarzy. Rozpoznaję te tatuaże. Należą do Robala. – Trudno dokładnie dojrzeć, ale zaufaj mi. – Pan Omoko na powrót umieszcza telefon w kieszeni. – Ty i ja mamy wiele wspólnego. Jesteśmy praktycznymi ludźmi. Ciebie nie zabiję, bo jesteś z mojej krwi. Ale ona mnie nie obchodzi. Nie jest moja. Jest jego bękartem. Gdyby jakkolwiek się o nią troszczył, mogłaby być równie dobrym zakładnikiem, ale nie wydaje się, żeby chciał mieć z nią do czynienia, prawda? Nie mogę liczyć na wykorzystanie jej jako karty przetargowej, której potrzebuję. Chłopak lepiej się sprawdzi. Ale ona się przyda, by trzymać w ryzach ciebie. Jesteś zbyt nieprzewidywalna, *kijana*. Nie wyobrażaj sobie nawet przez chwilę, że możesz pokrzyżować mi szyki. Ona jest w Sangui, wystarczy mój jeden telefon. – Uważnie mi się przygląda. – Jesteś rozsądna, ale czasem potrzebujesz trochę dyscypliny. Granic. Jak twoja matka.

Nie potrafię się poruszyć. Widzę jedynie zdjęcie wypalone w moim umyśle. Jedna wytatuowana dłoń trzyma gazetę, a druga przykłada broń do jej czoła. Jej przerażone oczy.

Oczy Kiki.

Trzydzieści siedem

Nie ma zasady na taką okoliczność. Skończyły mi się.

– Dalej, Drobinko, musisz się z tego otrząsnąć. Nic ci nie jest, wszystko będzie dobrze, musisz tylko myśleć... Drobinko?

Chciałabym, żeby Boyboy przestał do mnie mówić.

Opieram czoło o kolana. Czuję własny pot i cierpką, metaliczną woń zaschniętej krwi na nadgarstkach. Chciałabym się zapaść w siebie, przyłożyć policzek do chłodnych, zwiędłych liści, i nigdy więcej się nie poruszyć.

Nie mam pojęcia, co robić.

Lekko unoszę głowę.

– Tina – Boyboy obraca się, by spojrzeć na mnie tym okiem, które nie jest zbyt opuchnięte, by je otworzyć – prawdopodobnie wkrótce nas rozdzieli. I najprawdopodobniej mnie zabiją. Nie jestem już do niczego potrzebny Omoko; sam tak powiedział. Nie mamy wiele czasu. Musisz ze mną porozmawiać. Pomóż mi się dowiedzieć, co mam robić.

Jesteśmy przykuci do drzewa jak zwierzęta. Po tym, jak pan Omoko pokazał mi zdjęcie Kiki, przekazał mnie Keczupowi, który z radością przeparadował ze mną przez obóz milicji i przywiązał do pnia obok Boyboya. Póki Keczup był w pobliżu, Boyboy milczał, ale teraz jego głos jest nagłący, gdy mamrocze przez rozciętą wargę. Lewa strona jego twarzy wygląda, jakby ktoś po niej przejechał.

Doliczyłam się pięciu Goondan – ochroniarzy pana Omoko. To jego elitarny oddział: Yaya, Tofoh-lub-Toto – jakoś tak – oraz pozostałych dwóch, których imion nie znam, ale jestem całkiem pewna, że to oni ścigali nas poprzedniego dnia. Plus Keczup. Plus trzydziestu kilku gości o szurzych fizjonomiach. Po stanie obozowiska oceniam, że stacjonują tu już od pewnego czasu. Goondanie i członkowie milicji trzymają się z dala od siebie. Większość tych z milicji jest zakutana w tanie koce, na wpeł śpi. Garstka czyści broń lub ostrzy pangii, którymi wyrąbują sobie drogę przez dżunglę. Poszycie lasu jest pełne ich śmieci, głównie małych plastikowych torebek, które kiedyś zawierały mocny alkohol o konsystencji oleju, wypalający dziurę w gardle, w sam raz na jeden łyk.

Znowu zamykam oczy. Zastanawiam się, czy tak się czuła mama, gdy pojmała ją milicja – bez żadnej nadziei czekająca na śmierć. Ten sam rodzaj bezradności, gęsty i lepki jak smoła, przygina moje kończyny w stronę ziemi. Moja krew to krew oślizgłego zdrajcy. Krew mordercy. Krew Omoko. Jak duża część tego, kim jestem i co robię, wynika z faktu bycia jego córką?

– Mają Michaela – Boyboy znów próbuje.

– Wiem.

– I nie chcesz czegoś z tym zrobić? – pyta z furią.

– Nie możemy nic zrobić.

– Tina, przysięgam na Boga, zrobię...

– Omoko zabił moją mamę.

Boyboy milknie. Głowa znów opada mi na kolana.

– Co takiego? – pyta wreszcie.

Chyba nigdy w życiu nie byłam tak zmęczona, ale udaje mi się przekazać, we fragmentach, że Omoko był Numerem Dwa pana Greyhilla, co zrobił mojej matce, według opowieści Catherine, oraz że uwięził Kiki, abym nie próbowała głupich sztuczek. Jak na przykład ratowanie Michaela.

Gdy kończę, Boyboy wpatruje się w ziemię.

– Nie mogę... Przez cały ten czas... To był on. Jest twoim tatą? Twój tata zabił twoją mamę?

– Teraz wymieni Michaela na pieniądze pana G., a potem ich zabije – mówię bez emocji.

Jednym okiem zerkam na obóz. Widzę go w oddali, jakbym była jednym z nieustannie ćwierkających ptaków, obserwujących okolicę z drzew. Jakbym mogła patrzeć na niego, aż nie będę mieć dosyć, a potem po prostu wzbiję się w niebo i zniknę.

– Tina, posłuchaj mnie. Musimy coś zrobić. Możemy się stąd wydostać. Musimy tylko pomyśleć.

Nie odpowiadam. Co mogę zrobić? Nie mogę ratować Michaela – pan Omoko skrzywdzi Kiki. To proste. Powtarzam w głowie wszystkie zasady, szukając tej, która miałaby sens w obecnej sytuacji. Tej, która nakierowałaby mnie jakoś, podsunęła mi cel.

Nic.

Wszystkie wydają się głupie niczym papierowe miecze.

Jestem taka głupia. Przez cały czas to był Omoko. To zawsze był on. Zawsze był potężny. Torturował moją matkę i kontrolował mnie jak marionetkę, a ja mu na to pozwoliłam. Jestem jego błaznem.

– Dalej, Tina. Współpracuj ze mną.

– Nie możemy nic zrobić.

– Może jeśli...

– Powiedziałam, że nie możemy nic zrobić! – warczę. Jakaś część mnie rejestruje zaskoczenie i ból w jego oczach, ale reszta zamyka się w sobie. Mam własne rany do wylizywania.

– Czyli masz dość. Po prostu się poddałaś. – Milczę. – Dajesz mu wygrać. Nic nie zrobisz, by nas stąd wydostać.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz! Nie wiem, za kogo mnie masz!

– Jesteś tą samą dziewczyną, którą zawsze byłaś! Jesteś Drobinką! Złodziejką i ocalałą! Kimś, kto nie zwija się w kłębek, by umrzeć! Kimś, kto realizuje swoje plany! Kimś, kto ustala własne reguły!

Czuję, jak gorące łzy spływają mi po policzkach. Ale nie podnoszę wzroku.

– Nie mogę. Nie mogę tego zrobić, Boyboy. Nie rozumiesz. On ją zabije. Została mi tylko ona.

Przez moment słyszę wyłącznie jego zmęczony oddech. I nagle, ku mojemu zaskoczeniu, wybucha śmiechem.

– Sądysz, że jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek musiała się martwić, że komuś z jej bliskich stanie się krzywda? W swojej głowie wciąż jesteś z tym wszystkim sama, prawda? Nawet mnie nie widzisz? – Obracam twarz w jego stronę. – Pamiętasz, jak opowiedziałaś mi, skąd masz bliznę? – pyta.

– Bliznę?

Boyboy wskazuje podbródkiem moje ramię.

– Masz ją z jakiegoś powodu. Chociaż jesteś mądra w wielu kwestiach, potrafisz być tak głupia, gdy chodzi o ludzi. Ta blizna powinna ci o tym przypominać.

Spoglądam na ramię, na gładką linię tkanki przecinającą moje tatuaże.

– Przypominać o czym?

Mama i ja byłyśmy w Sangui zaledwie od kilku miesięcy, gdy się jej dorobiłam. W tamtym czasie wciąż przyzwyczajałam się do okazałych włości Greyhillów. Istniały niewypowiedziane reguły dotyczące tego, dokąd mogę i nie mogę chodzić; uczyłam się ich na podstawie kolejnych klapsów.

Stałam na skraju terenu należącego do kwater służby, obserwując panicza domu i jego przyjaciela grających w piłkę na podwórzu. Mama przestrzegła mnie, bym nie rozmawiała z chłopcem; nie byłam tam mile widziana. Miałam nie rzucać się w oczy. Ale wizja zabawy z innymi dziećmi zbyt mnie pociągała. Od tygodni, odkąd opuściliśmy Kongo, byłam sama, nie licząc mamy, a ona rzadko kiedy cokolwiek mówiła. Upewniłam się, że nikt mnie nie widzi, i rzuciłam sprintem w kierunku podwórza. Wyobrażałam sobie, że to jak zabawa z innymi dziećmi: dołączasz i nikt nie zadaje ci pytań.

Ale ten przyjaciel, gruby chłopiec o świńskim nosie, podstawił mi nogę, gdy biegłam do piłki. Wpadłam na stół zastawiony przez służącą szklankami soku i ciasteczkami. Jedna szklanka spadła i się rozbiła.

Dzieciak śmiał się, jakby moja osoba rozplaszczona na ziemi była najzabawniejszym, co w życiu widział. Gdy wstałam, zauważyłam, że odłamek szkła wbił mi się w zagłębienie przy łokciu; jasna krew kapała na trawę.

– Nie możesz się z nami bawić! Twoja matka jest służącą i dziwką – zarechotał chłopiec. – Jego mama powiedziała to mojej mamie. Nie masz taty. A twoja mama to robi. Przez. Cały. Czas. – Rytmicznie poruszał biodrami, czego wtedy nie rozumiałam, ale domyślałam się, że chodzi o coś nieprzyzwoitego. – Dziiiwka, dziiiwka – skandował pulchny chłopak, podczas gdy panicz przyglądał się mu milcząco.

Dwadzieścia metrów od nas stanął ochroniarz, który przyszedł zbadać źródło hałasu. Ogrodnik podniósł głowę znad swojej pracy, zakłopotany, ale nie poruszył się, by pomóc. Słyszałam kroki nadchodzące od strony domu, stukot obcasów nadciągających w stronę rozbitego szkła.

Gdy krew kapała po mojej ręce, wreszcie pojęłam, przed czym mama starała się mnie ustrzec. Na własnej skórze odczułam, co znaczy niemile widziana. Panicz i jego przyjaciel byli zupełnie innymi istotami niż ja. Od końca wyszorowanych paznokci po wypolerowane noski butów byli miękczy, nieskalani. Byli ważni.

Wiedziałam, jak to się skończy. Wyszłam przed szereg i teraz muszę wrócić na swoje miejsce. Kiedy moja matka się o tym dowie, będzie krzyczeć. Albo gorzej, co bardziej prawdopodobne, nie powie ani słowa, po prostu zabierze mnie do naszej chaty, po czym odwróci się i odejdzie, zostawiając mnie samą.

I gdy tak tam stałam, czekając na nieuniknione, nagle minął mnie niewyraźny zarys pięści i kolan; panicz domu rzucił się na swego przyjaciela niczym tygrys. Większy chłopiec był zaskoczony, potrzebował chwili, by się otrząsnąć. Ale gdy to nastąpiło,

zrzucił mniejszego na ziemię i zaczął oddawać ciosy. Jego pięść z trzaskiem rozbiła nos młodego Greyhilla, trysnęła krew.

W tym momencie wkroczył ogrodnik; delikatnie rozdzielił walczących chłopców. Przyjaciel się rozplakał i odbiegł do kobiety o pulchnej twarzy, która wyszła na werandę. Za nią nadeszła pani Greyhill. Po raz pierwszy widziałam ją z bliska; jej uroda robiła ogromne wrażenie, tak ostra i przerażająca jak odłamki szkła rozrzucone w miękkiej trawie. Nie dało się oderwać od niej wzroku. Jej oczy spoczęły na mnie, a potem z nieprzeniknioną miną omiotła spojrzeniem bałagan.

Czekałam, aż jej syn wskaże mnie palcem. Ale zamiast tego koszulą wytarł krew z nosa i powiedział:

– On zaczął.

Następnie wszedł do środka.

Później, gdy przyjaciel pojechał już do domu, dzieciak Greyhillów przyszedł przed chatę służących, gdzie siedziałam. Jego twarz była czysta, ale nos i oczy zapuchnięte.

Spojrzałam na niego nieufnie.

– Nigdy wcześniej się nie biłem – wyznał; w jego głosie pobrzmiwała duma.

– Czemu na mnie nie naskarzyłeś?

Nie odpowiedział, tylko pokazał mi swoje ramię.

– Spójrz, ja też mam rozcięcie.

Wstałam, by zobaczyć. Podciągnął pieczołowicie założony opatrunek, który pewnie założyła mu moja matka. Moja rana była naga, już nie krwawiła. Jego miała kształt sierpa, niczym księżyc, nim wejdzie w nów. Moja była prostą linią. Różne kształty, ale niemalże takie samo umiejscowienie na ręce.

– Boli? – spytałam.

– Niee. Twoja?

– Już nie.

– Chcesz się pobawić?

– Nie wolno mi.

– Dlaczego?

Zastanowiłam się nad tym. W sumie nie wiedziałam.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Christina.

– Ja jestem Michael. Chodź ze mną.

Odwrócił się i pobiegł na podwórko. Spojrzałam na czerwoną linię rozcięcia w swoim ciele i przycisnęłam ranę palcem, aż poczułam ból, by przypomnieć sobie, ile ryzykuję. Moja matka wciąż mogła się dowiedzieć, że byłam nieposłuszna. Może bogaty paniczek w końcu się ode mnie odwróci, jak jego przyjaciel. Może powinnam po prostu zostać w chacie i unikać kłopotów, jak kazała mi mama.

Ale ten chłopiec wstawił się za mną, mimo że musiał za to zapłacić, mimo że mnie nie znał.

Zobaczył mnie, kiedy wszyscy inni udawali, że nie istnieję.

Spojrzałam na chatę, a potem na podwórce, gdzie na mnie czekał.

I pobiegłam.

Boyboy mówi:

– Nie została mi blizna po tym, jak uratowałaś mnie przed tamtymi dzieciakami. Wiedziały, że nie umiem pływać. Ty też nie masz po tym śladu, ale mogę cię pociąć, jeśli pomoże ci to jaśniej myśleć.

Odchyła się. Czeką, aż przejmę inicjatywę, jak małe dziecko, które po raz pierwszy wypowiada słowo. I nagle rozumiem, co mówi. To takie oczywiste. Naprawdę jestem idiotką. Uświadamiam sobie:

Boyboy jest moim przyjacielem.

Michael jest moim przyjacielem.

Czy mi się to podoba czy nie. Czy chcę to przyznać czy nie.

Mam swoje zasady, zachowuję się, jakbym wszystko wiedziała, udaję, że kontroluję sytuację. Ale oni znają prawdę. Jestem zniszczona i skrzywdzona.

I nie przeszkadza im to.

Trzymają się mnie. Wstawiają się za mną. To przeze mnie są tu teraz, przeze mnie nie wyjechali stąd kilka dni temu. Michael może przybył tu, by oczyścić imię swego ojca, ale został, ponieważ wciąż jest tym samym dzieciakiem, który dostał w nos w mojej obronie wiele lat temu. A Boyboy zawsze był moim towarzyszem zbrodni. Dlatego tu ze mną przyjechał.

To, co sobie uświadamiam, nie jest zasadą – jest prawdą:

Oni istnieją dla mnie.

A ja istnieję dla nich.

Trzydzieści osiem

– Jesteś moim przyjacielem – mówię miękko.

Boyboy przewraca oczami, ale po tym, jak rozluźnia ramiona, widzę, że odetchnął z ulgą.

– Tak, Tino.

– Kochasz mnie.

– Nie przesadzajmy.

– Pomożesz mi. To próbujesz mi powiedzieć. Musimy uratować Michaela. Razem.

Wspólnie coś wymyślimy.

– I to jest moja Drobinka.

Ocieram twarz o ramię; próbuję mocno się trzymać tego, co czuję.

– Gdzie go trzymają?

Boyboy wskazuje głową drugą stronę obozu.

– Widziałem, jak go tam prowadzili.

Kilku członków milicji siedzi przed namiotem; trzymają wartę. Na nasze nieszczęście nie wyglądają na tak pijanych, jak pozostali.

– Jest ranny?

– Wyglądał w porządku. Chodził.

Przez kilka chwil siedzimy w milczeniu, obserwując namiot i próbując wymyślić, co robić. Coś, cokolwiek. Badawczo przyglądam się obozowisku. Czego moglibyśmy użyć? Oprócz namiotów dla Michaela i Omoko są też inne, do gotowania czy przechowywania. Doliczam się dwóch ciężarówek z platformami załadunkowymi i trzech motocykli. Dookoła stoją kontenery, które mogą być pełne wody lub, co bardziej prawdopodobne, benzyny. Wszędzie leży broń. W tym...

– RPG – mówię. – Tego chce użyć, by wysadzić helikopter pana Greyhilla tuż po starcie. Może uda nam się je zasabotować.

– RPG? Jak gry fabularne? – Boyboy marszczy brwi.

Wskazuję głową kilka drewnianych skrzyń, które wyglądają na dość nowe.

– RPG jak granatniki przeciwpancerne, nerdzie.

Boyboy powoli się prostuje.

– Omoko je przywiózł. Jestem pewien, że przywódca milicji dał mu w zamian wór pełen złota. Albo pełen kamieni.

– Omoko handluje z milicją – mówię powoli. – To nie działka Goondan. Wraca do interesów skupywania złota.

Zastanawiam się, czy to on jest tym *comptoir*, którego miał mieć na oku pan Greyhill. Potrząsam głową.

– Teraz to bez znaczenia. Skoncentrujmy się na tym, by nie zabił żadnego Greyhilla.

– Pozbycie się granatników nie pomoże. Po prostu znajdzie inną broń.

Boyboy ma rację. Staram się uruchomić trybiki w mojej głowie.

Wtedy rozlega się krzyk. Rozglądamy się i dostrzegamy dwa ciała wymierzające sobie nawzajem ciosy. Napięcie między Goondami a milicją sięgnęło zenitu.

– Przybliż się – szepczę. – Chyba dam radę dosięgnąć do twoich dłoni.

Boyboy się rozgląda, ale wszyscy są zajęci obserwowaniem bójki. Przysuwa się bliżej, a ja wyciągam się, aż dotykam metalu wznającego się w jego skórę. Czuję lepka krew.

– Nie powinni byli związywać nas razem – mówię.

– Keczap nigdy nie należał do najbystrzejszych. Ale to opaski zaciskowe. Metalowe. Nie da się ich otworzyć.

– Zapominasz, że rozmawiasz z genialnym złodziejem.

– Złodziejem, nie Houdinim.

– A Keczap zapomina, że Robal nauczył mnie kilku sztuczek.

Opaski są ciasno zaciśnięte wokół naszych nadgarstków, ale po zbadaniu ich palcami stwierdzam, że potrzebuję tylko niewielkiego, płaskiego kawałka metalu. Na szczęście wciąż czuję niewidoczną wsuwkę we włosach. Stare dobre wsuwki. Nigdy mnie nie zawiodły.

Niestety potrzebuję rąk, by się do niej dostać.

– Musisz wyjąć tę wsuwkę z moich włosów.

– Co takiego? Wsuwkę? Niby jak mam to zrobić?

Rzucam okiem na toczących bójkę.

– Wyjmij ją zębami.

– Zwariowałaś? Sądzisz, że nikt nie zauważy moich zębów na twojej głowie?

– Są zajęci. Jest gdzieś z tyłu. Pospiesz się, póki nie zwracają na nas uwagi.

– Mój Boże, to jest złe na tyłu poziomach... – mamrocze Boyboy, ale przekręca się i po chwili czuję, jak jego nos zatapia się w moje włosy. – Nienawidzę cię teraz tak bardzo... – postępuje w moją czaszkę.

– Musisz odgryźć koniec, gdy już będziesz ją miał w ustach. Tę plastikową część.

Mamrocze coś niezrozumiałego, ale sekundę później czuję szarpnięcie. Odchyła się z grymasem na twarzy i metalem między zębami. Wtedy widzę, że spogląda na nas jeden z członków milicji. Boyboy chowa spinkę w ustach i szybko siada na swoim miejscu. Bojownik tylko się nam przygląda przez kilka sekund. Krople potu spływają mi po kręgosłupie. Gość chyba jest usatysfakcjonowany faktem, że nigdzie nie idziemy, bo odwraca się w stronę widowiska.

Boyboy odchyła się do tyłu i wypluwa spinkę na ziemię obok moich palców. Podnoszę ją. Nie odrywam wzroku od bójki, jakbym była nią zainteresowana równie mocno, co pozostali, i przysuwam się tak blisko Boyboya, jak tylko mogę. Powoli umieszczam spinkę między metalową opaską a zaciskiem. Nie jest łatwo, moje palce się pocą, robię to po omacku, a przez sekundę wydaje mi się, że wsuwka okaże się za gruba. Ale wreszcie słyszę, jak Boyboy oddycha z ulgą, gdy poluzowuję jego więzy.

– Teraz przysuń dłonie, żebym mógł cię uwolnić – mówi.

Zaczynam to robić, ale się waham. Spoglądam na namiot, w którym przetrzymywany jest Michael, na kontenery z benzyną, na motocykle. Na Keczupa. W mojej głowie zaczyna kiełkować pewien pomysł.

Zabieram ręce i wsuwam spinkę do kieszeni.

– Nie.

– Nie? Co masz na myśli?

– Posłuchaj mnie i nie przerywaj. Obserwuj, jak te zakute łby się nawalają. Chyba mam plan.

Trzydzieści dziewięć

ZASADA NUMER 16: NIE PRZESTAWAJ.

Robal nauczył mnie, jak walczyć. Powtórzył mi to setki razy: „Nie panikuj, *kijana*. Łokcie blisko ciała, głowa nisko, koncentracja. Może i jesteś mniejsza, ale szybsza i mądrzejsza. Oto, co się liczy. Znajdujesz szczelinę. Niewielkie pęknięcie w fundamentach. Pamiętasz, co ci mówiłem o wykorzystywaniu słabości? To właśnie masz robić. A potem przesch do przodu i, słuchaj mnie, nie przestajesz. Walczysz, aż będziesz dalej niż na skraju wyczerpania. Nawet jeśli nie potrafisz dostrzec przed sobą końca. Nawet jeśli to beznadziejne. Nie przestawaj”.

Nigdy.

Zabrał mnie na walki psów i kazał obserwować brązową, centkowaną suczkę rasy pitbulterier. Była mniejsza niż inne, umięśniona, ale delikatna. Przyznaję, miałam wątpliwości, gdy sparowano ją z dużym białym samcem pokrytym bliznami. Ale dzwonek sygnalizujący rozpoczęcie walki nawet nie skończył wybrzmiewać, a ona już wisiała przy szyi przeciwnika; gdy przygwoździły się wzajemnie do ziemi, uwiesiła się na nim. Wraz z kolejnymi sekundami walki biała szyja psa stawała się szkarłatna, potem czarna od brudu, a potem jego właściciel wbiegł na ring. Jeszcze zanim go zabiła. Było po wszystkim. Przypomniałam sobie, że stałam tam i obserwowałam, jak mała suczka wylizuje swoje rany różowym językiem, tak jakby już otrząsnęła się po walce.

– Widzisz to? – spytał Robal. – Zaczynj i nie przestawaj. Uderzaj go. A potem znowu, znowu, znowu, bam, bam, bam, bam, aż nie będzie nic widział i padnie u twych stóp niczym Goliat przed Dawidem.

Boyboy słucha mojego planu. Jego grymas pogłębia się z każdą sekundą.

– Nie podoba mi się. To zbyt ryzykowne.

– Ja będę się o to martwić.

– A jeśli bateria telefonu się wyładowała? To wszystko przekreśli.

– Trochę wiary, Boyboy.

Bierze głęboki oddech i powoli wypuszcza powietrze.

– A co jeśli Robal tego nie zrobi?

– Zrobi – próbuję przekonać bardziej siebie niż Boyboya. – Poza tym czy mamy jakieś inne wyjście?

Myśli przez sekundę, potem potrząsa głową.

Biorę kilka głębokich wdechów, strzykam stawami; próbuję sobie wmówić, że to będzie praca jak każda inna. Dostań się do środka, zabierz nagrodę, wydostań się. Nie zostaw śladów.

Już po walce, milicja miała przewagę liczebną i zabiła Goondan w mały, wściekły tłumek. Okazjonalnie rzucają funkcjonariuszom wściekłe spojrzenia przez ramię. Przegrany, Toofoh-lub-Toto dociska mokrą kupkę liści do opuchniętego oka.

Podnoszę głowę, chcąc dojrzeć twarz Keczupa, i gwizdzę dwie ciche nuty. To znany wśród Goondan sygnał; pięć par oczu od razu zwraca się w moją stronę. Patrzą bezpośrednio na Keczupa, a kiedy zauważa, że nakazuję mu podejść, jego grymas powoli

zamienia się w uśmieszek. Mówi coś innym mężczyznom, wprawiając ich w rozbawienie, a potem powoli rusza w moją stronę, z pangą i telefonem satelitarnym przy pasie. Zatknął za niego także pistolet – to cud, że spodnie wciąż trzymają się na jego kościstych biodrach. Czerwony T-shirt z napisem „Mistrzostwa softballu w Waynesville 1998” jest upstrzony plamami potu.

– Boże, Drobinko, bądź ostrożna – szepce Boyboy. – Już jest wściekły.

Keczup zatrzymuje się dopiero bezpośrednio nade mną. Jego krocze i pistolet znajdują się na wysokości moich oczu, a on o tym wie.

– Muszę się wysikać – mówię cicho, próbując nie patrzeć w górę.

Jego uśmiech robi się szerszy.

– Mam cię zabrać do damskiego? – pyta. – Powiesz „proszę”?

Wreszcie na niego spoglądam.

– Proszę, Keczup.

Bezmyślnie drapie swój brzuch, wciąż gapiąc się na mnie. Wreszcie pochyla się, by sięgnąć do moich dłoni. Jest znacznie bliżej mnie, niż musi, tak blisko, że dokładnie widzę, które z tatuaży na jego mizernym bicepsie zaczynają blednąć. Najbardziej naga kobieta ujeżdżająca ryczącego lwa. Udaje mi się powstrzymać wstręt na tyle, by nabrać powietrza. Chcę się upewnić, że wciąż bije od niego kwaśny odór alkoholu.

Nie rozczarowuje mnie.

Keczup ociąga się, ale w końcu odwiązuje mnie od drzewa. Moje dłonie wciąż są ciasno spętane za plecami. Boyboy spogląda szeroko otwartymi oczami to na niego, to na mnie.

Keczup zwraca na niego uwagę.

– Chcesz popatrzeć?

Przerażony Boyboy tylko nabiera powietrza.

Nie patrzę na twarz Keczupa, bojąc się, że na widok jej wyrazu zmiękną mi kolana. Wiem, o czym myśli, wiem, co chciałby mi zrobić. I wiem, że chce, bym to wiedziała. Wskazuje podbródkiem ścieżkę prowadzącą do lasu.

Przelykając strach, który staje mi gulą w gardle, wkraczam między gęste listowie. Wciąż nie mam na sobie butów, ale zaczynam do tego przywykać. Ziemia pod moimi stopami jest miękka i wilgotna. Keczup depta mi po piętach, wciąż z pangą w dłoni.

– Twój mały chłoptaş nie wygląda już tak uroczo po tym, co zrobiłem z jego twarzą – mówi.

Przedzieram się przez zarośla, gałęzie smagają mnie po twarzy i ramionach.

– Może jeśli będziesz miła, pozwolę ci ucałować na pożegnanie jego brzydką twarz. – Keczup mlaska obleśnie. Odgłos przechodzi w pijacki śmiech. – Jesteśmy już dość daleko – dodaje.

– Pójdę za to drzewo. Wciąż widzę stąd obóz.

– Sądzisz, że masz coś, czego nie widzieli? – pyta Keczup. – Dobra, wystarczy. To wystarczająca odległość.

Odwracam się, by stanąć z nim twarzą w twarz; usiłuję rozpiąć spodnie mimo rąk związanych za plecami.

– Będziesz musiał rozwiązać mi dłonie – mówię, rozdrażniona. Przygląda mi się,

więc pytam zaczepnie: – Chcesz zobaczyć, jak moczę sobie spodnie? – Czuję pot spływający po jednej stronie twarzy.

Wreszcie podchodzi bliżej. Spodziewam się, że mnie rozwiąże, ale on chwyta za pasek moich dżinsów, rozpina rozporek i opuszcza je do kostek.

Przez moment jestem jak skamieniała; stoję przed nim naga od pasa w dół. Pulsuję na zmianę gorącym i zimnym zażenowaniem. Jestem rozdygotaną mieszanką furii i przerażenia.

Keczup gapi się w miejsce między moimi nogami.

– Więc?

Pałam mnie policzki; wycofuję się za drzewo i kucam. Desperacko próbuję wymyślić, co robić dalej, ale wyraz twarzy Keczupa tak mną wstrząsnął, że muszę krzyczeć na siebie w duchu. Przez jedną straszliwą sekundę znów mam pięć lat, znów jestem w lesie i kucam, gdy nadchodzą mężczyźni, żeby się ukryć. Myślę o mojej matce. Tak właśnie musiała się czuć, gdy ją pojmano.

Dlaczego ubzdurałam sobie, że to zadziała? W obozie wydawało mi się niemal pewne, że Keczup rozwiąże mi ręce, bym mogła się wysikać. A gdy to robi, zmasakruję go, jak podczas każdego sparingu w sali gimnastycznej Goondan. Zwiążę go, zabiorę mu pistolet i telefon. Nagle uświadamiam sobie, że może on też pamięta nasze walki. *Shonde*. Czy mogę teraz po prostu spróbować wyplatać się z więzów czy to będzie zbyt oczywiste? Próbuję sikać, tylko po to, by nie wzbudzać podejrzeń.

Prawie kończę, gdy mnie atakuje.

Kiedy nie utrzymuję równowagi, pcha mnie w pierś i rozpląszcza na ziemi; jego siła i waga mnie zaskakują. Wszystko bieleje z gorąca, czas zwalnia, a ja czuję, jak usiłuje ściągnąć własne spodnie; słyszę jak warczy na mnie, każąc mi się nie ruszać. Jego mokry, kwaśny oddech omiata moją twarz.

– Nie rób tego! – krzyczę. – Omoko cię zabije!

– Pieprzyć Omoko!

Jest zbyt pijany i napalony, by słuchać. Szamoczę się, ale Keczup ma przewagę, jego ręka zaciska się na mojej tchawicy. *Zrobi to*, mówi bezcielesny głos w mojej głowie. Nie uda mi się uciec. Przyduszona, odchylam głowę do tyłu, szukając jakiegokolwiek ratunku.

I wtedy ją widzę.

Wszystko prócz niej zamiera.

Podchodzi do mnie; widzę ją do góry nogami. Przykuca obok.

Widzę pot skraplający się na szyi Keczupa. Widzę wytatuowanego pomidora na jego dłoni. W promieniu słońca widzę pyłki kurzu unoszące się w powietrzu. Nie widzę jej twarzy, ale w tej chwili czuję jej dłoń dotykającą mojego czoła. Moja matka szepce mi do ucha: *Złam koło do lamania*.

Mrugam, czas przyspiesza, nie ma chwili do namysłu – po prostu robię to, co powiedziała.

Jeszcze raz odchylam głowę, po czym uderzam nią prosto w nos napastnika.

Słyszę odrażający trzask, a po nim jęk Keczupa. Odsuwa się, przykładając rękę do nosa; wtedy nakazuję sobie ruszyć się i przetoczyć na bok. Przekładam nogi przez pętlę

ramion, kopiając go i łapiąc oddech, podczas gdy Keczup próbuje się pozbierać. Jest pijany i ranny, ale wciąż szybki, nie mija więc dużo czasu, gdy jego ręce znajdują moje gardło. Ścisną tak mocno, że przed oczami pojawiają mi się gwiazdki.

– Zabiję cię! – Gdy wrzeszczy, krew i plwocina spływają mu po podbródku. – A potem odnajdę twoją siostrę...

Unoszę kolano i uderzam nim w jego krocze, a gdy on jęczy i zwija się z bólu, poprawiam w jego bok.

Przetaczam się na kolana i wstaję; podciągam spodnie, bym mogła pobiec po ostrą pangę, którą upuścił. Gdy się schylam, czuję jego dłonie na swoich łydkach. Upadam z impetem. Wstrząs przebiega przez moje nogi, kiedy uderzam kolanami w luźne kamienie. Zaciskam dłoń na jednym z nich, wielkości pięści, przekręcam się i mocno uderzam Keczupa w czoło, podczas gdy on góruje nade mną z pangą.

Kamień rozbija się o jego twarz.

– Guuh... – bełkocze.

Przewraca oczami, a potem upada na bok. Wielki nóż wyslizguje się z jego dłoni. Siadam okrakiem na jego piersi i uderzam kamieniem o jego głowę, raz, drugi; odsuwam się, by zrobić kolejny zamach, kiedy dociera do mnie, co robię.

Wyglądam niczym postać z horroru – ubrudzona krwią, ziemią i uryną, trzymająca kamień, gotowa zmiażdżyć czaszkę potwora.

Keczup mruga, jego ciało skręca się i wtem, gdy wciąż trzymam nad nim kamień w drżącej dłoni, nieruchomieje.

Wydaję z siebie szloch; kamień wysuwa się z mojej zakrwawionej pięści.

Kłęczę jeszcze przez kilka sekund, gapiąc się na niego, próbując złapać oddech. Jego pierś porusza się jeszcze. Ptaki dookoła nas milkną.

Rusz się, Tina!, krzyczy głos w mojej głowie.

Niezdarnie zapinam spodnie. Używam spinki do włosów, by rozpiąć opaski krępujące moje nadgarstki. Upycham je razem z telefonem i bronią Keczupa w kieszeniach i za paskiem. Kilka metrów stąd leży w połowie zawałone drzewo, biorę więc Keczupa za nadgarstki i zaciągam pod nie. Boyboy pomoże mi później przenieść go dalej, ale na razie to najlepsze, co mogę zrobić. Upycham go w przestrzeni pod pniem i przykrywam gałęziami i liśćmi. Może tak leżeć, niezauważony, przez kilka dni, jeśli będzie trzeba. Wiem o tym najlepiej.

Zanim go okryję, biorę telefon satelitarny i robię zdjęcie jego obitej twarzy. Przez sekundę nie potrafię oderwać od niej wzroku. Wygląda tak krucho. Młodo. Ponownie ogarnia mnie fala mdłości, więc pozwalam sobie wyrzucić to, co zostało w moim żołądku, na liście obok niego, tu, gdzie nikt nie patrzy. Wpatruję się w Keczupa, aż nabiorę pewności, że wciąż oddycha. Zastanawiam się, czy ma pękniętą czaszkę.

Mam nadzieję, że nie. Potrzebuję go.

Czterdzieści

ZASADA NUMER 17: NIECH SPADNĄ NA WŁASNE OSTRZA.

„Musisz znać słabości swoich wrogów”, mawiał Robal. To oczywiste. Ale nauczył mnie też, o czym wie każdy złodziej, oprych i król – a przynajmniej ten dobry – że siły moich wrogów mogą być zarazem ich słabościami. Weźmy choćby mój dach. To forteca. Czuję się tam bezpiecznie. Zbyt bezpiecznie. Otocz go, a uwięzi mnie jak klatka.

Gdy więc myślę o tym, co jest siłą króla Goondan, pierwszą odpowiedzią, która przychodzi mi na myśl, jest milion oprychów do jego dyspozycji.

I to też jego słabość: jego ludzie.

A szczególnie jeden konkretny oprych.

Może mam jeszcze jednego przyjaciela, który mi pomoże. A jeśli nie przyjaciela, to przynajmniej kogoś, kto ma własną słabość.

Nie podoba mi się, jak daleko muszę odejść, by telefon satelitarny złapał zasięg, ale drzewa rosną tu naprawdę gęsto. Kiedy wreszcie mam sieć, drżącymi palcami wybieram numer, który znam na pamięć. Natychmiast się łączę.

– Keczup?

– To nie Keczup – mówię.

Przerwa.

– Drobinka? Pan Omoko wie, że do mnie dzwonicz?

– Nie rozłączaj się.

– Nie mogę z tobą rozmawiać, *kijana*.

– Robal, poczekaj.

W jego głosie pobrzmiewa zmęczenie, gdy mówi:

– Słuchaj, wiem, czemu dzwonicz, ale ja nic nie mogę zrobić. Też mi się to nie podoba. Twojej siostrze nic nie jest. Po prostu... zrób to, czego chce Omoko.

– Nie mogę.

– Rozłączam się...

– Nie! Posłuchaj, chcę zawrzeć z tobą umowę.

– Nie masz nic, czego mógłbym chcieć.

– Mam.

Telefon ślizga się w mojej spoconej dłoni. Z ogromnym wysiłkiem powstrzymuję drżenie głosu, ale wiem, że nie mogę dać po sobie poznać, jak wstrząśnięta i przestraszona jestem. Wszystko może się obrócić przeciwko mnie, jeśli nie rozegram tego idealnie. To działanie długoterminowe. Nie mogę od razu wyłożyć kompletu kart na stół.

– Omoko jest moim ojcem. Wiedziałaś o tym?

Robal nie odpowiada.

– Gwałcił moją matkę. Torturował ją. Zabił ją. A teraz ja zamierzam zabić jego. Zamierzam ukraść jego koronę dla ciebie.

Robal wciąż milczy.

– Dla ciebie i dla mnie. Wiem, że chcesz zająć jego miejsce. Powinieneś. Znasz mnie. Wiesz, że mówię poważnie. Zrobię to. Ale... – robię pauzę, by upewnić się, że mój

głos zabrzmiał pewnie – ...tylko wtedy, gdy moja siostra będzie bezpieczna. Musisz ją uratować. Zabierz ją do Greyhillów. Zrobię wszystko, by korona przypadła tobie, gdy już usunę Omoko. To twoja szansa, Robal. Wykorzystaj ją.

– Jesteś szalona, Drobinko.

– Powinieneś mnie posłuchać. Wiem, że niełatwo to wszystko przyswoić w tak krótkim czasie, ale to twoja szansa. Pomożesz mi, zabiję go, zostaniesz szefem. Czemu miałyby to być bardziej skomplikowane?

Słyszę, jak bierze wdech.

– Gdzie jesteś, Drobinko? Skąd masz ten telefon?

Zamykam oczy. Wyobrażam sobie moją siostrę – związaną i przerażoną. Może i nienawidzę Keczupa, ale nie chcę tego robić Robalowi. Robal jest agresywny, przerażający i bezwzględny. Trzyma moją siostrę jako zakładniczkę. Ale mimo to przez ostatnie pięć lat on i Goondanie byli dla mnie najbliższą rodziną, pomijając Kiki. Nauczył mnie, jak walczyć i jak się bronić. Dla wielu Goondan to jedyny dorosły, któremu ufają. Wiemy, że w zamian za naszą lojalność będzie się o nas troszczył. Taka jest zasada. Takie jest prawo. Może i Goondanie są szaloną, uciekającą się do przemocy, dysfunkcyjną rodziną, ale to mimo wszystko *moja* szalona, uciekająca się do przemocy, dysfunkcyjna rodzina. Jeśli złamię tę zasadę, wszystko przepadnie. Nie będzie powrotu do bycia Drobinką, do bycia Goonda.

Dlaczego nie może po prostu przyjąć mojej oferty? Wiem, że chce być królem. Wiem to. Nie może po prostu uwolnić Kiki? Jemu też nie podoba się, że trzymają ją jako zakładniczkę. Przed chwilą to powiedział. A ja nie chcę być oprychem, który wymusza coś na kimś, grożąc jego rodzinie.

Próbuję po raz ostatni:

– Nie ufa ci. Namówi kogoś, by wbił ci nóż w plecy. Nie będziesz się nawet spodziewać. Nie chcę, by tak się stało, ty na pewno też nie. To nie byłoby dobre dla Goondan. To nie byłoby dobre dla nikogo.

– Skąd masz telefon Keczupa, Tina? – ponownie pyta Robal; jego głos jest niski i groźny, nigdy takiego nie słyszałam. – I nie zapominaj nawet przez chwilę, że mam twoją siostrę. Właśnie na nią patrzę.

Nie zapomniałam. Jego słowa dają mi impuls, którego potrzebowałam, by zamienić moje wnętrze w bryły lodu. Gdy otwieram usta, wiem, że to, co zaraz powiem, na zawsze zerwie moje więzy z Goondanami. I godzę się z tym.

– Musisz podjąć decyzję, Robal. Wolisz być królem Goondan z bratem przy boku? – Robię pauzę. – Czy może chcesz być niczym i nie mieć nikogo? – Oto on. Mój as w rękawie: Keczup. – Zabiję Omoko – mówię. – Bronię Keczupa. Gdy to zrobię, możesz przejąć koronę Goondan. Wszyscy odzyskają braci i siostry. A nasze drogi się rozejdą. Ale w innym przypadku...

Moje ciało tężeje, gdy czekam na odpowiedź Robala. Cisza zdaje się ciągnąć w nieskończoność.

– Nie wierzę, że naprawdę go masz – mówi wreszcie. – Blefujesz.

– Spodziewałam się, że to powiesz – mówię i uświadamiam sobie, że brzmię jak mój ojciec nie tak dawno temu. Jestem jak on. Przełykam ślinę. Życie Kiki zależy od tego,

jak twarda i bezwzględna będę w tym momencie, od tego, jak dużą część ojca odnajdę w sobie. – Wysyłam ci zdjęcie – mówię.

Gdy syczę na Boyboya zza drzewa, obraca głowę w moją stronę. Zbyt późno uświadamia sobie, co zrobił – jeden z Goondan zwraca uwagę na jego nagły ruch i marszczy brwi. Gość zauważył, że wciąż nie wróciłam. Zamieram, tymczasem Boyboy oblewa się potem; wygląda tak, jakby zaraz miał wpaść w histerię.

Po chwili mężczyzna obserwujący Boyboya sięga do kieszeni na piersi, wyławia woreczek z alkoholem i rozdziera go. Wlewa zawartość do ust, odrzuca plastikowe opakowanie i rozsiada się wygodnie.

Czuję na głowie promienie słońca. Kończy się nam czas. Wreszcie Boyboy na mnie spogląda; szepcze, by podszedł.

Potrząsa głową, wskazując oczami obóz. Rozumiem, do czego zmierza. Wszyscy są rozbudzeni i wyglądają na znudzonych. Gdy tylko wystartuje, ruszą za nim. Przygryzam wargę, niepewna, co robić. Przysuwam się bliżej, wciąż pod osłoną drzew.

– W porządku? – szepce Boyboy.

Potakuję, choć wciąż się trzęsę.

– Zrobi to.

Teraz, gdy do granic wkurzyłam jednego z najbardziej niebezpiecznych ludzi w Sangui, trzymając jego brata jako zakładnika, musimy dokonać rzeczy niemal niemożliwej – uwolnić Michaela. W pierwszym etapie planu Boyboy wymyka się i razem zanosimy Keczupa w głąb lasu, gdzie go ukrywamy. Następnie Boyboy bierze telefon, kontaktuje się z panem Greyhillem i daje mu znać, co zaszło. Musimy mieć pewność, że gdy ja już wykonam swoją część, czyli wykradnę Michaela i motocykl spod nosa Omoko, będzie na nas czekał helikopter pana G.

Boyboy wpadł na pomysł, by wykorzystać GPS w telefonie satelitarnym do oznaczenia, gdzie ukrywamy Keczupa, oraz poinformowania pana G., gdzie sami jesteśmy. Boyboy musi nakłonić pana G. do przysłania helikoptera na najbliższe lądowisko przy drodze. Jeden z ochroniarzy pana G. pójdzie po Keczupa. Pozostali schowają się w krzakach, na wypadek gdybyśmy podczas naszej ucieczki do helikoptera potrzebowali ognia zaporowego.

A więc o ile Boyboyowi uda się znaleźć i przekonać pana G., że potrzebujemy jego pomocy, i o ile mnie uda się uratować Michaela, ukraść motocykl, odwrócić od nas uwagę, wykorzystując do tego benzynę, a potem błyskawicznie uciec, po drodze nie zostając złapaną, zastrzeloną czy wysadzoną w powietrze – plan jest idealny.

Według słów Boyboya bardziej szalone byłoby jedynie nierobienie niczego.

Oczywiście jeśli Boyboyowi nie uda się wymknąć, cały plan ulegnie samozniszczeniu, jeszcze zanim zaczniemy go realizować. Spoglądam na Boyboya. Na jego twarzy dostrzegam znajomy grymas, ten. Wiem, że coś oblicza.

– Pobiegnę – szepce.

– Nie teraz, złapią cię.

Delikatnie kręci głową.

– Są pijani. A ja jestem szybki. – Waham się. Jest szybki. Powiedzmy. Jak na komputerowego nerda. Ale wciąż... Jeśli go zobaczą, jest trupem. – Uda się – mówi. Jego

mina świadczy o tym, że dobrze wie, że i tak jest martwy. – Odwróć ich uwagę, żeby dać mi fory. Teraz!

– Poczekaj! Dywersja to późniejszy etap planu... – zaczynam, ale on jest już gotowy do biegu.

Ktoś go zauważy, więc muszę zadziałać, zanim to nastąpi. Podnoszę z ziemi patyk i rzucam nim w stronę kuchni tak mocno, jak tylko potrafię. Uderza w garnek, który przechyla się i przewraca butlę z gazem, ta zaś ląduje w wysokiej stercie metalowych naczyń. Wszystko razem wzbudza potworny hałas. Mężczyźni krzyczą, zrywają się ze swoich miejsc. Wtedy Boyboy podbiega do mnie i uciekamy do lasu.

Jestem przerażona i wyobrażam sobie, że za chwilę zacisną się na mnie czyjeś ręce, ale jakoś udaje nam się dotrzeć do Keczupa; nikt nas nie ściga.

– Co mu zrobiłaś? – pyta Boyboy, gdy uprzątam listowie z twarzy pojmanego.

– Nic, na co by nie zasłużył.

Chwytam Keczupa za nogi, Boyboy unosi go za ramiona, i biegniemy tak szybko, jak potrafimy, w stronę wschodzącego słońca. Czekam, aż Keczup się obudzi i zacznie stawiać opór, ale on wciąż jest nieprzytomny. Gdy wydaje mi się, że oddaliliśmy się na bezpieczną odległość, zatrzymuję się i szukam odpowiedniego miejsca.

– Tutaj – decyduję.

Ociekamy potem, brud i suche liście przyklejają się do nas, gdy szybko wykopujemy mały okop obok głazu. Wrzucamy tam Keczupa, a ja wydaję z kieszeni moje więzy, by przywiązać jego ręce do wysokiego drzewka, które wyrosło obok skały. Ponownie przykrywamy go roślinnością. Gdy kończę, Boyboy zaznacza to miejsce w GPS-ie telefonu.

– To jak kopanie grobu – mówi wreszcie.

– Nie umrze – zapewniam. – Nie może umrzeć.

Boyboy kończy i niezadowolony spogląda na telefon.

– Tutaj nie ma zasięgu. Muszę odejść kawałek.

– Idź w stronę drogi. To chyba w tamtym kierunku. – Wskazuję.

– Dobra, spotkamy się przy helikopterze. – Jego twarz jest ponura. – Uważaj na siebie.

– Ty też.

W obozie zapanował kompletny chaos.

Mój sposób na odwrócenie uwagi zadziałał – może nawet za dobrze. Kiedy tam wracam, około czterdziestu mężczyzn biega w tę i z powrotem, krzycząc na siebie, a kuchenny namiot stoi w płomieniach.

Najwyraźniej przewrócona butla z gazem eksplodowała, co nie jest dobre, gdyż planowałam doprowadzić do wybuchu później, gdy Michael i ja będziemy już uciekać. Ale może jeśli uda mi się szybko wydostać Michaela, zdołamy wykorzystać obecne zamieszanie.

Widzę jednouchego członka milicji – musi być ich dowódcą, bo wykrzykuje rozkazy na środku obozu. Wygląda na to, że zdał sobie sprawę z ucieczki więźniów. Obserwuję, jak chwyta parę milicjantów i wysyła ich do lasu. Jeśli to nas szukają, idą w złym kierunku. To już coś. Nigdzie nie widzę pana Omoko. Mam nadzieję, że nie

przebywa w namiocie Michaela, bo właśnie tam zmierzam.

Mężczyźni, którzy pilnowali Michaela, pobiegli pomóc w gaszeniu ognia, który z kuchennego namiotu rozprzestrzenił się na drzewo. Dym z zielonych liści jest mi na rękę; otula wszystko mgłą. Upewniam się, że nikt mnie nie obserwuje, a potem biegnę, skulona, na tyły namiotu Michaela, gdzie nie będzie mnie widać z większości miejsc w obozie. Unoszę poły namiotu o centymetr i usiłuję zajrzeć do środka. Jest ciemno i dostrzegam wyłącznie nieostre kształty. Będę musiała zaryzykować; na zewnątrz jestem łatwym celem. Ponownie się rozglądam, a potem wsuwam do środka. Przez sekundę nic nie widzę, ogarnia mnie panika.

– Kto tam jest? – Słyszę.

– Cii... To ja – szepczę, pełznąć w stronę Michaela. Mój wzrok w końcu dostosowuje się do mroku. Widzę, że ma zakryte oczy, jest związany i poobijany, ale żywy. Jego ręce przykuto do niewielkiego generatora. To musiała być najcięższa rzecz, jaką tu znaleźli.

– Tina... – dyszy. – Nic ci nie jest? Gdzie Boyboy? Wszystko z nim w porządku? Nie chcieli mi powiedzieć, co się z wami stało.

– Nic mi nie jest. Nic nam nie jest. – Ściągam mu opaskę z oczu. Michael mruga. Wydaje mi się, że minęły eony, odkąd od niego uciekłam w pensjonacie, i czuję nagłą chęć, by chwycić go i upewnić się, że jest prawdziwy. Przykucam, by sprawdzić więzy. Jego nadgarstki oplata taka sama opaska, jak wcześniej moje, druga zaś została zaciśnięta na jego kostkach. Gdy dotykam jego dłoni, syczy z bólu. – Co się stało? – pytam. Jeden z jego nadgarstków jest spuchnięty i pociemniały od siniaków.

– Chyba jest złamany – mówi.

Siadam, przyglądając się jego dłoni; mój żołądek się kurczy.

– *Mavi* – klnę.

– Ale moim nogom nic nie jest. Możesz mnie stąd wydostać?

– Nie ma szans, byś w tym stanie poprowadził motocykl, co? – Zmuszam się do uśmiechu.

Michael przenosi spojrzenie ze mnie na swoje nadgarstki; na jego twarz powoli wypływa zrozumienie.

– Taki był plan ucieczki?

Przetykam ślinę.

– A jeśli ja pokieruję?

– Sterowanie jest w kierownicy. Gdybyśmy mieli czas, pokazałbym ci i na pewno dałabyś radę, ale... – Spogląda w stronę wyjścia z namiotu, gdzie, wnoskując po odgłosach, wciąż trwa zamieszanie. – Wydostań mnie stąd i pobiegniemy po niego. Gdzie jest Boyboy?

– Walczy o pomoc. Miejmy nadzieję, że w postaci twojego ojca. – Znów przeklinam. – Ma się z nami spotkać przy drodze. Ale nie uciekniemy przed nimi na nogach. Mają ciężarówki i motory.

– Możemy się przedrzeć przez las?

Rozważam to przez chwilę, w końcu potrząsam głową.

– Jesteśmy zbyt wolni, otoczą nas, zanim dotrzemy do drogi.

Wracam do zajmowania się więzami. Jestem w stanie przynajmniej uwolnić nogi Michaela, próbując opracować nowy plan.

– Tina, co tu się dzieje? Kim oni są?

– To długa historia. Wyjaśnię ci wszystko, gdy już będziemy bezpieczni.

– Słyszałem, jak rozmawiali o...

Uciszam go gestem.

– Ktoś nadchodzi! Muszę zasłonić ci oczy.

– Nie! Tina! – protestuje, ale ja już naciągnęłam mu na oczy zatłuszczoną tkaninę.

Chwytam koc z łóżka polowego i ruszam na tył namiotu, gdzie stoi duża drewniana skrzynia. Przykucam za nią i narzucam na siebie koc. To niezbyt wyszukana kryjówka, ale w tym momencie nie mam lepszej opcji. Zwijam się w ciasny kłębek i robię, co mogę, by wyglądać jak sterta brudnego prania. Mam nadzieję, że w ciemności nikt mnie nie zauważy. Wyrzucam sobie, że nie zatrzymałam pangi Keczupa. Wciąż mam jego pistolet, ale wolałabym bronić się po cichu. Nic nie ściągnęłoby na nasze głowy hordy milicji równie skutecznie, jak strzały dochodzące z namiotu więźnia.

Sylwetka odsuwa połę namiotu i zaczyna krzyczeć na Michaela. Mężczyzna najwyraźniej został tu przysłany, by sprawdzić, co z więźniem, ponieważ mówi Michaelowi, że jest wart „mniej niż małpie łajno”, a potem wychodzi.

Kilka chwil oboje trwamy w milczeniu. Potem podnoszę głowę.

– Uroczy.

Michael wypuszcza powietrze i krzywi się. Zastanawiam się, czy ma też połamane żebra i tylko mi o tym nie mówi.

– Oni wszyscy powariowali. Jest tu jeden taki, który powtarza mi, że nie może się doczekać moich fajerwerków. Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale bawi go to za każdym razem.

Sztywnieję. Michael nic nie wie o planach Omoko dotyczących rozlewu krwi.

– Hej, możesz mi to zdjąć? – prosi. – Nienawidzę być ślepy.

Podchodzę do niego. Czy powinnam mu powiedzieć, co planuje Omoko, czy może tylko zabierze to cenny czas, którego nie mamy?

– Dzięki – szepce Michael, gdy zdejmuję mu opaskę.

Przez moment zatracam się w jego spojrzeniu, niezdolna się ruszyć. Tak bardzo chcę go przeprosić za moje krzyki i ucieczkę, za to, że przeze mnie został złapany i znalazł się w sytuacji, w której może stracić życie, ale wiem, że nie ma na to czasu.

Wyjmuję spinę z kieszeni i zabieram się do pracy.

– Dlaczego ci goście nas schwytali? – pyta Michael.

– Pan Omoko chce wysepić okup od twojego taty.

Wsuwka skrzywiła się w jakimś momencie i teraz nie chce dać się wsunąć. Przygryzam ją, próbując nadać jej przydatny kształt.

– Kim jest pan Omoko?

– To... – Tyle się wydarzyło. Do tej pory nawet nie wspominałam o Omoko, pomijając mój wybuch przed pensjonatem. Wyjmuję spinę z ust, by się jej przyjrzeć; wciąż nie wygląda dobrze. – Opowiem ci wszystko później. Wiedz tylko, że to zły człowiek. To on zabił moją mamę.

Znowu przygryzam spinkę.

Michael gapi się na mnie, jakby moje słowa miały nabrać więcej sensu wraz z intensywnością jego spojrzenia.

– Co? Dlaczego? Kim jest...

– I porwał moją siostrę. – Ponownie próbuję wsunąć spinkę w okowy przy jego kostkach. Nie mieści się, ale może to dlatego że drżą mi ręce. – Wydaje mi się, że chwilowo jest bezpieczna, ale... – Potrząsam głową, nie jestem w stanie kontynuować.

– Naszą siostrę.

Zdumiona, podnoszę wzrok.

Jest coś niezłomnego w jego spojrzeniu, ale jednocześnie dostrzegam wrażliwość, która nie ma nic wspólnego z jego opłakaną sytuacją. Dwie łzy spływają po moich policzkach, zanim jestem w stanie je powstrzymać.

– Naszą siostrę – szepczę.

Nagle czuję, jakby coś rozrywało moją klatkę piersiową na strzępy. Spuszczam wzrok na bliznę w kształcie sierpa księżycyca, ledwo widoczną w ciemnym zagłębieniu ręki Michaela. Powoli przysuwam moją dłoń do jego nadgarstka, a potem kładę na bliźnie. Czuję, jak drży pod moim dotykiem. Ból w moim gardle jest prawie nie do zniesienia. Kiedy znów spoglądam na jego twarz, uświadamiam sobie, że wreszcie rozumiem, o czym myśli. Jednak troszczy się o mnie.

Pochyla głowę w moją stronę. Nasze czoła delikatnie się stykają.

– Tak mi przykro – mówię, nie przejmując się już kapiącymi łzami.

– Niepotrzebnie masz za co...

Uciszam go, dotykając ustami jego ust. Nie wiem, co robię. Pierwszy raz nie zastanawiam się nad konsekwencjami. Po prostu coś robię. Odwzajemnia pocałunek, najpierw delikatnie, a potem mocniej, łapczywiej. Ciepło przebiega mi wzdłuż kręgosłupa, promieniuje na całe moje ciało. Unoszę ręce do jego twarzy i wdycham zapach skóry.

Gdy wreszcie się osuwam, Michael wzdycha.

– Czekałem na to całe życie...

Śmieję się przez łzy.

– Przepraszam, że to się dzieje akurat tutaj. – Tak bardzo chcę go pocałować raz jeszcze, ale wiem, że zegar tyka. – Musimy się pospieszyć. – Wracam do jego więzów.

– Taa... – rzuca Michael, ale nie brzmi przekonująco. Odsuwa się lekko, by pozolić mi pracować.

Wydaje mi się, że prawie się udało, gdy czuję, jak sztywnieje.

– Przepraszam, wiem, że to boli...

– Cii. Słyszysz to?

Przerywam i nadstawiam uszu. Tak bardzo się skoncentrowałam na tym, co robię, że nie zarejestrowałam łopotu. Dźwięk jest jeszcze odległy, ale się zbliża.

– Helikopter.

– To tata! – Michael uśmiecha się szeroko.

Ale coś jest nie tak.

– Nie. Za blisko. Boyboy miał mu powiedzieć, by trzymał się z dala od obozu.

Może nie udało mu się dodzwonić. – Boże, a jeśli złapali Boyboya? To wszystko moja wina. Wzdrygam się. Krzyki milicji mówią nam, że oni też zauważyli helikopter. A nie wyjaśniłam... – Michael, to pułapka! – krzyczę. – Omoko chce zestrzelić helikopter, jak tylko się wzniesiecie.

Uśmiech Michaela znika.

– Co? Ale...

– Zabije ciebie i twojego ojca.

– Już pora, chłopcy! – Głos z zewnątrz jest blisko.

Głowa Michaela odwraca się w stronę wejścia do namiotu.

– Ktoś nadchodzi.

Moje palce gorączkowo pracują przy jego kostkach.

– No dalej, dalej...

– Strażnik wraca! Kryj się! – mówi Michael.

– Nie! Mogę...

– Już za późno, Tina! Schowaj się! Martwa mi nie pomożesz!

Widzę, jak cień zbliża się do namiotu.

– Teraz – syczy, zabierając stopy z moich dłoni, nieświadomy bólu, jaki wywoła w nim ten ruch.

Waham się przez sekundę, a potem, choć nienawidzę się za to, chowam się za skrzynię i ponownie przykrywam kocem. Serce mi łomocze. *To tylko strażnik. Sprawdź, co się dzieje, i zaraz sobie pójdzie.* Wciąż będę miała czas, by uwolnić Michaela i uciec.

Znajomy głos w namiocie zabija jednak resztki mojej nadziei:

– Witaj, Michaelu. Gotowy na pożegnanie?

Czterdzieści jeden

– Wygląda na to, że Christina i jej przyjaciel cię porzucili. – Słyszę głos Omoko. – A spodziewałem się, że gdy tu przyjdę, ciebie też nie będzie. – Jestem pewna, że w ciszy słyszy bicie mojego serca i po prostu bawi się ze mną. Lada chwila rozkaże Goondanom przeszukać namiot. – Była tutaj?

– Tak – mówi Michael. Wciągam powietrze, boję się, że zbyt głośno. – Przyszła tu i powiedziała mi, że masz Kiki – dodaje. – I że nie może zrobić nic, by mi pomóc. Uciekła.

– Sprytna dziewczyna – odzywa się Omoko po chwili przerwy.

Kupił to? Coś w jego tonie sprawia, że mam wątpliwości.

– Szefie – przy wejściu do namiotu rozlega się inny głos – ciężarówka gotowa.

– Dobra, chłopcy, zabierzcie go. Poszukiwaniami tamtej dwójki zajmiemy się później.

Słyszę dźwięki szamotaniny, a potem oddalające się kroki. Przeklinam samą siebie, w desperacji mam ochotę wstać i coś zrobić. Ale wiem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Czekam, aż ciężarówka odjedzie, zanim zdecyduję się wychylić. Zrzucam z siebie koc, namiot jest pusty. Uchylam tylną połę i sprawdzam, czy na zewnątrz milicja nie stoi na czatach. Dostrzegam tylko jednego mężczyznę, odwróconego do mnie tyłem. Chwytam pierwszą ciężką rzecz, jaką znajduję pod ręką – pudło pełne naboji – i podkradam się do skraju namiotu. Mężczyzna akurat pali. Biorę głęboki oddech i doskakuję do niego, uderzając go w tył głowy. Upada na ziemię.

– Hej!

Odwracam się w stronę, z której dobiega głos. Kolejny członek milicji stoi po mojej prawej stronie. Nie widziałam go z wnętrza namiotu. Rzucam się pędem w kierunku lasu – z nadzieją, że go prześcignę. Słyszę, jak woła jednego z kompanów, teraz już biegną za mną razem. Mam broń Keczupa, ale nie mam szansy oddać czystego strzału spomiędzy drzew. Gdy kluczę między roślinnością, pozwalam, by adrenalina i strach wzięły górę; nogi same mnie niosą, coraz bardziej zwiększam odległość od ścigających. W porównaniu do mnie poruszają się głośno niczym słonie. Wreszcie coś idzie po mojej myśli.

I wtedy uświadamiam sobie, że nie biegnę w stronę Michaela.

Przeklinam i zmieniam kierunek, próbując podążać w stronę, gdzie powinna być droga.

Biegnę. Biegnę, aż moje płuca chcą eksplodować. A potem biegnę jeszcze trochę. Przedzieram się między drzewkami. Moje stopy są jedną wielką raną. Krzyczę na siebie w myślach, każę sobie biec dalej.

Kiedy już jestem pewna, że zgubiłam pościg, zatrzymuję się i nasłuchuję dźwięku helikoptera. Ale panuje cisza.

Ruszam dalej. Gdzieś tu musi być droga. Musi. Schodzę w dół wąwozu, potem wspinam się, przechodzę nad powalonymi drzewami; gdy zaczynam panikować, ziemia ustępuje – i oto ona, błotnista droga. Zatrzymuję się tylko na sekundę, by zyskać pewność, że nikogo tu nie ma, po czym wskakuję na drogę i z płonącymi płucami podejmuję sprint.

Spóźnię się. Odleczę, zanim tam dotrę. A gdy helikopter wzniesie się w powietrze...

Docieram na wzgórze i dostrzegam nagły błysk światła padający od strony polany. Tam musiał wylądować helikopter; ten widok dodaje mi siły, przyspieszam, a wtedy ciemna sylwetka zastępuje mi drogę.

Ledwie powstrzymuję krzyk, ale ktoś chwyta mnie za ramiona i szeptem moje imię.

– Boyboy... – dyszę.

– Cii! – Ściąga mnie ze ścieżki.

– Sądziłam, że cię schwytali...

Boyboy ciągnie mnie w stronę prześwitu między drzewami, skąd widzimy polanę.

– Co się stało? Przed chwilą widziałem, jak pan Omoko przyprawdza Michaela.

Nie udało ci się go wydostać?

– Nie – jęczę. – Nie miałam dość czasu.

Kucamy za drzewami. Helikopter wylądował wśród wysokiej trawy i dzikich kwiatów niczym wielka, czarna osa.

– Poza tym ma złamaną rękę – dodaję. – Nie mógłby wsiąść na motocykl.

Dostrzegam dwie postaci w helikopterze. Spoglądam na zacienione obszary na skraju polany i krew zamarza mi w żyłach. Ciężarówka milicji stoi w cieniu drzew, otaczają ją mężczyźni uzbrojeni w AK-47. Goonda trzyma Michaela za ramię, stoją na skraju lasu obok pana Omoko.

– Rozmawiałeś z panem Greyhillem?

– Chyba się spóźniłem. – Boyboy się krzywi. – Przybiegłem aż tu, by wykonać telefon, ale wtedy usłyszałem za sobą pościg. Musiałem przebiec kilka kilometrów wzdłuż drogi, zanim złapałem sygnał przy domu Catherine.

– Domu Catherine? – Spoglądam na niego z wyrzutem.

– Rozpoznałem go, gdy wyszedłem z lasu.

Nie żartowała, mówiąc, że milicja obozuje tuż obok.

– Dzwoniłem do pana Greyhilla, ale nie odbierał – kontynuuje Boyboy. – Musiałem zostawić mu wiadomość. Dzwoniłem trzy razy, a potem usłyszałem helikopter, więc poddałem się i wróciłem tutaj. Nie wiem, czy słyszał, że dzwoniłem. Przykro mi, Tina.

Próbuję opanować panikę; potrząsam głową.

– To nie twoja wina.

Nic nie idzie, tak jak powinno. Moją ostatnią nadzieją była wizja, że Boyboy porozmawiał z panem Greyhillem i w jakiś sposób uratował sytuację.

Dostrzegam ruch przy helikopterze, a potem widzę pana Greyhilla; wysiada, jego oczy zasłaniają okulary przeciwsłoneczne. Przenoszę wzrok na Michaela. Jeśli pan Greyhill zna prawdziwe intencje Omoko, to nie daje tego po sobie poznać. Zapina marynarkę, jakby szedł na spotkanie biznesowe. Pan Omoko wychodzi z cienia i zmierza w jego stronę.

– Rozmawiałeś z Catherine? – pytam szeptem.

– Próbuje sprowadzić pomoc.

W głosie Boyboya jest niewiele nadziei, ale nie dziwię mu się. Jaką pomoc miałyby znaleźć? Lokalna policja prawdopodobnie jest w kieszeni milicji. Armia mogłaby pomóc, ale jedynie w przypadku, gdyby udało się jej znaleźć jakiś oddział i go przekonać.

Gdy dwaj mężczyźni stają twarzą w twarz, Omoko uśmiecha się i wyciąga dłoń, by

uścisnąć prawicę dawnego szefa. Pan Greyhill nie przyjmuje ręki. Nie słyszę, co mówią, ale uśmiech pana Omoko staje się bardziej napięty. Poklepuje Greyhilla po ramieniu i prowadzi go w stronę Michaela. Teraz widzę, że milicja rozstawiła stolik i krzesła na skraju lasu. Liczę. Czterech członków milicji i dwóch Goondan jest w zasięgu mojego wzroku, ale nie zdziwiłabym się, gdyby było ich więcej – uzbrojonych i skrytych w głębi lasu.

Michael zostaje zaprezentowany ojcu, opaska, która wcześniej zasłaniała mu oczy, teraz wisi na jego szyi. Mruga, oślepiiony słońcem, a ja nie mogę oderwać wzroku od jego twarzy. Pan Greyhill chce go dotknąć, ale na słowa Omoko zatrzymuje się i z wolna opuszcza rękę. Teraz jego emocje są jasne. Nawet stąd widać, że ledwo powstrzymuje targającą nim furję.

Pan Omoko wskazuje gestem stół, na którym ustawiono laptopa; obaj mężczyźni siadają. Michael zostaje odsunięty na bok.

Spoglądam przez ramię, jakby za moimi plecami jakimś cudem mogła się zjawić pomoc. Ale widzę tylko drzewa.

Wstaję. To koniec. Nikt nie przybędzie ze wsparciem. Wyciągam pistolet zza paska.

– Tina, co ty robisz? – Boyboy kładzie dłoń na moim ramieniu. Strząsam ją.

Broń jest ciężka, ale przynajmniej to pistolet, a nie jeden z karabinów AK – w takim wypadku porzuciłabym ją, by biec szybciej. Sprawdzam magazynek – sześć kul, do tego jedna w komorze. Poprawiam pozycję, tak jak uczył mnie Michael, kiedy byliśmy dziećmi, a później Goondanie, gdy zestrzeliliśmy butelki po piwie z murka wprost do morza. Celuję w Omoko. Uśmiecha się, gdy pan G. przysuwa do siebie laptopa i zaczyna pisać. Głęboko nabieram powietrza.

Ale nie potrafię powstrzymać drżenia dłoni.

– Za daleko – mówię i ocieram rękawem pot, który zalewa mi oczy.

– Tina...

– Muszę podejść bliżej.

Idę bokiem przez las, nie odrywając wzroku od dwóch mężczyzn przy stole. Wyglądają dziwnie, jakby jedli biznesowy lunch w złym miejscu. Słyszę, jak Boyboy idzie za mną; odwracam się i gestem każę mu zawrócić. Chcę, by był z dala ode mnie, gdzie nikt go nie usłyszy. Zaczynam biec przez las. Jak się okazuje, kroki, które wyćwiczyłam, by były ciche, gdy zakradałam się do domów, sprawdzają się też w tych okolicznościach.

Polana jest rozległa i dotarcie za ich plecy zajmuje mi dłuższą chwilę, zwłaszcza że staram się pozostać niezauważona. Wspinam się na pagórek za ciężarówką milicji, a potem pełnę wśród krzewów, poruszając się na tyle szybko, na ile pozostało mi śmiałości. W końcu docieram do pewnego rodzaju klifu, gdzie mogę przykucnąć i patrzeć na nich z góry.

Mężczyźni stoją w linii, z jednego końca Goondanie, z drugiego milicja. Pan Greyhill wciąż pisze na komputerze, a Omoko jest zaabsorbowany tym, co widzi. Spodziewałam się, że w lesie natknę się na kolejnych strażników pilnujących Omoko, ale nikogo tu nie ma, tak jak i śladów zniszczenia poszycia. Szczęśliwy traf, ale co miałabym

teraz zrobić? Zastrzelić tak wielu Goondan i członków milicji, ilu zdołam, a do tego jeszcze pana Omoko? Liczyć na to, że jednak nie zabiją Michaela? Jestem bliżej, ale oni wciąż mają przewagę liczebną. Desperacja rośnie mi gulą w gardle.

Za plecami słyszę trzask gałązki; obracam się z walącym sercem i uniesionym pistoletem.

Boyboy trzyma ręce w górze i wykrzywia twarz w grymasie. Przykładam palec do ust i gestem każę mu przykucnąć. Podpełza do przodu i też wygląda zza wzniesienia.

Widzę to na twarzy Boyboya. Widzi to, co ja widzę. W najlepszym wypadku skończy się strzelaniną, na której najgorzej wyjdzie Michael. A Boyboy nawet nie ma broni. Próbuję uspokoić oddech. Myśl, Tina, myśl, musi być jakiś sposób. Dlaczego to nie może wyglądać jak na filmach, gdzie po prostu przedzieram się przez las, masakrując kulami złych gości, a pojmany wychodzi z tego bez draśnięcia?

Gdyby w ogóle udało mi się trafić pana Omoko, miałabym szczęście. Ale nie przychodzi mi do głowy żaden inny plan. Widzę, jak pan Greyhill się namyśla – jego palce zatrzymują się nad klawiaturą. Pan Omoko uśmiecha się jak lew, który właśnie dopadł swoją ofiarę. Transakcja wkrótce się zakończy, a pan Greyhill i Michael wsiądą do helikoptera. Kładę się na brzuchu, przełykam, prostuję łokcie i unoszę broń. Przymykam jedno oko. Próbuję nie słyszeć przyspieszonego oddechu Boyboya. Usiłuję spowolnić bicie własnego serca i powstrzymać drżenie dłoni, wpatrzona w mój cel.

Kieruję celownik na głowę mojego ojca.

Pod palcem czuję opór spustu. Wystarczy jedno pociągnięcie.

Zastrzel go, Tina. Teraz.

Stuk-stuk-stuk-stuk-stuk-stuk.

Stuk-stuk-stuk-stuk.

Zaskoczona, unoszę głowę. Przez chwilę nie potrafię rozluźnić uścisku na broni. Boyboy i ja spoglądamy na siebie, potem na mężczyzn. Rozmawiają, skoncentrowani na czymś po drugiej stronie polany, na linii prowadzącej do ich obozu.

– Co się dzieje? – pyta Boyboy.

– Nie wiem.

Stuk-stuk-stuk-stuk.

Stuk-stuk-stuk-stuk-BUM.

Słyszę skrzek ptaków rozlegający się w lesie. Członkowie milicji krzyczą i coś sobie wskazują. Wyciągam szyję, by się rozejrzeć i poczuć zapach powietrza.

– Dym – mówię. – Dochodzi od strony ich obozu.

Milicja najwyraźniej myśli o tym samym i zwraca się do pana Omoko. Wybucho kłótnia. Po chwili Omoko każe Goondanom zostać na miejscu, a członkom milicji sprawdzić, co się dzieje. Pan Greyhill siedzi sztywno i nieruchomo, z oczami utkwionymi w Numerze Dwa. Nie wydaje mi się, by nacisnął klawisz, przy którym się zawahał. Goondanie gładzą broń i obserwują swojego szefa. Michael spogląda na ojca. Wszyscy są napięci niczym cięciwa w łuku tuż przed wystrzałem.

Przenoszę wzrok z pana Omoko z powrotem na ciężarówkę, na którą wdrapuje się milicja. Zostawili swoje RPG czy je zabrali? Ciężarówka z rykiem przejeżdża przez pole, kierując się do obozu.

I zanim uda mi się oprzytomnieć, poprawiam uchwyt na broni, celuję i strzelam.

Widzę, jak Goonda, który trzyma Michaela za łokieć, chwieje się i upada na stół między panem Omoko a Greyhillem.

Wtedy rozpętuje się piekło.

Nie pozawalam sobie na rozmyślanie, choć Boyboy krzyczy i próbuje mnie chwycić. Powtarzam w myślach, że jestem bohaterem kina akcji, zbiegającym ze wzgórza, napompowanym adrenaliną, posyłającym drugą, trzecią – choć wszystko to dzieje się za szybko – czwartą kulę; moje stopy się ślizgają, a ja nie trafiam drugiego Goonda ani pana Omoko. Czuję niewielkie eksplozje w pniach drzew i w ziemi dookoła mnie, gdy kule przeciwnika tańczą wokół mojej głowy. Wszyscy krzyczą na wszystkich, by wstrzymać ogień – piąta kula – poza tym drugim Goonda, który, jak właśnie sobie uświadamiam, brał udział w walce na pięści, Toofoh-lub-Toto. Odsuwając się, strzela *rat-tat-tat-tat-tat*, celując jednym dobrym okiem, a potem potykam się o coś i niemalże ląduję u stóp Toofoh-lub-Toto, lecz on w ostatniej chwili osuwa się na ziemię, zastrzelony przez pilota, który wysiadł z helikoptera i który być może też został trafiony, bo również upada na trawę.

I wtedy, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło...

Zapada całkowita cisza.

Wstępuję w promienie światła; uniesiony pistolet kieruję na pana Omoko. Zostały mi dwie kule. Michael pochyla się nad swoim ojcem, który jest śmiertelnie blady i trzyma się za nogę. Kilkadziesiąt centymetrów od niego Omoko wolno unosi ręce. Spogląda na dwóch Greyhillów.

– Odsuń się od nich! – krzyczę.

Słyszę, jak zza moich pleców wybiega Boyboy i dopada do pana G. Noga pana Greyhilla jest ciemna od krwi. Boyboy zdejmuje mu krawat i zaciska go na ranie niczym opaskę. Michael skręca się na ziemi; moje serce zamiera na chwilę, gdy wydaje mi się, że może on też jest ranny, ale potem uświadamiam sobie, że jedynie przekłada nogi przez spętane ręce, by mieć je przed sobą.

Rejestruję to wszystko kątem oka, bo wzrok mam utkwiony w panu Omoko; z pistoletu celuję w jego głowę.

– Christino – charczy – co ty robisz?

– Ręce do góry. Do góry!

– Wydaje ci się, że mnie zastrzelisz, Drobinko?

Trzymam broń uniesioną. Promienie słońca padają wprost na mnie, pistolet robi się śliski w moich spoconych dłoniach. Czuję w środku jątrzącą się wściekłość tysięcy dni spędzonych na wyczekiwaniu tego momentu. Przeszuję z nogi na nogę.

– Tak – mówię wreszcie.

Uśmiech powoli rozkwita na twarzy pana Omoko.

– Tak sądziłem. W porządku. Zrób to. Nigdy nie będziesz miała lepszej okazji.

Michael unosi głowę.

– Nie rób tego, Tina.

Wciąż wpatruję się w pana Omoko. On ma rację. Jestem zbyt blisko, by spudłować. Oczy pieką mnie od potu; mrugam.

Pan Omoko zaczyna opuszczać ręce.

– Podnieś je! – krzyczę.

Ale on nie przestaje. Obniżają się centymetr po centymetrze.

– Tracisz swoją szansę. O co chodzi? Już i tak jesteś zabójczynią, córko – mówi, wskazując dłonią martwego Goondę.

– Nie jestem twoją córką! – krzyczę. Brzmie jak dziecko, ale nie mogę się powstrzymać.

– Jesteś, czy ci się to podoba czy nie. Pozostaje tylko pytanie, czy nie jesteś zbyt podobna do matki. – Wykrzywia wargi. – Równie słaba.

– Moja matka nie była słaba!

Znowu się uśmiecha i przez sekundę jestem przerażona, dostrzegając własną twarz odbitą w krzywym zwierciadle. Czuję, jak tracę nad sobą kontrolę, moje kończyny telepią się jak w starej maszynie.

– Zabiję cię – szepczę.

Jego zęby są zbyt duże w porównaniu do ust. Jego dziąsła błyszczą.

– Zrób to. Chcesz tego, prawda? Zniszczyć mordercę swojej matki? – Wyciąga ręce szeroko na boki. – Tutaj jestem! – Nie mogę się poruszyć. – Ja cię stworzyłem! – krzyczy. – Uczyniłem cię tym, kim jesteś! Wszystko zawdzięczasz mnie! Uczyniłem cię dziewczyną, która może zabić człowieka. Zobaczmy! Zobaczmy, jak bardzo jesteś do mnie podobna!

Każde jego słowo jest jak kamień ciśnięty we mnie. *Jesteś jak ja. Jak ja.* Jestem jego córką. U moich stóp leży martwy mężczyzna. W lesie zostawiłam związanego przeciwnika. Przez cały ten czas, rok po roku, pragnęłam wyłącznie zemsty. Bycie wśród Goondan tylko pielęgnowało przemoc narastającą wewnątrz mnie, ale ona pewnie była tam od początku, w moich genach. Moja furia była niczym nieskrępowana, a miłość do matki pozostawała uwięziona pod jej powierzchnią. I wszystko przez niego. Ponieważ jestem jego córką. Krwią z krwi.

I wtedy gdzieś na krańcu umysłu słyszę miękki, ale bardzo stanowczy głos. Nie jest to jednak głos Omoko. Ani mojej matki.

Ale mój.

Mój głos mówi: Nie, Tina. On się myli. Możesz wybrać, kim jesteś. Należysz do siebie.

Czuję na skórze pieczenie słońca, wraca mi siła w rękach. A gdy zaczynam mówić, mój głos jest moim własnym głosem, a nie głosem córki żalostnego mężczyzny.

– W ogóle nie jestem jak ty.

Unoszę pistolet na wysokość jego głowy; jestem gotowa. W tej samej chwili widzę, jak sięga do kieszeni. W ułamku sekundy dostrzegam błysk metalu w jego dłoni. Czarne oko lufy pistoletu.

Pojedynczy wystrzał odbija się echem.

Hałas ustaje. Chmura przebiega przez tarczę słońca, jest ciemno, potem znów jasno.

Czekam na ból.

Spoglądam w dół na moje ciało. Spoglądam w górę. Moją uwagę odwróciły ptaki wznoszące się z trawy w kierunku białego nieba.

Jestem cała.

Wciąż trzymam w dłoni broń, ale jest zimna. Nie wystrzeliłam. W uszach mi dzwoni. Spoglądam znów na pana Omoko, a on kieruje wzrok gdzieś obok mnie. Nagła jasność zalewa jego pierś, prosto przy sercu, niczym rozkwitający kwiat. Unosi pięść i kaszle w nią. Gdy odsuwa rękę od twarzy, jest czerwona. Robi krok. Próbuje unieść broń, ale wyślizguje mu się z ręki i ląduje w trawie.

Czuję, jak się obracam, by spojrzeć przez ramię; mój wzrok potrzebuje trochę czasu, by odzyskać ostrość. Na początku niczego tam nie widzę. Światło igra wśród liści. Ciemność. I nagle dostrzegam tłumik broni wysuwający się spomiędzy gałęzi drzewa, o które oparła ją dla lepszej stabilności i możliwości oddania perfekcyjnego strzału.

Twarz Catherine jest czysta; wyraża spokój. Nasze oczy spotykają się i długo na siebie patrzymy. Potem ona przekłada jedno ramię przez pasek broni i przewiesza ją na plecy.

Pan Omoko wydaje z siebie dźwięk, więc znów się odwracam. Osunął się na kolana, przyciska dłoń do serca. Czerwień wymyka się spomiędzy jego palców i kapie na ziemię. Otwiera usta, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale odwracam się w stronę lasu.

Catherine zniknęła.

Stoję całkowicie nieruchomo, wpatrując się w mrok między jaśniejącymi liśćmi. Płożące się i wstające wraz z powiewami wiatru trawy przypominają fale oceanu. Nie patrzę w stronę ojca, wydającego ostatnie, mokre tchnienie.

Zamiast tego czekam, aż zapadnie cisza. Aż owady podejmą urwany śpiew, aż usłyszę, jak Boyboy miękko wymawia moje imię. Wtedy spoglądam na mężczyznę leżące na ziemi. Wpatruje się w niebo, nieruchomy, nareszcie niegroźny.

Czterdzieści dwa

Siostra Dorothy zapewnia Michaela, że operacja jego ojca się powiodła. W klinice mają doświadczenie z ranami postrzałowymi i gorszymi.

– Nawet nie musieliśmy go usypiać – mówi siostra. – Przez prawie cały czas prowadził jakąś służbową rozmowę. – Potrząsa głową, wyraźnie nie rozumiejąc, że rozmowa pana G. z Robalem była tą jedną sprawą, która nie mogła czekać. – Możecie wejść na chwilę do środka, by się z nim zobaczyć – mówi, po czym zwraca się do Michaela: – A jak twoja ręka?

– Dobrze – odpowiada. Założyli mu gips na nadgarstku.

– To było poważne złamanie. Wszyscy macie szczęście, że żyjecie.

Delikatnie ściska mnie za ramię i odchodzi, by sprawdzić stan noworodka, który przyszedł na świat tego ranka. Życie, nawet jeśli znajduje się w otoczeniu tych wszystkich śmierci, jest nieustępliwe.

Generał Gicanda zabrał nas z polany po masakrze; wpadł tam z małą armią rwandyjskich sił specjalnych zaledwie kilka chwil po śmierci Omoko. Początkowo sądziłam, że to milicja, ale wtedy pan Greyhill nakazał nam rzucić broń, z której w nich celowaliśmy. Gicanda osobiście zajął się panem Greyhillem, zaniósł go do helikoptera i ułożył obok związanego, wciąż nieprzytomnego Keczupa. W drodze do szpitala pokazał nam obóz milicji. Czy raczej to, co z niego zostało.

Okazało się, że pan Greyhill w końcu odebrał wiadomość od Boyboya, ale postanowił nie ryzykować. Atak Gicandy na obóz nastąpił po tym, jak pan Greyhill przesłał im przez radio współrzędne. Mieli przyjść mu z odsieczą szybciej, ale wyeliminowanie milicji zabrało więcej czasu, niż przewidywał generał.

Jeśli ktokolwiek w szpitalu jest zaskoczony widokiem rwandyjskiej armii tak głęboko w sercu Konga, nie okazuje tego. Żołnierze wystawili strażę na korytarzach. W przeciwieństwie do milicji noszą nieskazitelne, wyprasowane mundury, a ich broń i buty są wypolerowane na wysoki połysk. Są wysocy i wyglądają zdrowo, gdy stoją na baczność i spoglądają ponad głowami pielęgniarek i zakonnic, krzątających się wokół. Trzech stacjonuje wokół łóżka Keczupa, mimo że jest pod wpływem silnych środków usypiających.

Zakonnice twierdzą, że to jeszcze zbyt wcześnie, by stwierdzić, czy grozi mu jakiś trwały uraz na skutek pęknięcia czaszki, ale nie spuchł zanadto i jego stan jest stabilny, a gdy przestaną go faszerować środkami usypiającymi, powinien obudzić się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Pan Greyhill kazał zakonnicom nie szczerzyć środków, byle tylko utrzymać go przy życiu. Wie, ile teraz jest warte życie Keczupa.

Inna z pielęgniarek zagląda przez drzwi do sali operacyjnej, gdzie odpoczywa pan G.

– Możecie do niego wejść – mówi do mnie i Michaela.

Spieszmy do jego pokoju. Boyboy czeka w lobby. Gdy wpadamy do środka, pan G. nie odrywa wzroku od telefonu, a jego twarz jest nieprzenikniona jak zawsze. Na opatrunku okalającym jego nogę widnieje czerwona plama wielkości kapsla od butelki.

– Wszystko załatwione – mówi, odkładając telefon. – Wchodźcie, zamknijcie

drzwi, siadajcie. Jest bezpieczna i mam gwarancję, że tak zostanie. Wasz współnik jest zadowolony z zapłaty, którą mu zaoferowałem jako dodatek do brata. Obiecał mi, że nie stanie się wam krzywda. Wszystko ustalone. Wymiana zakładników nastąpi, gdy tylko wylądujemy w Sangui. – Ponownie zerka na telefon. – Wylatujemy za godzinę. Generał będzie nas eskortował do granicy. – Czuję tak wielką ulgę, że przez kilka sekund nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa i tylko osuwam się na krzesło. – Jutro mój asystent zacznie pracować nad zdobyciem dla niej wizy.

Spoglądam na Michaela; wygląda na równie zaskoczonego.

– Wizy?

– Pojedzie razem z Michaeliem.

– Dokąd?

– Do Lucerny, do Szwajcarii.

Zrywam się z miejsca i podchodzę do łóżka.

– Do Szwajcarii?!

– Powinienem był to zrobić lata temu – mówi pan G. – Sądziłem, że szkoła przyklasztorna jest wystarczająco bezpieczna, ale najwyraźniej się myliłem.

– Płaciłeś za jej naukę? – pyta Michael. – Wiedziałeś, gdzie jest?

– Oczywiście.

Jakim cudem wcześniej się nie domyśliłam? Musiał szukać Kiki, gdy uciekłyśmy, i znaleźć ją w kościele, do którego chadzała mama. Próbuję ukryć szok.

– Nie może pan tak po prostu wysłać jej do obcego kraju, nie uzgadniając tego ze mną!

Spogląda na mnie z pobłażliwością, która przyprawia mnie o furię. Wciąż wszystkim dyryguje, nawet leżąc w szpitalnym łóżku.

– Ile ty masz lat? Szesnaście? – pyta.

– No i?

– I jesteś w gangu?

Zaciskam dłonie w pięści.

– Do czego pan zmierza?

– Ze swej pozycji nie jesteś w stanie zaproponować alternatywnego rozwiązania.

Otwieram i zamykam usta, próbując wymyślić, jak odpowiedzieć. To on dbał o bezpieczeństwo mojej siostry i o to, by chodziła do szkoły. Płacił za jej naukę. Ale nie wziął jej do swojego domu. Zostawił ją, by żyła jak sierota; płacił tylko po to, by uciszyć swoje sumienie.

– Nigdy nawet nie przyszedł pan, żeby się z nią zobaczyć – mówię wreszcie.

Zmarszczki przecinają jego gładkie czoło.

– Poszedłem raz. Ale...

– Nie było to dogodne. – Splatam ręce na piersi. – Albo bał się pan, że ktoś was zobaczy i zacznie się zastanawiać, czemu odwiedza pan dziecko mieszanej rasy, które dziwnym trafem jest do pana bardzo podobne?

Nie odpowiada. Kątem oka dostrzegam, że Michael obserwuje ojca; jego twarz jest zacięta i bezwzględna.

Jakaś lekcja zaczęła się na trawniku na zewnątrz, słyszę chór młodych, kobiecych

głosów, czytających z wolna zdania po francusku.

– Dlaczego nie możemy wyjechać teraz? – pytam. Ulga płynąca z faktu, że Kiki jest bezpieczna i wkrótce będzie ze mną, szybko topnieje. Wciąż jej nie ma, ze mną, tutaj. Muszę się z nią zobaczyć.

– Wierz mi, tankujemy i przygotowujemy helikopter, by wyleciał tak szybko, jak to możliwe. Ja też się niecierpliwię. Siadaj, Christino. Nie polepszysz jej położenia, wydeptując dziurę w podłodze.

Nawet nie zauważyłam, że znów zaczęłam chodzić po pokoju. Zatrzymuję się i obracam w jego stronę.

– No dobrze, skoro nie możemy jeszcze wyruszyć, mam kilka pytań.

Kładzie ręce na kolanach. Czeka.

Zerkam na Michaela.

– Dlaczego moja matka pana odszukała? – pytam. Omoko częściowo już odpowiedział na to pytanie, ale chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia Greyhill.

Przez chwilę wpatruje się we mnie, jakby próbował zdecydować, czy naprawdę chce mi coś powiedzieć. Wreszcie odpowiada:

– Ponieważ wiedziała, że mogę jej pomóc. Prawdopodobnie jako jedyna osoba na świecie.

Trochę wbrew swojej woli siadam na krześle obok łóżka pana Greyhilla i pochylam się do przodu, spragniona wyjaśnień.

– Powiedziała panu, że on pana okrada. Dlatego jej pan pomógł?

Pan G. przenosi spojrzenie ze mnie na swojego syna. On też czeka na odpowiedź.

– Panie Greyhill, wiem, że traktuje mnie pan jak dziecko, ale dziś zabiłam człowieka, żeby uratować Michaela. Zasługuję na to, by wiedzieć, co dokładnie się wydarzyło. – Czuję, jak cała drzę. – Michael również.

Greyhill wypuszcza powietrze przez nos.

– Miała dowód na to, że Omoko kradł moje złoto, dokładne zapiski dokumentujące, ile podwędził z każdej transakcji z milicją. Ale w zamian za przekazanie mi tych danych chciała ochrony. Poprosiła o pracę w moim domu, za bramą, w otoczeniu strażników.

Michael marszczy brwi.

– Czyli kupujesz złoto od tych potworów.

Podchodzi do okna i wygląda przez nie; jego zabandażowane ramię znajduje się na temblaku przewieszonym przez szyję.

– Wie pan, skąd miała te zapiski? – pytam.

– Powiedziała, że przez moment była jego więźniem i zdołała wykraść dokumenty. – Pan Greyhill spuszcza wzrok na swoje dłonie. – Dopiero później wyjawiała mi, co jej zrobił.

– Powiedziała *panu*, co jej się przydarzyło? – Nienawidzę zazdrosnego tonu, który pobrzmiwa w moim głosie.

Widzę, że się waha.

– Twoja matka i ja byliśmy... blisko.

– Blisko? Mieliście razem dziecko – odzywa się Michael, wciąż plecami do ojca.

Pan G. podnosi głowę.

– Nie jestem idealny.

– To może być gigantyczne niedopowiedzenie – warczy Michael. Odwraca się i pyta: – Kochałeś ją?

Nabieram powietrza. Nie wiem, jakiej odpowiedzi spodziewam się po Greyhillu. Może zaprzeczenia, stwierdzenia, że to był tylko romans? Ale on unosi podbródek i spogląda synowi prosto w oczy.

– Tak.

Michael rusza w stronę drzwi, sztywny ze złości.

– Michael... – Wstaję i próbuję złapać go za ramię, ale mnie odtrąca.

Mam zamiar ruszyć za nim, kiedy Pan G. mówi:

– Daj mu odejść. Potrzebuje czasu. – Obserwuje, jak jego wściekły syn przechodzi i znika za drzwiami.

Powoli opadam z powrotem na krzesło.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o Anju... Ale porozmawiamy. Później. – Greyhill zamyka oczy. – Sądziłem, że w moim domu będzie bezpieczna. Że obie będziecie. Naprawdę w to wierzyłem.

Zaciskam dłonie na kolanach.

– Sądziłam, że to pan ją zabił. Widziałam was razem w ogrodzie w noc poprzedzającą jej śmierć. Powiedział pan, że ją zabije. Próbował ją pan udusić.

Z Greyhilla uchodzi powietrze. Pociera dłonią twarz.

– Tak myślałem, że to mogłaś być ty. Nie mam dobrego wytłumaczenia, Christino. Miała powody, by być na mnie wściekła. Powiedziałem jej, że przestanę współpracować z milicją, ale nie zrobiłem tego. Wtedy już zbyt trudno było mi odejść. Gdy więc mi zagroziła, wpadłem w złość. Nie wiem, jak to...

Wzdycha.

– Czyli *próbował* pan ją skrzywdzić.

– Nigdy bym tego nie zrobił... – Głos mu się łamie. – Byłem zły. Czasami nie wiedziałem, jak sobie radzić z twoją matką. Kochałem ją, ale to, co przeszła, wykraczało poza wytrzymałość zwykłego człowieka. Nie sądzę, by kiedykolwiek się z tego otrząsnęła. Powiedziała mi kiedyś, że o wiele łatwiej byłoby umrzeć. Czasami nie była sobą. Wpadała w szał, krzyczała, groziła mi albo odpływała. Tamtej nocy byłem bardzo sfrustrowany.

Muszę wbijać paznokcie w dłonie, by trzymać nerwy na wodzy. Wiedziałam o mrocznych miejscach, do których się udawała.

– To nie usprawiedliwia pańskich słów.

– Wiem. – Spogląda na mnie szklistym wzrokiem. – Nie jestem dumny z tego, co powiedziałem ani jak ją potraktowałem. Czasami czuję się tak, jakbym faktycznie to ja ją zabił.

Bardziej czuję, niż słyszę jego słowa; są jak niewielkie ostrze wycinające ostatni czyrak złości, którą do niego żywiłam. Odpada od miejsca, w którym był do mnie przyrośnięty. Uświadamiam sobie, że może to tego zawsze pragnęłam: nie tyle pieniędzy czy krwi pana Greyhilla, ale jego przyznania się do winy. Czegoś, co pozwoli mojej matce odejść w spokoju.

– Ale to nie był pan – mówię.

Twarz Greyhilla ciemnieje.

– Powiniennem był zabić Omoko w dniu, w którym twoja matka zaczęła dla mnie pracować. Ale kiedyś byliśmy przyjaciółmi, Omoko i ja, więc pozwoliłem mu odejść. Wtedy jeszcze nie... nie dbałem o nią w takim stopniu. A kiedy zrozumiałem, co jej zrobił, już go nie było. Zniknął. Sądziłem, że mógł opuścić kontynent. Zabił ją w moim domu, ponieważ chciał mi udowodnić, że wciąż jest w stanie mnie zranić. Nie widział jej przez lata. I przez cały ten czas czaił się w podziemiach, rósł w siłę, czekając na odpowiedni moment. – Prycha. – Drań przekupił mojego szefa ochrony, by go wpuścił. I *jego* faktycznie zabiłem.

– Davida Mwikę?

– Szkoda o nim wspominać.

Zastanawiam się, czy to tego dotyczyły przelewy do First Solutions, które znalazł Boyboy. Nie chodziło o płacenie Mvice, ale komuś, kto miał go zabić, może jednemu z jego współpracowników.

– To on otworzył panu Omoko drzwi *mokele-mbembe* – mówię.

Pan Greyhill marszczy brwi.

– Co takiego?

– Sekretny tunel biegnący do pańskiego biura.

– No tak, wiesz o nim.

Pochylam się.

– Ale musiał się pan domyślić, że to tą drogą wszedł i wyszedł. Jakim cudem go pan nie złapał?

– Domyśliłem się dopiero wtedy, gdy było już za późno. – Pan Greyhill patrzy na mnie zboląłym wzrokiem. – Byłem w szoku.

Wyraz jego twarzy zdradza, że długo i intensywnie myślał o tym, jak do tego wszystkiego doszło. Nagle pod całą tą doskonałą fasadą dostrzegam mężczyznę, który uświadomił sobie, że został zdradzony, i wynajął kogoś, by dopadł Mwikę w brudnym barze w Kongu, by go zabił. Kogoś, kto prawdopodobnie poinstruował mordercę, by wyszeptał pozdrowienia od pana Greyhilla do ucha umierającego Mwiki.

– Skąd pan wiedział, że to pan Omoko zabił mamę?

– Broń, z której do niej strzelono – zostawił mi ją. Dałem mu ją wiele lat wcześniej. Była na nim wyryta dwójka rzymskimi cyframi. Nienawidził tego pseudonimu, Numer Dwa. Ten napis na broni miał być takim żarcikiem. – Słyszę jego wymuszony śmiech. – Nikt by tego nie zauważył. To było subtelne. Wiadomość tylko dla mnie.

– Numer Dwa – mówię cicho.

Potrafię przywołać obraz broni z szuflady Greyhilla, tuż obok napisu PIETRO BERETTA WYPRODUKOWANO WE WŁOSZECH niewielki ryt, tak jak powiedział: NR II, zapisany tym samym krojem pisma. Odchylam się do tyłu.

– Dlaczego potem go pan nie zabił?

– Próbowałem. Kilkukrotnie. Ale wtedy był już o wiele potężniejszy. Otoczył się małą armią. Twoimi kumplami, Goondanami. Spodziewał się tego. Nigdy nie dawał się zaskoczyć.

Greyhill ma rację. Ochroniarze pana Omoko zawsze byli w pogotowiu, niczym jego cienie. Ale ja mogłam się do niego dostać, gdybym tylko wiedziała. Obraz jego martwej twarzy, szeroko otwartych oczu, wpatrzonych w niebo, przeszywa mnie dreszczem. Już go nie ma, Tina, już go nie ma.

Podnoszę wzrok; pan Greyhill mnie obserwuje.

– Dlaczego pan tu jest? – pytam. – Jak może pan to dalej robić? Handlować z milicją? Skoro troszczył się pan o nią? Widziałam dokumenty. Nigdy nie przestał pan kupować od nich złota, nawet po jej śmierci.

Pan Greyhill mruży oczy.

– Przeglądałaś pliki na moim komputerze.

– Przecież jestem Goonda, pamięta pan? Włamałam się do pańskiego domu i ukradłam pliki z dysku twardego. Tak znalazł mnie Michael. Przyłapał w pańskim gabinecie.

– Skopiowałaś moje dane? Omoko je dostał?

– Tak, ale jestem pewna, że komputer ze wszystkimi brudami został zniszczony – mówię. – Pański kumpel generał nie oszczędził niczego, gdy bombardował obóz.

Nie wspominam o kopii, którą ma Boyboy. Nie jestem pewna, czy powinnam już teraz grać w otwarte karty. Pan Greyhill znów zaczyna wzdychać, co mnie irytuje. – Nie jest pan lepszy od Omoko – mówię.

Z wolna potrząsa głową.

– Nie. Próbuję być lepszy. Badamy nowe obszary, próbujemy wydobywać dość minerałów na własną rękę. Ale jest ciężko. Grupy milicji kontrolują bardzo duże tereny. Współpracuję z generałem Gicandą, próbując się ich pozbyć, ale są jeszcze względy polityczne...

– Jest *ciężko* – pryham. Tylko tyle jestem w stanie zrobić, by na niego nie splunąć. – Nie widzi pan tych wszystkich kobiet? – Macham ręką w stronę okna. – Proszę je zapytać, co sądzą o tym, że jest panu ciężko.

Greyhill spuszcza wzrok.

– Próbujemy postępować lepiej, Tino. W przypadku innych minerałów obowiązują nowe prawa międzynarodowe. Kontrola. Sankcje. Mamy dobre kopalnie cyny i koltanu. Protokoły bezpieczeństwa, związki zawodowe. Spytaj, kogo chcesz. Extracta nie byłaby w stanie handlować nimi, gdyby nie przestrzegająca tych regulacji.

– Ale złoto...

– Złoto to inna historia. Oferujemy kopalniom wyższe ceny, które dowodzą, że nie wykorzystujemy niewolników. Ale nie jest łatwo pozbyć się milicji – będą atakować i przejmować kopalnie. Rząd nie jest pomocny; sam prowadzi kopalnie, wykorzystując niewolniczą pracę. A nawet jeśli Extracta nie kupi złota, są jeszcze inni, przemytnicy, gotowi zająć nasze miejsce. Kochają złoto. Możesz przesznuć jedną walizkę tego kruszcu i dostać za nią taką samą cenę jak za pięć ciężarówek pełnych rudy cyny. To jeden z powodów, przez które Omoko wziął się na mnie. Znowu chciał być kupcem. – Myślę o broni, którą przywiózł Omoko, o złocie, którego wymianę widział Boyboy. To była prawda. Greyhill kontynuuje: – W zamian za życie Michaela zażądał zarówno pieniędzy, jak i możliwości działania na rynku. Z radością pozwoliliby milicji dalej wykorzystywać

niewolników. Dzięki temu mógłby skupywać złoto za niższą cenę. Jemu chodziło tylko o zysk, o to, by zarobić najwięcej, jak się da, w jak najkrótszym czasie. Owszem, ja też stawiam na zarobek, ale uważam, że w dłuższej perspektywie korzystniejszą strategią jest posiadanie dobrych kopalni.

– Czyli to wszystko to tylko biznes.

Nagle wygląda na wyczerpanego.

– Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej.

Do sali wchodzi pielęgniarka; sprawdza kroplówkę na ręce Greyhilla i podaje mu kubek wody. Odhacza coś na jego karcie i wychodzi. Lekcja na zewnątrz trwa, monotony zaśpiew liczb i zwrotów sprawia, że ogarnia mnie senność.

– To wszystko jest takie pogmatwane... – Potrząsam głową. Wstaję i podchodzę do okna, odchylam zasłonę. Na trawniku około dziesięć kobiet czyta coś z podręcznika. Rozpoznaję jedną – w różowym stroju – z pierwszej nocy, którą spędziliśmy na terenie szpitala. To jedna z tych trzech, które przyniesiono tamtego dnia. Uśmiecha się nieśmiało na słowa nauczycielki, jej zęby błyskają biłą równie mocną, co bandażę okalające jej głowę. Podejmuję decyzję. Pozwalam, by zasłona opadła, odwracam się. – Jestem wdzięczna za pańską pomoc w zapewnianiu bezpieczeństwa mojej siostrze. Naprawdę. Wiem jednak, że nie robi pan tego przez wzgląd na mnie. Nie szkodzi. Nie jest mi pan nic winien. Ale ma pan dług wobec mojej matki. I zamierzam się upewnić, że pan go spłaci. Może nie jestem Wielkim Gościem. Jestem mała. Jestem Drobinką. Ale proszę nie popełnić błędu i nie lekceważyć tego, do czego jestem zdolna, gdy naprawdę mi na czymś zależy. Będę pana obserwować. Będę obserwować, co się tu wydarzy. Dla mojej matki. Dla tych wszystkich kobiet. Mówi pan, że stanie się lepszy, ale lampartowi trudno pozbyć się cętek. – Idę w stronę Greyhilla; kładę dłonie na poręczy przy nogach jego łóżka. – Proszę posłuchać uważnie. Wkrótce po tym, jak wrócimy, upewnimy się, że Kiki jest bezpieczna, a pan wróci do swojego życia, duża suma pieniędzy zniknie z pańskiego konta. – Otwiera usta, chce zaprotestować, ale wyciągam palec, by go powstrzymać. – Chwilę później otrzyma pan list z podziękowaniem od tego szpitala. Okaże pan hojność i zgodzi się finansować działanie szpitala w najbliższej przyszłości. Dostanie on od pana wszystko, o co poprosi, nawet jeśli będzie to nowa szkoła albo drogi oddział położniczy. – Widzę, że chce o coś zapytać, ale go uprzedzam: – Jeśli pan tego nie zrobi, jeśli choćby się zawaha, to będzie pański koniec. Jest pan to winien mojej matce, winien po stokroć. – Jego twarz się odpręża i dostrzegam w jego oczach, że wie, iż mam rację. Ale ja jeszcze nie skończyłam. – Poza tym, jeśli do końca tego roku kompletnie nie zerwie pan kontaktów z milicją, zacznę upubliczniać prasie informacje z pańskiego dysku twardego. Tak, zrobiłam kopie. I proszę nawet nie próbować zabić mnie czy mojego przyjaciela. Zabezpieczę się. Jeśli mi albo Boyboyowi coś się stanie, pełen pakiet powędruje wprost do kilkunastu różnych międzynarodowych agencji prasowych. – Robię pauzę, pozwalając, by wchłonął moje słowa. – Czy wyrażam się jasno?

Przez moment tylko patrzy na mnie z kamienną twarzą. Potem kącik jego ust unosi się i dostrzegam przebłysk emocji. Może się mylę, ale jestem prawie pewna, że dostrzegłam w jego spojrzeniu szacunek.

– Krystalicznie – odpowiada. – Nie spodziewałbym się niczego innego po córce

swojej matki.

Czterdzieści trzy

– Co będziesz teraz robić? – pyta Michael.

Stoimy na podwórzu domu Greyhillów, nieopodal miejsca, gdzie wiele lat wcześniej dorobiliśmy się naszych blizn. Wiem, że jego rodzice są w środku, rozmawiają o Kiki, o mnie i o tym, co z nami począć. Słyszę podniesiony głos pani Greyhill i wyłapuję słowa: „Nie odpowiadasz za nie. ... To my jesteśmy twoją rodziną!”.

Michael spogląda na dom. Chyba zaczynam wyłapywać niuanse w wyrazach jego twarzy. Ten jest skomplikowany, ale wygląda na połączenie irytacji i wyczerpania.

– Przejdźmy się – mówi.

– Dobrze, ale poczekaj chwilę.

Szukam wzrokiem Kiki. Siedzi na trawie kilka metrów dalej; głowa jednego z owczarków niemieckich, pilnujących domu, spoczywa na jej kolanach. Uśmiecham się do niej lekko, ona odpowiada tym samym. Mam nadzieję, że nie słyszała krzyków pani Greyhill.

W oczach mojej siostry widać dziś mniej przerażenia niż wcześniej, ale wciąż wydaje się mała i zmęczona. Wiem, że to dla niej dobre, iż wkrótce znajdzie się daleko stąd. Potrzebuje nowego startu. Nie oznacza to jednak, że cieszy mnie perspektywa jej wyjazdu. Michael zapewnił, że będzie się nią opiekował w Szwajcarii, i wiem, że dotrzyma słowa, ale to nie to samo.

– Przejdziemy się kawałek – mówię. – W porządku, Kiki?

Kiwa głową.

– Nic mi nie jest, Tina. Naprawdę. Przestań się już martwić.

Pies spogląda na nią z zachwytem i liże ją po brodzie.

Interesy z Robalem przebiegły gładko. Generał zabrał nas dwoma helikopterami razem z sześciorgiem swoich ludzi, by się upewnić, że podczas wymiany nie wydarzy się nic nazbyt „emocjonującego”. Spotkaliśmy się na prywatnym lotnisku, gdzie pan G. trzyma swój helikopter.

Keczupa przyniesiono na noszach. Gdy Robal ujrzał brata, przez sekundę miałam wrażenie, że zaraz zrobi się gorąco. Ale pan Greyhill zadbał o obecność lekarza, który zbadał zarówno Keczupa, jak i moją siostrę, i zapewnił wszystkich: „Wyjdą z tego! Proszę, odłóżcie broń”.

Moja siostra. Uff. Prawie wyszłam z siebie na jej widok. To dopiero było emocjonalne przeżycie. Nie pamiętam nawet, jak wsiadała do samochodu Greyhilla. Pamiętam tylko, że trzęsłam się jak głupia, i raz po raz pytałam ją, czy wszystko w porządku, póki doktor nie zrobił mi zastrzyku. Obudziłam się później tej samej nocy, spanikowana, w pokoju gościnnym Greyhillów. Ale Kiki spała zwinięta obok mnie. Gdy uświadomiłam sobie, że naprawdę tu jest, cała i zdrowa, mogłam tylko cicho zapłakać, by jej nie zbudzić.

Teraz, dzień później, Michael czeka cierpliwie, aż się pozbioram. Potem prowadzi mnie przez podwórze, obok wszystkich rabat i dekoracji. Na wysokości mojej starej chatki ujmuje moją dłoń zdrową ręką, a następnie mijamy miejsce, gdzie pewnej ciemnej nocy, całe wieki temu, byłam świadkiem kłótni mamy i pana Greyhilla. Zatrzymujemy

się przed grządką warzyw. Dom za naszymi plecami przesłania krzew hibiskusa, nad którym bzyczą pszczoły.

– Więc? – pyta Michael. – Jaki masz plan? Wiem, że musisz jakiś mieć.

– Będę w okolicy – odpowiadam.

– Tylko tyle zamierzasz mi powiedzieć?

– Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz. – Pozwalam, by na mojej twarzy pojawił się zawadiacki uśmiech.

– Pewnego dnia poznam wszystkie twoje sekrety, Drobinco – stwierdza, też z uśmiechem. – I już nigdy mi nie uciekniesz.

– Zobaczymy.

– Ale nie martwisz się o Goondan, jeśli tu zostaniesz? – Jego mina rzednie.

– Twój tata zapłacił Robalowi, żeby zostawił mnie w spokoju.

Michael nie wygląda na przekonanego. Słusznie. Zapłata czy nie, założę się, że jest już wyznaczona nagroda za moją głowę.

– Może będę podróżować pod twoją nieobecność – mówię.

– To dobry pomysł. Powinnaś skorzystać z propozycji taty i pojechać z nami do szkoły.

– Wiesz, że nie to miałam na myśli.

– Spodobałoby ci się w Szwajcarii. Jest... czysto. No i Kiki tam będzie.

– Nie mogę jechać do Szwajcarii.

– Raczej nie chcesz.

– Nie pasuję tam.

– A tutaj pasujesz? – pyta cicho.

Jakaś część mnie nie pragnie niczego więcej, niż tylko powiedzieć, że z nim pojadę. Chciałabym się tam udać, by opiekować się Kiki i, jeśli mam być szczerą, być blisko niego. Nie wiem, co tak właściwie się między nami dzieje, ale chętnie bym się o tym przekonała, gdyby był na to czas.

Inna część mnie jednak wie, że zostanę. I to jest dobra decyzja. Może dlatego że już postanowiłam, iż wrócę do szpitala misyjnego w Kasisi, po tym jak pan Greyhill przekaze swoją „dotację”. Może dlatego że choć cieszą mnie możliwości, jakie otworzą się przed Kiki dzięki nauce w szkole, wiem, że nie jest to życie dla mnie. Jeszcze zanim zostałam Goonda, nie lubiłam szkoły. To niezbyt chwalebne, ale taka już jestem. Nie potrafię sobie wyobrazić spędzania kolejnych dni w zamknięciu, zgodnie z czyims grafikiem, nawet jeśli to dla mnie dobre. Chodzenie w schludnym mundurku czy słuchanie poleceń, co robić, dokąd iść, o której tam być – byłoby dla mnie jak powolna śmierć. Nie wytrzymałabym też długo, gdyby wszyscy zadreżali mnie pytaniami, gdzie chcę studiować i co dalej zrobię ze swoim życiem.

Ale główny powód mojej decyzji jest prosty: ja już wiem, co chcę robić ze swoim życiem.

Tego ranka obudziłam się przed świtem i wypełzłam z łóżka. Zapukałam do pokoju Michaela i wymogłam na nim przyrzeczenie, że zadba o bezpieczeństwo Kiki. Potem wyszłam. Musiałam porozmawiać z Boyboyem. Czekał już na moim dachu. Powiedział, że nie mógł spać ani przestać się trząść.

– Co dalej? – zapytał.

Wiedział równie dobrze jak ja, że teraz wszystko się zmieni. Po pierwsze znaleźliśmy się na czarnej liście Goondan. Będziemy musieli zejść do podziemia. Muszę znaleźć nowy dach... albo może tym razem piwnicę. Obiecałam Boyboyowi, że ulokujemy jego rodzinę w jakimś przyjemnym, nowym i bezpiecznym miejscu. Może na wyspie. I po drugie, nawet gdyby Goondanie chcieli przyjąć nas z powrotem, wiedzieliśmy, że nie możemy działać tak jak wcześniej – okradać ludzi na ślepo i nie przejmować się tym, na czyje życie wpływamy.

Rozmawialiśmy, póki nie wzeszło słońce. Wymyśliliśmy plany, Boyboy i ja, które być może będą uwzględniać więcej „redystrybucji sprawiedliwości”. Świat jest pełen złych ludzi mających zdatne do zhakowania konta bankowe. Przecież nie mogę tak całkiem porzucić złodziejskiego życia.

– Będziemy jak Robin Hood – powiedział Boyboy. – Jak księżę złodziei.

Trąciłam go ramieniem, gdy oboje patrzyliśmy na panoramę miasta.

– Daj spokój, możemy mierzyć wyżej. Będziemy królowymi złodziei.

Roześmiał się – po raz pierwszy od bardzo dawna.

Obracam się do Michaela. Jego oczy mają taki sam kolor jak liście za nim. Wydaje mi się, że rozumie, dlaczego nie mogę jechać. Sądzę nawet, że rozumie to lepiej niż ktokolwiek inny. Może nie zna szczegółów, ale zna mnie. Ufa, że podejmuję najlepsze dla siebie decyzje. Widzę, że chciałby zapytać o to, co jest między nami albo co mogłoby być. Nasza przyjaźń jest twarda jak skała; nigdy wcześniej nie sądziłam, że jej potrzebuję, ani nawet nie wiedziałam, że ją mam. Ale czy jest w tym coś więcej? Tego nie wie jeszcze żadne z nas. On jednak zdaje się rozumieć, że niewypowiedzenie tego pytania, pozostawienie tej nieuporządkowanej, nieprzewidywalnej przyszłości własnemu biegowi może być jedynym sposobem, byśmy ruszyli dalej.

Dotyka mojej twarzy, opuszki palców gładzą moje włosy. Czuję jego ciepło.

– Po prostu... Nie znikaj już więcej, dobrze?

– Zawsze będziesz wiedział, gdzie jestem – mówię i niepewnie kładę dłonie na jego piersi. Pod koszulą wyczuwam szybkie i mocne bicie serca.

Wpatruje się we mnie, jakby chłonał każdy milimetr mojej twarzy. Znam to uczucie. Chcę zapamiętać każdy aspekt tego, jak wygląda w tej chwili, nawet jasne promienie słońca na jego skórze i niewielkie insekty leniwie zataczające kółka nad jego głową. A potem otacza mnie ramionami i przyciąga do siebie; jestem zamknięta w jego objęciach, czuję jego zapach i to, jaki jest spięty, gdy trzyma mnie tak delikatnie, jakbym była dzikim stworzeniem, gotowym w każdej chwili wystrzelić z jego uścisku i uciec.

I wtem coś we mnie pęka i otwiera się niczym jajko, a ja pozwalam, by wydostało się na zewnątrz i uleciało – poza tym bólem, który przez niego czuję, który jest tak słodki, tak potężny i tak dobry. Jutro się nie liczy, uświadamiam sobie. Nie teraz. Kto wie, co się wydarzy? Mamy tylko to. Tutaj. Teraz.

Nasze usta się spotykają, on obejmuje mnie jeszcze ciaśniej i w tej chwili nie potrafię stwierdzić, czy jestem usatysfakcjonowana czy raczej jeszcze bardziej spragniona. Całujemy się i czujemy, jakbyśmy właśnie to odkryli, jakby nikt nigdy nie mógł całować w ten sposób. Świat dookoła znika, słysząc jedynie bzyczenie pszczoł,

które wibrują jak tysiące instrumentów.

Czterdzieści cztery

ZASADA NUMER 18: OSTATNIA ZASADA – MOŻE NIE DA SIĘ BYĆ WSZYSTKIM DLA WSZYSTKICH.

Może nigdy nie będziesz idealną uczennicą szkoły z internatem. Albo perfekcyjną złodziejką. Nie zawsze córką, siostrą, przyjaciółką, jaką by chcieli czy na jaką zasługują. Zasady będą cię łamać równie często, jak ty będziesz łamać je. Ale tak chyba powinno być.

Może już skończyłam z zasadami.

Przynajmniej na ten moment.

Po prostu będę. Będę istniała. I zobaczymy, co się wydarzy.

Zostawiam Boyboya spryskującego się drogimi perfumami w sklepie w strefie bezcłowej i odprowadzam siostrę do bramki. Pan G. też planował towarzyszyć jej na lotnisku, ale zapytałam, czy mogę pójść sama. Gdy za kilka miesięcy Kiki przyleci do Sangui wraz z Michaeliem i Jenny na wakacje, wtedy odbierzemy ich razem. Podaję ochroniarzowi moją specjalną przepustkę „osoby eskortującej”, wydaną przez linię lotniczą. Pan G. pociągnął za kilka sznurków, by ją zdobyć. Wygląda zupełnie jak bilet Kiki, ale doprowadzi mnie tylko do bramki 23.

Michael wyleciał wczoraj, pan Greyhill przybył na wózku inwalidzkim, by go pożegnać. Widziałam, że nienawidzi, gdy inni popychają jego wózek, ale naprawdę chciał tam być. W samolocie Michaela nie było już wolnych miejsc, dlatego Kiki leci dzisiaj. Michael zapewnił mnie, że przyjedzie na lotnisko szkolnym autobusem, by ją odebrać. Będzie w klasie rok niżej niż Jenny. Zaopiekują się nią.

Mijamy kolejne rzędy ludzi czekających na swój lot. Są w każdym kolorze i wieku. Jedyne, co ich łączy, to pewien rodzaj zmęczenia, jakby dobrze się bawili w Afryce, ale wiedzieli, że najwyższa pora wyjeżdżać. Może nie wszyscy są zamożni, lecz dostrzegam mnóstwo złotych zegarków i niedbale rzuconych markowych torebek. To byłoby dobre miejsce dla kieszonkowca. Wszyscy ci ludzie wyjeżdżają – gdy uświadomią sobie, że zostali obrabowani, będą tysiące kilometrów stąd.

Terminal jest nowy i bardzo czysty. Same proste linie, nie czuć żadnych zapachów. Samoloty widoczne przez okna też zostały wyszorowane i wypolerowane. Wydaje się, jakbyśmy były bardzo daleko od zakurzonych ulic Sangui. Zastanawiam się, czy nowa szkoła Kiki w Lucernie też będzie tak wyglądać.

Zatrzymujemy się przed jej bramką.

– Masz paszport? Pieniądze?

Kiki przewraca oczami.

– Nie zdążyłam ich zgubić, odkąd pytałaś pięć minut temu.

Wsuwam ręce do kieszeni. Słońce dopiero wschodzi, jego promienie wlewają się przez okna niczym ciekła miedź. Dookoła nas turyści się zatrzymują, by ostatni raz spojrzeć na pamiątki. Matki próbują upilnować dzieci, a biznesmeni w garniturach pochylają się nad laptopami, biorąc łapczywe łyki kawy.

Kiki przygląda się wszystkiemu szeroko otwartymi oczami. Ma na sobie nowe

ubranie kupione na podróż – wszystko w różu i zieleni. Z włosami splecionymi w schludne warkocze i nowym, plastikowym plecakiem mogłaby być córką dowolnego z podróżnych. Minął prawie tydzień od jej porwania i znów zaczyna się zachowywać jak dawniej. Każdej nocy dręczyły ją koszmary, ale lekarz powiedział, że to normalne i prawdopodobnie za jakiś czas ustanie.

– Kiedy wylądujesz, zadzwoń z telefonu, który dał ci pan G., dobrze? Mój numer masz zapisany. – Poprawiam jedno z ramiączek plecaka, które zsunęło się z jej ramienia.

– Jasne.

Nie przestaje się rozglądać.

Podwijam rękawy. Z jakiegoś powodu czuję gorąc i zdenerwowanie. Rozglądam się. Pan G. powiedział, że będzie tu ktoś, by się z nią spotkać – pracownik linii lotniczej, mający jej pilnować i upewnić się, że trafi tam, gdzie trzeba. Ale nikogo nie widzę. Opieram ręce na biodrach.

Kiki odwraca się do mnie, jakby wreszcie przypomniała sobie, że tu jestem.

– Masz nowy tatuaż – zauważa.

Nieco się rozluźniam. Pokazuję jej przedramię. Mój pierwszy tatuaż nie od Goondan. Skóra wciąż jest podrażniona i niezagojona, ale nowy tatuator, którego znalazłam, wykonał dobrą robotę. Moja długa, prosta blizna to teraz centralna łodyga gałązki palmowej. Wygląda dokładnie jak ta, którą trzymała w dłoni Święta Katarzyna na karcie modlitewnej mamy.

– To symbol tryumfu – mówię.

W tym momencie podchodzi do nas kobieta. Jest mocno umalowana, ale jej twarz pod tą grubą warstwą sprawia wrażenie ładnej i przyjaznej. Obdarza nas szerokim uśmiechem.

– Catherine Masika? – Kiki podnosi rękę. Kobieta uśmiecha się jeszcze szerzej, najpierw do niej, potem do mnie. – Pracuję dla linii lotniczej. Wkrótce rozpocznie się odprawa, ale najpierw mogę cię oprowadzić. Co ty na to?

Kiki głośno przełyka.

– Dobrze, proszę pani.

Cofam się i od razu czuję, jak wtapiam się w tłum, w tło. Nic jej nie będzie, powtarzam sobie. Takiego życia chciałyby dla niej mama. Michael tam jest. Nie pozwoli, by spotkało ją coś złego. Mimo to jakaś część mnie ma ochotę chwycić siostrę za rękę i uciec z nią gdzieś daleko. Pali mnie w gardle, ale nie zamierzam się przed nią rozpłakać.

Kobieta bierze od Kiki paszport i bilet, a potem kładzie dłoń na jej ramieniu i zaczyna iść w stronę bramki. Spogląda na mnie jeszcze.

– Chcesz się pożegnać? – pyta Kiki.

Moja siostra potakuje i odwraca się do mnie.

– Cześć – mówię.

– Cześć.

Rozpościeram ręce, a ona wpada na mnie z impetem, niemalże przewracając nas obie. Ściskam ją, wtulam twarz w jej włosy i biorę głęboki wdech. Najdroższe perfumy ze wszystkich bezcłowych sklepów na świecie nie mogłyby pachnieć równie słodko.

Przez moment świat jest cichy i nieruchomy. A potem Kiki odsuwa się ode mnie.

Płacze, ale jednocześnie się uśmiecha.

– Bądź grzeczna – mówię i ocieram nos wierzchem dłoni.

Przez sekundę jej uśmiech sprawia, że wygląda zupełnie jak mama na starym zdjęciu z Cathi.

– Ty też bądź grzeczna.

Następnie odwraca się i wraz z kobietą odchodzi w stronę bramki, przechodząc do strefy, do której nie mam już wstępu. Gdy kobieta podaje bilet Kiki pracownikowi przy bramce, moja siostra spogląda na mnie i coś mówi.

– Co? – Podchodzę tak blisko, jak tylko się da.

Wskazuje na moje ramię i krzyczy:

– Twój nowy tatuaż! To nie jest symbol tryumfu, to symbol pokoju!

Spoglądam na gałązkę palmową. Gdy znów podnoszę wzrok, Kiki i kobieta przechodzą przez drzwi prowadzące na płytę lotniska. Obraca się przez ramię i macha do mnie po raz ostatni.

Macham tak długo, aż całkiem znika mi z oczu.

¹ Sheng: stale ewoluujący slang uliczny będący połączeniem suahili i angielskiego, używany przede wszystkim przez młodzież z kenijskich miast.

² Dau – tradycyjny arabski statek żaglowy (przyp. red.).